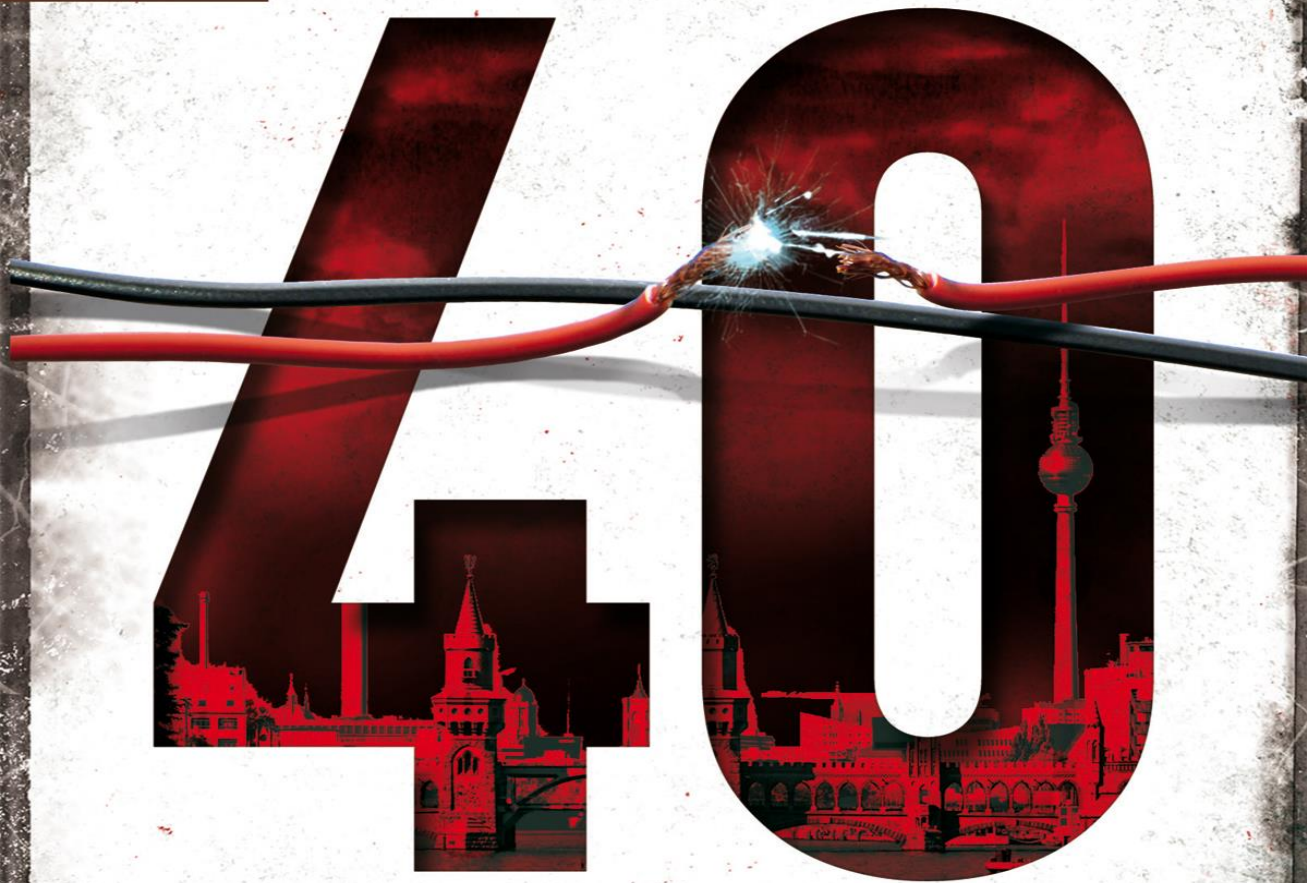




GORZKA
CZEKOLADA

KATHRIN LANGE



GODZIN

Media Rodzina

KATHRIN LANGE
40 GODZIN

Tłumaczyli
Anna i Miłosz Urbanowie

Media Rodzina

Prolog

Ciemność. Mrok opatula go szczelnie niczym chusta. Otacza tors, biodra, nogi i ramiona. Ma wrażenie, że czuje jego muśnięcia na nagiej skórze.

Na nagiej skórze?

Ta myśl sprawia, że zaczyna wątpić w swój zdrowy rozsądek. Dlaczego miałby być nagi? To pytanie krąży w ciemności wypełniającej głowę i prowokuje kolejne. Ramiona. Dlaczego nie może nimi poruszyć? I dlaczego, ilekroć próbuje to zrobić, mięśnie grzbietu reagują drżeniem? Pod podeszwami stóp czuje ucisk. Coś tam jest – szorstkie jak nieoszlifowane drewno. W skórę wbijają mu się drzazgi.

Nic go nie boli.

Drżenie mięśni, drzazgi pod skórą – wie, że istnieją, ale nic poza tym. Odczucia i wrażenia są tylko dwuwymiarowe, jak teatr cieni.

Porzuca bezowocne próby, żeby się poruszyć, i skupia się na powiekach. Jest przekonany, że je uniósł, jednak nadal otacza go nieprzenikniona ciemność. Zaciska je z powrotem. I otwiera gwałtownie. Ma posklejane rzęsy, ale to nie jest wielka przeszkoda. Tym razem, choć mrok nie znika, gdzieś w oddali pojawia się słabe światełko. Iskierka na końcu tunelu. Rozmyty prostokąt szarości.

Gdzie on jest?

To pytanie wyłania się na chwilę z chaosu w jego głowie, by zaraz znów się zanurzyć i zniknąć w ciemnościach.

Mruga. Raz. Coś napływa do oczu. Znow mruga. Zdaje mu się, że pod powiekami ma wyschnięte kamienie. Dopiero po kolejnym mrugnięciu dostrzega, że niewyraźny prostokąt przed nim to otwarte drzwi. Wraca poczucie równowagi. Jednak to, co czuje, przeczy wszystkiemu, co powinien czuć. Przecież właśnie odzyskał przytomność, prawda? Więc dlaczego nie leży? Jest wyprostowany. Jego zdezorientowany rozum nie potrafi mu tego wyjaśnić.

Postanawia czekać.

Ma wrażenie, że jego głowę wypełniają kłęby waty. Mimo to z czasem dociera do niego coraz więcej bodźców z zewnątrz. Najpierw słyszy ustawiczne pikanie. Regularny rytm. Unosi głowę, bo osunęła się na klatkę piersiową. I w końcu przychodzi ból.

Z początku słaby i tępy. Pieczenie w dłoniach i stopach. Nie zna takiego uczucia. Jest coraz mocniejsze. Nigdy w życiu tak strasznie nie cierpiał.

Jego ciałem wstrząsa dreszcz, a gardło dusi szloch, bo w końcu zaczyna rozumieć, co się stało. Znow mruga. I zaciska powieki. Najsilniej, jak tylko potrafi. Unosi je gwałtownie. Jego spojrzenie odzyskuje ostrość – ma przed sobą ścianę. Poszarzałe płytki muszą być bardzo stare. Otwarte drzwi. Sączy się przez nie słabe światło, lecz nie potrafi dostrzec, co znajduje się w pomieszczeniu obok.

Odwraca głowę i spogląda w prawo. Przesuwa wzrokiem wzdłuż wyciągniętego ramienia. Coś rdzawoczerwonego pojawia się w polu jego widzenia. Nie ma pojęcia, co to może być. Dociera do dłoni. Rozczapierzone palce zagięte niczym szpony sterczą w górę. Każdy, nawet najmniejszy mięsień napięty aż do bólu.

Drżenie przybiera na sile.

Powoli odwraca głowę i patrzy w drugą stronę. Ten sam budzący grozę widok: wyciągnięte ramię, czerwone coś, co chyba może być sznurem, tak mu się wydaje. Oplata go. Rozczapierzone, zakrzywione palce, a pośrodku dłoni niczym ozdoba – stalowoszary drobny przedmiot. Nie! Rozsądek każe mu krzyczeć, jednak się powstrzymuje.

Chce odchylić głowę, lecz potylicą trafia w coś twardego. Spogląda więc w dół. Jego ciało jest wyprostowane i rozciągnięte podobnie jak ramiona. I nie pomylił się – rzeczywiście jest niemal nagi, bo nie ma na sobie nic poza kawałkiem jakiejś szmaty wokół bioder. Dostaje gęszej skórki i robi mu się słabo. Jasne plamy zaczynają mu tańczyć przed oczyma. Wie, że to zwidy. Wtedy odkrywa coś jeszcze.

Jak zahipnotyzowany wbija wzrok w trzeci stalowoszary drobiazg. Tym razem znajduje go nad złożonymi na sobie stopami.

W jego uszach rozbrzmiewa denerwujące pikanie. Obok głowy wisi woreczek z kroplówką, a biegnący od niej wężyk łaskocze go w policzek. Nagle dociera do niego, co oznacza pikanie. To monitor pracy serca. Przekrzywia głowę najmocniej jak może. W końcu go dostrzega. Jasne plamy na piersi... To nie są zwidy. To elektrody, którymi urządzenie odczytuje pracę jego serca.

Odchyła głowę i opiera się o drewno.

I w końcu z ciemności jego pogrążonego w chaosie rozsądku wyłania się jasna odpowiedź – stalowoszare drobiazgi to gwoździe.

Rozchyła usta.

I zaczyna się śmiać.

Część 1

GODZINY 1-14

*Ojcze, odpuść im,
bo nie wiedzą, co czynią.*

(Łk 23,34)

Rozdział 1

Farisa Iskandera piekły oczy. Śmiertelne zmęczenie nie opuszczało go już od miesięcy. Miesiące, w czasie których zasypiał na godzinę, najwyżej dwie. Ilekroć mu się zdawało, że odnalazł spokój, koszmar, z którego budził się z panicznym krzykiem, wracał.

Rozpaczliwy płacz dziecka. Płomienie, które je pożerają...

Kciukiem i palcem wskazującym zaczął masować nasadę nosa. Od kilku godzin stał z porcelanowym kubkiem przy oknie w sypialni i wyglądał na zewnątrz, w ciemną, ponurą noc, ustępującą już powoli miejsca równie ponuremu dniu. W tle grała stara płyta Metalliki. Ściszył muzykę z uwagi na pozostałych mieszkańców domu, lecz nie na tyle, by nie słyszeć Jamesa Hetfielda, jak śpiewa *Ride the Lightning*. Faris uruchomił ten utwór w pętli. Zamknął oczy, ale natychmiast je otworzył, bo miał wrażenie, że powieki są niczym papier ścierny. Słońce wstanie dopiero za niecałą godzinę. Poza bielizną i T-shirtem miał na sobie jedynie skórzaną bransoletkę, którą podarowała mu Laura w czasie urlopu w Egipcie. Nigdy jej nie zdejmował. Wypalona na niej arabska inskrypcja *Laura i Faris* była już ledwie widoczna – doskonała metafora ich związku. Dwa lata minęły, odkąd Laura od niego odeszła. Nawet eksplozja, w której niemal stracił życie, nie skłoniła jej do powrotu.

Flash before my eyes – śpiewał Hetfield. – *Now it's time to die.*

Przez ostatnich kilka dni panował straszny upał, jak w środku lata, lecz poprzedniego wieczoru nad Berlinem przetoczyła się burza i temperatura wyraźnie spadała. Tak bardzo, że Faris zamknął na noc okno, bo marzył. Teraz w szybie mógł obserwować swoje odbicie. W ciemności jego twarz była ponurym jasnym owalem otoczonym nieco przydługimi czarnymi włosami. T-shirt z wycięciem w serek odsłaniał fragment ciemnoczerwonej blizny po poparzeniu, która obejmowała część klatki piersiowej i prawego ramienia. Nie mógł oderwać od niej oczu. Kiedy na dworze zaczęło świtać, odbicie w szybie stało się mniej wyraźne. Westchnął. Przypomniawszy sobie o kubku, który cały czas trzymał w dłoni. Ze zmęczonym uśmiechem przepił do siebie, uniósł naczynie do ust i opróżnił je do dna.

Zawartość kubka spłynęła gorzko przelykiem. Skrzywił się.

W piosence Metalliki główny bohater przebudził się z koszmaru, wzbudzając zazdrość Farisa. Przypomniawszy sobie o kartonie, który stał na najwyższej półce jego szafki i zazwyczaj znajdowała się w nim jego broń. Wypuścił głośno powietrze nosem. W tej chwili pudło było puste, bo niedawno został zawieszony w wykonywaniu obowiązków funkcjonariusza policji kryminalnej.

„Weź się w garść!” – skarcił się w myślach. Nie ma chyba nic gorszego niż pławienie się w żalu nad sobą. Lecz o tej porze, tuż przed świtem, nawet on nie potrafił się oprzeć pokusie. Wspomnienia same wracały, by go dręczyć, a obrazy i dźwięki, które nosił w sobie od dziesięciu miesięcy, nie chciały dać mu spokoju. *Płacz dziecka. Pędząca ku niemu ściana ognia. Krew i zwłoki. Cichy jęk. Rozpaczliwe krzyki...*

Faris zacisnął powieki i chwycił się za głowę. Znów zatracił się w rozmyślaniach.

Nawet nie zauważył, że na dworze nastał świt. W tle dalej grała Metallica. Trzy piętra niżej Berlińczycy już dawno rozpoczęli najzwyczajniejszy dzień pracy. Wiele by dał, żeby do nich dołączyć.

Zajrzał do pustego kubka i westchnął, po czym odwrócił się od okna i wyszedł z pokoju. Przeciął niewielki korytarz. Mijając garderobę, nie spojrział w lustro. I bez tego wiedział, że ma oczy przekrwione jak ćpun na odwyku. Brak snu był na dłuższą metę gorszy niż gwałtowne odstawienie narkotyków. W kuchni podszedł do blatu i sięgnął po dzbanek, żeby dolać kawy, która podgrzewała się już od kilku godzin na włączonym ekspresie, przez co smakowała jak zużyty olej samochodowy. To bez znaczenia. Liczyło się tylko to, że była ciepła.

Kiedy brał kolejny łyk, zwrócił uwagę na ciche ćwierkanie. W pierwszej chwili nie miał pojęcia, skąd pochodzi. Po chwili zrobiło się głośniejsze i wtedy sobie przypomniał – to nowy telefon, wczorajszy nabytek.

Faris spojrział z żalem na ekspres do kawy. Potem wyłączył go, odstawił kubek i ruszył na poszukiwanie telefonu. Nie było go ani w skórzanej kurtce, ani w dżinsach, które poprzedniego dnia rzucił niedbale na fotel w sypialni. W końcu znalazł telefon pod rozłożonym egzemplarzem powieści Haruki Murakamiego na nocnym stoliku. Niechętnie spojrział na migający rytmicznie ekran. Numer nieznany. Po dwóch godzinach, które spędził wczoraj na poznawaniu wszystkich przydatnych funkcji nowego smartfona, nie miał już ochoty przenosić nielicznych kontaktów. Poza tym, nawet gdyby to zrobił, i tak nic by na tym nie skorzystał, bo dzwoniący miał numer zastrzeżony.

Podszedł do okna i spojrział na swoje odbicie, które z nastaniem dnia niemal całkowicie zniknęło, po czym uniósł telefon do ucha i odebrał połączenie.

– Iskander.

– *As-samu alaikum*, Faris. – Głos dzwoniącego był elektronicznie zniekształcony, więc brzmiał jak głęboki grzmot.

Słowa wypowiedziane przez nieznanego sprawiły, że krew ścięła mu się w żyłach.

Rozdział 2

As-samu alaikum.

Po raz ostatni słyszał te słowa dziesięć miesięcy wcześniej, a teraz ich dźwięk katapultował go gwałtownie w przeszłość. Poczował, że nie stoi już w swojej sypialni, lecz w wejściu do Muzeum Klerscha. Ściany toną w migotliwych niebieskich refleksach niezliczonych samochodów policji, karetek i wozów strażackich. Czuje ucisk w żołądku, a słuchawka, którą funkcjonariusz z Instytutu Ekspertyz Kryminalistycznych, w skrócie IEK, podał mu chwilę temu, uwiera go w ucho. Zza bogato zdobionych dwuskrzydłowych drzwi, za którymi skrył się porywacz z zakładnikami, dobiega płacz dziecka. To cichy, przepojony rozpaczą jęk, jaki wydobywa się z gardła człowieka spodziewającego się nieuchronnej śmierci.

– Jedno pytanie, Faris. – W głosie porywacza słychać pełną żalu determinację.
– Człowiek o ciemniejszej skórze, pas i dziesięć kilo materiałów wybuchowych. Jak to się może skończyć?

W skazanej na niepowodzenie próbie opanowania nerwów Faris zaciska pięści. Wie, że musi mówić spokojnym tonem. Powoli zwilża wargi językiem.

– Może pogadajmy – proponuje. – Sam urodziłem się w Aleksandrii. I też jestem muzułmaninem...

Porywacz nie daje mu dokończyć.

– Błędna odpowiedź. – Na dźwięk jego tonu Faris czuje drżenie w piersi.

– Proszę posłuchać... – krzyczy.

Ale już za późno.

– *As-samu alaikum*, Faris Iskander – rzuca porywacz.

Sekundę później eksplozja rozerwała drzwi na drzazgi, a ściana ognia runęła na Farisa i przykryła go płomieniami...

Wspomnienie tamtej detonacji i przeraźliwego bólu, który poczuł zaraz po niej, wciąż były żywe. Faris odruchowo jęknął.

W słuchawce, którą trzymał przy uchu, rozległ się śmiech, lecz przez elektroniczną modyfikację głosu bardziej przypominał grzechot.

– Czyli pamiętasz.

Serce waliło mu jak oszalałe. Faris zacisnął powieki i odetchnął głęboko.

– Proszę posłuchać... – zaczął i zadrżał, bo uświadomił sobie, że użył dokładnie tych samych słów, którymi zwrócił się wtedy do porywacza za drzwiami muzeum.

Dzwoniący prychnął pogardliwie.

– Człowiek by się spodziewał, że uczysz się na błędach.

Faris zacisnął zęby.

– Kim pan jest?

Odpowiedź padła dopiero po chwili wahania:

– Nie domyślasz się?

Eksplozja w muzeum... Faris zobaczył siebie, jak siłą wybuchu podrzuca go w górę i ciska nim o ścianę... Odniosł zbyt poważne obrażenia, żeby móc działać dalej, jednak

zanim stracił przytomność, ujrzał to, co było za wyrwą w miejscu, gdzie jeszcze chwilę wcześniej znajdowały się masywne drzwi. W powietrzu unosił się dym, który ograniczał widoczność, a kiedy do sali wpadli antyterrorysty, opadł z sił. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, był urwany palec z paznokciem pomalowanym czerwonym lakierem. Leżał tuż obok niego, na szerniałych płytkach podłogi. Celował w jego stronę, jakby w oskarżycielskim geście.

Faris odkaslnął. „Zachowaj spokój!” – zganiał się w myślach. Osoba po drugiej stronie nie mogła być tą samą, która wtedy podłożyła bombę. To niemożliwe.

– Nasi technicy od zabezpieczania śladów zapewniali, że nikt nie mógł przeżyć takiego wybuchu – mruknął.

Ben Schneider, jeden z ekspertów IEK, ujął to znacznie brutalniej: „Tę świnię rozerwało na strzępy” – powiedział wtedy.

Mężczyzna znów się zaśmiał.

Faris głośno przełknął ślinę.

– Czego pan chce?

– Sprawdź mejla.

Faris zacisnął usta i odsunął telefon od ucha. Spojrzał na ekran, uruchomił odpowiednią aplikację, zalogował się na swoje konto pocztowe i wybrał skrzynkę odbiorczą. Jeden nowy mejl. Otworzył go. Wiadomość nie zawierała treści, za to miała załącznik. Kliknął na niego.

Uruchomiło się odtwarzanie jakiegoś filmu. Przez pierwsze trzy czy cztery sekundy obraz był nieostry. Było widać jedynie rozmazane, szaroczarne plamy z odrobiną zieleni i niebieskiego. Naraz rozległo się ciężkie dyszenie. I coś jakby tłumiony szloch. A potem niezrozumiałe mamrotanie. W następnej chwili obraz się wyostrzył.

A Faris zamarł.

Zobaczył mężczyznę. Leżał z rozłożonymi ramionami na konstrukcji z drewnianych belek ułożonych w kształt krzyża. Kamera zrobiła najazd na jego bladą twarz, całą we krwi sączącej się spod korony cierniowej. Nieznajomy miał wytrzeszczone, pełne przerażenia oczy. Kamera przesunęła się w dół, pokazując ciało mężczyzny. Na jego piersi dostrzegł jasne, okrągłe kształty, które na pierwszy rzut oka nijak nie pasowały do reszty sceny. Dopiero kiedy im się przyjrzał, zrozumiał, że to elektrody.

Kamera kontynuowała swoją wędrówkę.

Na nagraniu pojawił się kolejny mężczyzna, lecz w przeciwieństwie do pierwszego, którego było dobrze widać, ten stał tyłem do obiektywu, a na głowie miał kaptur czarnej bluzy. Nasunął go głęboko, więc i tak nie dałoby się dostrzec jego twarzy. W jednej dłoni trzymał długi gwóźdź, a w drugiej ciężki młotek.

Faris ze świstem nabrał powietrza. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w scenę rozgrywającą się na ekranie jego komórki. Mężczyzna w czarnym kapturze przyklęknął przy drugim. Przyłożył gwóźdź do skóry ofiary.

Uniósł młotek i wziął zamach.

Uderzenie było bardzo mocne, tak mocne, że gwóźdź przebił kości i ciało mężczyzny i wbił się w drewnianą belkę poniżej.

Faris z przerażenia otworzył szerzej oczy.

Ofiara przekrzywiła głowę, ale nie krzyczała, z jej gardła wydobył się tylko cichy, umęczony jęk. Z rany sączyła się krew. Była niemal czarna.

– O kurwa... – wymamrotał Faris.

Sprawca przybił również drugą rękę ofiary, lecz kiedy zajął się jej nogami, wyraźnie zaczął drżeć. Tym razem jego uderzenie nie było dostatecznie silne i precyzyjne, by za pierwszym razem wbić gwóźdź w drewno. Musiał wziąć ponowny zamach.

Ukrzyżowany mężczyzna jęknął, kiedy metal przebijał jego stopy.

Sprawca dyszał ciężko. Odłożył młotek i przez kilka długich sekund klęczał bez ruchu. W końcu sięgnął po dwa kawałki czerwonej linki, starannie zwinięte obok krzyża. Każdym z nich owinał jedno ramię ofiary i zawiązał w supeł. Potem do elektrod na piersi ukrzyżowanego podłączył kabelki, prowadzące do niewielkiego pudełka zawieszzonego na przepasce biodrowej ofiary.

Dopiero wtedy ociężale wstał z kolan. Odsunął się nieco, po czym zniknął z ekranu. Z głośników popłynęło równomierne, rytmiczne pikanie. Faris się domyślił, że człowiek w kapturze włączył monitor serca.

Rozległo się brzęczenie łańcucha.

Krzyż zaczął się podnosić. Przez chwilę kamera pokazywała bezpośrednio twarz ukrzyżowanego mężczyzny, a Faris nie mógł oderwać wzroku od jego oczu. Prócz przerażenia, którego nie dało się nie zauważyć, było w nich coś jakby dystans i nieobecność, co mogło wskazywać na działanie środków farmakologicznych lub narkotyków. To prawdopodobnie dzięki nim mężczyzna nie krzyczał z bólu. Kamera zaczęła się oddalać i pokazywać coraz większy fragment pomieszczenia. Kiedy krzyż stał już niemal pionowo, a przybity pod własnym ciężarem zawisł na gwoździach, mężczyzna odchylił głowę, a z jego gardła wydobył się krzyk. Pikanie monitora serca przyspieszyło. Faris poczuł mdłości.

Przez chwilę kamera pokazywała jeszcze ten sam obraz ukrzyżowanego, a potem przestała kręcić. Ekran smartfona zrobił się czarny. Film się skończył.

Faris nie mógł oderwać wzroku od telefonu. Wolną dłonią odsunął włosy z mokrego od potu czoła.

W końcu powoli uniósł słuchawkę do ucha.

– I jak tam? Obejrzałeś sobie filmik? – zapytał nieznajomy.

Faris potwierdził.

– Świetnie. – Mężczyzna był wyraźnie zadowolony. – Możesz być pewny, że jest prawdziwy.

Nic na to nie odpowiedział.

Dzwoniący prychnął kpiąco.

– Życie tego gościa na krzyżu... zależy tylko ode mnie. A ja chcę, żebyś zrobił, co ci każe: pójdziesz na stację metra na Bismarckstraße. I to natychmiast.

Mężczyzna zacisnął palce na telefonie.

– A potem?

– Dalsze instrukcje otrzymasz, kiedy dotrzesz na miejsce. Aha, dowiem się, jeśli zadzwonisz po kolegów!

Faris milczał. Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał. Ciszę przerwał

dzwoniący.

– Nie masz ochoty, Faris? – Nieznajomy się zaśmiał. – To przypomnij sobie wybuch w muzeum.

Jego słowa sprawiły, że Faris poczuł mrowienie.

– I na razie nikogo nie zawiadamiaj.

Na razie?!

Jego umysł utknął na tym dziwnym poleceniu, lecz mężczyzna nie miał możliwości, żeby się nad tym zastanowić, bo dzwoniący syknął do słuchawki:

– Stacja metra Bismarckstraße. Masz pięć minut!

Po czym się rozłączył.

Alexander

CENĄ WOLNOŚCI JEST ZŁO – obwieścił głos płynący od strony światła.

Alexander opuścił młotek i zamrugał. Chciał podejść, żeby zobaczyć, jak wygląda postać, którą przed jego wzrokiem ukrywała oślepiająca aureola. Lecz ten sam głos mu tego zabronił.

NIE PATRZ NA MNIE! – powiedział.

Alexander posłuchał.

Zamiast w stronę światła, spojrzął na ukrzyżowanego mężczyznę. Coś ciepłego drażniło mu czoło, więc przetarł je dłonią.

TAK – oznajmił głos. – SPEŁNIŁO SIĘ.

Drżąc na całym ciele, nabrał głęboko powietrza. Nie odwracał wzroku od mężczyzny na krzyżu.

– Tak nie wolno – wymamrotał. Jego kamienne serce kołatało tak mocno, że czuł mdłości.

STAŁO SIĘ TAK, JAK SIĘ MIAŁO STAĆ – wyjaśnił mu głos. – ZAUFAM MI!

Stłumił odruch wymiotny i potaknął. Łzy napływały mu do oczu i utrudniały patrzenie. Czuł, że ściekają mu po policzkach. Były zimne. Zimne jak kamień w jego piersi.

Ukrzyżowany uniósł wzrok i spojrzął na niego. Alexander widział ból w znajomych oczach.

NIE BĘDZIE CIERPIAŁ – zapewnił go głos ze światła. – ZATROSZCZĘ SIĘ O TO.

Ale i tak, czy dobrze robił? Jęknął pod naporem mdłości, które nie chciały przestać go męczyć. W jego głowie znów rozległ się ten cichy dźwięk... rytmiczne, przenikliwe pikanie. Zgarbił się.

MUSISZ ZNALEŹĆ W SOBIE SIŁĘ! – polecił głos.

Wyprostował się.

– Tak – wyszeptał. – Znajdę!

IDŹ JUŻ. UMYJ SIĘ! JESTEŚ CAŁY BRUDNY!

Posłusznie wykonał polecenie. Wyszedł z niskiego pomieszczenia wyłożonego kafelkami, w którym nie było nic poza krzyżem z przybitym do niego mężczyzną

i oślepiającym światłem. I jego przerażeniem. Stał przed jedną z umywalek przymocowanych do ściany pod jednym z rzędu luster, które prawie niczego już nie pokazywały. Światło padało na niego od tyłu, ale i tak widział, że głos miał rację. Krew prysnęła mu na twarz i uprzyła ją drobnymi kropelkami, jakby malarz zamachnął się w jego stronę pędzlem świeżo zanurzonym w farbie.

Czerwień była oskarżeniem i dowodem jego winy.

Alexander uniósł drżącą dłoń, odkręcił wodę i umył się starannie, jak kazał mu głos ze światła. Kiedy skończył i uniósł wzrok, zrozumiał, że wszystko będzie dobrze.

Przez dłuższą chwilę spoglądał sobie w oczy.

– Ukrzyżowałem własnego ojca – wyszeptał.

I wymiotował do umywalki.

Rozdział 3

„Boże Ojczy Wszehmogący! Jestem już na to za stara!”

Siostrze Ksawerii z Kongregacji Sióstr Miłosierdzia św. Karola Boromeusza zrobiło się niedobrze. „Sama jesteś sobie winna!” – skarciła się w myślach. Po co, mając niemal osiemdziesiąt lat, wybrała się na wycieczkę do Berlina? Dlaczego musi tłoczyć się teraz w tym brudnym, przepelnionym wagonie metra, zamiast być tam, gdzie jej miejsce, czyli w domu zakonnym? Starła się ukryć mdłości najlepiej, jak potrafiła, a mimo to jej towarzysząca siostra Bernadette zauważyła, że coś jest nie tak.

– Źle się siostra czuje? – zapytała niemal czterdzieści lat młodsza zakonnica i nachyliła się, żeby zobaczyć twarz Ksawerii. – Ależ siostra jest blada!

Ksaweria dostrzegła swoje odbicie w jej oczach. Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Nie, to tylko przez brak powietrza tutaj na dole – próbowała uspokoić drugą zakonnice. – Jak tylko wyjdziemy na górę, na światło, zaraz mi przejdzie.

W duchu pomodliła się o wybaczenie tego drobnego kłamstwa, gdyż przyczyną jej złego samopoczucia i palenia w żołądku wcale nie było powietrze na stacji metra, przesycone spalinami i zapachem oleju. Wszystko przez ekscytację. Ekscytację spowodowaną pierwszym od dwunastu lat wyjściem poza mury domu zakonnego w Trewirze. I to wyjścia nie byle dokąd, ale na tak wspaniałą wyprawę.

Jutro zobaczy papieża!

„Jeśli to nie był wystarczający powód, żeby poczuć motylki w brzuchu, to nie było już na tym świecie niczego, co mogłoby mnie poruszyć” – pomyślała Ksaweria.

Siostra Bernadette skinęła głową i po raz przynajmniej setny spojrzała na rozkład jazdy linii metra, który dostała od zapobiegliwego recepcjonisty w hotelu.

– Na następnej stacji musimy wysiąść – powiedziała. – Tam dołączymy do reszty grupy i razem przesiądziemy się na linię U2.

Na jej twarzy pojawiły się czerwone plamy, a Ksaweria od razu się domyśliła, że młodsza siostra również jest nerwowa. Razem zaplanowały udział w jednej z porannych mszy, które rozpoczynały się między ósmą a dziewiątą. Potem chciały podjechać do Parku Olimpijskiego i co nieco zobaczyć. Miały nadzieję spędzić przyjemny dzień w Berlinie, jak wszyscy turyści przyjeżdżający do tego miasta.

Wagon się zakołysał, a w następnej chwili zatrzymał niespodziewanie pośrodku pogrążonego w mroku tunelu. Siostra Ksaweria dostrzegła na ścianie za oknem kolorowe graffiti, skomplikowany rysunek, którego znaczenia nie potrafiła odgadnąć. Malunek stał się widoczny jedynie dzięki światłu padającemu z okien stojącego wagonu, a zakonnica mimowolnie zaczęła się zastanawiać, kim był człowiek, który dobrowolnie zanurzył się w nieprzeniknionej ciemności podziemnych korytarzy, by ozdobić ściany kolorowymi wzorami.

Pozostali pasażerowie myśleli o rzeczach zgoła bardziej ponurych.

– Oby to nie był alarm bombowy – jęknął jakiś mężczyzna obok siostry. – Bo inaczej mamy przed sobą sporo czekania, zanim pozwolą nam ruszyć dalej.

Zakonnica jeszcze nie zdążyła otworzyć ust, żeby mu odpowiedzieć, kiedy pociąg

szarpnął i zaczął się toczyć.

Młody mężczyzna uśmiechnął się z ulgą.

Siostra Bernadette sięgnęła dłonią do plastikowej pałeczki, która po przełamaniu zaczyna świecić. Kupiła ją rano na jednym ze stoisk z pamiątkami, by wieczorem machać nią w czasie mszy celebrowanej przez papieża. Zdenerwowana bawiła się tęczową smyczą, na której zawiesiła ją na szyi.

Ksaweria schwyciła ją za rękę i ścisnęła mocno.

– Po powrocie do domu zakonnego nigdy już go nie opuszczę. Nigdy! – podkreśliła z mocą.

Siostra Bernadette milczała z szacunkiem.

Starsza zakonnica pogładziła ją po wierzchu dłoni i cofnęła rękę.

– No bo wie siostra, o co mi chodzi – spotkać się z papieżem! Czego więcej może oczekiwać od życia taka stara zakonnica jak ja?

Jej młodsza towarzyszka zaśmiała się ciepło.

– Ale co też siostra opowiada! Z takim zdrowiem przeżyje siostra większość zgromadzenia!

Ksaweria miała ochotę wyjawic jej, jak strasznie bolą ją plecy po dwóch nocach spędzonych na beznadziejnie miękkim materacu w hotelu, jednak ugryzła się w język. Uznała, że lepiej zachować to dla siebie. Tak samo jak nikomu – prócz ojca duchowego, u którego regularnie się spowiadała – ani słowem nie wspomniała o tym, że od dwóch miesięcy jej serce zaczyna niedomagać.

Bo to wszystko nie miało przecież znaczenia.

Bóg w swej nieskończonej mądrości sam zadecyduje, kiedy ją do siebie wezwać, a ona modliła się jedynie o to, żeby dał jej jeszcze te półtora dnia, zanim uzna, że jej czas już nadszedł. Nazajutrz na stadionie postara się zająć miejsce w jednym z pierwszych rzędów. Miała nadzieję, że może nawet dane jej będzie uścisnąć dłoń papieża! Po czymś takim będzie już gotowa, by każdej chwili w spokoju odejść do domu Stwórcy.

Naraz uświadomiła sobie, że się uśmiecha.

Metro wyraźnie zwolniło i w następnej chwili wtoczyło się na jedną z niezliczonych podziemnych stacji kolejowych Berlina.

– No, jesteśmy na miejscu. – Siostra Bernadette wstała z niewygodnego plastikowego siedzenia i poruszyła ścierpniętą szyją. – Ksiądz Gross i dzieci już na nas czekają.

Mówiąc to, wskazała na platformę peronu, gdzie stał mężczyzna w czarnym garniturze i z koloratką, a obok niego dwanaścioro nastolatków i nastolatek. Na ścianie nad ich głowami znajdowała się tablica z wypisaną czarnymi, grubymi literami nazwą stacji.

Bismarckstraße.

Na stację metra można było się dostać, korzystając z jednej z trzech dróg. Faris zatrzymał się przed wejściem naprzeciwko Commerzbanku i dysząc ciężko, spojrzął na zegarek. Kamień spadł mu z serca, bo zmieścił się w pięciu minutach i nie przekroczył

wyznaczonego mu czasu. Zignorował przeszkloną windę, która czekała z otwartymi drzwiami, i ruszył schodami prowadzącymi na pierwszy poziom podziemnego dworca. Tu, na dole, powietrze było jeszcze ciężkie i nieświeże przez zaduch i upał ostatnich dni. Otoczył go lepki, ohydny zapach charakterystyczny dla systemu metra. Zatrzymał się obok niewielkiej budki, w której można było kupić kawę i rogaliki. W drodze na stację bił się z myślami, czy nie będzie lepiej zadzwonić do kolegów z Krajowej Policji Kryminalnej, jednak uznał, że nie powinien tego robić. Na tym etapie mogłoby to być zbyt ryzykowne. Dopóki nie wiedział, czego chce człowiek, który do niego zadzwonił, i czy przesłany film przedstawiał prawdziwe sceny, wolał dmuchać na zimne i przyjął najgorszy scenariusz, że gdzieś na wolności jest szalenciec, który więzi ukrzyżowanego mężczyznę. Postanowił być ostrożny i trzymać się poleceń nieznajomego.

Kiedy Faris stał przy budce z kawą i rozmyślał, co dalej, w kieszeni jego sportowej kurtki zaczęła dzwonić komórka. Wyjął ją i odebrał połączenie.

– Co dalej? – zapytał, starając się zapanować nad przyspieszonym przez bieg oddechem. W jego żyłach buzowała adrenalina i czuł delikatne drżenie mięśni. Typowa ekscytacja pościgiem. Przez ostatnich dziesięć miesięcy tęsknił za takim stanem, ale do teraz nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo.

– Jak tam? Zadyszka? – W słuchawce rozległ się pełen kpiny głos nieznajomego.

Faris nie zareagował na zaczepkę.

– Co dalej?

W odległości kilku metrów od niego przechodziła dwójka umundurowanych policjantów z prewencji. Rozmawiali o czymś. Nagle przyszło mu do głowy, że może powinien dyskretnie spróbować zwrócić na siebie ich uwagę.

– Nawet o tym nie myśl! Nie chcesz wiedzieć, co się stanie, jeśli dasz im jakiś znak.

Faris stężał. Błyskawicznie się odwrócił i zaczął metodycznie przeczesywać wzrokiem ściany i sufit dookoła. W końcu dostrzegł kamerę, której obiektyw był wycelowany prosto w niego. Znieruchomiał.

– No brawo – usłyszał w słuchawce. – Jesteś na wizji. Chcesz kogoś pozdrowić?

Policjant zacisnął zęby. Ledwie trzy kroki dzieliły go od umundurowanych funkcjonariuszy. Dotarło do niego kilka słów z ich rozmowy. Dotyczyła uroczystości kościelnych, których obchody odbywały się właśnie w Berlinie. Jeden z policjantów spojrzał w jego stronę. Faris nagle zdał sobie sprawę, że przygląda mu się dłużej i uważniej niż innym podróżnym. Zdążył się już do tego przyzwyczaić. Mimo że w żyłach jego przodków płynęła berberyjska krew, dzięki czemu miał stosunkowo jasną karnację, i tak za sprawą ciemnych oczu, czarnych włosów i dużego nosa od razu dało się zauważyć jego arabskie korzenie. Niestety nie miał wypisane na czole, że do Niemiec przybył jako małe dziecko, że posiadał niemieckie obywatelstwo i – przynajmniej zanim został zawieszony – pracował w Krajowej Policji Kryminalnej, w wydziale specjalnym.

– Schodami na dół – polecił dzwoniący. – Linia w kierunku Ruhleben.

Żeby dostać się na wskazany peron, Faris musiał zjechać schodami na dół, przejść przez peron linii numer siedem i innymi schodami wjechać z powrotem na górę.

– Co będzie, jeśli odmówię? – zapytał.

– Serio chcesz zaryzykować? Zapomniałeś już, co się stało, kiedy ostatnim razem

daleś ciała? – Nieznajomy przerwał i dopiero po chwili dokończył: – Buum!

Mężczyzna rozpaczliwie zacisnął powieki. Przez chwilę miał wrażenie, że w jego głowie znów odbija się echem eksplozja z muzeum i otaczają go wiecznie głodne płomienie. Z wysiłkiem otrząsnął się ze strasznych wspomnień, po czym otworzył oczy i posłusznie ruszył w stronę schodów, by wykonać polecenie nieznajomego. Szttywnym krokiem wszedł na pierwszy stopień. Jakiś mężczyzna w garniturze i z neserem w dłoni minął go i potracił w pośpiechu. Kiedy się oddalał, rzucił krótkie przepraszam.

– No i o to chodziło – pochwalił go głos ze słuchawki.

Na niższym poziomie precyzyjnie przycisnął się między podróżnymi i wszedł na kolejne schody. Kiedy znalazł się na górze, zobaczył przed sobą betonową ścianę, która wcześniej była ozdobiona motywem dżungli, a dziś przedstawiała rysunek chóru kościelnego, wykonany w stylu niemal komiksowym. Fioletowe ubrania śpiewaków nowego malowidła nijak nie pasowały do żółtozielonych kolorów, w jakich utrzymany był dworzec.

Na peronie kilkadziesiąt osób czekało na kolejny pociąg. Na pierwszy rzut oka dostrzegł wśród nich wielu urzędników w drodze do pracy, ale zauważył też przynajmniej drugie tyle uczestników dni kościelnych, wyróżniających się tęczowymi szalikami. Faris zwrócił uwagę na dwie chyba trzydziestoletnie kobiety. Trzymały się bardzo blisko siebie i sprawiały wrażenie przestraszonych. Szybko odnalazł wzrokiem przyczynę ich stanu – pięciu młodych mężczyzn o bardzo wczorajszym wyglądzie. Stali pod dużym plakatem reklamującym festiwal muzyki death metal i co chwilę spoglądali krzywo na dwie podróżne. Faris odruchowo zwrócił uwagę na ich czapki z daszkiem, wiszące w kroku spodnie i to, że wszyscy trzymali ręce w kieszeniach.

Zanim zdążył się przekonać, co ta piątka zamierza, z drugiej strony peronu rozległy się słowa jakiejś pieśni kościelnej. *Jezus moim pasterzem* usłyszał, lecz zaraz potem znów odezwał się nieznajomy.

– Wiedziałaś, że to nie jest pierwsza tego typu impreza ekumeniczna? – zapytał zniekształcony głos. – Dwie już się odbyły, z czego jedna nawet tutaj, w Berlinie. Ale tym razem ma być naprawdę wyjątkowo, bo katolicy i protestanci odprawiają mszę razem. Prawdziwy cud, co nie, Faris?

– Skoro pan tak twierdzi... – Faris zatrzymał wzrok na tęczowym plakacie informującym o Ekumenicznych Dniach Kościoła. Od tygodni całe miasto było nimi obklejone. Zdążył nauczyć się na pamięć cytatu z Pisma Świętego, który umieszczono na plakacie – podobnie zresztą jak chyba każdy piśmienny mieszkaniec Berlina.

– Plakat... – powiedział dzwoniący, jakby chciał mu pokazać, że cały czas go widzi. – Nie sądzisz, że to motto jest trochę bez sensu?

Faris zmusił się do potaknięcia. Najdyskretniej jak potrafił rozejrzał się w poszukiwaniu kamery. Szybko ją znalazł – znajdowała się po jego prawej stronie, w niszy pod sufitem. Została zamocowana tuż obok starego zegara o podświetlonych niebieskawych cyfrach. Najzwyklejsza kamera monitoringu, których w berlińskim metrze były pewnie setki. Faris zacisnął zęby. Ten gnojek włamał się do systemu kontroli ruchu!

– Przeczytaj to! – polecił nieznajomy.

– Co takiego? – mruknął Faris zdezorientowany. Ta chwila wystarczyła, żeby się

rozproszył i stracił wątek.

– Plakat przecież. Przeczytaj, co jest na nim napisane. Na głos! Już!

Ze złości zacisnął dłoń na telefonie przy uchu, ale i tym razem bez sprzeciwu wykonał polecenie i głuchym głosem odczytał:

– „I głosili z odwagą Słowo Boże...”.

Jakaś kobieta w biznesowym kostiumie, która prawie w tym samym czasie weszła na peron, spojrzała na niego podejrzliwie. Kiedy zobaczyła, że rozmawia przez telefon, odprężyła się i nawet uśmiechnęła. Jeden z siekaczy miała delikatnie krzywy. „Wspaniały świat, nie ma co” – pomyślał Faris. „Nikomiu nie przeszkadza, że ludzie mamrocą pod nosem jakieś głupoty”. Popatrzył za odchodzącą kobietą, zastanawiając się, w jaki sposób mógłby niezauważenie skłonić ją i pozostałych do opuszczenia dworca.

– Przestań się nią zajmować! – polecił nieznajomy. – Ona nie powinna cię interesować. Wiesz może, z którego fragmentu Biblii pochodzi ten cytat?

Mężczyzna spróbował się rozluźnić.

– Jestem muzułmaninem.

– No i co z tego? Wiem przecież. I wiem też, że jesteś nim tylko na papierze.

– W słuchawce rozległ się cichy chichot. Przez oprogramowanie modyfikujące głos zabrzmiał jak brzęczenie owada. Ale jakiegoś bardzo agresywnego owada. – No dobrze, to ci powiem. Ten fragment pochodzi z Dziejów Apostolskich. Rozdział czwarty, wers trzydziesty pierwszy. Cały fragment brzmi tak: „...i napełnieni zostali wszyscy Duchem Świętym, i głosili z odwagą słowo Boże”¹. Zakładam, że nie masz też najmniejszego pojęcia, jak zaczyna się ten wers?

Faris nie zdążył odpowiedzieć, bo nagle doszły go głośne śmiechy i ruchomymi schodami z peronu linii numer siedem wjechała kilkunastoosobowa grupa rozbawionych dzieciaków w towarzystwie księdza i dwóch sióstr zakonnych w jasnyniebieskich habitach. Wszyscy śmiali się i rozmawiali beztrąsko, a kiedy go mijali, musiał się odsunąć, żeby umożliwić im przejście. Jedna z zakonnicek, przynajmniej osiemdziesięcioletnia kobieta o jasnych oczach, spojrzała na niego i uśmiechnęła się przyjaźnie. Druga, znacznie młodsza, miała na szyi zawieszony świecznik chemiczny w plastikowej rurce, jakie teraz można było kupić za grosze na każdym kroku. Skinął głową w ich stronę i wrócił do rozmowy.

– Nie – mruknął. – Nie wiem.

Kiedy to mówił, prowodyr grupki w czapkach z daszkiem, młody mężczyzna w białej koszuli bez rękawów i z tygrysem wytatuowanym na jednym z napompowanych potężnych bicepsów, zauważył księdza i jeszcze bardziej się ożywił. Odepchnął się plecami od ściany, o którą się opierał, i zrobił krok w stronę duchownego.

Faris nie spuszczał z niego wzroku.

– Niech to szlag! – powiedział dzwoniący.

– Dzień dobry, panie ksiądz – zaczął wytatuowany osiłek i uśmiechając się prowokacyjnie, stanął naprzeciwko mężczyzny w koloratce. – Co tam, mała pedofilowycieczka?

Do prowodyra dołączyła dwójka kompanów, pozostali nie ruszali się z miejsca.

Ksiądz nie zareagował na prowokację. Powiedział coś do starszej zakonnicy, która

szybko się cofnęła.

Osilek się zdenerwował. Wyraźnie mu się nie spodobało, że ktoś go ignoruje. Faris zacisnął zęby. Wiedział, że jeśli natychmiast nie interweniuje, zrobi się bardzo nieprzyjemnie. Nie zastanawiając się, czy to, co robi, jest rozsądne, wsunął telefon do kieszeni i ruszył w stronę księdza.

– Hej! – krzyknął, skupiając na sobie uwagę mięśniaka.

Kątem oka zarejestrował ruch za agresorem. Dwójka jego kompanów w końcu odsunęła się od ściany i ruszyła w jego stronę. Faris wycelował w nich palec i pokręcił głową. Obaj się zatrzymali. Większość podróżnych dookoła również wołała się odsunąć na bezpieczną odległość.

Osilek nie miał zamiaru się cofnąć.

– Czego chcesz, ciapaku?

Faris zmusił się do uśmiechu i udał, że nie słyszał obraźliwego słowa.

– Chłopaki, zdecydowanie powinniście stąd spadać – powiedział przyjaźnie.

– Unikniecie kłopotów.

Osilek zaśmiał się głośno. Faris przypomniał sobie o nieznanym i telefonie, ale nie miał czasu się tym zajmować.

– Znikajcie stąd – poradził mięśniakowi. – Dajcie im spokój.

– Bo co? – Mężczyzna zrobił krok naprzód.

Faris się nie cofnął. Niezauważenie przesunął prawe ramię do przodu i stanął pewniej na stopach. Dwójka kolegów z bandy mięśniaka zajęła w rozkroku miejsca obok szefa, a pozostali dwaj przestępowali niepewnie z nogi na nogę.

– My chyba powinniśmy... – zaczął duchowny, ale Faris przerwał mu gwałtownym ruchem dłoni.

– Niech ksiądz się cofnie! – polecił, nie spuszczać wzroku z agresywnych mężczyzn.

Słyszał, że cała grupka posłuchała.

– Chodźcie – szepnął ksiądz. – Róbmy, co każe.

Ich kroki zaczęły się oddalać. Nie odwracał się, ale miał wrażenie, że stanęli przy schodach prowadzących do wyjścia na Wilmersdorferstraße. Wolałby, żeby w ogóle wyszli na zewnątrz, ale teraz przynajmniej miał więcej miejsca. Rozluźnił się. Wspomnienie podobnej sytuacji, w jakiej znalazł się całkiem niedawno, przegonił w jak najdalszy zakątek mózgu.

Osilek zrobił szybki krok naprzód i wziął zamach, żeby pchnąć go w pierś, lecz Faris był na to przygotowany i chwycił go za rękę. Błyskawicznym ruchem pozbawił mięśniaka równowagi. Jednocześnie schylił się i przeszedł pod jego ramieniem, by wyprostować się już za jego plecami.

– Mówiłem, że macie spadać! – syknął mu do ucha.

Mięśniak próbował się bronić, lecz nie mógł się uwolnić z chwytu policjanta, który dzięki technice bez wysiłku wykręcił mu dłoń. Umięśniony napastnik zawył i wspiął się na czubki palców. Faris poczuł, jak sztywna skóra blizny po oparzeniu naciąga się nieprzyjemnie, lecz był już do tego przyzwyczajony. Ból nie był dla niego przeszkodą.

– Puść go, brudasie!

Brzęk otwierającego się ostrza noża sprężynowego zabrzmiał bardzo głośno w ciszy, którą wywołał krzyk napastnika. Mężczyzna ruszył w stronę policjanta.

Faris spojrział mu w oczy.

– Zanim zrobisz kolejny krok – powiedział spokojnie – złamię rękę twojemu kumplowi nie tylko w nadgarstku, ale też w łokciu. – Skrzywił się i syknął z kpina. – Auć, to naprawdę będzie bolało! – Żeby podkreślić swoje słowa, zwiększył nacisk na dźwignię, jaką zrobił z nadgarstka napastnika. Mężczyzna zawył głośno.

Ostrze noża powoli opadło.

– Bardzo rozsądnie – pochwalił Faris. – A teraz spadajcie stąd, pajace, jeśli nie chcecie mieć problemów.

Cała czwórka natychmiast się odwróciła i ruszyła w stronę schodów, przy których stał ksiądz, zakonnice i dzieci. Kiedy przeciskali się obok nich, cała grupa się cofnęła – cała z wyjątkiem duchownego, który zmierzył uciekających ponurym wzrokiem, jakby przynajmniej teraz chciał zamaskować deficyt odwagi.

Faris odczekał, aż znikną z pola widzenia. Z jednego z tuneli usłyszał hałas zbliżającego się pociągu metra. Odepchnął mocno mięśniaka, lecz ten, zamiast ruszyć w ślady kompanów, odwrócił się i rzucił do ataku. Zamachnął się, celując w głowę Farisa. W cios, który miał go powalić, włożył całą frustrację i złość... lecz Faris właśnie tego się spodziewał. Ba, miał nadzieję na taki obrót sprawy! Uchylił się zwinnie i prawą pięścią wyrznął napastnika w żołądek, a kiedy ten zgiął się wpół, poprawił hakiem w podbródek. Niewiele brakowało, a dokończyłby dzieła trzecim ciosem, lecz w ostatniej chwili się powstrzymał i cofnął.

Kolejne uderzenie było niepotrzebne.

Osilek, trzymając się kurczowo za brzuch, osunął się na kolana. Z jego nosa ciurkiem lała się krew, znacząc szkarłatne plamy na białym T-shircie. Ogłuszony kołysał się w przód i w tył, a peron wypełniła w tym czasie fala chłodniejszego, cuchnącego metalem i starym olejem powietrza, pchanego przez zbliżający się pociąg.

Faris miał włosy w nieładzie. Chwycił mięśniaka za ubranie, dźwignął go niedelikatnie na nogi i pchnął w stronę schodów.

– Spierdalaj! – warknął lodowatym głosem. – Bo jeszcze poprawię.

Połowa jego słów zginęła w ogłuszającym zgrzycie hamujących wagonów.

Tym razem mięśniakowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zataczając się, ruszył w stronę wyjścia.

Pociąg przystanął, rozsunęły się drzwi do wagonów i na peron zaczęli wsiadać podróżni.

Do Farisa podbiegli ksiądz i zakonnice.

– Dziękuję, dziękuję bardzo! – zawołała starsza z nich, a w jej jasnych oczach widać było troskę. – Nic się panu nie stało?

Faris potarł obolałą pięść i zdusił w sobie euforię, którą wywołała wygrana walka.

– Nie – odpowiedział i odsunął rękę, którą zakonnica chciała obejrzeć. Głową wskazał na pociąg. – Niech siostra wsiada, bo inaczej będzie siostra musiała czekać na kolejny pociąg.

Ksiądz potaknął.

– Dziękuję – powiedział, po czym szerokim gestem zapędził swoje owieczki do drzwi wagonu. – Sostro Ksawerio, proszę wsiadać! – przywołał osiemdziesięciolatkę.

Zakonnica przekroczyła próg ostatnia i na odchodnym jeszcze raz spojrzała w stronę Farisa, a w jej jasnych oczach widać było podziw.

Jeszcze zanim zamknęły się drzwi, Faris wyjął z kieszeni telefon i przysunął go do ucha.

– Jest pan jeszcze...

– A coś ty myślał? – przerwał mu nieznajomy. – To było coś, Faris! Zrobiłeś na mnie wrażenie. Szczególnie wtedy, kiedy się powstrzymałeś, żeby mu nie przyłożyć po raz kolejny...

Faris spojrzał w stronę kamery, która niemal kpiąco patrzyła na niego czarnym obiektywem. Nie miał pojęcia, co powiedzieć, więc milczał.

Pociąg zaczął się toczyć. Pęd powietrza znów poruszył włosami policjanta. W końcu ostatni wagon zniknął w tunelu.

Faris został na peronie.

– Bum.

W następnej chwili fala uderzeniowa uniosła go w powietrze i wyrznęła nim o ścianę.

Dz 4,31. [wróć]

Rozdział 4

Alexander

ZŁO MA SWOJE ŹRÓDŁO W WOLNOŚCI LUDZI.

Ile czasu minęło? Alexander nie miał pojęcia. Stał przed umywalką i stracił przytomność, ale teraz miękki, delikatny głos budził go z ciemności. Uklęknął i wstał. Nie potrafił opanować drżenia nóg, więc przytrzymał się krawędzi porcelanowej umywalki. Wyjrzał na korytarz.

W jego głowie znów rozległ się cichy, regularny dźwięk, jakby tykanie. Odgłos kropli spadających na podłogę.

Krew. Krew sącząca się z ran ukrzyżowanego.

Kiedy to zrozumiał, znów zrobiło mu się niedobrze.

WEŹ SIĘ W GARŚĆ! – rozkazał głos ostrym tonem, lecz na próżno. Alexander nie mógł już nad tym zapanować i znów wymiotował. Tym razem nie trafił do umywalki. I tak jak przez te wszystkie lata rozlegał się plask skórzanego pasa smagającego nagą skórę, tak teraz podobnym dźwiękiem jego wymiociny rozpryskiwały się na starych płytkach. Torsje były tak silne, jakby miał wyrzygać żołądek. Na języku czuł gorzki posmak. W końcu się wyprostował, ale wciąż łzawiły mu oczy.

Czuł się tak przerażająco słabo.

JUŻ DOBRZE – odezwał się głos ze światła. – NIE MASZ SIĘ CZEGO WSTYDZIĆ.

I rzeczywiście, teraz czuł się nieco lepiej. Odwrócił się i wsłuchał w siebie. Lepiej, to mało powiedziane. Czuł się znacznie lepiej.

– Kim jesteś? – zapytał, spoglądając prosto w światło. Było tak jasne, że musiał zamrużyć. Zmrużył oczy. W oślepiającym blasku krył się jakiś niewyraźny kształt. – Aniołem?

Głos roześmiał się cicho.

BYĆ MOŻE. JESTEM POSŁAŃCEM.

Zza pleców Alexandra rozległ się jęk ukrzyżowanego. Mężczyzna zadrżał i się zgarbił.

– Jesteś posłańcem Pana? – wyszeptał.

Śmiech ucichł. Głos milczał na tyle długo, że Alexander zaczął się bać, że go rozżłościł. Posłańca Pana. Poczuł, że dostaje gęziej skórki. Światło było bardzo jasne, ale coś pchało go naprzód. Chciał zobaczyć anioła. Chciał go dotknąć.

NIE PODCHODŹ! ANI KROKU DALEJ! – zakazał mu zdecydowanie głos.

Alexander cofnął się pospiesznie.

– Przepraszam – wyjąkał.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

POD ŻADNYM POZOREM NIE WOLNO CI PODCHODZIĆ DO ŚWIATŁA BLIŻEJ NIŻ TERAZ! – ostrzegł go anioł. – NIEZALEŻNIE OD TEGO, CO SIĘ

WYDARZY!

Mężczyzna potaknął gorliwie.

– Co teraz? Co mam zrobić? – zapytał z wahaniem. Oślepiiony dostrzegł spod zmrużonych powiek jedynie zarys postaci i niewyraźny ruch anioła, który uniósł ramię i wskazał na człowieka na krzyżu.

OPOWIEDZ MI O NIM! – zażądał głos. – CHCĘ WIEDZIEĆ WSZYSTKO!

Faris nie mógł nabrać powietrza.

Fala uderzeniowa eksplozji uniosła go w powietrze i cisnęła o ścianę. Uderzył w nią plecami dość mocno, więc na chwilę stracił przytomność. Kiedy ją odzyskał, zanim cokolwiek zobaczył, usłyszał wiele różnych dźwięków. Mimo dzwonienia w uszach docierał do niego płacz jakiegoś dziecka, lecz w następnej chwili uświadomił sobie, że się pomylił, bo płakało nie dziecko, a jakaś staruszka. Klęczała nieopodal z dłońmi przyciśniętymi do ust i wytrzeszczonymi z przerażenia oczyma przyglądała się zniszczeniom dookoła. Ktoś krzyczał rozpaczliwie z bólu. Tuż obok niego jakiś mężczyzna powtarzał w szoku: „O Boże, o Boże, o Boże”. Faris miał wrażenie, że te wszystkie dźwięki docierają do niego przytłumione, jakby słyszał je przez watę. Mamroczącemu mężczyźnie krew sączyła się z nosa i ust.

Faris zakaszłał i przewrócił się na bok. Uderzenie było tak silne, że nie mógł nabrać oddechu. Bolała go blizna po poparzeniu, lecz w sposób, który znał i do którego się przyzwyczaił. Nie czuł niczego nowego, ostrego, co oznaczało, że nie dosięgły go płomienie wybuchu. Podpierając się o ścianę, dźwignął się z posadzki i usiadł.

– O Boże, zlituj się nad nami! – jęczała jakaś kobieta niedaleko.

Farisowi dzwoniło w uszach.

Wstał, choć miał z tym problemy. W głowie mu huczało, jakby bił w niej rozkołysany dzwon. Otrząsnął się, żeby odzyskać jasność widzenia i przegonić plamy wirujące mu przed oczyma. Dostrzegł przed sobą jakąś postać, kobietę w czerwonej sukni.

Mówiła coś do niego, ale nie rozumiał jej słów. Jej głos również brzmiał głucho, jakby zza warstwy waty.

W końcu odzyskał ostrość widzenia, a huczenie w głowie nieco osłabło – choć w uszach dalej mu dzwoniło. Jednak wreszcie był w stanie zrozumieć docierające do niego słowa.

– Co pan narobił?! – krzyczała kobieta.

Zaniósł się kaszlem i wypluł ślinę z rdzą i popiołem, które wypełniały mu usta. Dopiero teraz był w stanie się wyprostować.

– Ja? O czym pani mówi? – Dalej miał problemy z oddychaniem.

– Podłożył pan bombę! Wysadził pan pociąg! – wrzeszczała rozhisteryzowana kobieta.

Faris niczego nie rozumiał. Rozejrzał się i zatrzymał wzrok na telefonie, który siłą wybuchu wyrwała mu z ręki i rzuciła kawałek dalej. Spojrzał szybko na kamerę, którą przed falą uderzeniową uchroniła nisza w suficie. Czarny obiektyw był skierowany wprost na niego. Zignorował krzyki kobiety i wszystkie inne hałasy, bo całą uwagę skupił

tylko i wyłącznie na telefonie. Mimo pyłu, który zaczął osiadać na wszystkim, widać było, że ekran jest podświetlony. Droga do urządzenia wydawała mu się daleka – znacznie dalsza niż na księżyc. A jednak, zataczając się i potykając, dotarł do smartfona, nachylił się i go podniósł.

– „A gdy skończyli modlitwę – usłyszał zniekształcony elektronicznie głos nieznajomego – zatrzęsło się miejsce, na którym byli zebrani”. To, Faris, jest pierwsza część cytatu z Biblii, o którym rozmawialiśmy. Niesamowite, nie? Co za ironia! – Znów się zaśmiał, lecz na tyle cicho, że przez dzwonienie w uszach Faris ledwie go słyszał.

Poczuł za to, jak włosy stają mu dęba.

– Ty skurwysynu! – wydusił z siebie. Przypomniał sobie o grupie nastoletnich chłopców i dziewczynek, którzy pod opieką księdza i zakonnicy wsiedli do pociągu, jednak ich obraz zniknął przykryty innym, który wychynał z jego pamięci. Urwany palec z paznokciem pociągniętym czerwonym lakierem. Wolną dłoń wplótł we włosy i nacisnął na czaszkę, jakby chciał ją w ten sposób uchronić przed rozerwaniem od wewnątrz. Dopiero teraz zauważył, że krwawi z rany na głowie. Przez chwilę patrzył na ubrudzone szkarłatem palce, po czym wytarł je w dzinsy. – Wysadziłeś pociąg! Dlaczego? – wyjąkał i powtórzył spokojniej: – Dlaczego pan to zrobił?

Kobieta w czerwonej sukni nie chciała zostawić go w spokoju.

– To on! – krzyknęła i spróbowała chwycić go za ramię, lecz Faris się uchylił. Kątem oka dostrzegł dwóch mężczyzn w garniturach. Patrzyli w ich stronę i coś do siebie szeptali.

Nieznajomy znów się zaśmiał.

– Co za ironia, Faris! – szydził. – Podejrzewają cię o podłożenie bomby! Domyślasz się, dlaczego, prawda? Bo masz arabskie rysy! Tylko dlatego jesteś dla nich podejrzany!

Faris próbował uwolnić się od towarzystwa krzyczącej kobiety i odszedł kawałek dalej. Na posadzce leżał jakiś mężczyzna, a obok niego klęczała dziewczynka i przyciskała dłonie do krwawej masy, w jaką zmienił się jego brzuch.

– Tato! – szlochała.

Faris wskazał na nich dłonią i spojrzął na kobietę w czerwonej sukni.

– Proszę im pomóc! Niech pani wezwie karetkę!

Zadziałało. Zostawiła go w spokoju.

Faris odwrócił się plecami do rannego mężczyzny i jego córki.

– Dlaczego wysadził pan pociąg?! – krzyknął do słuchawki. Krew z rany na głowie spływała mu na brew. Wytarł ją wierzchem dłoni.

Dwójka mężczyzn w garniturach dalej o czymś szeptała.

– Oni wierzą, że twoje rysy czynią z ciebie ekstremistę – zachichotał dzwoniący. Potem zamilkł i przez chwilę w słuchawce panowała cisza. – Pamiętasz jeszcze filmik, który wysłałem ci na mejla?

– Ukrzyżowanie. Tak. – Faris nabrał głęboko powietrza. Może teraz w końcu się dowie, czego chce nieznajomy po drugiej stronie. – Dlaczego?

– Gdzieś w twoim przepięknym mieście, Faris, jakiś facet wisi sobie na krzyżu. A ty masz go znaleźć. Dopóki bije jego serce, wszystko jest w porządku. Ale jeśli

przestanie, zanim go znajdziesz, to... Jak mówi Biblia: „zatrzęsło się miejsce, na którym byli zebrani”. Chyba wiesz, co to znaczy, prawda?

Przerwał na chwilę.

Faris rozpaczliwie starał się znaleźć w tym wszystkim sens.

– Ale przecież jego serce w każdej chwili może przestać bić! – wyszeptał przerażonym głosem.

Nieznajomy natychmiast mu zaprzeczył.

– Spokojnie, na pewno tak się nie stanie. A wiesz, dlaczego?

Faris potrząsnął głową. Mięśnie karku miał napięte jak postronki.

– Nie.

– Bo Bóg jest po naszej stronie, Faris, rozumiesz? Kiedy wieszałem go na krzyżu, oddałem się w ręce Pana. Wiesz chyba, jak to jest, kiedy człowiek zdaje się na Jego łaskę, co?

Faris potaknął.

– Człowiek pozwala Bogu podjąć decyzję – wyjaśnił dzwoniący mimo to. – Jeśli On będzie przekonany, że robię słusznie – a jestem tego pewny – to się zatroszczy, żeby ukrzyżowany wytrzymał kolejne czterdzieści godzin. Czterdzieści godzin od teraz, Faris. Kapujesz? – W jego głosie była nie tyle radość, ile czysty zachwyt. – I jeszcze jedna sprawa. Żeby odpowiedzieć na twoje pytanie: pociąg wyleciał w powietrze, żebyście wiedzieli, że nie żartuję.

Przez całą rozmowę Faris przyciskał kciukiem ranę na głowie, żeby powstrzymać krwawienie. Teraz jednak opuścił bezradnie ramię. Nie mógł po prostu uwierzyć w to, co usłyszał.

– Dlaczego? – powtórzył rozbity i spojrzął na zegarek. Było kilka minut po ósmej.

– Może chciałem, żeby wszyscy wiedzieli? Kto wie?! Przy okazji, już nie obowiązuje cię zakaz rozmawiania o mnie z kolegami, więc śmiało, możesz zawiadomić swój wydział i ściągnąć sobie kogoś do pomocy. – Zamilkł na chwilę. – Macie czterdzieści godzin, żeby znaleźć faceta na krzyżu. Inaczej *as-samu alaikum*.

Ciche piknięcie z głośniczka oznaczające zakończenie połączenia wydało mu się głośne jak krzyk.

– *As-samu alaikum* – wychrypiał.

To było przekręcone arabskie pozdrowienie *as-salamu alaikum*, które w oryginalnej wersji powinno oznaczać: „Niech pokój będzie z tobą”. Teraz znaczyło: „Niech śmierć będzie z tobą”.

Nie było mu jednak dane zastanowić się nad rzeczywistym znaczeniem tych słów, gdyż dwóch mężczyzn w garniturach zebrało się w końcu na odwagę i ruszyło w jego stronę.

– Hej, ty tam! – krzyknął jeden z nich. Był wyższy od Farisa i dobrych trzydzieści kilogramów cięższy. Zacisnął pięści i jak zawodowy bokser uniósł je na wysokość potężnej klatki piersiowej.

Faris opuścił telefon.

– Czego?

– Stój i się nie ruszaj! – Drugi z mężczyzn podszedł w jego kierunku. Przy bokserze

wyglądał raczej drobno, ale miał bardzo zdeterminowaną minę i wzrok pełen nienawiści.

Farisowi nawet przez myśl nie przeszło, że mógłby się oddalić, ale to nie był najlepszy czas, żeby się z nimi spierać. Chciał im to wytłumaczyć, lecz potężniejszy z nich nie dał mu dojść do słowa.

– Stój i się nie ruszaj! Ogłuchłeś?! – wrzasnął.

I zanim Faris się zorientował, co się dzieje, bokser doskoczył do niego i schwytał za ramię.

– Co wy ro... – zaczął i szarpnął unieruchomioną ręką.

– Zamknij ryj! – wrzasnął napastnik. Był bardzo silny.

Faris spróbował się uwolnić, lecz ku jego przerażeniu prawe ramię nie reagowało na sygnały z mózgu tak, jak powinno. Uderzenie po eksplozji musiało uszkodzić mu mięśnie. Mimo to po chwili zdołał wyrwać się z uchwytu.

– To on podłożył bombę! – darł się na całe gardło drobniejszy.

Faris zrobił kolejny unik, ale bokser nie dawał za wygraną.

– Ty śmieciu! – stęknął i wziął zamach.

Udało mu się zablokować uderzenie.

– Popelniacie błąd, to nie...

Ramię odmawiało mu posłuszeństwa i miał zawroty głowy, bo jeszcze nie zdążył dojść do siebie po eksplozji. Nie zdołał uchylić się odpowiednio szybko przed kolejnym ciosem. Pięść boksera trafiła go w szyję, a druga, chwilę później, w twarz. Z pękniętej wargi pociekła krew. Poczul jej smak w ustach.

– Przestańcie! – wrzasnął rozpaczliwie. – Jestem z poli...

– To zamachowiec! – usłyszał krzyki drobniejszego z mężczyzn. – Wszystko widziałem! Odpalił ją przez telefon!

Dookoła zdążyła się zebrać grupka gapiów, którzy patrzyli na niego z nieskrywaną agresją. Faris pomyślał, że cali pokryci pyłem, z błyszczącymi oczyma, przygarbieni i spięci wyglądają jak horda zombie.

– Pewnie z Al-Kaidy – warknął jeden z nich.

Szumiało mu w uszach. Koncentrował się na bokserze, lecz niespodziewanie wyczuł jakiś ruch za plecami. Spróbował się jeszcze odwrócić, jednak było już za późno. Ktoś objął go w pól, unieruchamiając ramiona. Chciał się uwolnić, ale nadaremno.

– Cholera, opanujcie się! – zaklął. – Pomyliliście mnie! Jestem policjantem!

– Chyba emigrantem! – krzyknął ktoś piskliwie. To był głos kobiety w czerwonej sukni, która klęczała jeszcze przy ciele rannego mężczyzny. Nawet z tej odległości Faris widział nienawiść w jej oczach.

Nie poddawał się i rozpaczliwymi ruchami walczył z uściskiem, lecz cokolwiek by zrobił, nie mógł się uwolnić. W końcu się poddał. Bokser od razu stanął obok i schwytał go mocno za ramię, a mężczyzna, który skoczył na niego od tyłu, unieruchomił drugie. Stał teraz między nimi, na szeroko rozstawionych nogach, i spoglądając na zakurzone i pokrwawione twarze, czuł się jak w Piekło Dantego. Kopnięcie w kolano niemal pozbawiło go równowagi. Z trudem udało mu się ustać.

– Śmieć! – warknął mężczyzna o posturze boksera.

W tej samej chwili na zasypanych gruzem schodach pojawili się umundurowani

policjanci.

– Proszę o spokój! Policja! – krzyczał pierwszy z nich i zatrzymał się na przedostatnim stopniu, by ocenić sytuację. Doświadczonym okiem natychmiast zidentyfikował Farisa jako punkt zapalny. Pólgłosem wydał rozkazy pozostałym, sięgnął do paska i odpiął kaburę. Dopiero wtedy zszedł ze schodów i ruszył w stronę miejsca, gdzie zebrała się grupka ludzi, a dwóch mężczyzn trzymało trzeciego.

– Co tu się wyrabia? – zapytał.

Pierwsza odpowiedziała mu kobieta w czerwonej sukni.

– Co tu się wyrabia?! – krzyknęła z wyrzutem. Faris nie był w stanie dłużej znosić jej piskliwego, oskarżycielskiego tonu. – Złapaliśmy zamachowca! – dokończyła i wycelowała palcem w jego kierunku. Faris poczuł lodowaty dreszcz, kiedy zobaczył, że miała długie paznokcie polakierowane na czerwono. – To ten!

Thum zafalował. Ludzie zaczęli się odsuwać, żeby zrobić miejsce funkcjonariuszowi, który szybkim krokiem podszedł do jeńca.

– Jochen. – Faris z ulgą opuścił głowę. Starszego aspiranta Jochena Baumgartena znał jeszcze z czasów szkoły policyjnej.

– Faris? – Zaskoczony mężczyzna otworzył szerzej oczy.

Faris potaknął. Dla psychicznego komfortu raz jeszcze spróbował sam uwolnić się z uścisku dwóch podróżnych, lecz do nich nadal nie docierało, co się dzieje. Miał wrażenie, że ścisnęli jego ramiona w dwóch imadłach.

– Co ty tu robisz? Myślałem, że jesteś za... – Baumgarten otrząsnął się z zaskoczenia. – Natychmiast go puścić! – rozkazał krótko. – Ten człowiek jest policjantem.

Dopiero teraz obaj mężczyźni rozluźnili uścisk.

– Serio? – zapytał drobniejszy z nich, po czym niepewnie przesunął wzrokiem między Farisem a Baumgartenem. Kołnierzyk jego koszuli był rdzawoczerwony od krwi z rany na szyi, materiał lepił się do skóry.

– No dalej, na co czekacie?! – ryknął policjant.

W następnej chwili Faris był wolny.

– Dzięki – powiedział, ściskając dłoń znajomego. Ten gest wywołał tępy ból w jego ramieniu.

– Co ty tu robisz? – Baumgarten powtórzył pytanie.

Faris pomyślał o tajemniczym dzwoniącym i o telefonie, który schował do kieszeni na chwilę przed interwencją samozwańcych stróżów prawa. Pospiesznie obmacał bluzę.

– Ja... – zaczął, ale się zawahał, bo nie chciał mówić o tym przy osobach postronnych. – Jestem świadkiem. Tak samo, jak wszyscy.

Kobieta w czerwonej sukni unikała jego spojrzenia, podobnie jak bokser. I tylko niższy z dwójki w garniturach nie odwracał głowy. Jego mina wyrażała mieszaninę ulgi, wstydu i wątpliwości.

Baumgarten wskazał na krwawiącą wargę.

– Niech zgadnę, to ta dwójka tak cię załatwiła, co? – Doświadczony policjant potrafił na pierwszy rzut oka rozpoznać rany powstałe w wyniku pobicia.

Faris przetarł kciukiem usta i przyjrzał się krwi. Dopiero wtedy potaknął.

– Chcesz złożyć skargę? – pytał dalej Baumgarten.

Tego typu zachowanie było bardzo w jego stylu. Od zawsze stał na stanowisku, że służba w policji to gra: my przeciwko wszystkim.

Faris spojrzał na mężczyznę o posturze boksera, który tym razem nie odwrócił wzroku. Przekornie wysunął brodę, jak małe dziecko przyłapane na gorącym uczynku.

– Nie – odpowiedział spokojnie. – Próbowali zrobić to, co uważali za właściwe.

Dopiero wtedy napastnicy spuścili wzrok.

Faris zdusił ciężkie westchnienie. Miał arabskie rysy i nic nie mógł na to poradzić. Na miejscu tych ludzi pewnie zachowałby się podobnie.

Rozdział 5

– O cholera, ale paskudnie wyglądasz!

Faris siedział na resztkach betonowej kolumny, lecz słysząc niski, ponury głos, odwrócił głowę. Za sanitariuszem, który opatrywał ranę na jego czole, stał mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna z wyraźnym brzuchem i przerzedzonymi włosami. W jego oczach dostrzegł przerażenie wywołane chaosem panującym na całkowicie zdemolowanej stacji metra.

– O, cześć, Paul – powiedział i z sykiem nabrał powietrza przez zaciśnięte zęby, bo sanitariusz spryskał mu czoło czymś, co bardzo zapiekło. – Też się cieszę, że cię widzę.

Paul Sievers był partnerem Farisa w wydziale specjalnym do walki z przestępstwami motywowanymi religijnie, w skrócie zwanym wydziałem ds. przestępczości religijnej WPR. Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, ale Faris znał go na tyle długo, by wiedzieć, że wcale nie jest mu do śmiechu. Cierpienie i ból wszędzie dookoła nie mogły pozostawić jego współpracownika obojętnym. Faris przesunął wzrokiem po powyginanych kawałkach metalu i gruzie na platformie peronu. Znieruchomiał, kiedy zobaczył zmasakrowane zwłoki kobiety w biznesowym kostiumie. Mimo najszczerzych chęci nie był w stanie powiedzieć, czy to pasażerka z przekrzywioną jedyneką, która uśmiechnęła się do niego, kiedy się mijali. Wokół mężczyzny z raną brzucha i jego szlochającej córki ratownicy ustawili parawan. Nieco dalej inny podróżny krzyczał w szoku i bezustannie przywoływał kobietę imieniem Hilde. Na peron schodziło coraz więcej pracowników policji. Pomagali opatrywać rannych, zabezpieczali ich do transportu, prowadzili pierwsze rozmowy ze świadkami i najlepiej jak potrafili pocieszali przerażonych cywilów.

Faris chciał się schylić, lecz sanitariusz jeszcze nie skończył opatrywać mu rany na czole.

– Nie ruszaj się! – powiedział ostro.

Wyczerpany Faris nie protestował.

– Co tu w ogóle robisz? Nie miałeś być na urlopie? Przecież chciałeś wziąć Christę nad Bałtyk? – Partner powiedział mu o tym niedawno przez telefon.

Paul wsunął dłonie w tylne kieszenie spodni i wzruszył ramionami.

– Przez te całe dni ekumeniczne WPR miał masę roboty, więc przesunęliśmy wycieczkę o kilka dni. Ale wiesz, co się odwlecze, to nie uciecze. – Rozejrzał się. – Wygląda na to, że dobrze zrobiłem.

Faris podążył za jego wzrokiem. Za rozstawionym parawanem trwała gorączkowa walka o życie rannego.

– Tato? – piszczała przerażona dziewczynka.

– Uwaga! – krzyknął jeden z ratowników, po czym rozległ się charakterystyczny dźwięk defibrylatora. Dziewczynka zaczęła szlochać.

Zacisnął zęby. Sanitariusz skończył opatrywać mu czoło.

– To by było na tyle – oznajmił, schylił się do skrzynki ze sprzętem ratowniczym, którą postawił na ziemi, i wrzucił do niej rękawiczki jednorazowe. – Mimo wszystko

powinieneś pojechać do szpitala na kontrolę – polecił, po czym wziął swoje rzeczy i ruszył do innych pacjentów. – Mogłeś doznać wstrząśnienia mózgu – dodał na odchodnym.

Do Farisa podszedł umundurowany policjant. Nie znał go osobiście, tylko kojarzył z widzenia.

– Czy może pan sam chodzić? – zapytał funkcjonariusz, spoglądając znacząco w stronę oddalającego się sanitariusza.

Faris potaknął.

– W takim razie proszę jak najszybciej opuścić stację. Na powierzchni proszę się udać do stanowiska policji, gdzie zostanie pan poproszony o złożenie ze...

Przerwał, bo poznał Paula, który akurat się odwrócił.

– Cześć! – wymusnęło mu się.

Paul w odpowiedzi jedynie skinął głową.

– Faris jest z firmy, Fred.

Umundurowany policjant przyjrzał się rannemu.

– Głina w charakterze świadka? – zapytał z nieskrywanym zachwytem. – Genialnie! Pewnie z twoich zeznań dowiemy się znacznie więcej niż z zeznań wszystkich pozostałych cywilów razem wziętych!

– Islamiści! – wymamrotała jakaś staruszka, która akurat przechodziła obok. Spojrzała na Farisa i zrobiła bardzo złą minę. – Diabelskie nasienie!

Faris potrząsnął głową. Nagle w jego pamięci znów pojawił się zniekształcony głos nieznanego i ostatnie słowa zamachowca z muzeum.

Błędna odpowiedź!

– Ten zamach nie miał wiele wspólnego z islamem – powiedział.

Sam był zaskoczony przekonaniem w swoim głosie, bo nie wiedział, skąd się w nim wzięła ta pewność. W końcu na razie nie miał pojęcia, z kim mają do czynienia. Głos dzwoniącego był zniekształcony, więc Faris nie chciał nawet zgadywać, kim był zamachowiec i co nim kierowało.

Paul spojrział na niego i uniósł brwi.

– Chodź, wyjdziemy na górę – zaproponował.

Na miejsce docierały pierwsze grupy techników z zespołu zabezpieczającego ślady. W białych jednorazowych kombinezonach wyglądali jak astronauty. Faris i Paul zeszli na bok, żeby nie blokować im przejścia. W drodze na powierzchnię, kiedy akurat mijali jakąś kwiaciarnię, Paul spojrział na niego poważnie i zapytał w końcu:

– Powiesz mi, co tu się naprawdę wydarzyło?

– To była eksplozja podłożonej bomby. Niczego więcej nie wiem. Musiała zostać umieszczona w pociągu, który chwilę wcześniej wjechał do tunelu.

Przypomniał sobie starą zakonnicę o jasnych oczach i towarzyszącą jej grupę chłopców i dziewczynek. Poczł bolesny skurcz w klatce piersiowej.

– Skąd tu się w ogóle wzięłeś? Przecież nigdy nie jeździsz metrem? – dopytywał się Paul. Schody prowadzące na ulicę były dość krótkie, a szary pył w powietrzu mienił się słabo w świetle dnia.

Faris sięgnął do kieszeni i wyjął mocno sfatygowany telefon, po czym pokazał go

koledze.

– Zostałem tu przysłany.

Paul zmarszczył brwi i spojrział na niego uważnie.

– Przysłany?

– Dzisiaj rano ktoś do mnie zadzwonił. Facet miał zniekształcony głos, rzucał jakimiś aluzjami, a potem kazał mi przyjść na dworzec.

– Kazał ci? Jak to kazał? – Paul dalej nic nie rozumiał.

W końcu wyszli na zewnątrz. Niemal cała ulica Wilmersdorfer Straße była zastawiona wozami policji, straży pożarnej i karetkami, zaparkowanymi bez ładu i składu na chodnikach i pasach ruchu. Niebieskie światła migotały, odbijając się setkami refleksów w szybach okolicznych budynków, a z daleka słychać było nadjeżdżające licznie kolejne wozy na sygnale. Wszędzie panował ruch, bo również na górze ratownicy zajmowali się opatrywaniem rannych. Faris zauważył metalową trumnę, wsuwaną do karawanu przez pracowników kostnicy. Dookoła dosłownie roiło się od policji. Koledzy po fachu rozmawiali ze świadkami, dyskutowali między sobą i ustalali, jak zabezpieczyć okolicę. Na obrzeżach tego chaosu gromadzili się już – jak zawsze w tego typu sytuacjach – dziennikarze i wozy transmisyjne. Pierwsze kamery przekazywały już obraz z miejsca zdarzenia.

Faris zaciągnął Paula między karetki. Wierzchem dłoni wytarł nos i usta.

– Nie wykluczam, że stoi za tym ten sam człowiek, który wysadził muzeum – oznajmił głuchym głosem.

Paul wytrzeszczył oczy.

– Ten sam? Zamachowiec z muzeum? Niemożliwe! Przecież zginął na miejscu. Eksplozja rozerwała go na strzępy! – Rozejrzał się i zatrzymał spojrzenie na mężczyźnie w jasnobłękitnym garniturze, który stał na uboczu i rozmawiał z kilkorgiem innych podobnie ubranych ludzi, najwyraźniej polityków. Po twarzy Paula przemknął ponury cień, ale mężczyzna w żaden sposób nie skomentował tego, co zobaczył. – Serio, stary, to nie mógł być ten sam gość.

Dwóch ratowników z noszami wyszło schodami na ulicę. Ciało, które nieśli, było w całości przykryte białą tkaniną. Bez słowa zatrzymali się na chodniku i rozejrzeli beczadnie.

Faris poczuł, jak dostaje gęsiej skórki.

– *As-samu alaikum* – wyszeptał. – To słowa, którymi się przywitał, gdy odebrałem połączenie.

– Ożeż kurwa... – wymusnęło się Paulowi.

Faris przełknął ślinę i potaknął. Miał wrażenie, że powiew wiatru przyniósł płacz dziecka.

– *As-samu alaikum*. – Odkasznął.

Paul dostrzegł jego konsternację.

– To co teraz?

– Dzwoniący przesłał mi też wiadomość na mejla. – Mówiąc to, Faris przyglądał się sanitariuszom, którzy ostatecznie postanowili odstawić nosze z ciałem ofiary między karetkami. – Powiedział też, że ta bomba nie jest ostatnia.

Na ulicę wjechał kolejny samochód chłodnia do przewozu ciał.

– Ta wiadomość, którą mi przysłał... – Uniósł telefon. – Raczej ci się nie spodoba – dodał ponuro.

Alexander

– Nie wiem, od czego zacząć – szepnął Alexander.

WRĘCZ PRZECIWNIE, WIESZ DOSKONALE – zaprzeczył głos. – ZACZNIJ OD POCZĄTKU. OPOWIEDZ, JAK TO SIĘ ZACZEŁO.

W zaskakujący sposób Alexander natychmiast zrozumiał, co posłaniec ma na myśli.

– To był niedzielny obiad u mojej babci – wyszeptał. Przypominał sobie wszystko.

– W Boże Narodzenie. Tak, na pewno w święta Bożego Narodzenia. U babci!

A potem zaczął opowiadać.

Babcia przygotowała rolady, a na jego talerzu znalazł się kawałek żyłastego mięsa. Im dłużej przewraca go na boki i dźga widelcem, tym bardziej posiłek przypomina mu wyglądem truchło jakiegoś drobnego zwierzątka. Tonie w ciemnym sosie jak w krzepnącej krwi. Mimo że dzielnie rusza szczękami i przeżuwa, nie jest w stanie przełknąć niczego poza pierwszym kęsem.

Stara się, naprawdę się stara. I choć się zmusza, ledwie czuje mięso w przetyku, zbiera mu się na wymioty. Niewiele brakuje, żeby posiłek wylądował na białym obrusie. Babcia w ostatniej chwili podsuwa mu pod usta otwartą dłoń i chwyta obrzydliwą papkę.

– Co, już nie możesz? – pyta.

Ma serdeczny, ciepły głos. Martwi się o niego. Alexander spogląda ukradkiem w stronę ojca, który pogrążony w rozmowie z dziadkiem zdaje się nie zwracać na niego uwagi. Dlatego Alexander potakuje skruszony.

Babcia zabiera jego talerz.

– Nie musisz przecież tego jeść – mówi ze śmiechem. – Kiedy byłam w twoim wieku, też nie przepadałam za roladami.

Wstaje i zaczyna sprzątać ze stołu. Pozostali członkowie rodziny również skończyli jeść.

– Zaraz podam deser, na to pewnie będziesz miał ochotę, co?

Alexander cieszy się na deser, dlatego zapomina spojrzeć w stronę ojca. Kiedy w końcu to robi, widzi, że ojciec go obserwuje. Przełyka ciężko ślinę. Na szczęście tata nie ma złej miny, dlatego czuje się bezpieczny. Obok niego siedzi matka i ze spuszczoną głową bawi się widelcem, rysując nim ósemki na białej tkaninie obrusa. Nie patrzy w oczy ani jemu, ani ojcu...

Alexander przerywa opowieść.

– Nie wiedziałem, że tak okropnie się to wspomina. – Pociąga hałaśliwie nosem.

– Czuję się przez nią tak strasznie zdradzony i porzucony!

MUSISZ JEJ TO WYBACZYĆ – tłumaczy anioł. – TO TWOJA MATKA.

Alexander potakuje i wraca do opowieści.

Po kilku minutach babcia podaje deser. Niesie salaterki lodów waniliowych

z gorącymi wiśniami. Jego ulubione!

Pelen radości wpatruje się w stół przed sobą i nie może się już doczekać, kiedy wszyscy dostaną swoją porcję i będzie mógł zacząć. Burczy mu w żołądku, bo przecież prawie nic nie zjadł.

Wreszcie przed każdym stoi salaterka z deserem.

Sięga po łyżkę i zanurza ją w mieszaninie czerwonego soku i roztopiających się już lodów. Lecz ledwie pierwszy kęs znajduje się w drodze do jego ust, rozlega się nieprzyjemnie ostry głos ojca:

– Starczy.

Alexander nieruchomieje w pół ruchu. Po chwili opuszcza łyżkę. Skapuje z niej odrobina sosu i ląduje czerwoną plamą na białym obrusie.

Czuje na sobie wzrok ojca. Ma wrażenie, że jest dla niego przezroczysty, jakby miał w oczach rentgen.

– Nie uszanowałeś trudu, jaki babcia włożyła w przygotowanie posiłku – mówi.

– Które przykazanie złamałeś?

– Werner, przestań! – W głosie babci słychać rozpaczliwą prośbę.

Ojciec świdruje ją lodowatym spojrzeniem, żeby nie ważyła się mu więcej przerywać.

Alexander czuje, że łzy napływają mu do oczu, bo wie, że deser przepadł i nic nie może sprawić, by mógł go zjeść. Smutnym wzrokiem patrzy na topniejącą przed nim przepyszną masę z gorącej czerwieni i słodkiej bieli.

– Słucham, które przykazanie? – powtarza ojciec.

Matka boi się ruszyć.

Chłopiec patrzy na babcię. Szuka u niej pomocy. Jednak tym razem nawet ona boi się odezwać i stanąć w jego obronie. Załamana wbija wzrok we własny talerz. Alexander czuje, że zaraz nie będzie mógł już powstrzymać płaczu.

– Nie rycz! – warczy groźnie ojciec. – Zapytałem, które przykazanie złamałeś?

Musi przełknąć ślinę, zanim będzie w stanie odpowiedzieć. Ma wrażenie, że w gardle utkwił mu kawał zwierzęcego truchła przygotowanego przez babcię.

– Czwarte – szepce w końcu.

– A jak brzmi czwarte przykazanie?

– Czcij ojca swego i matkę swoją, aby długo trwały twoje dni w ziemi, którą Pan, Bóg twój, da tobie¹.

Alexander siąknął nosem. Wspomnienie tamtego dnia było niczym burzowa chmura nad jego głową. Znow poczuł, jaki wtedy był spięty, jak cierpiało jego dziecięce ciało i jak jego drobne, bijące serce zmieniło się w kawałek zimnego kamienia.

MÓW DALEJ – rozkazał mu posłaniec.

Usłuchał.

Prawidłowo odgadł przykazanie i bezbłędnie je zacytował, bo wyraz twarzy jego ojca na chwilę łagodnieje. Przez kilka sekund Alexander ma nadzieję, że jeszcze nie wszystko stracone i będzie mógł zjeść lody... Nie może bardziej się mylić.

Ojciec się nachyla, chwyta jego deser i odstawia miseczkę na środek stołu.

– Dla ciebie nie ma dzisiaj deseru – postanawia. – Kiedy inni będą jedli, ty

przemysł dobrze, co oznaczają słowa, które wyrecytowałeś.

Alexander szuka oczu matki, a potem babci, lecz obie kobiety unikają jego spojrzenia. Tylko dziadek jest zły i się z tym nie kryje... Wystarczy jednak, żeby ojciec popatrzył na niego ostrzegawczo, a staruszek potulnie spuszcza głowę. Chłopiec przygląda się, jak mama zanurza łyżeczkę w topiących się lodach i unosi ją do ust. Przełyka ciężko...

Alexander przerywa.

Ze światła płynie głos posłańca, tym razem delikatny i przyjazny:

JUŻ DOBRZE. BARDZO DOBRZE ZACZĘLIŚMY. DZIĘKUJĘ.

– Byłem wtedy tak rozczarowany, że prawie wymiotowałem – dokończył Alexander. Z trudem powstrzymywane łzy spływały mu do gardła. – Wtedy po raz pierwszy pomyślałem, żeby... – zawahał się.

TO BYŁ DZIEŃ, W KTÓRYM TWÓJ OJCIEC PO RAZ PIERWSZY POCZUŁ BRZEMIEŃ – wyjaśnił posłaniec.

Mężczyzna nie był pewien, lecz wydawało mu się, że w jego głosie usłyszał złość.

2 Mż 20,12. [\[wróć\]](#)

Rozdział 6

– Chcesz powiedzieć, że to tutaj to miało być tylko ostrzeżenie? – Paul wytrzeszczył z niedowierzaniem oczy, kiedy usłyszał relację z rozmowy z nieznajomym.

– Pociąg wyleciał w powietrze, żeby nam pokazać, że gość nie żartuje – potwierdził Faris. Był cały spięty. – Wygląda na to, że gdzieś jest podłożona jeszcze jedna bomba. I jeśli ta tutaj miała być dla nas sygnałem ostrzegawczym, to zakładam, że następna będzie znacznie potężniejsza. – Odszukał w telefonie skrzynkę mejlową, w której znajdowała się wiadomość od nieznajomego. – Popatrz, to jest ta wiadomość.

Uruchomił załączone do niej wideo i odwrócił telefon tak, żeby Paul mógł je obejrzeć. W trakcie odtwarzania przyglądał się zmianom zachodzącym na jego twarzy. Początkowe przerażenie przeszło stopniowo w niedowierzanie i konsternację. W końcu policjant skrzywił się z odrazą i tak dokończył oglądanie filmu.

– Nic nie rozumiem... – wyszeptał i spojrzał na niego bezradnie.

– Wiem. Dla mnie to też całkowicie niezrozumiałe. Wiem tylko tyle, ile gość mi powiedział przez telefon. – Faris odchrząknął, zanim mówił dalej: – Ten człowiek z filmiku... – Postukał palcem w ekran. – Jest przetrzymywany gdzieś w Berlinie i podłączony do elektrokardiogramu.

Paul czekał, żeby kolega mówił dalej, lecz Faris w jego spojrzeniu dostrzegł błysk zrozumienia. Wiedział, że to bardzo doświadczony policjant, a w czasie pracy w WPR razem przeżyli najdziwniejsze i naprawdę przerażające rzeczy.

– Kiedy facet na krzyżu umrze... – Faris nie musiał kończyć zdania.

Paul cofnął się kawałek.

– O Boże...

Faris potaknął.

Paul potrzebował kilku chwil, żeby otrząsnąć się z szoku. W końcu uniósł głowę i się wyprostował. Rozejrzał się i znów zatrzymał wzrok na wysokim mężczyźnie w niebieskim garniturze, na którego wcześniej zwrócił uwagę. Znał go. To Marvin Andersen. Faris wiedział, że kieruje piątym departamentem Krajowej Policji Kryminalnej, odpowiedzialnym za bezpieczeństwo wewnętrzne. Dochodzenie w sprawie tego zamachu bombowego powinno trafić do jego wydziału, więc przyjechał na miejsce, żeby zorientować się w sytuacji.

Andersen właśnie zakończył rozmowę. Zamienił jeszcze kilka słów z politykami, rozejrzał się i dostrzegł Farisa oraz Paula. Podszedł i przywitał się uściśnięciem ręki.

– Komisarz Iskander, prawda? – Był bardzo zadbanym mężczyzną, z gładko ogoloną twarzą i przenikliwymi, jasnoniebieskimi oczyma. Miał wąskie, delikatne palce o starannie wypielęgnowanych paznokciach. – Z tego, co do mnie dotarło, wynika, że był pan bezpośrednim świadkiem zamachu? – zapytał i uważnie przyjrzał się pokrytemu pyłem Farisowi.

Faris potaknął, ale nie wyprowadzał go z błędnego przekonania, że cały czas jest policjantem.

– Dziś rano ktoś do mnie zadzwonił i kazał mi udać się na tę stację. – Zignorował

pytające spojrzenie Andersena, bo teraz liczyła się informacja, a na szczegóły czas przyjdzie później. Pomiął również bójkę z agresywnym chuliganem na peronie, za to w miarę dokładnie opisał moment wybuchu pociągu.

Andersen słuchał go i coraz mocniej zaciskał zęby.

– Wspomniał pan, że ktoś do pana zadzwonił i kazał udać się na konkretną stację metra. Jak mam to rozumieć?

– Mój rozmówca przesłał mi mejlem coś, co koniecznie powinien pan zobaczyć.

Jednak zanim udało mu się po raz kolejny uruchomić odtwarzanie przesłanego filmiku, podszedł do nich jeden z polityków, z którymi Andersen rozmawiał przed chwilą.

– Marvin? – Mężczyzna miał poszarzałą twarz. Faris widział go już wcześniej, pewnie w telewizji, bo nie pamiętał, żeby się spotkali. Domyślał się jedynie, że to ktoś związany z senatem Berlina.

Andersen odwrócił się w jego stronę.

– Senator zaraz tu będzie – powiedział mężczyzna i potarł oczy, jakby w ten sposób mógł wymazać obrazy, które zobaczył.

Szef departamentu piątego potaknął i spojrzał na Farisa.

– Czy w czasie rozmowy pojawiły się informacje lub wskazówki, które mogłyby dać nam jakiś punkt zaczepienia? Coś, od czego moglibyśmy zacząć i sklasyfikować zamach? Fundamentalizm islamski? Radykalna prawica?

Od czasu zbrodni, której sprawca został ochrzczony przez media „kebabowym mordercą”, Krajowa Policja Kryminalna zawsze brała pod uwagę wątki nacjonalistyczne.

Faris wzruszył ramionami. Wciąż dudniło mu w głowie, bolały go ramiona i nie mógł się pozbyć natarczywego dzwonięcia w uszach.

– Naprawdę powinien pan obejrzeć ten filmik.

– Marvin, senator spraw wewnętrznych! – ponaglał go człowiek z senatu.

Andersen się zawahał.

– Dobrze, już idę.

Mimo to nie od razu ruszył w kierunku ciemnej limuzyny, która akurat zatrzymała się na końcu długiego rzędu karetek. Odwrócił się i jeszcze raz popatrzył na Farisa.

– Muszę pędzić zdać raport senatorowi. Pan niech jedzie prosto do Tempelhofu, żeby możliwie szybko zdać dokładną relację z rozmowy z zamachowcem. Nasi ludzie będą wiedzieli, o co pytać. – Tempelhof było umowną nazwą budynku przy Platz der Luftbrücke, w którym mieściła się siedziba departamentu piątego. – Samo wideo obejrzę później. Proszę pokazać je...

Faris uniósł dłoń, żeby mu przerwać.

– Za pozwoleniem, chciałbym pojechać z kolegami prosto na Keithstraße i bezzwłocznie zacząć dochodzenie.

Przy Keithstraße, w kolejnym budynku Krajowej Policji Kryminalnej, mieściła się siedziba wydziału do walki z przestępczością przeciwko życiu i zdrowiu, czyli departamentu pierwszego, do którego należał WPR.

– Na jakiej podstawie ocenia pan, że ta sprawa powinna trafić do was? – zapytał Andersen.

Wcześniej, kiedy podszedł do nich człowiek z zarządu miasta, Faris uruchomił

odtworzenie i przesunął filmik do miejsca, w którym na całym ekranie wyraźnie było widać ukrzyżowanego mężczyznę. Podał teraz tak przygotowany telefon Andersenowi, żeby mógł się mu dokładnie przyjrzeć.

– To z nagrania, które otrzymałem krótko przed eksplozją.

Andersen z kamienną twarzą spoglądał na ekran telefonu. Po chwili bez słowa uniósł głowę, spojrzął w stronę limuzyny senatora, który właśnie wysiadł, i natychmiast zniknął w czekającej na niego grupie ludzi.

– Wyrażam zgodę – powiedział zdecydowanie. – Chyba ma pan rację, to rzeczywiście wygląda na sprawę dla WPR-u. Ruszajcie już! Dołączę, jak tylko będę mógł.

Jenny obudziły krzyki. Na korytarzu ktoś głośno wołał: „Dieter!”.

Nie ruszyła się z miejsca. Leżała na boku, tak jak zasnęła, z jedną dłonią pod policzkiem, a drugą za plecami. Często tak się kładła, bo sześć lat wcześniej pediatra polecił jej, by unikała spania na brzuchu. Facet na korytarzu nie przestawał wołać Dietera.

– Lepiej się znajdź, Dieter, bo coś ci zrobię – mruknęła Jenny.

W końcu otworzyła oczy.

Nad sobą zobaczyła spód materaca, prześwitujący przez metalowy stelaż, na którym leżał. Stalowe kółka, z których każde splatało się z czterech stron z innymi kółkami. Przypominały jej kolczugę, którą widziała kilka miesięcy wcześniej, w czasie zwiedzania muzeum w Rothenburgu. Kiedy poprzedniego wieczoru dotarły do schroniska, okazało się, że są wolne dwa ostatnie miejsca na łóżku piętrowym. Długo się kłóciły, która ma spać na górze, a która na dole. Koniec końców, Pia, jej najlepsza przyjaciółka, zwyciężyła i zajęła górne łóżko.

– Dieter, przyglupie! – wrzasnął mężczyzna na korytarzu. – Wylaż wreszcie!

Jenny uśmiechnęła się mimowolnie. Poza dziesiątkami uczestników Ekumenicznych Dni Kościoła w schronisku przebywała również grupa chłopaków, którzy przyjechali na festiwal muzyki rockowej, który odbywał się w tym samym czasie. Większość z nich nosiła dziurawe dżinsy i kurtki z czarnej skóry. Poprzedniego wieczoru w stołówce Jenny zwróciła uwagę na jednego z nich. Miał długie kruczoczarne włosy i tatuaże pokrywające ramiona i szyję. Uśmiechnął się do niej nawet, kiedy stali naprzeciwko siebie przy barze sałatkowym. Uznała, że jest bardzo fajny. Czy dzisiaj również uda jej się go zobaczyć?

Ziewnęła szeroko i usiadła. Bardzo źle spała, bo cztery współlokatorki z sześciuosobowego pokoju gadały jeszcze długo po północy, a kiedy usnęły, dwie z nich chrapały tak głośno, że nie chciało jej się wierzyć, że to możliwe. Całe szczęście, że cztery gracze wstały bardzo wcześnie i już przed szóstą zniknęły z pokoju. Jenny i Pia z wdzięcznością przyjęły ten dar od losu i wykorzystały go, by w końcu zaznać choć trochę spokojnego snu.

Jenny sięgnęła pod poduszkę i po omacku znalazła swój zegarek, który schowała tam dla bezpieczeństwa, bo nie pierwszy raz nocowała w schronisku. Zamrugnęła, by odpędzić resztki snu, i sprawdziła, która godzina. Za pięć wpół do dziewiątej. Idealnie!

Zadowolona przesunęła się na brzeg łóżka i postawiła stopy na podłodze.

– Dieter! – zawył znowu ktoś na korytarzu, ale jego głos dochodził z daleka, jakby szukający kompana skręcił kilka razy.

– Dieter, Dieter – burknęła Pia z górnego łóżka. Miała zaspany głos. – Żeby cię coś gorszego nie spotkało.

Jenny uśmiechnęła się szeroko.

– Może gość leży martwy w kanale Landwehrkanal.

Poprzedniego dnia zwiedziły wystawę poświęconą Róży Luksemburg, a potem rozmawiały jeszcze o sposobie, w jaki zmarła przywódczyni ruchu robotniczego.

Metalowe kółka zaskrzypiały i po chwili znad krawędzi górnego łóżka wysunęła się głowa Pii, otoczona dziką blond grzywą.

– Wyspana?

Jenny znów ziewnęła.

– Tak naprawdę zasnęłam dopiero, kiedy drwale przestali piłować. – Przeciągnęła się. – Krótko, bo krótko, ale ważne, że się udało.

Program na dziś miały bardzo napięty. Chciały wziąć udział w dwóch kółkach biblijnych, uczestniczyć we mszy w Kościele Pamięci Cesarza Wilhelma – przy czym to były tylko najważniejsze punkty.

Jenny wróciła myślami do czarnowłosego chłopaka, którego wypatrzyła poprzedniego wieczoru w czasie kolacji. Właściwie dlaczego od razu nie zapytała go, jak ma na imię?

Wstała, podeszła do okna i znów się przeciągnęła. Niebo miało szarostalową barwę. Szkoda, bo jeszcze wczoraj było stosunkowo ciepło i bardzo słonecznie.

– Pan Bóg powinien zadbać o lepszą pogodę dla nas. Przecież to dzień, w którym jednoczą się dla niego dwa największe Kościoły!

Pia wysunęła dłoń spod śpiwora i pogroziła jej palcem.

– Nie wolno tak mówić! – zawołała, naśladowując szwabski dialekt matki. – Nie wolno wystawiać Pana Boga na próbę!

Jenny pokazała jej język. Myślała właśnie o tym, ile kosztowało ją przekonanie rodziców, żeby pozwolili pojechać jej samej z Pią do Berlina. Zgodzili się dopiero po długiej walce i tylko dlatego, że wybierały się na dni ekumeniczne. Musiała im jeszcze przysiąc, że weźmie udział we mszy odprawianej przez papieża. Czuła się nieswojo, wspominając wiele kłótni z mamą i tatą. Zdjęła żółtą piżamę, zwinęła ją razem ze śpiworem i włożyła dzinsy oraz bluzę z kapturem. Zapowiadał się chłodny dzień.

Czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Były przecież tutaj! W Berlinie! Razem, ona i Pia. Zobaczą papieża. Włożyła adidasy i kurtkę dzinsową, którą ojciec kupił jej specjalnie na ten wyjazd. Coś piło ją w bok, jak palec wbijający się w zebra. Sięgnęła do kieszeni. To chemiczne światełko, które zaczynało świecić po złamaniu plastikowej rurki. Kupiła je sobie zaraz po przyjeździe. Chciała go użyć następnego dnia, w czasie uroczystej mszy na zakończenie dni ekumenicznych. Ułożyła je tak, żeby nie kłuło jej w bok, po czym wróciła myślami do wytatuowanego przystojniaka ze stołówki.

Czy dzisiaj wieczorem znów go spotka?

Przysięgła sobie, że tym razem zdobędzie się na odwagę i go zagadnie.

Krótko przed wpół do dziesiątej Faris znów znalazł się w tak zwanym War Roomie – przestronnym, otwartym biurze na ostatnim piętrze siedziby Krajowej Policji Kryminalnej przy Keithstraße.

To tutaj mieściło się Biuro 119, które zostało powołane do życia ledwie kilka lat wcześniej. Stało się tak z powodu fali brutalnych zabójstw honorowych, która przetoczyła się przez miasto. Dzięki ówczesnemu szefowi Policji Kryminalnej udało się przekonać berlińskiego senatora spraw wewnętrznych, by wyasygnował pieniądze na powołanie zupełnie nowej komórki w ramach wydziału zabójstw. A że trafiały do niej jedynie sprawy związane z przestępstwami motywowanymi religijnie, szybko została ochrzczone wydziałem specjalnym do walki z przestępstwami motywowanymi religijnie, w skrócie WPR – wydziałem przestępstw religijnych.

– Andersen nie ma pojęcia, że jesteś zawieszony. Zauważyłeś to, co? – zapytał Paul, z którym przyjechał do biura.

Faris siedział na miejscu, które jeszcze niedawno należało do niego – niedawno, czyli przed eksplozją i przed zawieszeniem. Nikt nie zmienił podkładki na blacie, którą przyniósł kiedyś z domu: dużego papierowego notatnika, który w rzeczywistości był reklamówką warsztatu samochodowego. Poza tym drobiazgiem niewiele świadczyło o czasach, kiedy on tu urzędował. Jego stara filiżanka do kawy została zastąpiona czymś czarnym, matowym i z całą pewnością bardzo drogim. Zamiast ramki ze zdjęciem Anisah, jego siostry, na blacie stała bardzo stylowo wyglądająca kostka z przejrzystego pleksi, w środku której umieszczono fotografie kilkorga młodych ludzi wznoszących toast.

Faris oparł dłonie na blacie i spojrzał tępo przed siebie. W ciszy pustego biura dzwonienie w uszach stało się nieprzyjemnie intensywne.

– Chyba lepiej będzie nie wyprowadzać go z błędu, przynajmniej na razie – zaproponował.

Przypomniał sobie o telefonie, który schował w kieszeni. Zamachowcem coś musiało kierować, że wybrał akurat jego. Musiał się dowiedzieć, co takiego.

– Gdzie są wszyscy? – zapytał.

Na WPR składało się siedem osób pracujących bezpośrednio przy dochodzeniach i jeden oficer łącznikowy odpowiedzialny za kontakty z Instytutem Ekspertyz Kryminalistycznych. Z tej ósemki przynajmniej połowa powinna być na służbie. Mimo to War Room mieli z Paulem do wyłącznej dyspozycji.

– Odprawa – wyjaśnił kolega. – Na pewno zostanie na niej omówiony dzisiejszy wybuch.

Faris zmusił się, by głęboko odetchnąć. Od uderzenia o ścianę podziemnego dworca bolały go ramiona i plecy. Wstał i podszedł do umywalki w narożniku pomieszczenia. Oparł się ciężko o jej krawędź i spojrzał w lustro. Miał zaczerwienione oczy, a betonowy pył, który niczym całun pokrywał ubranie i skórę, nadawał jego twarzy niezdrowy jasny odcień. Dawniej czarne i błyszczące włosy sprawiały teraz wrażenie siwych, a że opierał się o umywalkę, wyglądał jak stary, zgarbiony człowiek. I tak się właśnie czuł. Odkręcił wodę i podsunął dłonie pod zimny strumień. Niespodziewanie załała go fala wspomnień. Znów usłyszał płacz dziecka. Wróciły sceny z przeszłości

i ukazały się wyraźnie w jego głowie – nie mgliście i nieostro, jak w koszmarach sennych, tylko jasno, jednoznacznie i boleśnie, jak świeże rany. Widział oderwany palec o czerwonym paznokciu, lecz nie wiedział, czy to wspomnienie z muzeum, czy może należał do kobiety w czerwonej sukni, którą spotkał dziś rano. Potem zobaczył pociąg metra, jak znika w czarnym tunelu. Jak wyskakują stamtąd płomienie, fala uderzeniowa unosi go z posadzki i ciska nim o ścianę. Poczul zapach palonego ciała. Własnego ciała. W jego głowie rozbrzmiewały coraz to głośniejsze krzyki. Słyszał dziewczynkę powtarzającą „tata” i oskarżycielskie słowa skierowane do niego: „Co pan narobił?!”.

Z trudem się schylił, przemył twarz zimną wodą i mokrymi dłońmi zaczesał włosy do tyłu. Pył i kawałeczki betonu ściekały z niego i kapwały do umywalki, wydając przy tym głośny dźwięk. Cały czas schylony spojrzał na wykładzinę na podłodze. Od drzwi do miejsca, w którym stał, ciągnął się na niej ślad jaśniejszych odcisków butów. Jego butów.

Potrząsnął głową.

– Coś ty narobił? – mruknął.

Paul czuł, że kolega potrzebuje czasu, aby się uspokoić i wziąć w garść po tym, co przeżył, dlatego nie chciał mu przeszkadzać i zajął się przygotowywaniem kawy. Odwrócił się dopiero, słysząc jego głos.

– Co?

Wtedy Faris sobie uświadomił, że wypowiedział te słowa na głos. Wyprostował się.

– „Co pan narobił?” – powtórzył głośno. – To pytanie zadała mi jakaś kobieta, która była na peronie i przeżyła atak. Wszyscy uznali, że to ja musiałem podłożyć bombę. – Poruszył ramionami. Ból nie ustępował, ale przynajmniej jednego był pewien – niczego sobie nie zerwał. To tylko stłuczenie.

Nie mógł się uwolnić od obrazu mężczyzny rannego w brzuch i przerażonej, spanikowanej twarzy jego córki... Zamknął oczy i zrobił wdech, najgłębszy, jaki tylko mógł.

Zabliźniona rana po poparzeniu na jego piersi naciągnęła się i zapiekła. Zaniósł się kaszlem. Jakby zza mgły docierały do niego odgłosy z biura. Słyszał, że ktoś otworzył drzwi i wszedł do środka, a kiedy uniósł powieki, dostrzegł młodego człowieka, którego nigdy wcześniej nie widział. Mężczyzna miał na sobie cywilne ubranie, był szczupły i opalony. Całości obrazu dopełniały markowe, drogie džinsy i sweter z wyraźnym logo luksusowej firmy.

Paul skinął głową w jego stronę.

– Faris, to Marc Sommer, poznajcie się.

Faris wiedział, że Marc był nowy w WPR. Studiował psychologię i wśród analityków, którzy w ciągu ostatnich trzech lat przeszli szkolenie policyjne, miał opinię jednego z najlepszych. Faris wiedział jednak też, że Paul nie tracił nadziei, że Faris wkrótce wróci do wydziału, i dlatego między nim a Markiem co rusz dochodziło do spieć.

Uśmiechnął się do Marca.

Nieznajomemu wyraźnie ulżyło. Miał bardzo jasne, niemal wodniste oczy.

– Cześć, Faris – przywitał się i wyciągnął do niego dłoń. – W końcu mogę cię poznać.

Ledwie skończył, jego wzrok powędrował w stronę biurka z czarną filiżanką

i pleksiglasową kostką. Oba przedmioty tak bardzo pasowały do sposobu, w jaki młody człowiek się ubierał, że Faris nie miał problemów z odgadnięciem, komu przypadło w udziale jego dawne miejsce. Zaciśnął zęby i spojrzął na swoje mokre ręce. Potem odwrócił się w stronę umywalki, zakręcił wodę i sięgnął po ręczniczki papierowe, żeby się wytrzeć. Dopiero wtedy odpowiedział uściskiem dłoni.

– Cześć, Marc. – Spojrzał na Paula. – Wszyscy widzieli, że mam arabskie rysy twarzy. I to im wystarczyło, żeby wyciągnąć oczywiście ich zdaniem wnioski.

Myślni wrócił do zamachowca z muzeum i zamarł na chwilę, a w jego głowie zaczęły się klarować różne scenariusze.

Czy istniała szansa, że dzwoniący rzeczywiście był człowiekiem z muzeum? Czy ktokolwiek mógł przeżyć potężny wybuch?

W końcu westchnął głęboko. W lustrze dostrzegł swoje odbicie. Włosy miał wciąż szare od pyłu, a próby ich oczyszczenia skończyły się tym, że niektóre kosmyki sterczały namoczone w górę. Przyczesał je gładko, po czym wrócił do biurka i opadł ciężko na fotel. Nawet jeśli Marcowi przeszkadzało, że zajął jego obecne miejsce, młody policjant nie dał tego po sobie poznać.

– Naprawdę uważasz, że to mógł być gość z muzeum? Tak? – zapytał Paul bardzo ostrożnie.

Faris nie odpowiedział. To nie miało sensu. Od kiedy byli partnerami, nie potrzebowali słów, żeby jeden drugiego zrozumiał, i miał nadzieję, że przez tych dziesięć miesięcy nie stracili tego daru.

Marc musiał się domyślać telepatycznej więzi, jaka ich łączyła, a z czego on był wyłączony. Odchrząknął nieswojo i założył ramiona na piersi.

– Gość z muzeum? Ten od bomby? A co on miałby mieć z tym wspólnego?

Faris znów niewiele słyszał, bo dzwonienie w uszach przybrało na sile. Zorientował się jedynie, że Paul poinformował młodszego kolegę o porannym telefonie i przesłanym nagraniu.

– Faris? – Głos partnera wyrwał go z zamyślenia.

Zamrugnął. Spojrzenie na zegar nad drzwiami uświadomiło mu, że minęło kilka minut. Mina Paula nie wyrażała niczego.

– W porządku? – zapytał.

– Tak, tak. – Faris potaknął.

– Rozważacie możliwość, że dzwoniący mógł być tym samym człowiekiem, który wcześniej wysadził w powietrze Muzeum Klerscha? – Marc sięgnął po kostkę ze swojego biurka i zamyślony zaczął się nią bawić. – Z tego, co pamiętam, wybuch był tak silny, że budynek muzeum trzeba było rozebrać, bo groził zawaleniem, prawda? I było kilkadziesiąt ofiar?

– Zgadza się – potwierdził Paul ponuro.

– Siedemdziesiąt pięć, dla ścisłości – doprecyzował Faris. Miał zachrypnięty głos. Technicy zabezpieczyli i przebadali wszystkie szczątki i ślady. Zgodnie z końcowym raportem liczba ofiar sięgnęła siedemdziesięciu pięciu osób, doskonale to pamiętał. Czy jednak jakiegokolwiek zabezpieczone szczątki zostały ponad wszelką wątpliwość przypisane zamachowcowi? Nie miał pewności. Postanowił sprawdzić to dokładnie

w raporcie.

– Nie znam wszystkich szczegółów tego, co się tam wydarzyło – wyznał Marc.

Paul spojrział w stronę partnera i poczekał na milczącą zgodę, zanim zaczął opowiadać.

– Z początku cała sprawa wyglądała na standardowe wzięcie zakładników. Porywacz z siedemdziesięcioma czterema osobami zabarykadował się w muzeum. Kiedy przyszło zgłoszenie, okazało się, że Faris jest akurat w pobliżu, więc jako jeden z pierwszych dotarł na miejsce. Udało mu się skłonić zamachowca do rozmowy. Dowiedział się, że gość pochodzi z Syrii. Ożenił się z Niemką, ale im nie wyszło i byli w trakcie sprawy rozwodowej. Kobieta uniemożliwiła mu spotkania z dzieckiem, więc przygotował sobie pas szachida, uprowadził dziecko i udał się z nim do muzeum, żeby w ten sposób wymusić prawo do opieki. – Mówiąc to, spoglądał co pewien czas na partnera.

Faris czuł się jak na torturach.

Człowiek o ciemniejszej skórze, pas i dziesięć kilo materiałów wybuchowych. Jak to się może skończyć?

– *Może pogadajmy – proponuje. – Sam urodziłem się w Aleksandrii. I też jestem muzułmaninem...*

A potem za drzwiami wybuchła bomba i rozerwała na kawałki porywacza, jego syna i siedemdziesiąt trzy postronne osoby.

I tylko dlatego, że on, Faris, popełnił błąd, bo źle ocenił sytuację. Gorzej nawet: dlatego, że zachował się dokładnie tak samo, jak pierwszy lepszy rasistowski dupek. Arab? No pewnie, islamski terrorysta! Ani przez chwilę się nie zastanawiał, co mogło pchnąć porywacza do tego kroku.

Poczuł mdłości, kiedy pomyślał o rozerwanych ciałach i palcu z czerwonym paznokciem.

Uniósł dłoń, potarł czoło i przeczesał palcami włosy.

– Nic nie mogłeś zrobić, to nie twoja wina. – Głos Paula dudnił mu w uszach.

Chciał potrząsnąć głową, ale zamarł w pół ruchu.

– Daj spokój – mruknął.

Wiedział, co Paul myśli o tamtej sytuacji i o jego nastawieniu.

– Cholera, stary! – nie wytrzymał jego partner. – Zachowujesz się tak, jakbyś to ty uruchomił zapalnik, a nie tamten skurwysyn!

Faris nie odpowiedział. Mógł to w ogóle jakoś skomentować?

– Po tamtej eksplozji poszedłeś na bardzo długie zwolnienie lekarskie – zaczął Marc po jakimś czasie. – Ale już wyzdrowiałeś, prawda?

Faris mimowolnie poruszył ramieniem, które wtedy najbardziej ucierpiało. Blizna po poparzeniu na bicepsie nieprzyjemnie się naciągnęła. Domyślał się już, czego będzie dotyczyło kolejne pytanie, i się nie pomylił.

– To właściwie dlaczego nie wróciłeś do pracy?

Przez dłuższą chwilę w pomieszczeniu panowała cisza. W końcu Faris westchnął i zaczął tłumaczyć:

– Jakies cztery tygodnie temu miałem znów pojawić się w firmie, ale... –

powiedział i przerwał.

– ...ale narobił sobie kłopotów – dokończył Paul.

Faris prychnął ponuro, słysząc jego słowa. Myślni wrócił do niedzielnego wieczoru przed trzema tygodniami z kawałkiem. Po ponad dziewięciu miesiącach rekonwalescencji i rehabilitacji, w czasie której powoli i z wysiłkiem odbudowywał się z rozsypki wywołanej wybuchem w muzeum, po raz pierwszy pozwolił sobie na wyjście do baru. W jednej z knajpek niedaleko ogrodu zoologicznego natknął się na łysego idiotę w glanach. Gość zagroził mu drogę i prowokująco zwymyślał od długowłosych terrorystów. To, w połączeniu z jego przeżyciami z muzeum i przede wszystkim z poczuciem winy, którego nie potrafił się pozbyć, doprowadziło Farisa na skraj. Nie miał pojęcia, co się wydarzyło potem, bo kolejną rzeczą, jaką pamiętał, było to, że klęczał nad łysym idiotą i okładał go pięściami. Trzech mężczyzn musiało połączyć siły, żeby go odciągnąć. Miał szczęście, że zrobili to w porę. Facet przeżył tylko dzięki ich refleksowi, choć oczywiście trafił do szpitala. Faris został za to natychmiast zawieszony i mógł mieć jedynie nadzieję, że zaplanowane w najbliższym czasie przesłuchanie skończy się dla niego pozytywnie. Być może – to była ostatnia iskierka nadziei, której trzymał się kurczowo, bo inaczej dawno by się już stoczył – śledczy uwzględnił przeżytą przez niego traumę i dopatrzą się w niej usprawiedliwienia jego wybuchu, co pozwoliłoby mu wrócić do pracy.

Chciał coś powiedzieć, ale w tej samej chwili otworzyły się drzwi i do War Roomu wmaszerowała energiczna kobieta o czerwonych włosach.

– Faris? Jak się czujesz? – W jej głosie słyhać było mieszaninę ekscytacji i troski. Podeszła do niego. Miała tak duże oczy, że kiedy na niego patrzyła, wyglądała jak przestraszona sowa. – Właśnie nam powiedzieli, co się stało.

Faris się skrzywił.

– Dzięki, Gitta. Nic mi nie jest – odparł.

– Chwała Bogu! – Gitta Müller koordynowała pracę biura WPR i była kimś w rodzaju sekretarki ze specjalnymi uprawnieniami. Sama, nie bez ironii, nazywała siebie ich matką.

Po chwili Faris nie mógł się powstrzymać i w końcu się uśmiechnął. Dopiero teraz dotarło do niego, jak bardzo brakowało mu jej przez te dziesięć miesięcy. Gitta nosiła się zwykle w tym samym stylu, dobierając obszerne szaty w liliowym, pomarańczowym i czerwonym kolorze, liczne łańcuszki, bransoletki i więcej niż jedną parę kolczyków naraz. Kiedy się nachyliła, żeby cmoknąć go w policzek, jej biżuteria zadzwoniła metalicznie, jak wózek zbieracza złomu. Roztaczała przy tym dookoła siebie aromat olejku z paczuli i pomarańczy. Mimowolnie pomyślał o kadzidełkach, które jego siostra paliła, kiedy była nastolatką.

Gitta otaksowała go wzrokiem od stóp do głów.

– Nie do wiary. – Złapała się za głowę. – To jakby piorun trafił dwa razy z rzędu w to samo miejsce! – powiedziała z niedowierzaniem.

Powoli pokręcił głową.

– Nie, Gitta, to nie był żaden przypadek – zaprzeczył, myśląc o anonimowym rozmówcy z rana.

Kobieta znieruchomiała i spojrzała mu w oczy.

– Wiem. – Po czym wyciągnęła dłoń i pogłaskała go po policzku.

– Gitta, serio nic mi nie jest – zapewnił ją ponownie.

– Aha, akurat! – Potaknęła. W końcu się uspokoiła. – Chciałam tylko przekazać, że odprawa się zakończyła. Tromsdorff wezwał wszystkich do biura. Shannon pewnie zaraz tu będzie. Ben też. Poza tym dzwonił jeszcze Andersen i poprosił, żebyście zaczęli bez niego. – Gitta zamyśliła się i jak zawsze, kiedy bardzo intensywnie coś analizowała, znieruchomiała jak w transie. W końcu zamrugła. – Cieszę się, że nic ci nie jest – dokończyła i ruszyła do swojego małego biura z przodu War Roomu, wciśniętego między skos dachu a szyb windy, które ze szklanymi ścianami i drzwiami wyglądało jak terrarium dla egzotycznych zwierząt.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Faris miał wrażenie, że odchodząc, zabrała ze sobą wszystkie kolory.

Rozdział 7

Gitta zniknęła w swoim biurze, lecz w tej samej chwili drzwi znów się otworzyły i do War Roomu wpadł inspektor Robert Tromsdorff. Był on szefem zespołu dochodzeniowego WPR i jednocześnie jego twórcą. Kiedy formował ten zespół, udało mu się ściągnąć najlepszych dochodzeniowców z Krajowej Policji Kryminalnej, w tym psychologów i naukowców, tworząc zgraną i bardzo sprawną grupę, której szczególnym polem specjalizacji było profilowanie kryminalne. WPR został pierwotnie powołany do życia ze względu na przybierającą na sile przestępczość w środowisku fundamentalistów islamskich, lecz dość szybko się okazało, że istnieje całkiem spora liczba innych ugrupowań radykalistów religijnych, którymi należało się zająć. Prowadzili więc dochodzenia w sprawach przestępstw popełnianych przez fundamentalistów chrześcijańskich, jak i morderstw w środowiskach ortodoksyjnych Żydów czy wśród członków sekt.

Szef WPR-u zatrzymał się na środku pomieszczenia i wbił wzrok w Farisa.

– Jasna cholera... – wyrwało mu się.

Tromsdorff był bardzo wysportowanym mężczyzną o muskularnej sylwetce i specyficznym sposobie ubierania się, który polegał na tym, że do marynarek zawsze wkładał T-shirty, przez co wyglądał jak Sonny Crockett z zapomnianego już serialu telewizyjnego *Miami Vice*. Charakterologicznie nie mógł się jednak bardziej od niego różnić, w środowisku policyjnym bowiem uchodził za wyjątkowo kompetentnego i rozważnego szefa kierującego świetnym zespołem. Faris wiele mu zawdzięczał, bo gdyby nie jego namowy, pewnie nie trafiłyby do WPR-u. Nigdy nie żałował podjętej wówczas decyzji.

Nie spoglądając nawet w stronę Paula i Marca, Tromsdorff podszedł do biurka, przy którym siedział jego zawieszony pracownik, i w zamyśleniu przyjrzał się jego rozbitej wardze i opatrzonej ranie na czole. W końcu spojrzał Farisowi w oczy.

– Jak się czujesz?

– Daję radę – odparł Faris.

– Byłeś na jakichś badaniach? Sprawdzili, czy nie masz wstrząśnienia mózgu?

– Sprawdzili – skłamał bez wahania i niemal dosłownie poczuł na sobie karcący wzrok Paula.

Do biura weszły kolejne dwie osoby. Pierwsza próg przekroczyła silna, umięśniona kobieta, która poruszała się energicznym, sprężystym krokiem. Miała bardzo krótko ostrzyżone blond włosy i twarz obsypaną piegami. Dżinsy opinały jej długie, mocne nogi, a górną część ciała zdobiły dwa topy w dopasowanych kolorach. Niejeden mężczyzna mógłby pozazdrościć jej muskularnych ramion. Nazywała się Shannon Starck.

– Hej, Faris, jak tam, w porządku? – Shannon mówiła z amerykańskim akcentem, bo jeszcze do niedawna mieszkała w Stanach Zjednoczonych, gdzie studiowała socjologię i psychologię. Pisząc pracę doktorską, zajmowała się radykalnymi sektami ewangelickimi. Z Tromsdorffem poznała się na konferencji w Seattle. Kiedy policjant się dowiedział, że Shannon posiada podwójne obywatelstwo po ojcu Niemcu, przekonał ją,

żeby wykorzystała swoją wiedzę w Krajowej Policji Kryminalnej w Berlinie. Tak trafiła do jego zespołu i została w nim specjalistką od chrześcijańskiego fundamentalizmu.

– Dzięki, Shannon, jest okej. – Uśmiechnął się do niej.

– *Shit* – zaklęła odruchowo. – Kiedy nam powiedzieli, że byłeś w miejscu detonacji ładunku, pomyślałam, że ktoś się za nas wziął.

Podeszła do swojego biurka, zastawionego całą masą różnych przedmiotów, i wzięła z niego piłkę do tenisa, którą zaczęła ścisnąć dłońią. Potem odwróciła się, oparła i ze spokojem patrzyła, jak mężczyzna, z którym przyszła do biura, wita się z Farisem.

Ben Schneider miał lekką nadwagę, a mimo to był tak przeciętny, że trudno go było zauważyć. Od beżowych spodni, przez spraną bluzę od dresu aż do popielatoblond włosów sprawiał wrażenie wyblakłego – z jednym, ale za to ważnym wyjątkiem: jego oczy miały nieprawdopodobnie żywą, jasnoniebieską barwę lazurytu. „Oczy faraona” – pomyślał Faris, jak za każdym razem, kiedy stawali naprzeciwko siebie.

– Jesteś bohaterem, wiesz? – Szczere uznanie i kpina mieszały się w głosie policjanta, którego zadaniem było zapewnienie bezproblemowej współpracy ze specjalistami z laboratorium kryminalistycznego. Faris nie znał nikogo, kto byłby równie nieprzenikniony i trudny do rozgryzienia jak Ben. W jego przypadku zawodziły wszystkie psychologiczne triki, które Faris wykorzystywał przy profilowaniu.

Ben nie dał mu czasu na odpowiedź, bo natychmiast się odwrócił i ruszył podłączać rzutnik do laptopa. Faris nie czuł się zaskoczony, bo właśnie z tego był znany jego kolega z zespołu: ilekroć intensywnie nad czymś myślał, przejawiał niemal autystyczne cechy osobowości. I być może tak właśnie było, podejrzewał Faris.

– Dobra, to zaczynamy. Na dzień dobry trochę faktów. – Tromsdorff oparł się o stół, który nazywali stołem taktycznym: długi, prosty mebel z metalu ustawiony pośrodku pomieszczenia, z dwiema tablicami magnetycznymi zorientowanymi po jego przekątnej. To tutaj wspólnie pracowali nad kolejnymi sprawami i stąd zarządzali dochodzeniami. Tutaj dzielili się uwagami i tutaj też większość z nich rozwiązywali. – Jak wszyscy wiecie, dziś rano na stacji metra Bismarckstraße wybuchła bomba. Zgodnie z najświeższymi szacunkami w eksplozji życie straciło dwadzieścia siedem osób, w tym również dzieci. Wydział odpowiedzialny za bezpieczeństwo wewnętrzne rozpoczął śledztwo w kierunku ataku terrorystycznego. Mamy jednak powody przypuszczać, że popełniono przestępstwo na tle religijnym, co by oznaczało, że sprawa powinna trafić do WPR-u. – Mówiąc, spojrzął na Farisa. – Dla tych, którzy się dziwią, dlaczego Faris jest tutaj, a nie w szpitalu, gdzie, moim zdaniem, jest teraz jego miejsce... Zresztą, Faris, najlepiej sam wszystko opowiedz.

Faris się rozejrzał. Zobaczył spięte twarze pozostałych członków zespołu. Nabrał głęboko powietrza i uznał, że powinien wstać. Podniósł się z krzesła, zignorował delikatne zawroty głowy, które wywołał ten ruch, i zaczął mówić:

– Raczej nie da się przeoczyć, że byłem bezpośrednim świadkiem eksplozji w metrze. A trafiłem tam za sprawą połączenia, które odebrałem dziś rano. – Wyjął z kieszeni telefon i po raz kolejny opowiedział o nieznanym, który zadzwonił z dziwną wiadomością i kazał mu iść na stację metra na Bismarckstraße. Kiedy Gitta zobaczyła, że przemawia, otworzyła bezgłośnie drzwi swojego biura i przyszła, żeby go posłuchać.

Ben skończył przygotowywać sprzęt. Jego laptop stał uruchomiony na stole, a rzutnik był włączony i wyświetlał na ścianie duży biały prostokąt.

Faris podał mu telefon, żeby podłączył go do komputera, a sam zaczął zdawać relację z rozmowy z nieznanym.

Ben sięgnął po pilota i uruchomił rozwijanie ekranu podwieszonego pod sufitem. Potem nachylił się i zaczął naciskać przyciski komputera. Rzutnik wyświetlił pulpit na białym materiale, a zaraz potem pojawiło się na nim okienko odtwarzacza multimedialnych. Bez odrywania wzroku od ekranu Faris wyciągnął za siebie rękę, znalazł krzesło i usiadł. Z głośników popłynęły dobrze już mu znane dźwięki nagrania, ciężki oddech i jęki. Z początku pojawiły się tylko rozmazane plamy, ale po chwili obraz zaczął się wyostrzać.

Faris znał już treść filmu, więc zamiast oglądać nagranie, skupił się na twarzach kolegów i koleżanek, którzy widzieli je po raz pierwszy. Tromsdorff zadrżał, kiedy młotek uderzył w gwóźdź. Marc pobladł. Gitta z przerażenia otworzyła szeroko oczy i zasłoniła dłonią usta, aż zadzwoniły bransoletki na jej nadgarstku. Shannon przyglądała się z zainteresowaniem każdemu ruchowi na ekranie. Myślała przy tym intensywnie, już teraz wyrabiając sobie opinię o nagraniu zdarzenia.

Komputer odtwarzał wideo. Głuche jęki ukrzyżowanego, brutalna siła uderzeń młotka, brzęk łańcucha i umęczone krzyki ofiary, kiedy krzyż się prostował – to wszystko sprawiło, że zebrani wokół stołu funkcjonariusze milczeli poruszeni.

W końcu film dobiegł końca, lecz jeszcze przez dłuższą chwilę wszyscy siedzieli jak skamieniali.

– No właśnie – powiedział Faris, przerywając ciszę.

Na dźwięk jego głosu pozostali również otrząsnęli się z zamyślenia.

– Okej – jęknął Tromsdorff. – To sprawa dla nas, bez najmniejszych wątpliwości. Czy możemy już teraz przyjąć, że to nie były efekty specjalne?

Ben ściągnął usta. Uruchomił odtwarzanie, kilkakrotnie przesunął wskaźnik, żeby przyrzeć się temu samemu fragmentowi raz jeszcze, aż w końcu pokręcił głową.

– Żeby mieć stuprocentową pewność, musiałbym jeszcze to przeanalizować, ale w tej chwili jestem przekonany, że nagranie wygląda cholernie serio.

Szef potaknął z miną, jakby właśnie potwierdziło się to, co i tak wiedział. Wysoki i wytrenowany wyglądał na pełnego energii, jak ściśnięta sprężyna gotowa do działania. Podwinął rękawy marynarki. Na przedramionach wyszły mu żyły.

– Co to nagranie ma wspólnego z wybuchem na stacji? – zapytała Gitta.

– Wysadzenie pociągu metra było tylko przygrywką – wyjaśnił Faris. – Dzwoniący twierdził, że przetrzymuje gdzieś tego faceta na krzyżu i ma już podłożoną kolejną bombę. Jak tylko ofierze przestanie bić serce, ładunek wyleci w powietrze.

– O Boże... – jęknęła kobieta. Oparła się o framugę swojego terrarium i zrobiła się blada jak ściana.

Tromsdorff spojrział na nią zatroskany, po czym odwrócił się do Farisa.

– Mamy jakiegokolwiek punkty zaczepienia? Wskazówki, gdzie szukać kolejnej bomby?

Policjant potrząsnął głową.

– Niestety, nic więcej nie wiemy. Być może uda nam się coś wyciągnąć z jego słów

z rozmowy, ale jeszcze nie zrekonstruowałem wszystkiego, co powiedział. Z całą pewnością cytował motto Ekumenicznych Dni Kościoła.

– „I głosili z odwagą Słowo Boże...” – wtrąciła Gitta.

Ben i Paul potaknęli. Marc podszedł do jednego z krzeseł dla petentów i usiadł zamyślony. Faris nie znał go dobrze, ale przypuszczał, że młody analityk był już na etapie wypracowywania podstaw teorii, co się właściwie stało. Tromsdorff na pewno nie zaproponowałby mu pracy w swoim zespole, gdyby było inaczej.

– Racja. Powiedział mi jeszcze, skąd pochodzi ten cytat – ciągnął Faris. – Na pewno z jakiegoś miejsca w Biblii, ale nie zapamiętałem dokładnej lokalizacji. Kiedy wybuchła bomba, podał mi dalszą część tego cytatu i ją z jakiegoś powodu dobrze zapamiętałem. „A gdy skończyli modlitwę, zatrzęsło się miejsce, na którym byli zebrani”.

Połączenie sytuacji z dworca i biblijnego cytatu trafiło go z mocą fali uderzeniowej. Zacisnął dłonie i uniósł je do skroni, ale szybko wziął się w garść. Nie pamiętał dokładnie miejsca, skąd te słowa zostały zaczerpnięte, jednak każdy dźwięk w tle, każde słowo i każdy oddech mężczyzny, z którym rozmawiał, wyrwały się trwale w jego pamięci. Później spisze wszystkie szczegóły w raporcie z porannej rozmowy, ale wiedział, że otaczali go doświadczeni specjaliści od profilowania kryminalnego. Zdawał sobie sprawę, że często rozwiązanie sprawy kryło się w pierwszych relacjach i nawet nieświadomych sformułowaniach, spisywanych zaraz po zdarzeniu. Właśnie z tego powodu po raz kolejny powtórzył głośno wszystko, co zapamiętał:

– „Gdzieś w twoim przepięknym mieście, Faris, jakiś facet wisi sobie na krzyżu. A ty masz go znaleźć. Dopóki bije jego serce, wszystko jest w porządku. Ale jeśli przestanie, zanim go znajdziesz, to... Jak mówi Biblia: „zatrzęsło się miejsce, na którym byli zebrani”. Chyba wiesz, co to znaczy, prawda?”

W czasie kiedy mówił, Ben podszedł do innego komputera i zaczął pisać na klawiaturze. Faris domyślił się, że szuka źródła cytatu, który właśnie podał – i miał rację, bo kolega chwilę później obwieścił:

– Dzieje Apostolskie. – Wszyscy spojrzeli w jego stronę. – Rozdział czwarty, wers trzydziesty pierwszy: „A gdy skończyli modlitwę, zatrzęsło się miejsce, na którym byli zebrani, i napełnieni zostali wszyscy Duchem Świętym, i głosili z odwagą Słowo Boże”.

Gitta westchnęła.

– To może dotyczyć całego Berlina. Trwają właśnie Ekumeniczne Dni Kościoła. – Miała rację. W ramach obchodów odbywało się około pięciu tysięcy imprez w różnych miejscach miasta, a według szacunkowych danych miało w nich uczestniczyć łącznie ponad ćwierć miliona ludzi.

Szef WPR-u odchrząknął.

– Dobrze, do tego jeszcze wrócimy. – Po czym zwrócił się do Farisa: – Domyślasz się może, dlaczego ten człowiek zadzwonił akurat do ciebie? Masz jakieś podejrzenia?

– Nie, tak naprawdę nie mam pojęcia. Ale moim zdaniem sugerował, że jest związany z atakiem na Muzeum Klerscha. Może to ta sama osoba. – Po czym wyjaśnił pozostałym sprawę arabskiego pozdrowienia i znaczenia, jakie ze sobą niosło.

– *As-samu alaikum*. – Tromsdorff potaknął. – Dobrze to pamiętam.

– „Pokój z tobą”? – Marc podrapał się po głowie. – Dlaczego miałyby to...

– *As-samu alaikum* wcale nie oznacza „pokój z tobą” – przerwał mu Faris. – Pokój z tobą po arabsku to *as-salamu alaikum*. *As-samu alaikum* ma o jedną sylabę mniej, nie zauważyłeś? W wolnym tłumaczeniu można to przełożyć jako „śmierć z tobą”.

– Ups. – Marc zrobił skruszoną minę i nerwowym ruchem odgarnął włosy z czoła. – Nie wiedziałem.

Poczuł się bardzo nieswojo i nie potrafił tego ukryć. Faris nie mógł się nadziwić takiej reakcji, która wydawała mu się typowo niemiecka.

– Bo nie mogłeś wiedzieć – powiedział. – To były ostatnie słowa zamachowca z muzeum, zanim wysadził ładunek wybuchowy.

– Hm – mruknął głośno Tromsdorff i uniósł dłoń. – Poza tym, jeśli mnie pamięć nie myli, nigdy nie upubliczniliśmy tej informacji.

Kiedy przy stole taktycznym dyskusja toczyła się w najlepsze, Gitta wróciła do swojego terrarium. Od mniej więcej roku cała Krajowa Policja Kryminalna została włączona do systemu komputerowego o nazwie DigAA, który pozwalał przeglądać zdigitalizowane akta poszczególnych spraw włącznie z nagraniami z wizji lokalnych, miejsc zbrodni oraz z odsłuchiwaniami zeznań i przesłuchań powstałych w trakcie dochodzenia. Dzięki temu Gitta, nie ruszając się zza biurka, mogła wygodnie uruchomić odtwarzanie nagrań z muzeum i przejrzeć raporty – i to właśnie zrobiła.

– Tak na szybko mogę wam powiedzieć, że doliczono się siedemdziesięciu pięciu ofiar – oznajmiła, kiedy skończyła. – Koledzy z laboratorium postarali się i zidentyfikowali fragmenty zwłok zamachowca. – Spojrzała na Farisa. – To by oznaczało, że człowiek, który do ciebie zadzwonił, nie mógł być tym samym, który wysadził się w muzeum.

Faris zamknął oczy i potarł powieki. Już wcześniej o tym pomyślał i doszedł do podobnego wniosku.

– Mimo to facet sugeruje, że to on. Dlaczego?

– Może to tylko jakaś sztuczka – zgadywał Paul. – Fortel, który wykorzystał, żebyś się nie opierał, tylko natychmiast ruszył na dworzec, tam, gdzie chciał cię mieć.

Faris wzruszył ramionami.

– Niewykluczone. Ale tak samo nie można teraz wykluczyć, że rzeczywiście jest w ten czy inny sposób związany z zamachem w muzeum.

– Jeśli nawet, to jak? – zapytał Marc.

W War Roomie zapadła cisza. W ten sposób do niczego nie dojdą!

– Możesz coś pokombinować z komórką Farisa? Wyciągnąć jakieś dodatkowe informacje? – zapytał Tromsdorff, patrząc na Bena. – Może udałoby się znaleźć coś, co pozwoliłoby ustalić tożsamość dzwoniącego?

Ben odruchowo sięgnął po poobijany i zniszczony aparat leżący na stole.

– Numer dzwoniącego jest zastrzeżony. Żeby telekom przekazał nam dane dotyczące połączenia, trzeba przedłożyć im nakaz sądowy. To samo dotyczy nadawcy mejla z nagraniem. Najpierw potrzebna jest decyzja sądu, z którą zwracamy się do dostawcy Internetu. Dodatkowo trzeba mieć nadzieję, że gość był dość głupi, żeby zostawić za sobą wyraźne ślady w postaci jakiegoś numeru telefonu czy konta, którego używał.

– Sam chyba nie wierzysz, że popełniłby taką głupotę. – Faris zdecydowanie potrząsnął głową. – Facet zhakował system monitoringu metra na całym dworcu na Bismarckstraße. To nie jest pierwszy lepszy głupek.

– Kamery w metrze... – Tromsdorff podrapał się po brodzie. – Koledzy z wydziału bezpieczeństwa wewnętrznego już nad tym pracują. Może los się do nas uśmiechnie i ktoś z obsługi zwrócił na niego uwagę?

Zamyślony Ben wpatrywał się w telefon Farisa, jakby chciał odgadnąć, co kryje się w zakurzonej komórce.

– Raczej bym na to nie liczył, bo takie rzeczy robi się z innego miejsca, a nie fizycznie podłącza do kamer. Hakerzy na co dzień włamują się do tego typu systemów i to z kanapy w swoim pokoju. – Podeszedł do białej tablicy magnetycznej, podniósł flamaster i zaczął pisać.

Sprawca = haker?

– To by również mogło tłumaczyć, skąd wie o przekręconym pozdrowieniu – dodał w końcu. – Gdyby włamał się do DigAA, mógłby o tym przeczytać w aktach.

– No pięknie – jęknął Tromsdorff. Po jego minie widać było, że nie jest zachwycony myślą o kimkolwiek włamującym się do centralnego systemu Krajowej Policji Kryminalnej. – Poinformuj, proszę, kolegów z działu informatycznego, niech to sprawdzą, Ben. Koniecznie. A potem zgłoś się po informacje do dostawcy Internetu i do telekomu. Nakaz sądowy to w tym wypadku czysta formalność. Możesz od razu brać się do roboty.

Ben zamknął flamaster i odłożył na półeczkę przy tablicy, po czym usiadł do komputera i zaczął stukać w klawiaturę. Już chwilę później rozległ się krótki sygnał dźwiękowy, świadczący o wysłaniu mejla. Prawdopodobnie pierwsza wiadomość poszła do ludzi z działu IT, odpowiedzialnych za działanie i bezpieczeństwo wewnętrznej sieci całej policji. Potem sięgnął po telefon. Wybrał zakodowany w pamięci numer i znieruchomiał na chwilę.

– Cześć, Carla, to ja – powiedział nagle. – Musimy ustalić nadawcę mejla i prześledzić połączenie z zastrzeżonego numeru. Postanowienie sądu będzie lada chwila. – Kilka sekund słuchał, co Carla ma mu do powiedzenia. – Tak – potwierdził. – Przesłałem już wszystkie dane na serwer. Tylko proszę, pospieszcie się. Ta sprawa jest naprawdę pilna! – Po czym bez słowa pożegnania zakończył połączenie. – To trochę potrwa.

– Skoro nie ma innego wyjścia... – Tromsdorff wpatrywał się zamyślonym wzrokiem w oświetlony ekran rzutnika. – Dobra, to zaczynamy według standardowej procedury. Analiza nagrania, profil sprawcy. Wiecie, co robić, więc nie ma na co czekać.

– Może ten filmik zawiera szczegóły, od których moglibyśmy zacząć i ustalić, gdzie znajduje się pomieszczenie z krzyżem? – zaproponowała Shannon.

Ben stuknął kilka razy palcem w gładzik komputera, a w następnej chwili na ekranie pojawiła się stopklatka z ukrzyżowanym. Mężczyzna miał zwieszoną głowę, a krew sącząca się z ran spowodowanych cierniami z korony cierniowej ściekała mu po twarzy i szyi aż na klatkę piersiową. Nieznajomy rozczapierzył powykrzywiane palce. Gdyby nie przyklejone do skóry elektrody i wężyk kroplówki niknący gdzieś z boku szyi

można by pomyśleć, że to jakaś inscenizacja przedstawiająca obraz z religijnym motywem.

Skupiony Faris wpatrywał się w ekran. Poza mężczyznę na krzyżu nie widział niczego więcej, jedynie fragment szarej ściany. Nie potrafiłby jednak powiedzieć, czy to surowy beton, czy raczej stara tapeta, tak nieostre było tło.

– Nic z tego nie będzie – powiedział sfrustrowany.

Marc uniósł dłoń, nie czekał jednak, aż ktoś udzieli mu głosu.

– Wiemy w ogóle, ile czasu mamy do wybuchu kolejnej bomby? W sensie, ile może wytrzymać ktoś ukrzyżowany w taki sposób?

Shannon odłożyła na swoje biurko piłeczkę tenisową, którą od samego początku się bawiła, i wstała.

– Ukrzyżowanie – wyjaśniła głosem wykładowcy prowadzącego zajęcia dla studentów – to rodzaj tortury, który powoduje ogromne obciążenie i szok dla całego organizmu, zazwyczaj połączony z obfitą utratą krwi. Przynajmniej jeśli brać pod uwagę chłostę i koronę cierniową. Nasz sprawca najwyraźniej zdaje sobie z tego sprawę, bo podał mu kroplówkę. Domyślam się, że zrobił to właśnie z powodu utraty krwi.

– Czyli? – zainteresował się Tromsdorff.

Shannon nabrała głęboko powietrza.

– Czyli prawdopodobnie zależy mu, żeby ofiarę przez jakiś czas utrzymywać przy życiu. Tyle że w przypadku ukrzyżowania to nie utrata krwi jest największym problemem, tylko ułożenie ciała i brak możliwości najmniejszego ruchu. – Podeszła do ekranu i długopisem, który zabrała po drodze, wskazała na rozłożone na całą szerokość ramiona mężczyzny. – Rozłożone ramiona i usztywniona, wyprostowana pozycja prędzej czy później doprowadzą do problemów z oddychaniem i krążeniem, a w efekcie do uduszenia.

– Czy istnieją jakieś badania, jak długo człowiek może... – Faris nie mógł dokończyć pytania.

Policjantka spojrzała na niego poważnie.

– Istnieją. Jeśli ранego najpierw nie zabije szok ani utrata krwi, może przeżyć przynajmniej kilka godzin... czasem nawet kilka dni. Popatrzcie dokładniej tutaj – mówiąc to, wskazała długopisem na miejsce w okolicach pośladków ukrzyżowanego. – To jest coś w rodzaju minisiodła, na którym ukrzyżowany może się oprzeć, jeśli nie jest w stanie nabrać powietrza. W dawnych czasach stosowano takie rozwiązania tylko po to, żeby przedłużyć cierpienia ofiar.

– O Boże... – jęknęła Gitta. – Co za bestialstwo!

– Nie! – krzyknął Faris zupełnie niespodziewanie, na co sekretarka zamarła i spojrzała na niego zbита z tropu. Nie marnował czasu, żeby jej wyjaśnić, że nie chodziło mu o bestialstwo, tylko o słowa Shannon. – Ten mężczyzna nie będzie konać przez kilka dni. Ma maksymalnie czterdzieści godzin.

– Jak to? – Paul popatrzył na niego zaskoczony. Pozostali też zaczęli się gubić.

– Nie wiem, dlaczego akurat teraz mi się to przypomniało. – Faris gorączkowo szukał w myślach słów rozmówcy z poranka. – Ale wiem na pewno, że dzwoniący kilkakrotnie podkreślił, że musimy znaleźć tego człowieka w ciągu najbliższych

czterdziestu godzin...

Rozdział 8

Alexander

Postać w aureoli się poruszyła. Minęło sporo czasu i choć Alexander to siedział na ziemi pod krzyżem, to chodził tam i z powrotem jak zwierzę w klatce, nie potrafił w oślepiającej poświacie dostrzec niczego poza niewyraźnym zarysem ludzkiej sylwetki.

MUSIMY CZEKAĆ – powiedział głos, po czym zamilkł na dłuższą chwilę. Alexander miał wrażenie, że od strony światła promieniuje też złość. Im dłużej o tym myślał, tym silniejsze było jego przekonanie, że oto stoi naprzeciw anioła, wysłannika Boga.

Przecież w Biblii zostało wyraźnie napisane, że jego widok będzie wzbudzał strach, prawda?

Mężczyzna na krzyżu jęknął. Alexander uniósł głowę i spojrzał w jego stronę. Dlaczego z takim trudem przychodziło mu myślenie o nim jako o swoim ojcu?

Rytmiczne pikanie wywoływało coraz silniejszy ból głowy.

W końcu anioł znów przemówił:

CHCĘ USŁYSZEĆ, CO STAŁO SIĘ PÓŹNIEJ, JAK WYGLĄDAŁ CZAS PO TAMTEJ ŚWIĄTECZNEJ NIEDZIELI. OPOWIADAJ! – zażądał.

Alexander przełknął głośno ślinę. Wolał nie pamiętać. Nie chciał pamiętać. Bo to sprawiało ból. Najchętniej zapomniałby o tym wszystkim już na zawsze. Ale anioł był nieugięty.

MÓW! – rozkazał.

Musiał posłuchać.

Przez dłuższy czas po świętach nie dzieje się nic specjalnego. Ojciec czyta Biblię. Modli się bardzo dużo i równie dużo opowiada o Bogu. Pewnego dnia Alexander zauważa, że jego ojciec siada wprawdzie z nimi do posiłku, lecz prawie nic nie je. Czasem skubnie jeden listek sałaty, wypije szklankę wody i to wszystko. Mizernieje. Przerażająco szybko.

Kiedy Alexander pyta go w końcu, czy jest chory, na jego twarzy pojawia się szczęśliwy uśmiech.

– Nie. Już nie – odpowiada.

Ale Alexander nie rozumie jego słów.

– Byłem chory – wyjaśnia ojciec. – Tutaj, w środku. – Mówiąc to, kładzie dłoń na piersi, w miejscu, gdzie znajduje się serce. – Byłem chory przez grzech, który we mnie mieszkał. Ale to już minęło. Już go nie ma.

– Jak to możliwe, że jesteś już zdrowy, skoro tak słabo wyglądasz? – dopytuje się Alexander.

I rzeczywiście, twarz ojca ma barwę popiołu i jest poorana coraz głębszymi zmarszczkami, jak u znacznie starszych ludzi. Spodnie zsuwają mu się z zapadniętego brzucha i wystających kości miednicy.

– Ciało jest bez znaczenia – tłumaczy mu ojciec. – Najważniejszy jest duch. To jedyne, co się liczy. Dusza. Wiedziałeś, że Jezus przez czterdzieści dni pościł, żeby oprzeć się kuszeniu diabła?

Czterdzieści dni! Alexander nie może uwierzyć, bo to strasznie długo. Zaczyna się zastanawiać, od kiedy ojciec nie je. Ile dni już minęło? Nie ma pojęcia.

– Szatan czyha wszędzie! – ostrzega go tata. – Wodzi nas na pokuszenie, codziennie, zawsze!

Alexander się zastanawia.

– Sam nie wiem... – mruczy.

Ojciec chwyta go nagle za ramię i spogląda mu dziko w oczy.

– Myślałeś ostatnio o kimś źle? Życzyłeś komuś nieszczęścia? Przeklinałeś mnie albo twoich znajomych?

Chłopiec nie wie, co odpowiedzieć.

– Nie otworzyłeś szczerze serca przed Bogiem w czasie modlitwy? – Ojciec mówi coraz wyższym i coraz bardziej przenikliwym głosem. Rozgląda się nerwowo i wytrzeszcza oczy.

Alexander czuje się nieswojo. Przełyka głośno.

– Miałeś nieczyste sny? Zazdrościłeś komuś dóbr doczesnych albo szczęścia?

– Tata mówi coraz szybciej, a pytania wystrzeliwują z jego ust niczym kule z karabinu maszynowego i uderzają w zdezorientowanego chłopca.

– Przeklinałeś? Używałeś brzydkich słów, kiedy mówiłeś albo myślałeś o mamie?

Czy... – Ojciec nie przerywa. Dyszy ciężko, potrząsa nim za ramiona i zarzuca pytaniami.

Czy zrobiłeś...

Czy pomyślałeś...

Czy...

– Tak! – krzyczy chłopiec, by to zakończyć. – Tak! Tak! – Łzy spływają mu po policzkach, a w piersi rodzi się głęboki, rozpaczliwy szloch, który wędruje coraz wyżej i wyżej. Ojciec milknie i nie zarzuca go kolejnymi pytaniami, ale jest już za późno, bo szloch dociera do gardła i wstrząsa ciałem Alexandra, tak jak przed chwilą ojciec trzymający go za ramiona.

– Tak – szepcze chłopiec i się garbi. – Robiłem to wszystko, tak.

Czuje się tak okropnie podle. Jest brudny i pełen zła, aż sam się siebie brzydzi. Drgawki wstrząsają jego ciałem, a on nie może ich kontrolować. To z całą pewnością diabeł! To szatan trzyma go w szponach!

– Nie płacz. – Niespodziewanie głos jego ojca jest delikatny i spokojny.

Zaskoczony podnosi wzrok i patrzy w górę. Tata się uśmiecha. W jego oczach kryje się jakaś zagadka, jakby był zamyślony.

– Bóg ci wybaczy, jeśli szczerze będziesz żałował swoich grzechów.

– Ale jak miałbym ich żałować? – szepcze Alexander. Bo to wszystko prawda. Nakrzyczał na matkę, ale przecież czuł, że ma rację. I tak, schowany pod kołdrą oglądał nieprzyzwoite gazetki i dotykał się w tym czasie. Tylko jak miałby teraz tego żałować, skoro to było takie przyjemne?

Próbuje, ale nie potrafi.

– *Jestem złym człowiekiem – szepcze zrozpaczony. Palą go oczy.*

– *Nieprawda, wcale nie jesteś! – Ojciec chwyta go za ramiona i zmusza, by spojrział mu w oczy. – Musisz tylko pójść za moim przykładem.*

– *Czyli co mam robić? Mam pościć, tak jak ty?*

Ale ojciec milczy i nie odpowiada. Zamiast tego zaczyna cytować:

– *I zaraz powiódł Go Duch na pustynię. I był na pustyni czterdzieści dni, kuszony przez szatana, i przebywał pośród zwierząt, a aniołowie służyli Mu¹ – przerywa i nabiera głęboko powietrza, by zaraz kontynuować monotonnym głosem.*

Oczy go palą, kiedy spogląda w jaskrawe światło.

Anioł Pana stoi nieruchomo.

BYŁ KUSZONY PRZEZ SZATANA – powtórzył cichym głosem. Potem zaczyna się śmiać w taki sposób, że Alexandrowi włosy stają dęba.

– *Powiedziałem coś nie tak? – zapytał przestraszony.*

TY? – powtórzył anioł. – **NIE! SKĄD W OGÓLE TEN POMYSŁ?**

Alexander nie odpowiada. Czuje się mały, głupi i nic nieznaczący w obecności tego świetlistego bytu. Tak samo, jak czuł się w obecności ojca. Wtedy też był przekonany, że jest głupi i nic nie wie. Teraz i wówczas wypełniało go pragnienie znalezienia drogi.

– *Powiedz, co mam robić – poprosił.*

Anioł znów się roześmiał, lecz tym razem w jego głosie słychać było smutek. Czy anioły Pana nie były pełne żalu i smutku? Alexander starał się odnaleźć w pamięci wszystko, co babcia opowiadała mu o aniołach, ale nie potrafił. Miał mętlik w głowie. Serce waliło mu jak szalone.

MÓW DALEJ – polecił anioł po dłuższej chwili. – **ZACZAŁEŚ WIĘC POŚCIĆ. CO WYDARZYŁO SIĘ POTEM?**

To Alexander pamiętał. Zaczął mówić...

Matka z początku nie zauważa, co się dzieje, bo jest bardzo ostrożny. Nakłada sobie coraz mniejsze porcje i zjada coraz mniej. Zostawia mięso. Wreszcie na talerzu zostają również ziemniaki. Lecz w końcu matka widzi, że coś jest nie tak. Przy kolejnym posiłku przygląda mu się z troską.

– *Źle się czujesz? Jesteś chory? – pyta, spoglądając ponuro na ojca. Od jakiegoś czasu podejrzewa, co się dzieje.*

Alexander się waha, ale potrząsa głową. Kłamstwo to grzech, ojciec wielokrotnie mu to powtarzał.

Kobieta marszczy czoło.

– *Werner? – pyta lodowatym tonem.*

Ojciec nieruchomieje.

– *Co się z nim dzieje? – Głos matki zaczyna drżeć. – Zmusiłeś go, żeby też zaczął pościć, tak?*

Pyta, jakby sama nie wierzyła, że to się mogło zdarzyć, i szeroko otwartymi oczyma wpatruje się w ojca. Alexander widzi swoje odbicie w jej źrenicach.

– *Zmusiłeś go więc, żeby pościł razem z tobą? Tak?! – krzyczy matka.*

Ojciec potrząsa głową.

– *Nie ja. Pan Bóg.*

Mama zrywa się na równe nogi. Jej serwetka spada na stół.

– Werner! On ma dopiero dwanaście lat! – krzyczy. – On jeszcze rośnie! Masz mu natychmiast powiedzieć, żeby skończył z tą głupotą i zaczął jeść!

Ojciec potrząsa tylko głową.

– Szatan czai się wszędzie – mówi szeptem. – Musimy się przed nim bronić!

Wtedy złość na twarzy matki rozpada się na kawałki, a pęknięcia stają się zmarszczkami. Jej skóra robi się szara i stara. W jej spojrzeniu jest pustka.

– Ty potworze! – mówi głucho. – Albo natychmiast skończysz z tym idiotyzmem, albo zabieram Alexandra i się wyprowadzamy.

Ojciec milczy. Bez jednego słowa świdruje ją wzrokiem. Mijają sekundy, a oni patrzą na siebie i nic nie robią. W końcu matka odwraca się na pięcie i ze złością wychodzi z kuchni...

Alexander milknie i roztrzęsiony wciąga powietrze. Oślepia go jaskrawe światło, więc zasłania oczy rękoma.

DOBRZE, JUŻ DOBRZE – uspokaja go anioł. – NIEDŁUGO BĘDZIE PO WSZYSTKIM. POWIEDZ MI TYLKO, CO STAŁO SIĘ POTEM.

Nie odsłaniając oczu, Alexander odpowiada:

– Następnego dnia już jej nie było. – Nawet teraz, po takim czasie, robiło mu się ciężko na sercu i nie mógł w to uwierzyć. – Porzuciła mnie i zostawiła... – Waha się, milknie, by w końcu opuścić dłonie i spojrzeć na ukrzyżowanego mężczyznę. – Zostawiła na jego łasce.

NIE PORZUCIŁA CIĘ WCALE – zaprzecza anioł. Alexander ze zdziwieniem zauważył, że chyba drżał mu głos. A może się pomylił? – WSŁUCHAJ SIĘ W SIEBIE. CO PODPOWIADA CI TWÓJ ROZSADEK? W GŁĘBI DUSZY WIESZ, ŻE CIĘ NIE PORZUCIŁA.

Alexander nie chciał słuchać tych słów, nie chciał myśleć o tym wszystkim i nie chciał pamiętać, na co go skazała. Uniósł dłonie i zatkał uszy.

– Nie! – zaczął krzyczeć. – Nie! Nie!

POWIEDZ MI, JAK NAPRAWDĘ MYŚLISZ? – zapytał anioł.

Jednak Alexander nie chciał ubrać tego w słowa. Łzy zbierały się pod zaciśniętymi powiekami. Gwałtownie potrząsnął głową. Nagle znów miał dwanaście lat i wstrząsał nim szloch.

– Odeszła! Najzwyczajniej w świecie odeszła! I nigdy nie wróci. A ja i tata stoimy w ogrodzie.

W OGRODZIE – powtórzył anioł.

– W ogrodzie. – Alexander otworzył oczy i spojrzał prosto w jaskrawe światło. Nie mrugał, tylko patrzył, tak długo, aż zaczęła boleć go głowa. Taki ból pozwalał mu przynajmniej zapomnieć o cierpieniu, które nosił w sercu. – Wykopaliśmy dziurę w ziemi i ją zasypujemy. Na grządkach jest świeża ziemia.

– Czterdzieści godzin. – Paul przekrzywił głowę i zaczął się zastanawiać. – Możliwe, że dał nam w ten sposób wskazówkę, co zamierza. Wiesz może, od kiedy

zaczął je liczyć? – zapytał Farisa.

– Od rozmowy. Zadzwoił do mnie punktualnie o ósmej trzy.

Paul wstał i podszedł do tablicy, na której Ben zapisał pierwszą notatkę. Wziął do ręki flamaster i narysował długą poziomą linię, po czym na jej początku zaznaczył krótki pionowy odcinek.

– Przyjmijmy więc, że to jest nasza godzina zero.

Na końcu poziomej kreski napisał czterdzieści i poprawił je dwa albo trzy razy, po czym zaczął liczyć.

– W takim razie czterdzieści godzin minie jutro... o północy.

– *Shit!* – Shannon nie powstrzymała się i zaklęła.

Faris spojrzał na twarze współpracowników i współpracowniczek. Atmosfera w pomieszczeniu zrobiła się tak gęsta, że niemal można było ją ciąć nożem.

– Jutro wieczorem... – ciągnęła Shannon – ...dokładnie o dwudziestej trzeciej na Stadionie Olimpijskim zaczyna się duża msza ekumeniczna na zakończenie Dni Kościoła. O północy wypadnie pewnie jej kulminacja.

Stadion Olimpijski! Faris przymknął oczy. Oczywiście, że tak! Sam przecież czytał o tej wyjątkowej okazji. W mediach zapowiadano ją jako liturgię światła i przewidywano, że stanie się prawdziwą sensacją. Jeden z sąsiadów wyjaśnił mu niedawno, czym będzie się wyróżniać: liturgia światła miała być pierwszą prawdziwie ekumeniczną mszą, w czasie której ramię w ramię staną obok siebie przedstawiciele wszystkich kościołów chrześcijańskich zachodniego świata. Po niemal pięciuset latach, w czasie których Kościół katolicki odmawiał ewangelikom prawa do sakramentu komunii, i po kilkudziesięciu latach zaprzeczania, by protestanci byli prawdziwym Kościołem, w ostatnich miesiącach doszło do zmiany podejścia, które najprawdopodobniej wynikało z tragicznej śmierci papieża. Zwierzchnik Kościoła katolickiego zginął bowiem w katastrofie lotniczej nad Atlantykiem. Jego następcą, duchowny z Ukrainy, który w wieku sześćdziesięciu lat był jednym z młodszych papieży, natychmiast obrał kurs na zbliżenie z pozostałymi Kościołami chrześcijańskimi. Jednym z przystanków na tej drodze – tym najbliższym i najwyraźniejszym – była jutrzejsza msza ekumeniczna.

– Co za przesrany syf! – Ben zaklął niespodziewanie. W całym pomieszczeniu nie znalazła się ani jedna osoba, która by mu zaprzeczyła.

Paul, który nie ruszał się sprzed tablicy, teraz przesunął się tylko nieco w bok i zaczął sporządzać listę.

Motyw? Zapisał na samej górze i spojrzał na pozostałych.

– Zakłócenie mszy albo niedopuszczenie do komunii – powiedziała Gitta. Wszyscy myśleli podobnie.

Paul zanotował to zaraz na początku listy.

– To by oznaczało, że nasz zamachowiec jest fundamentalistą chrześcijańskim – mruknął, kiedy skończył.

– Ja... – zaczął Ben i chciał powiedzieć coś jeszcze, jednak Faris go uprzedził:

– Nie jestem przekonany. Czy fundamentalista chrześcijański zainscenizowałby to w taki akurat sposób? – Wskazał na obraz ukrzyżowanego, cały czas wyświetlany przez rzutnik na ekranie. – Jak dla mnie to wygląda raczej na szyderstwo i kpinę z wiary. Jak

myślicie?

Ben opadł ciężko na oparcie i założył ramiona na piersi.

Shannon potrząsnęła głową. Po skończeniu krótkiego wykładu na temat reakcji fizjologicznych organizmu na ukrzyżowanie wróciła na swoje miejsce, wzięła do ręki piłeczkę tenisową i z dużą siłą ją ugniatała.

– W Indonezji są fanatycy, którzy co roku w Wielkanoc dobrowolnie dają się przybić do krzyża, co ma zapewniać im jakąś formę przeżycia duchowego. Oceniasz to ze swojego – muzułmańskiego – punktu widzenia, Faris. Dla chrześcijanina wizualizacja ukrzyżowania nie jest bluźnierstwem, w przeciwieństwie do muzułmanów właśnie, dla których byłoby to szyderstwem z proroka. – Nachyliła się nad biurkiem i zapisała coś w notatniku. – Sprawdzę, czy funkcjonują obecnie jakieś ugrupowania, dla których centralnym motywem jest krzyżowanie. Być może uda się nam ustalić jakieś powiązania z przeciwnikami sakramentu komunii.

Paul wycelował w nią flamastrem.

– Racja, ale powinniśmy również wziąć pod lupę grupy teatralne. Szczególnie te odtwarzające Pasję.

– Dobry pomysł – zgodził się Tromsdorff. – Co jeszcze?

Ben znów otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz w tej samej chwili coś musiało się pojawić na ekranie jego komputera, bo przerwał, nachylił się nad ekranem i wpatrywał się w niego uważnie. Szef WPR-u odczekał chwilę, czy podwładny będzie chciał się w końcu wypowiedzieć, lecz on był tak bardzo skupiony na swoim komputerze, że nawet tego nie zauważył.

Paul spoglądał na duży ekran, na którym wciąż było widać postać ukrzyżowanego mężczyzny.

– Po co taka skomplikowana inscenizacja? – zapytał, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Pozostali patrzyli na niego w milczeniu.

Po chwili podrapał się po karku.

– Zastanówcie się: zwykły zapalnik czasowy równie dobrze zrobiłby swoje, prawda? Gość osiągnąłby cel prostym odliczaniem czasu. Więc po co to całe krzyżowanie? I skąd akurat ta liczba? Dlaczego dokładnie czterdzieści godzin? – Mówiąc to, spoglądał po kolei na kolegów i koleżanki. Nikt jednak nie potrafił udzielić mu odpowiedzi.

– O kurwa... – jęknął nagle Ben.

Faris spojrział na niego zaintrygowany, lecz zanim zdążył zapytać, o co chodzi, ktoś energicznie otworzył drzwi i do biura wmaszerował Marvin Andersen.

– Dzień dobry wszystkim – powiedział od progu.

– Pracujemy właśnie nad nakreśleniem wstępnych ram profilu sprawcy – poinformował go Tromsdorff. – I jednego jesteśmy prawie pewni: zamachowiec najprawdopodobniej planuje przeprowadzenie ataku w czasie jutrzejszej mszy ekumenicznej z udziałem papieża. – Po czym w krótkich słowach zapoznał Andersena z dotychczasowymi przemyśleniami i wnioskami swoich ludzi.

Andersen słuchał uważnie, a kiedy Tromsdorff skończył, wyjął telefon, wybrał

jakiś numer i powiedział krótko:

– Kevin, Stadion Olimpijski. Podnieście priorytet na jedynekę. – Rozłączył się i skinął głową w stronę Paula. – Zdaje się, że panu przerwałem. Proszę, niech pan kontynuuje.

Paul poczekał uprzejmie, czy Andersen będzie chciał usiąść, jednak nie widząc, by szef Krajowej Policji Kryminalnej miał zamiar zająć miejsce, powtórzył pytanie, które zadał przed jego przyjściem.

– Po co ta cała skomplikowana inscenizacja?

Tromsdorff pierwszy zabrał głos.

– Moim zdaniem chce w ten sposób wyrównać jakieś rachunki.

– Możliwe. – Faris potaknął. Sam wpadł na bardzo podobny pomysł. – Ukrzyżowanie to dla niego sygnał. Chce nam w ten sposób coś przekazać. – Przywołał z pamięci słowa, które zamachowiec wypowiedział już po eksplozji bomby w metrze. – Kiedy go zapytałem, dlaczego to zrobił, zaczął mówić coś o wyroku boskim. I o znaku.

Tromsdorff stał oparty o stół taktyczny. Jego T-shirt mienił się błękitem.

– Spróbuj przypomnieć sobie dokładnie, co powiedział. Słowo w słowo – polecił.

Faris przymknął oczy. W głowie znów usłyszał szept nieznanego i zaczął go cytować.

– Zapytałem go, dlaczego, na co on odpowiedział: „Może chciałem, żeby wszyscy wiedzieli?”. Przez cały czas miałem wrażenie, że gość musi się powstrzymywać, żeby nie wybuchnąć śmiechem. A potem dodał jeszcze: – „Macie czterdzieści godzin, żeby znaleźć faceta na krzyżu. Inaczej *as-samu alaikum*”.

– Jeśli chodzi o to pozdrowienie... – Paul znów włączył się do rozmowy. – Czy ono cokolwiek nam daje?

– Nie! – zaprzeczył natychmiast Ben.

Tromsdorff spojrział na niego i uniósł brwi.

– Skąd ta pewność, Ben?

– Bo już wiemy, że ten skurwysyn rzeczywiście włamał się do DigAA. Dokładnie tak, jak podejrzewaliśmy. Przed chwilą dostałem mejla z potwierdzeniem od ludzi z IT. Wcześniej tego nie zauważyli. Facet jest naprawdę dobry. Obawiam się, że zna wszystkie szczegóły eksplozji w muzeum. – Ben oparł się i splótł ręce za głowę. Było widać, że gotuje się z wściekłości; w trakcie tworzenia cyfrowego archiwum policyjnego Ben pracował w zespole odpowiedzialnym za firewalle.

Faris się domyślał, że atak na serwery i włamanie traktował jako osobistą obrazę.

– Chłopaki z IT dadzą radę ustalić, skąd przyszedł atak? – zapytał.

Ben potrząsnął głową.

– Już się do tego zabrali, ale to potrwa. Raczej nie ma szans, by uporali się z tym w ciągu najbliższych czterdziestu godzin. – Zmarszczył nos i prychnął. – Wspomniałem już, że facet jest naprawdę dobry? – W jego głosie słychać było mimowolny szacunek. – Ale to nie wszystko. – Wskazał dłonią na obraz z rzutnika.

Przez kilka sekund milczał i dopiero wtedy dokończył.

– On nie działa sam!

Mk 1,12-13. [\[wróć\]](#)

Rozdział 9

Alexander

Bolały go oczy od światła, które emanowało od anioła. Wahał się przez dłuższą chwilę, lecz w końcu zdecydował się znów zrobić krok w jego stronę, choć anioł wyraźnie mu tego zabronił.

Ku jego zaskoczeniu nie rozległ się karcący głos i nikt nie kazał mu się cofnąć. Czuł ciepło padającego na niego, jaskrawego światła, od czego łaskotała go skóra. Znał to wrażenie z czasów, gdy grał w jasełkach w kościele, a scenę oświetlano silnymi reflektorami. A jeśli... a jeśli źródło tego światła wcale nie jest pozaziemskie?

Alexander wyciągnął dłoń.

Co będzie, jeśli się okaże, że kryje się w nim nie posłaniec Boga, a człowiek z krwi i kości? Przecież widział zarys sylwetki, prawda? Miała ludzki kształt... i brakowało jej skrzydeł.

Przerażony swoją śmiałością potrząsnął głową. Nie chciał tak myśleć. Przecież anioł sam mu wyznał, kim jest! Uderzył dłońmi w skronie. Wciąż te natrętne, przerażające myśli! Tylko dlaczego tyle trudniej było mu wierzyć w jego słowa niż w słowa ojca?

Odsunął się od światła, które emanowało z narożnika przy drzwiach. Nagle ogarnęło go pragnienie, żeby jak najszybciej uciec z tego niskiego, wyłożonego płytkami pomieszczenia... lecz żeby to uczynić, musiałby przejść tuż obok źródła światła. I choć przecież chwilę wcześniej już to zrobił, teraz myśl, że miałby znów się do niego zbliżyć, wydała się nieprawdopodobna, a sam pomysł niewykonalny. Drżąc na całym ciele, wycofał się w najdalszy narożnik pomieszczenia.

– Dlaczego nie jestem taki jak ty, tato? – zapytał.

Lecz ukrzyżowany nie odpowiedział.

Alexander uniósł wzrok.

– Aniele?

I znów nie otrzymał odpowiedzi.

– Co to znaczy? Skąd wiesz, że nie działa w pojedynkę? – zapytał Faris.

Zamiast odpowiedzieć, Ben ponownie uruchomił odtwarzanie filmu przesłanego przez tajemniczego nieznajomego.

– Patrzcie uważnie – polecił pozostałym.

Faris zmrużył oczy i bardzo się skupił, a jednak nie od razu odgadł, na co Ben chciał zwrócić ich uwagę. Pierwsza zauważyła to Shannon.

– Chodzi o zoom, tak?

Zanim Ben zdążył potwierdzić jej przypuszczenia, Faris w końcu pojął – kamera została umieszczona na statywie, bo obraz był bardzo stabilny i w ogóle się nie kołysał. Mimo to film przedstawiał zbliżenia różnych elementów rozgrywającej się tam sceny:

twarz krzyżowanego mężczyzny i jego ręce, kiedy przebijały je gwoździe. Ktoś musiał obsługiwać kamerę w czasie, kiedy zakapturzona postać uderzała młotkiem.

Nie mieli zatem do czynienia z jednym sprawcą, a z dwoma!

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Paul podszedł do tablicy, wziął do ręki flamaster i w milczeniu napisał: *Dwóch sprawców???* Po czym zastanowił się i zmasał trzy znaki zapytania.

– No dobrze... – Tromsdorff odepchnął się od stołu, o który dotychczas się opierał, i zaczął nerwowo chodzić po biurze. – Zastanówmy się nad rozszerzeniem profilu. Przynajmniej jeden ze sprawców jest inteligentny i dobrze zorganizowany. Jest w stanie zaplanować i przeprowadzić tak skomplikowaną akcję. Co więcej, potrafi złamać zabezpieczenia naszej bazy danych. Musimy przyjąć, że wszystko, co robi, jest przemyślane i ma jakiś cel.

Shannon odkaszlnęła.

– Czy możemy również założyć, że dzwoniący był Arabem?

Tromsdorff zajął miejsce Paula przy tablicy i obok listy z przypuszczalnymi motywami zaczął tworzyć nową, a na samej górze napisał: *Sprawca?*

Poniżej zanotował w punktach: „bojówka chrześcijańskich fundamentalistów, działający w pojedynkę fanatyczny chrześcijanin, arabskie korzenie”.

Nie skończył zapisywać ostatniego słowa, kiedy otworzyły się drzwi i w progu War Roomu stanęła kolejna osoba.

Była to kobieta, szczupła i stosunkowo niska. Miała czarne włosy przycięte w bardzo starannego boba o idealnych kątach i równych brzegach, które sprawiały przez to wrażenie ostrych jak brzytwa. Kiedy ruszyła w stronę zebranych, włosy poruszały się w rytm jej kroków. Oczy miała pomalowane na srebrnoszaro, za to na usta nałożyła intensywnie granatową szminkę. Tego samego koloru użyła do pomalowania paznokci. Widząc to, Faris przypomniał sobie urwany palec w muzeum. Zamrugał, żeby pozbyć się niechcianego obrazu, i skupił się na tym, co działo się teraz.

Kobieta nazywała się doktor Anke Geiger, była radczynią kryminalną i dyrektorką departamentu pierwszego Krajowej Policji Kryminalnej. Zajmując to stanowisko, była na tym samym poziomie co Andersen i sprawowała zwierzchnictwo nad Tromsdorffem – nad nim i jego zespołem.

W całym pomieszczeniu nie było nawet jednej osoby, która darzyłaby ją sympatią.

– Ależ proszę sobie nie przeszkadzać i nie zwracać na mnie uwagi – powiedziała.

– Kontynuujcie, jakby mnie tu w ogóle nie było.

Usiadła na jednym z wolnych miejsc przeznaczonych dla gości, założyła nogę na nogę i poprawiła spódnicę ciemnoszarego kostiumu. Miała silnie umięśnione, niemal żyłaste łydki, sugerujące nadzwyczajnie intensywne treningi biegowe.

Tromsdorff zrobił się wyraźnie nieswój. Wyprostowany wskazał palcem na ostatnią pozycję na swojej liście:

– Zastanawialiśmy się właśnie, czy sprawca zamachu ma arabskie korzenie, czy nie.

– Czy to oznacza, że za zamachem stoją islamiści? – zapytała doktor Geiger.

– Nie – zaprzeczył Faris.

Kobieta uniosła bardzo starannie wyregulowaną brew.

– Nie? A jest pan tego zupełnie pewien, gdyż...? – Popatrzyła na niego wyzywająco i Faris jak zwykle odniósł wrażenie, że mu nie ufa. Sposób, w jaki się do niego odnosiła – chłodno, z dystansem i nieskrywaną niechęcią – już nieraz kazał mu się zastanowić, skąd bierze się wrogość do islamu, która wręcz od niej biła.

Otworzył usta, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, doktor Geiger zmrużyła groźnie oczy.

– Właściwie to czego pan tu w ogóle szuka? – zapytała lodowatym tonem. – O ile mnie pamięć nie myli, jest pan zawieszony, panie Iskander?

– Anke, Faris był na stacji metra, kiedy doszło do eksplozji bomby – wyjaśnił Tromsdorff. Naraz wyglądał na wyczerpanego, a dookoła jego ust pojawiły się głębokie zmarszczki. Ilekroć się pojawiała, zawsze w ten sposób na niego działała. I nie tylko na niego, wiele osób czuło się w jej towarzystwie podobnie.

– Doprawdy? – Faris czuł na sobie jej zimny wzrok i miał wrażenie, że przecina go nim jak skalpelem. – Jak do tego doszło?

– Anke – wtrącił się Andersen. – Nie sądzisz, że w obecnej sytuacji powinniśmy pozwolić tym ludziom robić swoje?

Kobieta wyraźnie miała gotową ripostę, jednak opanowała się i skinęła głową.

– Niech będzie. Proszę kontynuować – dokończyła z wyraźnym trudem. – Jeszcze tylko jeden drobiazg. Proszę mi wyjaśnić, kolego Iskander, skąd ma pan pewność, że ten zamach nie został przeprowadzony przez islamistów?

Faris nabrał głęboko powietrza.

– Nie mogę za to ręczyć – odpowiedział bardzo spokojnie. – Jedyne, co chciałem podkreślić, to to, że posługiwanie się chrześcijańską symboliką jest skrajnie niespotykane w przypadku sprawców rekrutujących się z grupy islamskich fundamentalistów.

Kątem oka dostrzegł, jak Andersen potakuje.

– Ma rację – powiedział szef departamentu piątego Krajowej Policji Kryminalnej, zwracając się do Geiger.

Kobieta nie wyglądała na zachwyconą takim obrotem sprawy.

Faris stłumił w sobie kiełkującą złość.

– Dzwoniący... – zaczął.

– Jaki znowu dzwoniący? – Geiger weszła mu w słowo i nie dała dokończyć.

Faris dostrzegł, że Ben odwrócił głowę i przewrócił dyskretnie oczyma. Sfrustrowany zacisnął zęby, żeby nie przekląć.

W przeciwieństwie do swojego poprzednika, który powołał WPR do życia, Geiger uważała, że wydział jest zupełnie nieprzydatny i należałoby go rozwiązać. Faris i pozostali zebrani w biurze doskonale wiedzieli, że szefowa przy każdej nadarzającej się okazji podejmowała wysiłki, by zakończyć działanie ich zespołu, a sprawy, które do nich trafiały, przenieść do wydziału bezpieczeństwa wewnętrznego. Była wielką fanką amerykańskiego sposobu prowadzenia wojny z terroryzmem – Faris do dziś pamiętał ostrą wymianę zdań między nią a Tromsdorffem, w której chodziło o wyznaczenie i uznanie granic między regularną wojną a zwalczaniem przestępczości, a zaczęło się od niesławnego *National Defense Authorization Act*, czyli od ustawy uchwalonej przez

amerykańskiego prezydenta kilka lat wcześniej. Tromsdorff, dzięki zmysłowi taktycznemu i wykorzystaniu szerokiej sieci znajomości sięgającej najwyższych stanowisk w policji i polityce, potrafił dotychczas skutecznie bronić funkcjonowania swojego wydziału.

W kilku słowach opowiedział o porannym telefonie i rozmowie przeprowadzonej przez Farisa. Zdał również relację z zawartości przesłanego pliku wideo wraz z wnioskami, do których na razie doszli.

– Czy jest w tym pomieszczeniu ktokolwiek, kto mógłby potwierdzić wersję kolegi Iskandera? – zapytała Geiger.

Andersen uniósł brwi i spojrzał na nią zaskoczony.

– Co masz na myśli?

– Zadaję sobie pytanie, czy ktokolwiek poza nim rozmawiał z tym tajemniczym nieznajomym.

– Nie – odparł Tromsdorff. – Ale dlaczego...

– A zatem mamy do czynienia z jednostronną relacją pana Iskandera...

– Komisarza policji kryminalnej Iskandera – wtrącił Paul.

Kobieta odwróciła głowę i posłała mu krótkie, świdrujące spojrzenie.

– Mamy do czynienia z jednostronną relacją pana Iskandera – powtórzyła, podkreślając cywilny status zawieszzonego funkcjonariusza. – I nikt poza nim nie może potwierdzić, że tajemniczy rozmówca w ogóle istnieje.

– Co chce pani przez to powiedzieć? – zapytał Faris przez zaciśnięte zęby. Zerwał się na równe nogi, ale natychmiast osunął się z powrotem na krzesło, bo zakręciło mu się w głowie i poczuł mdłości.

– No właśnie, Anke, o co ci w zasadzie chodzi? – zainteresował się Tromsdorff. Miał ponurą minę. Faris znał go wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, jak bardzo jest oburzony zachowaniem przełożonej. Mieli coraz mniej czasu, a zamiast zajmować się szukaniem zamachowca, musieli mierzyć się z fobiami tej kobiety!

– Robercie – westchnęła Geiger, jakby tłumaczyła coś niezbyt rozząrnitemu dziecku. – Zaraz mam konferencję prasową, bo, wyobraź sobie, ktoś wysadził w powietrze pociąg metra! Zgodnie z waszymi ustaleniami ten ktoś grozi organizatorom i uczestnikom Ekumenicznych Dni Kościoła w Berlinie. Jak sądzisz, co się stanie, kiedy do opinii publicznej przedostanie się informacja, że pozwalamy... – zawahała się i przerwała.

„Muzułmaninowi” – pomyślał Faris.

Doktor Geiger była jednak dość inteligentna, żeby nie powiedzieć czegoś, czego mogłaby żałować.

– Że pozwalamy prowadzić sprawę zawieszonemu funkcjonariuszowi?

Faris zacisnął powieki. W ten sposób zagrała swoją najmocniejszą kartą i doskonale wiedziała, że to jej daje przewagę.

– Czy złożył kolega szczegółowe zeznania, żeby pańscy współpracownicy wiedzieli o wszystkim, o czym pan wie? – zwróciła się do Farisa.

Niechętnie potaknął i dopiero wtedy otworzył oczy.

– Przekazałem całą swoją wiedzę, choć jeszcze nie do oficjalnego protokołu.

– Dobrze. W takim razie proszę to nadrobić, po czym opuścić budynek policji. Jest pan cały czas zawieszony, a w tej sprawie będzie pan występował jako świadek i nic poza tym.

Faris poszukał kontaktu wzrokowego z Tromsdorffem, lecz twarz szefa wyrażała tylko smutek i żal. Mimo to mężczyzna podjął jeszcze jedną próbę walki o podwładnego, za co Faris był mu bardzo wdzięczny.

– Anke, to jeden z moich najlepszych ludzi. Potrzebujemy go w zespole. Możesz go przywrócić do służby, choćby czasowo. Nie powinnaś go stąd wyrzucać.

W odpowiedzi doktor Anke Geiger zaśmiała się nieprzyjemnie.

– Sprawca z jakiegoś powodu skontaktował się właśnie z nim – wtrącił się Paul.
– Myślę, że nie wybrał jego numeru na chybił trafił.

Te słowa sprawiły, że Geiger przyjrzała się poobijanemu telefonowi, który leżał na stole, obok komputera Bena.

– To pana telefon? – zapytała, zwracając się do Farisa.

Potaknął ponuro. Gdyby otworzył usta, nie wytrzymałby i nawrzeszczałby na nią, dlatego wolał milczeć.

– Proszę go zostawić w biurze! – poleciła.

– A jeśli ten człowiek znowu zadzwoni? – zapytał Ben. – Nie wiemy, jak zareaguje, kiedy zgłosi się ktoś inny.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Oczy wszystkich zwróciły się na doktor Geiger, oczekując od niej jakiejś decyzji. Jednak zanim zdążyła odpowiedzieć, rozległ się sygnał telefonu Bena. Technik odebrał połączenie.

– Tak? – zgłosił się, po czym milczał przez chwilę, słuchając rozmówcy. – Tak właśnie myślałem – powiedział w końcu i zaraz potem wytrzeszczył oczy. – Czekaj, powtórz to!

Skupiony wysłuchał po raz kolejny wiadomości.

– Ożeż kurwa... – zaklął. – Dobra, dzięki Carla.

Rozłączył się i przez dłuższą chwilę wpatrywał w ekran słuchawki. Miał przy tym wzrok, jakby w dłoni trzymał jakiegoś nieprzyjemnego robaka.

– To była Carla – powiedział, choć wszyscy słyszeli, z kim się żegnał. – Wygląda na to, że sprawca wykorzystał połączenie nie przez sieć komórkową, a jeden z protokołów internetowych. Udało się prześledzić logowania aż do jednego z dostawców usług w Polsce, ale tam ślad się urywa. To ślepa uliczka. Jeśli chodzi o przesłane nagranie...
– przerwał i zamyślony spojrzał na Farisa.

– Proszę w końcu mówić! – warknęła Geiger.

– Otóż wiadomość z załączonym nagraniem, którą ten człowiek wysłał Farisowi...
– przerwał i przełknął ciężko, zanim dokończył. – Ona została wysłana z twojego mieszkania i z twojego komputera.

– To absolutnie niemożliwe! – Dopiero kiedy dostał zawrotów głowy, Faris zrozumiał, że zerwał się z krzesła i żeby nie upaść, musiał przytrzymać się biurka. Mimo to po chwili opadł ciężko na fotel. – To niemożliwe! – powtórzył kompletnie zdezorientowany.

Geiger popatrzyła na niego nieprzyjaźnie.

– Bardzo mi przykro, panie Iskander, ale powoli zaczynam podejrzewać, że w pana interesie leżą działania opóźniające dochodzenie, a nie doprowadzenie go do końca.

Shannon i Paul zaśmiali się z niedowierzaniem.

– Przecież nie wysłałem sobie tego mejla! Ludzie! – wrzasnął Faris. – To jest...

Geiger nie dała mu jednak dokończyć.

– Ustalenie tego nie ma w tej chwili wielkiego znaczenia. Panem zajmiemy się później, bo teraz musimy się skupić na znalezieniu zamachowca. – Spojrzała w stronę drzwi. – Proszę złożyć zeznania i opuścić budynek.

Faris popatrzył na szefa i już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, kiedy zrobiło mu się ciemno przed oczyma. Z ogromną siłą wróciło wspomnienie fali ognia i bólu. Nie potrafił się przed nim obronić. Skulił się i mimowolnie jęknął. Atak minął równie szybko, jak się pojawił, ale to wystarczyło – Geiger to zobaczyła.

I natychmiast zrozumiała, co się właśnie stało.

– Jest pan tykającą bombą zegarową, kolego Iskander – syknęła przez zaciśnięte wargi.

Tromsdorff zakaszłał.

– Może tak rzeczywiście będzie lepiej, Faris – mruknął. – Paul zapisze do protokołu twoje zeznania.

– Nie – zaprotestowała Geiger. – Chcę, żeby to był ktoś ze sto osiemnastki. Dzięki temu zyskamy neutralne podejście do spraw, o których pan Iskander ma opowiedzieć.

Faris potaknął krótko, choć zachowanie kontroli nad sobą przychodziło mu z największym trudem. Geiger swoim poleceniem określiła wszystkich pracowników WPR-u jako stronniczych. Wszyscy w War Roomie tak to zrozumieli. Zapanowało lodowate milczenie. Faris wstał powoli.

– To nie ja jestem pani problemem – powiedział tak spokojnie, jak tylko potrafił.

Po czym ruszył przez biuro, otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Kiedy zmierzał szybkim krokiem w stronę schodów, słyszał za sobą krzyk Tromsdorffa.

– Faris! Poczekaj! – wołał za nim przełożony.

Tromsdorff dogonił go piętro niżej.

– Uspokój się! – poprosił z naciskiem. Wyglądał, jakby miał atak wrzodów żołądka, a bruzdy dookoła jego ust zrobiły się naprawdę głębokie.

– Mam się uspokoić? – Zachowanie kontroli nad sobą kosztowało Farisa ogromnie dużo wysiłku. – Ja, a nie ta niedouczona jędza?! – Wskazał głową w górę.

– Faris! – Tromsdorff położył mu dłoń na przedramieniu.

– Nie wysłałem tego mejla do siebie – odpowiedział, spoglądając mu w oczy. – Musisz mi...

– Wiem przecież. Ben szybko ustali, kto i jak to zrobił, jestem tego pewien. A kiedy będę miał te dane, zjadę Geiger jak burą sukę, żeby zrozumiała, że to ona utrudnia nam śledztwo, a nie ty. Tylko że na razie mam związane ręce.

– Mogę wam pomóc, Robercie. – Faris trząsł się ze złości. Gotował się, bo naprawdę niewiele dzieliło go od całkowitego odcięcia od pracy i odsunięcia od wyjaśnienia tej sprawy. Spojrzał na zegarek. Dochodziło wpół do dwunastej. Zostało im jeszcze trzydzieści sześć godzin, żeby dopaść zamachowca, który nie cofnął się przed

podłożeniem bomby w pociągu metra. Trzydzieści sześć godzin! Tylko tyle!

„Jest pan tykającą bombą zegarową!” – zarzuciła mu Geiger.

Zacisnął zęby. Nie zamierzał dawać jej satysfakcji.

– Dobra – powiedział w końcu, kiedy trochę ochłonął. – Czy jest jakakolwiek szansa, żebym wam pomógł?

– Oficjalnie oczywiście nie, ale koniecznie zatroszcz się o to, żebyś był dostępny.

– Tromsdorff przyjrzał się zawieszonemu pracownikowi. – Zorganizuj sobie nową komórkę i zadzwoń do Paula, żebyśmy mieli twój nowy numer. Potem zobaczymy, jak to ułożymy. Tymczasem skocz do sto osiemnastki i złóż zeznania.

Wydział 118 był wydziałem do walki z terrorem kryminalnym i zabójstw i – podobnie jak WPR – zajmował się obecnie sprawą bomby w metrze. W tej chwili prawdopodobnie większość wydziałów berlińskiej policji zajmowała się tylko tą sprawą.

Tromsdorff odczekał, aż Faris potaknie.

– Świetnie – powiedział wtedy. – Postaram się przekonać Geiger, że jesteś niezbędny w zespole.

Farisowi szumiało w uszach.

– Jak myślisz, co się stanie, jeśli ten człowiek znowu zadzwoni, ale tym razem odbierze ktoś inny?

Na to pytanie Tromsdorff nie potrafił udzielić odpowiedzi.

– Miejmy nadzieję, że wystarczy nam przeszkolenia, żeby to jakoś skompensować w rozmowie.

– Jeśli zdetonuje przez to kolejną bombę, to wiesz, że to Geiger będzie...

– Tak, wiem, Faris.

– Rany, Robert! Naprawdę nie potrafisz się jej przeciwstawić?

– Potrafię, ale nie mogę! I doskonale o tym wiesz! – Na schodach nad nimi rozległ się stukot wysokich obcasów. – WPR to prawdopodobnie jedyny wydział w policji, który posiada wiedzę i doświadczenie, żeby dopaść tego gnoja. Moim zadaniem jest zapewnienie nam warunków do pracy.

Na schodach pojawiła się Geiger, a kiedy ich mijala, rzuciła Farisowi i Tromsdorffowi wyzywające spojrzenie. Na szczęście obaj byli dość rozsądni, żeby je zignorować.

Szef wydziału WPR poczekał, aż jego przełożona znajdzie się poza zasięgiem głosu.

– Pogadam z nią i spróbuję przekonać do zmiany zdania – obiecał, choć miał przy tym bardzo nieszczęśliwą minę. – A ty leć do ludzi ze sto osiemnastki i złóż zeznania.

– Pozwól mi zostać! Nie wyrzucaj mnie do domu! – poprosił Faris, choć już dawno wiedział, że to na nic.

Szef z żalem potrząsnął głową.

– Geiger nigdy nie była do nas przyjaźnie nastawiona i sam doskonale o tym wiesz. Jeśli tak otwarcie okażę niesubordynację i zlekceważę jej polecenie, dam jej do ręki argument, dzięki któremu natychmiast zamknie nasz WPR. Pewnie już dawno zauważyłaś, że tylko na to czeka. A jak się pojawi okazja, nie będzie się wahała.

Faris spuścił wzrok. Robert miał rację. Istnienie wydziału było najważniejsze, WPR

musiał działać dalej. To był priorytet i nic innego się nie liczyło.

– Przyciśnij Bena, żeby jak najszybciej ustalił, jak ten skurwysyn włamał się do mojego komputera, żeby wysłać z niego mejla.

Tromsdorff zmęczonym gestem wzruszył ramionami tak wysoko, że niemal dotknął nimi uszu.

– Pewnie, załatwione. A ty bądź pod telefonem. – Jeszcze raz położył mu dłoń na przedramieniu. – Strasznie mi przykro, stary, ale w tej chwili nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić.

Rozdział 10

Zeznania Farisa w wydziale 118 zostały w całości nagrane i natychmiast skatalogowane w elektronicznym archiwum systemu DigAA, żeby wszystkie osoby i wydziały Krajowej Policji Kryminalnej biorące udział w dochodzeniu miały do nich bezpośredni dostęp. Całość zajęła raptem godzinę, a kiedy Faris skończył, zapytał kolegów prowadzących przesłuchanie, czy to rozsądne, żeby dalej korzystać z elektronicznego archiwum. Zapewniono go, że jak najbardziej, bo specjaliści z IT zajęli się już uszczelnieniem zabezpieczeń. Dopiero wtedy policjant się pożegnał i ruszył do wyjścia, by zgodnie z poleceniem opuścić budynek na Keithstraße.

Minęła pierwsza po południu, kiedy długimi, nerwowymi skokami zbiegł schodami na parter, po czym nie zwalniając, minął dyżurkę i przez dwuskrzydłowe drzwi wypadł na zewnątrz. Jakiś kurier rowerowy ominął go dzikim szarpnięciem kierownicy.

– Uważaj, jak jeździsz! – wrzasnął za nim Faris. Był wściekły i sfrustrowany do tego stopnia, że kiedy zamykał oczy, widział wirujące czerwone punkciki.

– To ty uważaj, gdzie leziesz! – odrzyknął kurier. – Gdyby nie ja, leżałbyś na ziemi! – dodał, po czym nacisnął na pedały i pojechał dalej.

Faris nabrał głęboko powietrza i zacisnął powieki, żeby się uspokoić.

Przy Kurfürstenstraße, niedaleko siedziby departamentu pierwszego Krajowej Policji Kryminalnej, znajdowało się sporo sklepów, w których można było kupić telefony komórkowe.

Nie zastanawiając się, wszedł do pierwszego lepszego i ignorując lekko nieprzyjazne spojrzenie młodego człowieka za ladą, który na widok jego zakurzonego ubrania i wyraźnie zmęczonej twarzy zrobił się dość podejrzliwy, poprosił o pokazanie kilku tanich modeli na kartę. Zdecydował się w końcu na telefon za sześćdziesiąt euro i poprosił sprzedawcę, żeby od razu go uruchomił i zaprezentował krótko podstawowe funkcje. Kiedy dowiedział się wszystkiego, czego potrzebował, schował telefon i ładowarkę do kieszeni marynarki, tej samej, w której wcześniej miał poprzedniego smartfona, i wyszedł ze sklepu.

Chmury się przerzedziły i niebo było znacznie czystsze. Faris wybrał numer Paula, lecz kolega nie odbierał. W końcu uruchomiła się poczta głosowa, więc po sygnale nagrał wiadomość:

– Cześć, to ja. Robert prosił, żebym był pod telefonem. To mój nowy numer, zapiszcie go sobie, żeby w razie czego się do mnie dodzwonić.

Po tych słowach przerwał połączenie i schował telefon do kieszeni.

Stał niezdecydowany, bo nie miał jeszcze pomysłu, co powinien teraz zrobić, lecz zanim zdążył podjąć decyzję, usłyszał, że ktoś go woła.

– Iskander!

Faris odwrócił się gwałtownie i niewiele brakowało, a westchnąłby ciężko, bo natychmiast rozpoznał mężczyznę, który biegł w jego stronę.

– Niklas – mruknął niechętnie.

Znajomy zatrzymał się obok. Dyszał ciężko, bo miał przynajmniej dwadzieścia

kilogramów nadwagi, którą starał się ukryć, nosząc niebiesko-czerwoną flanelową koszulę wypuszczoną na spodnie. Na nogach miał wysokie czarne buty motocyklowe, które w połączeniu ze skórzaną kurtką z postawionym kołnierzem nadawały mu – a w każdym razie takie było jego zamierzenie – wygląd zaangażowanego dziennikarza śledczego. Szybkim spojrzeniem otaksował Farisa od stóp do głów.

– Gdzie ty byłeś? Burza piaskowa cię dopadła? – zapytał z szerokim uśmiechem.

Faris popatrzył na siebie. Zdecydowanie potrzebował prysznic i świeżego ubrania. I to szybko! Uśmiechnął się słabo i patrząc znajomemu w oczy, potrząsnął głową.

Dziennikarz zdążył sięgnąć do kieszeni i wyjąć dyktafon, jednak jeszcze go nie włączył.

– Co się stało? – zapytał z zaciekawieniem.

Faris znał Niklasa Hessego od bardzo, bardzo dawna. Po raz pierwszy spotkali się jeszcze w szkole średniej, w ostatniej klasie, przed maturą. Po egzaminie dojrzałości obaj złożyli papiery do akademii policyjnej i razem podeszli do egzaminów, które zdali. Jednak gdy Faris wybrał klasyczną ścieżkę kariery w resorcie i na początku spędził sporo czasu, patrolując ulice, Hesse podążył inną drogą. W czasie, kiedy on piął się po szczeblach awansów, by w końcu trafić do wydziału specjalnego Tromsdorffa, Hesse został w szkole policyjnej, żeby uczyć kolejne roczniki rekrutów. Przed dwoma laty przeniesiono go w inne miejsce i na jakiś czas koledzy stracili się z oczu, aż kilka miesięcy temu Niklas wrócił do Berlina.

Faris szybko zauważył, że znajomy bardzo się zmienił. Zamiast podjąć na nowo pracę w szkole policyjnej, ni z tego, ni z owego pożegnał się ze służbą i założył internetowy magazyn śledczy o nazwie *hotnewzz.tv*. Dziś to było jego jedyne źródło utrzymania, a powodziło mu się raz lepiej, raz gorzej, choć ostatnio głównie z naciskiem na gorzej. Nigdy nie zdradził, co porabiał przez te kilka miesięcy po rozstaniu z policją, a Farisowi udało się z niego wyciągnąć tylko tyle, że wszystko, co się wydarzyło, miało związek z jakąś kobietą. Domyślił się, że złamała mu serce i nie drążył tego tematu.

– Bez komentarza – odpowiedział krótko.

Hesse zaśmiał się cicho, po czym spojrział w stronę Keithstraße.

– Wróciłeś już do pracy? – zapytał po chwili zastanowienia. – No wiesz, po tamtej sprawie?

Wiedział o jego zawieszeniu.

Faris pokręcił głową.

– Nie, byłem tam tylko w roli świadka. – Sposób, w jaki został potraktowany przez Geiger, znów wzbudził w nim złość, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Co ty mówisz? Świadka?

Potaknął.

– A ty co tu robisz?

Hesse wzruszył ramionami.

– Eksplozja w kolejce metra, to chyba oczywiste. Szedłem właśnie na Keithstraße. Pomyślałem, że może tutaj dowiem się czegoś więcej niż na miejscu, bo tam wszystko szczelnie odgrodzone i nikogo nie wpuszczają. – Uniósł dłoń i dotknął czoła, mniej więcej w miejscu, gdzie Faris miał założony opatrunek. – Co ci się stało? Ktoś w końcu nie

wytrzymał i dał ci w łeb?

Faris zmusił się do uśmiechu.

– Oszczędzę ci wysiłku – powiedział. – Daj sobie spokój, bo ode mnie i tak niczego się nie dowiesz.

– Oj, daj spokój! – Hesse niespodziewanie zmrużył oczy i przyjrzał mu się uważnie. – No tak! Bismarckstraße! To przecież tuż obok ciebie, prawda?

Faris nie odpowiedział.

– I wszystko jasne! – Hesse jeszcze raz otaksował go wzrokiem. – Byłeś tam na dole, kiedy eksplodowała bomba. Mam rację? To dlatego masz opatrunek na tym pustym łbie!

Policjant westchnął.

– Okej, najwyraźniej nie ma sensu zaprzeczać.

– I...?

– I nic. – Faris odwrócił się, żeby odejść.

Hesse ruszył za nim i nie dał mu uciec.

– Ej, no stary, nie zostawiaj mnie tak. Kolegę tak zbędzisz?

– Chcesz się założyć?

To była gra, w którą grali, od kiedy Niklas został dziennikarzem i nie ustępował w walce o informacje. Faris bronił się tak długo, jak tylko potrafił. Przy czym Hesse był jednym z bardzo niewielu dziennikarzy, którym zdarzało mu się coś nieoficjalnie szepnąć. I dotychczas nigdy się na nim nie zawiódł. W czasach największej zażyłości i przyjaźni powierzali sobie tajemnice, które nie wychodziły poza nich. Niklas wiedział o problemach psychicznych Farisa i zdradził mu, że sam przez to kiedyś przechodził i uczestniczył w terapii, dzięki której miał się uporać z traumą dzieciństwa spędzonego w domu dziecka.

Z przeciwka zbliżała się do nich kobieta z dzieckiem w wózku, który prowadziła odważnie, jakby miała przed sobą taran na kółkach. Obaj mężczyźni odsunęli się na bok, żeby ją przepuścić.

– Wiem, że są ofiary – zaczął reporter z innej strony. – Byłem tam na miejscu prawie od razu po wybuchu, ale twoi koledzy nie pozwolili mi zejść na dół.

Faris spojrzał na niego kątem oka.

– Jak myślisz, dlaczego się tak podle zachowali?

Hesse prychnął.

– Ludzie mają prawo wiedzieć...

Policjant zaśmiał się kpiąco. Jego wściekłość na Geiger słabła z minuty na minutę.

– Oszczędź mi takich tekstów! – powiedział i ruszył dalej, choć doskonale wiedział, że Hesse jeszcze się nie poddał.

– A niech cię szlag! – Reporter potruchtał za nim, a kiedy go dogonił, szli przez kilka minut obok siebie w milczeniu. Faris narzucił takie tempo, że Niklas zaczął sapać.

– Zwolnij trochę, co?

Zatrzymali się.

– To nie ja powinienem zwolnić, tylko ty zrzucić brzuch – dogryzł koledze.

Hesse już miał gotową ripostę, lecz nie zdążył jej użyć, bo w tej samej chwili rozdzwonił się telefon Farisa staromodnym, przenikliwym dzwonkiem. Reporter skrzywił

się z odrazą.

– O cholera, co to za badziewie? – zapytał, widząc, jak kolega wyjmuje telefon z kieszeni.

Faris zignorował kpinę i odebrał połączenie, nie spoglądając na ekran.

– Partnerze! – przywitał się. To mógł być tylko Paul, bo nikt inny nie znał jeszcze tego numeru.

– Chciałem tylko dać ci znać, że dostałem wiadomość – powiedział dzwoniący.

– Jak tam, wszystko w porządku?

Faris spojrział na Hessego, po czym odwrócił się do niego plecami.

– Tak. Stoję sobie z Niklasem na ulicy. Wpadłem na niego przy Kurfürstenstraße.

– W porządku. Rozumiem, że nastawia ucha i aż się ślini, tak bardzo nie może się doczekać informacji?

– No coś w ten deseń – potwierdził ze śmiechem.

– Tak właśnie myślałem! Uważaj na siebie. My się postaramy, żebyś wiedział wszystko na bieżąco, na tyle, ile damy radę oczywiście. Mam nadzieję, że Tromsdorff szybko cię wciągnie z powrotem do składu. W tej chwili sprawy wyglądają tak, że skupiamy się na telefonie do ciebie i na przesłanym nagraniu. Shannon uważa, że to najprawdopodobniej jakaś grupa ekstremistów protestanckich. Andersen oddał jej do dyspozycji swój zespół, żeby nie robiła wszystkiego sama, a my dostaliśmy do pomocy kolegę z sześćset trzydziestki dwójki, który ma być łącznikiem między nami a chłopakami od Andersena.

– Świetnie. Domyślam się, że chłopaki już się nie mogą doczekać?

Koledzy z wydziału 632 Krajowej Policji Kryminalnej byli szkoleni między innymi do radzenia sobie z sytuacjami z zakładnikami. Większość z nich poza przygotowaniem policyjnym posiadała również odpowiednie kwalifikacje psychologiczne, które przydawały się, ilekroć trzeba było przekonać porywacza do poddania się i uwolnienia zakładników.

Paul się zaśmiał, ale nie było w tym wesołości, tylko raczej ponure rozżalenie.

– Większość ma nadzieję, że gość lada chwila sam się ujawni i zyskają jakikolwiek punkt zaczepienia.

Faris przesunął dłonią po głowie, strzepując pył z włosów.

– Też mam taką nadzieję.

– W każdym razie siedzimy nad tą sprawą. Może przypomniałeś sobie jeszcze coś, co mogłoby nam pomóc?

– Nie mam bladego pojęcia, kim mógłby być ten gość, sorry. – Faris potrząsnął głową. Hesse okrążył go wcześniej, stanął naprzeciwko i z zainteresowaniem obserwował jego twarz, więc zanim odpowiedział Paulowi, znów się odwrócił. – Mógłbyś pogadać z Tromsdorffem i spróbować go przekonać, żeby dał mi pełen dostęp do DigAA? Chciałbym sprawdzić kilka rzeczy.

Przez zawieszenie odebrano mu oczywiście prawo dostępu do policyjnej bazy danych.

– Wracasz do domu?

Faris spojrział na Hessego. Mógłby oczywiście wrócić do siebie i skorzystać

z własnego komputera, żeby zalogować się do archiwum DigAA, jednak jego maszyna była już stara i do szybkich też nie należała. Przeglądanie bardzo ciężkich plików i nagrań z policyjnych serwerów nie bardzo mu się uśmiechało.

– Nie, jeszcze nie – odpowiedział. – Mimo to postaraj się, proszę, przekonać szefa, okej?

Hesse znów obszedł Farisa i stanął naprzeciwko.

Paul powiedział coś do kogoś w biurze, po czym z powrotem przyłożył słuchawkę do ucha.

– Wszystkie jednostki policji, patrole i radiowozy zostały poinstruowane, żeby wyglądać miejsca, w którym mógłby stać ten krzyż. Może będziemy mieli trochę szczęścia i ktoś przypomni sobie takie pomieszczenie albo coś, co nas do niego zaprowadzi, zanim... – nie dokończył.

Ale Faris wiedział, co jego partner chciał powiedzieć.

...zanim następna bomba wyleci w powietrze.

– Jeszcze jedna sprawa – przypomniał sobie Paul. – Geiger obejrzała nagranie z twoimi zeznaniami i poprosiła Bena, żeby wydrukował jej stopklatkę z ukrzyżowanym gościem. W tej chwili jest na konferencji prasowej i karmi tym dziennikarzy.

– Hm... – Faris zaczął masować nasadę nosa.

Zwracanie się z apelem o pomoc do opinii publicznej było standardową procedurą. Mimo to nie miał pewności, czy szefowa podjęła właściwą decyzję, by w tej sprawie skorzystać z takiej drogi. Oczywiście dzwoniący rano nie zabronił tego jednoznacznie, ale kto mógł zgadnąć, co się dzieje w jego głowie? Nie dało się przecież wykluczyć, że kiedy zobaczy w telewizji obraz swojej ukrzyżowanej ofiary, wpadnie we wściekłość. Jednak wolał być dobrej myśli. Geiger w wielu sprawach była cholernie upierdliwa, ale przecież nie miała pusto w głowie. Ona i jej doradcy z całą pewnością starannie przeanalizowali ryzyko wynikające z ujawnienia takiego obrazu.

– Mamy nadzieję, że to pozwoli nam szybko zidentyfikować ofiarę. Gitta przejrzała stare akta, wiesz, te z muzeum, ale nie ma w nich nic, co by się nam przydało.

– Może ja coś zauważę. – Faris westchnął ciężko. – Dobra, odezwę się, jak tylko coś mi przyjdzie do głowy – mruknął.

– Świetnie. A ja pogadam z Robertem o dostępie do DigAA. – Paul znów odsunął telefon od ucha. – Już lecę! – zawołał do kogoś w biurze. – Dziura w zabezpieczeniach została już uszczelniona – dodał w końcu.

– Wiem. Koledzy ze sto osiemnastki już mi powiedzieli.

– Okej. W takim razie jesteśmy w kontakcie – obiecał Paul i zakończył połączenie.

Faris stał na chodniku przy Kurfürstenstraße i spoglądał na telefon, który odsunął od ucha. Bolała go głowa, bolały ramiona i brakowało mu energii, żeby zrobić kolejny krok.

– Wygląda na to, że bez pytania wystawili cię za drzwi – zauważył Niklas.

Faris wzruszył ramionami.

– Na to wygląda.

Hesse uśmiechnął się szeroko.

– Ale za co? Cały czas chodzi o tego łysola? Zaraz, jak było tej tępej pale?

Niklas był jedną z bardzo niewielu osób, którym Faris opowiedział historię bójki z neonazistą ze wszystkimi szczegółami.

– Rainer Golzer.

– Właśnie, Golzer. Gdybym to ja decydował, dostałbyś za tę akcję medal.

Faris prychnął słabo.

– Pierdolone łyse pały! – nakręcał się Hesse. – Oni na każdym kroku powinni dostawać po ryju!

Iskander zignorował słowa kolegi i zmienił temat.

– Słuchaj, mógłbyś mi załatwić dostęp do mocnego komputera?

– Pewnie. A w zamian za to ty sprzedasz mi kilka informacji.

Faris zastanowił się chwilę, po czym uznał, że mógłby przekazać mu parę szczegółów.

– Jest mejl od osoby, która bierze odpowiedzialność za bombę w metrze. – Trochę naciągnął fakty. – Tyle że nie jesteśmy w stanie prześledzić drogi, jaką pokonała wiadomość, bo nadawcą jest jakiś haker idiota!

– Ej! – zaprotestował Hesse. – Jak jest hakerem, to nie może być idiotą!

– Zrobił coś zabawnego – ciągnął policjant, ignorując sprzeciw kolegi. – Włamał się na mój komputer i to z niego wysłał wiadomość z informacją. To dlatego Geiger nawet przez chwilę nie rozważała cofnięcia mi zawieszenia i była przeciwko dopuszczeniu mnie do sprawy.

– O cholera, to już rozumiem, dlaczego cię tak nosi. A tak na poważnie: ta laska serio nie wie, że dzisiaj można bez problemu wysłać mejla z dowolnego komputera na świecie? – Faris wzruszył ramionami, na co Hesse mówił dalej: – Wystarczy przesłać komuś trojana i siup, wysyłasz dowolny mejl z dowolnym nadawcą.

– Da się ustalić, czy na moim komputerze był albo jeszcze jest taki trojan? – zapytał.

– Pewnie. Wystarczy, że zaprosisz mnie do siebie i dasz dostęp do sprzętu.

Jego uwadze nie umknęła nagła zmiana w sposobie mówienia Niklasa, który wcześniej używał formy bezosobowej, a teraz płynnie zaczął mówić o sobie, że to on mógłby się tym zająć. W oczach reportera pojawił się słaby błysk, jakby budził się w nim instynkt łowcy. Faris aż nazbyt dobrze to znał. Jego również zaczęły ogarniać te same emocje.

– Świetnie – zdecydował. – W takim razie mamy deal. Ty mi pomożesz udowodnić, że to był trojan, a ja ci podrzucę kilka informacji o sprawie.

Rozdział 11

Wsiedli na motocykl Hessego i razem pojechali do mieszkania Farisa. Kiedy weszli do środka, Faris spojrzał na swoje odbicie w lustrze w korytarzu. Zatrzymał się gwałtownie. Od stóp do głów pokrywała go warstwa pyłu. Wyglądał jak człowiek, który uratował się z zamachu na World Trade Center w Nowym Jorku. Choć w zasadzie mniej przypominał człowieka, a bardziej ducha. Hesse usiadł do komputera, żeby szukać trojana na dysku, a on odwiesił kurtkę i poszedł do sypialni. Pospiesznie zdjął z siebie spodnie i T-shirt. W samych slipkach przeszedł do łazienki, rozebrał się do naga i wszedł pod prysznic. Potem kompletnie mokry stanął przed umywalką i włączył dodatkową lampę nad lustrem, żeby dokładnie przyjrzeć się swojemu odbiciu. Jego oczy wciąż jeszcze płonęły gorączkowo z wyczerpania i braku snu. Woda nie wymyła całego pyłu z zakamarków jego skóry, więc sprawiał wrażenie starszego niż w rzeczywistości. Przeczesał długie włosy i odgarnął je z czoła, po czym sięgnął po ręcznik, żeby się nim starannie osuszyć. Kiedy skończył, znów wyglądał jak człowiek. Mniej więcej.

Uniósł dłoń, chcąc wyłączyć lampkę nad lustrem, lecz znieruchomiał, bo w tej samej chwili jego wzrok zatrzymał się na wyraźnej bliznie po oparzeniu. Bordowoczerwona, ciągnęła się od linii bioder w górę, przez prawą stronę klatki piersiowej, obojczyk i prawy biceps aż do stawu ramieniowego. W niektórych miejscach miała odrażające fale, w innych przybrała strukturę dziwaczych kraterów. Tam – dowiedział się o tym dopiero w czasie rehabilitacji – w tkankę wtopiły się włókna bluzy polarowej, którą miał na sobie, kiedy doszło do eksplozji.

Przez kilka sekund stał bez ruchu, niezdolny się poruszyć, ba, niezdolny choćby opuścić dłoń, którą cały czas trzymał na włączniku światła. Patrzył w milczeniu na obrażenia, które odniósł w wyniku eksplozji, i podświadomie czekał na powracające wspomnienia. Ku jego zaskoczeniu nic takiego się nie stało.

Minęło kilka minut, zanim wziął się w garść.

Westchnął ciężko, wyłączył światło i wyszedł z łazienki. W sypialni włożył świeże dżinsy i czysty T-shirt, który wyjął z szafy. Bluza od dresu, którą miał na sobie rano, za bardzo ucierpiała w zamachu, by nadawała się do noszenia. Dlatego zdecydował się na skórzaną kurtkę. Dopiero wtedy wyszedł z sypialni i ruszył do salonu, gdzie pracował Hesse.

– No i? – zapytał. – Znalazłeś coś?

Hesse siedział na oparciu fotela z jego starym, bo kilkuletnim już laptopem na kolanach.

– Mamy tego skurczysyna. – Dziennikarz wskazał na ekran. – Widzisz? Naprawdę masz trojana na dysku.

– Mam trojana. – Faris słyszał o takim oprogramowaniu, lecz nie wiedział dokładnie, jak działa.

Hesse musiał zauważyć jego niepewność, bo uśmiechnął się szeroko.

– Ktoś ci podłożył niezłą świnię. Dobra, to teraz słuchaj uważnie. Trojan to taki program, który pozwala na przykład przejąć pełną kontrolę nad jakimś komputerem,

a przy tym pracuje tak dyskretnie, żeby nie rzucać się w oczy. Najpierw trzeba go oczywiście dostarczyć na dysk ofiary, ale to bardzo proste do zrobienia, wystarczy go wysłać jako załącznik do jakiegoś mejla. Kiedy już się tam znajdzie, czeka na wskazany moment i uruchamia się, żeby wykonać zaprogramowane działanie. Ten tutaj miał wysłać z twojego konta na twoje konto mejla z linkiem do filmu.

Faris zazgrzytał zębami.

– Da się ustalić, skąd ten trojan wziął się u mnie na dysku?

Hesse potaknął.

– Wszystko się da, zależy od nakładów i umiejętności.

– Ben sobie z tym poradzi? – zapytał, wyjmując nową komórkę z zakurzonej bluzy od dresu. Ładowarkę zostawił w kieszeni.

Hesse wskazał głową słuchawkę.

– Sam go zapytaj – poradził.

Faris zadzwonił do Paula, a kiedy partner się zgłosił, poprosił, by podał mu Bena. Technik nie był zbyt rozmowny, kiedy przejął telefon od Paula.

Zawieszony policjant wyjaśnił mu w kilku słowach, co odkrył Hesse.

– Wychodzi na to, że mam na dysku trojana. Byłbyś w stanie ustalić, skąd się u mnie wziął?

Ben burknął coś pod nosem, co zabrzmiało trochę jak „zdekompilować”, ale Faris nie był tego pewien.

– Ale to może potrwać – dodał technik.

– Potrwać? Ile?

– Za długo, żeby opłacało się nam nad tym siedzieć.

Faris spojrzał na Hessego.

– Dzięki, Ben – powiedział i właśnie chciał się rozłączyć, kiedy technik zakaszłał znacząco.

– No słucham – powiedział Faris.

– Nigdy w życiu nie zalecałbym ci robienia rzeczy niezgodnych z prawem – zaczął mężczyzna bardzo cichym głosem. – I chciałbym, żebyś miał tego świadomość, okej?

– To oczywiste – zapewnił go Faris.

– Chodzi o to, że są ludzie, którzy nie muszą przejmować się zasadami i przepisami jak my tutaj.

– Masz na myśli Niklasa, prawda?

Ben mruknął coś niezrozumiałego.

– Dobra, muszę już kończyć – oznajmił po chwili i natychmiast się rozłączył.

Faris wyłączył ekran telefonu i schował go razem z ładowarką do kieszeni skórzanej kurtki.

– Potrafiłbyś ustalić, skąd ten trojan wziął się na dysku mojego komputera? – powtórzył pytanie, które zadał jeszcze przed rozmową z Benem. – Tylko że szybko – dodał.

Hesse uśmiechnął się szeroko.

– Bez problemu, ale do tego musiałbym podskoczyć do siebie. Mam kilka zabawek, które będą mi do tego potrzebne. – Zaczął zamykać ekran komputera, lecz znieruchomiał

w połowie ruchu. – Masz coś przeciwko? – Spojrzał na niego wyczekująco.

Faris nie marnował czasu na zastanawianie się.

– Nie – stwierdził. – Ale jadę z tobą.

W schronisku obiad zaczęto wydawać o wpół do dwunastej, a że Jenny i Pia nie zjadły śniadania, postanowiły zastąpić je dużą porcją makaronu z sosem mięsnym.

Usiadły z talerzami przy stole, kiedy zza pleców Jenny rozległ się niski męski głos, w którym nie dało się nie zauważyć lekkiej nuty rozbawienia.

– Uuu, taki posiłek raczej nie wpłynie korzystnie na linię.

Pia, która siedziała naprzeciwko Jenny, wytrzeszczyła oczy. Jenny pospiesznie przełknęła kęs, który miała w ustach, i się odwróciła. Niewiele brakowało, a dostałaby zawału serca, bo okazało się, że stoi za nią chłopak, na którego zwróciła uwagę poprzedniego dnia. Tatuże na jego przedramionach zniknęły pod długimi rękawami bluzy z motywem jakiegoś zespołu heavymetalowego.

Z uśmiechem, w którym mimo wszystko widać było odrobinę nieśmiałości, wskazał na wolne krzesło przy ich stole.

– Mogę się przysiąść?

Jenny potaknęła.

– Pewnie! – powiedziała i poczuła, że robi się czerwona. Całe szczęście, że kiedy wstała, zdążyła nałożyć makijaż. Miała nadzieję, że nie widać za bardzo jej rumieńców.

Zafascynowana przyglądała się, jak chłopak chwyta krzesło za oparcie, odwraca je tyłem do przodu, unosi nogę, przekłada ją nad siedzeniem i w końcu siada.

– Nie, żebyście wy musiały się o to martwić – dodał i uśmiechnął się z uznaniem.

– Że co? – zapytała zdezorientowana Pia i znieruchomiała z widelcem w połowie drogi do ust.

– No, linia, kalorie i takie tam... – wyjaśnił chłopak. – Z waszymi figurami możecie ze spokojem zjeść trochę bolognese.

– O kurczę, to był komplement! – stwierdziła Jenny i omal nie zaczęła się śmiać, bo z widelca Pii skapnął sos i wyraźnym pląśnięciem zostawił dużą plamę na blacie stolika. – Tak trochę! – powiedziała jeszcze z uśmiechem.

Chłopak odwzajemnił uśmiech.

– Jestem Dennis – przedstawił się zadowolony, że wszyscy są w dobrych humorach.

Jenny i Pia również podały swoje imiona.

– Co porabiasz w Berlinie? – zapytała Pia. Zeskrobała sos ze stolika i oczyściła widelec o brzeg talerza.

– Przyjechałem na Ekumeniczne Dni Kościoła, a wy?

Jenny spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Wkręcasz nas.

Dennis znów się roześmiał i sięgnął po jedną z bułek, które czekały w koszyku pośrodku stolika.

– A co w tym takiego zaskakującego? – zainteresował się, odłamując kawałek

pieczywa.

Jenny potrząsnęła głową.

– Nie, nic takiego... ja tylko... – Nagle sama już nie wiedziała, co właściwie chciała powiedzieć.

– Nie wyglądasz po prostu na kogoś, kto chodzi do kościoła i udziela się w kółkach biblijnych. – Pia przyszła przyjaciółce z pomocą. – Założyłyśmy raczej, że przyjechałeś do Berlina na ten cały festiwal rockowy.

Jenny podziwiała ją za pewność siebie, z jaką uśmiechała się do Dennisa, jakby w ogóle nie była zakłopotana czy zawstydzona. Z zaskoczeniem stwierdziła, że jest o to zła.

– Serio? – Dennis odgryzł kawałek bułki i przez chwilę żuł w zamyśleniu, a w jego oczach pojawił się błysk rozbawienia. – A jak powinien wyglądać ktoś, kto przyjeżdża tu na Ekumeniczne Dni Kościoła? Ma mieć moherowy beret i buty ortopedyczne?

Pochylił się nad krawędzią stołu i spojrzał na nogi Pii. Dziewczyna miała na sobie modne kozaki na obcasach.

– No coś w tym guście – zachichotała dziewczyna. – Jakie masz plany na dzisiaj?

– Nic szczególnego, chciałem obejrzeć trochę Berlin, a wieczorem wziąć udział w spotkaniu z Margot Käßmann, żeby posłuchać, co ma do powiedzenia.

– Ty tak na serio? Nie ściemniasz? – upewniła się Jenny.

Dennis przeniósł na nią wzrok, a ona poczuła, jak zalewają ją na przemian fale zimna i gorąca.

– Ani trochę. – Strzepnął T-shirt, a resztę bułki zostawił na stole, jakby o niej nie pamiętał.

– Lubisz Margot Käßmann? – Jenny przygryzła dolną wargę. Dlaczego nagle każde jej słowo brzmiało drętwo i oficjalnie?

– Super jest, co nie? Naprawdę cool. A wy? Jakie macie plany?

– Wczoraj byliśmy na Wyspie Muzeów – odparła Jenny nieco zbyt szybko. Niech to diabli! Przecież po czymś takim musiał ją uznać za ostatnią sztywniarę! Poza tym to wcale nie była odpowiedź na jego pytanie.

Dennis wydawał się jednak zainteresowany i pokiwał głową.

– I jak? Warto było?

Jenny głośno przełknęła ślinę. Patrzył na nią uważnie i nie odwracał wzroku. Miał ciemnobrązowe oczy, na które zwróciła uwagę już poprzedniego wieczoru. Jednak dopiero dziś zauważyła miodowozłotą otoczkę dookoła źrenic. Były piękne!

– Tak! – powiedziała w tej samej chwili, w której Pia pokręciła głową i zaprzeczyła:

– Nie!

– Wszystko jasne! Dzięki! – zaśmiał się Dennis. – Jak dobrze, że jesteście takie jednomyślne.

Jenny zmierzyła przyjaciółkę złym spojrzeniem.

– Wystawa o Róży Luksemburg jest świetna!

– No tak, racja – przyznała jej rację Pia. – Co byście powiedzieli, gdybyśmy dzisiaj razem podbijali Berlin? W zasadzie planowałyśmy zwiedzanie miasta, z Bramą

Brandenburską, przejściem granicznym Checkpoint Charlie i całą resztą typowo turystycznych miejsc.

– Brzmi zachęcająco – stwierdził Dennis, lecz kiedy to mówił, nie patrzył na Pię, tylko na Jenny. – Co ty na to?

– Ale na co? – Kręciło jej się w głowie. Nagle ogarnęła ją fala gorąca. I jeszcze to pytanie! Czy w ogóle można było się głupiej zachować?!

– Na to, żebym się dzisiaj do was przyłączył? Nic nie mówisz, a ja nie chciałbym się wam narzucać i psuć zabawy.

– Nie narzucasz się. – Jenny przygryzła dolną wargę. Dlaczego nie potrafiła okazać więcej entuzjazmu? Przecież Dennis był cholernie przystojny i bardzo by się ucieszyła, gdyby zdecydował się spędzić z nimi popołudnie.

– Poważnie? – Popatrzył jej w oczy z taką intensywnością, że nie była w stanie nabrać oddechu.

– Poważnie! – Nagle zerwała się z krzesła. Czuła, że musi jak najszybciej stąd wyjść, bo jeszcze chwila, a straci przytomność. – Byłoby nam bardzo miło, gdybyś pojechał z nami – powiedziała jeszcze i wybiegła ze stołówki. Ostatnie, co usłyszała, to zaskoczony głos Dennisa.

– Co jej się stało?

Rozdział 12

Popołudniowe korki na ulicach Berlina były jak zwykle gigantyczne, więc Faris uznał, że lepiej zostawić samochód na parkingu i skorzystać z możliwości podwózki przez Hessego, który zaproponował jazdę motocyklem.

Od powrotu reportera do Berlina nigdy nie spotkali się u niego w mieszkaniu, tylko zawsze umawiali się w barach i restauracjach. Dopiero teraz, pędząc slalomem między stojącymi lub poruszającymi się w żółtym tempie samochodami, Faris uświadomił sobie, że w zasadzie nie ma pojęcia, gdzie mieszka jego kolega.

Wychylił się z za jego pleców, żeby go o to zapytać. Jechali tak szybko, że wiatr szumiał mu w uszach, a sytuację jeszcze bardziej utrudniał kask, który musiał założyć, bo Hesse uparł się, że odda mu swój. Ciasna skorupa nie była dopasowana do jego głowy i uwierała nieprzyjemnie ranę na czole.

Chwilę później Niklas się odwrócił i uśmiechnął się do niego szeroko, po czym wrócił do obserwowania drogi przed motocyklem.

– Mówię ci, padniesz z wrażenia.

I rzeczywiście, niewiele brakowało, a Faris by padł.

Hesse wyjechał z centrum i skręcił na Tempelhofer Damm. Minął pomnik Mostu Powietrznego, wjechał na Columbiadamm, aż wreszcie zatrzymał się przed niewielką bramą w ogrodzeniu dawnego portu lotniczego Tempelhof.

– Tylko nie mów, że tutaj mieszkasz? W tym gigancie? – zapytał z niedowierzaniem, kiedy Hesse zaparkował motocykl i wyłączył silnik.

Dziennikarz znów uśmiechnął się szeroko.

Poprowadził Farisa przez teren starego lotniska. Mijali kolejne budynki, wciśnięte milcząco w gorset przytłaczającej architektury czasów nazizmu. Tempelhof od wielu lat nie pełnił już funkcji, do jakiej go powołano. Z początku w mieście toczyła się bardzo gorąca dyskusja, co zrobić z nieczynnym portem lotniczym, historycznymi budynkami, rozbudowaną siecią dróg kołowania i długim pasem startowym. Berlińczycy z okolicznych dzielnic szybko zaczęli korzystać z tych terenów jak z parku miejskiego i doprowadzili nawet do wyznaczenia go tutaj, lecz dalej nikt nie miał pomysłu na przyszłość setek metrów budynków i hal, i z tego, co Faris wiedział, do dziś nikt nie podsunął dobrego rozwiązania. Kiedyś wykorzystano zabudowania do organizacji jakiejś dużej imprezy studenckiej, na którą zaproszono programistów, blogerów i różnych zapaleńców z sześćdziesięciu sześciu krajów, po której część z nich zdecydowała się zostać na miejscu. W ten sposób w połowie lat osiemdziesiątych zabudowania zostały zaanektowane przez komunę, która obwołała je swoim domem i przez wiele lat je zamieszkiwała.

Nie tak dawno, o ile Farisa nie myliła pamięć, przyszedł rozkaz z góry, żeby zakończyć działanie nielegalnego squatu na terenie dawnego lotniska.

A teraz maszerował posłusznie za kolegą, który pewnym krokiem przeszedł przez dwuskrzydłowe drzwi do jednej z hal, skręcił w krótki korytarz i ruszył wąską klatką schodową w górę. Kiedy dotarli na piętro, znaleźli się niemal dokładnie pośrodku

opuszczonej hali przylotów.

Faris zatrzymał się gwałtownie.

– Wow!

Jedno z najwcześniejszych wspomnień w jego głowie było związane właśnie z tym miejscem. Miał mniej więcej cztery lata. Przyleciał z rodzicami i starszą siostrą Anisah z Egiptu i wylądowali tu, na Tempelhof. Faris pamiętał, jak wyglądał przez wielkie, szklane drzwi na zewnątrz, gdzie z szarego nieba padał szary deszcz – deszcz, jakiego nigdy wcześniej nie widział. Pamiętał również, że kiedy się odwrócił, zauważył, że po policzkach matki spływają łzy. Wtedy po raz pierwszy zobaczył ją płaczącą i nie wiedział, co się dzieje. Myślał, że to krople deszczu wpadły do hali i w jakiś sposób ściekały teraz po twarzy matki.

– Zaskoczony? Robi wrażenie, co?

Faris drgnął. Tak bardzo zanurzył się we wspomnieniach, że zapomniał, gdzie jest, i nie zauważył, jak Hesse staje obok niego. Taśmy podające bagaże znajdowały się cały czas na swoich miejscach, a budki, w których siedzieli celnicy odprawiający podróżnych, również w większości oparły się działaniu czasu. Jednak wcześniejsi nielegalni mieszkańcy zamalowali w nich szyby różnymi kolorami, tak że dziś przypominały domki dla hippisów. Przed jednym z nich stały dwie zaschnięte juki, a cała podłoga tonęła w różnych śmieciach, pustych butelkach, torebkach foliowych i innych odpadach.

– Myślałem, że już dawno zlikwidowaliśmy ten squat – mruknął Faris.

Hesse rozejrzał się i wykonał obszerny gest dłonią.

– Bo zlikwidowaliście. A ja się tu wprowadziłem dopiero potem. – Spojrzał na kolegę. – Dobra, chodź dalej.

Przecięli dużą halę i jedną z dwóch klatek schodowych ruszyli w górę, gdzie niegdyś działała restauracja z oknami od frontu budynku. Tu, na górze, znajdowała się również niewielka galeryjka, z której wchodziło się do biur. W powietrzu unosił się dziwny zapach, przypominający mieszaninę woni rozkładającej się ze starości wykładziny i smrodu gnijących śmieci. Faris skrzywił się z odrazą.

Hesse stanął przed drzwiami jednego z biur. W przeciwieństwie do pozostałych pomieszczeń, to było zamknięte na kłódkę. Dziennikarz wyjął z kieszeni klucz, otworzył i zaprosił Farisa do środka.

– O cholera... – powiedział Faris, kiedy przekroczył próg. Po raz drugi prawie odebrało mu mowę.

Dawne biuro miało może dwadzieścia pięć metrów kwadratowych, a całą podłogę przykrywała niebieskawa wykładzina, która – podobnie jak wykładzina na zewnątrz – najlepsze lata miała już dawno za sobą. Każdy centymetr powierzchni został wykorzystany. Faris doliczył się przynajmniej sześciu komputerów, z których część stała na podłodze, a kilka na masywnym dębowym biurku, które wyglądało, jakby ktoś uratował je przed śmieciarką w dniu wywozu gabarytów. Grube wiązki przewodów wiły się między sprzętami, by połączyć się na wejściu do szafek elektrycznych albo czarnych skrzynek z diodami migającymi na zielono i czerwono. Poza komputerami w pokoju stało również wąskie łóżko umieszczone przy oknach z mlecznymi szybami naprzeciwko drzwi oraz aneks kuchenny, który najwyraźniej znajdował się tu od czasów, kiedy lotnisko

jeszcze funkcjonowało. Faris ochłonął trochę i pomyślał, że dokładnie tak zawsze wyobrażał sobie kwaterę, w której działałby jakiś nawiedzony geniusz komputerowy. Wystarczyło, że zamknął za sobą drzwi, a zaraz zapomniał, gdzie się właściwie znajduje.

Hesse postawił jego komputer na wolnym skrawku drewnianego blatu, przyciągnął stare krzesło biurowe i pchnął je w stronę kolegi.

– Siadaj! Muszę włączyć komputery i trochę czasu minie, zanim załaduje się system. Ale nie ma tego złego, bo przygotuję nam herbatę. Potem zaczniemy pracę.
– Podszedł do aneksu kuchennego, wodą z dużej plastikowej butli napełnił dzbanek i włożył do niej staromodną grzałkę.

– Masz tutaj prąd? Skąd? – zapytał Faris zaskoczonym głosem. Zignorował podsunięte krzesło, bo wołał stać.

Hesse pokiwał głową, szukając w jednej z szafek puszki z herbatą.

– Musiałem trochę pokombinować, ale tak, mam tu prąd. Niestety, gdybym nie wyłączał komputerów, ktoś by zauważył, że jestem podłączony, dlatego nie pracują, kiedy ich nie potrzebuję.

Zanurzył w herbacie liściastej metalowy zaparzacz, zamknął go i zawiesił w porcelanowym czajniczku w różę. W takim otoczeniu sprawiał on surrealistyczne wrażenie, jak perski dywan w schronisku dla bezdomnych.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego akurat tutaj? – Faris rozejrzał się zdezorientowany.

Wcześniej Hesse miał niewielkie mieszkanie w Charlottenburgu. To wszystko tutaj... to do niego nie pasowało!

– W sensie, dlaczego tutaj zamieszkałem?

– No właśnie.

Hesse nie od razu odpowiedział. Począł, aż woda się zagotuje, wyjął z dzbanka grzałkę i zalał wrzątkiem herbatę w różanym, porcelanowym czajniczku. W powietrzu rozszedł się zapach wiśni i spotęgował w Farisie poczucie surrealizmu.

– Bo nie muszę płacić nikomu za czynsz. Od kiedy twoi szanowni koledzy przepędzili dawnych mieszkańców lotniska i zabezpieczowali wejścia do budynków, jestem tutaj sam jak palec. Nikt mi nie przeszkadza. Ba, nikt nawet nie podejrzewa, że tu mieszkam. – Usiadł na pryczy pod mleczną szybą. – Idealne warunki jak dla mnie.

Faris zmarszczył brwi. Spojrzał uważnie na kolegę, a potem przesunął wzrok na fotografię w ramce, stojącą pośród plątaniny kabli i zwałów najróżniejszego sprzętu elektronicznego. Zdjęcie nie pasowało do tego miejsca w takim samym stopniu, w jakim nie pasował tu porcelanowy czajniczek w różę. Wziął je do ręki i obejrzał. Przedstawiało ciemnowłosą kobietę o szerokim, szczęśliwym uśmiechu, z dużymi koleczkami w kształcie gwiazd.

– To przez nią wyjechałeś wtedy z Berlina? – zapytał i odwrócił ramkę, by Hesse mógł zobaczyć, o czym mówi. Na jej odwrocie znajdowała się jeszcze metka z Ikei i dało się odczytać cenę 8,99 euro.

Hesse znieruchomiał i przez dłuższą chwilę z pochmurną miną wpatrywał się w zdjęcie.

– Tak – powiedział tylko.

Od kiedy wrócił do Berlina, Faris niejednokrotnie próbował dowiedzieć się o niej

czegoś więcej, jednak dziennikarz skutecznie wykręcał się od odpowiedzi. Żeby go nie zadręczać, Faris zgadzał się na zmianę tematu. Choć zawsze rozmawiali o najprzeróżniejszych sprawach, kobietami raczej się nie zajmowali.

– Ma orientalne rysy twarzy – powiedział tylko i odstawił ramkę na miejsce, z którego ją wziął.

– Uhm – mruknął Hesse i to była jedyna odpowiedź, jakiej Faris się doczekał.

Policjant się odwrócił i wyrzwał przez drzwi na halę przylotów. I nagle – tak gwałtownie, że aż poczuł ból – zrozumiał, że w końcu potrafi nazwać stan, w jakim znajdował się od kilku miesięcy: depresyjny pesymizm. Ugiął się pod ciężarem samotności, którą nosił na barkach. Podejrzewał, że nie wytrzymałby tutaj dłużej niż kilka dni, zanim sięgnąłby po broń, żeby strzelić sobie w łeb.

Hesse wstał z leżanki, podszedł do aneksu i z czajniczka wyjął zaparzaczkę, a woń wiśni raz jeszcze wypełniła pokój. Potem nalał herbatę do dwóch kubków, z których jeden podał Farisowi. Niemal w tym samym momencie kilka komputerów jednocześnie zasygnalizowało gotowość do pracy.

– Dobra – powiedział dziennikarz. – Możemy zaczynać!

Zatarł dłonie. W jednej chwili na powrót stał się dziennikarzem śledczym.

Faris zakaszlał. Wystarczyło tylko tych kilka słów o tajemniczej kobiecie ze zdjęcia, by powróciły do niego wszystkie wspomnienia związane z Laurą. Nieświadomie sięgnął do skórzanej opaski na nadgarstku i stłumił westchnienie.

– W porządku. Żebyśmy mieli jasność: dostaniesz ode mnie wiadomości na temat tej sprawy, ale musisz mi przysiąc, że nie opublikujesz tego, dopóki nie dam ci zielonego światła.

Hesse przewrócił oczyma.

– Nie no, stary, ja...

Policjant potrząsnął głową.

– Nie, Niklas – powiedział zdecydowanie. – To naprawdę cholernie ważne. Musisz dać mi słowo.

Hesse spojrział na niego spode łba.

– To coś naprawdę dużego? Chodzi o wybuch bomby w metrze, prawda?

Faris pomyślał o przypuszczeniach i podejrzeniu, że kolejny atak może nadejść w czasie mszy następnego dnia, i zastanowił się, co może zdradzić.

Z zasady tego typu imprezy były odwoływane, gdy policja ogłaszała ostrzeżenie dotyczące ryzyka zamachu. Tym razem można było poczekać z podjęciem takiej decyzji, bo policja dysponowała wyraźną informacją, kiedy konkretnie dojdzie do eksplozji. Czterdzieści godzin to dużo czasu. Nikt jednak nie wiedział, czy i ile dodatkowych ładunków podłożył zamachowiec, a już tym bardziej, czy będzie chciał je zdetonować, jeśli ktoś pokrzyżuje mu plany i odwoła główną mszę.

W tej chwili najważniejszą sprawą było zdobycie dalszych informacji!

– Tak – odpowiedział Faris powoli, kiedy wszystko sobie przemyślał. – Chodzi o eksplozję w metrze. Obawiamy się, że będzie ich więcej.

Hesse z wrażenia wytrzeszczył oczy.

– W sensie, że będą kolejne bomby? Zamachowiec napisał o tym w tym samym

mejlu, w którym bierze odpowiedzialność za pierwszą?

– Coś w tym guście. Z pewnych względów mamy związane ręce. Dlatego bardzo byś mi pomógł, gdyby udało ci się szybko ustalić, kto i w jaki sposób zainstalował tego trojana na moim dysku.

Hesse wpatrywał się w swoje dłonie.

– Zdajesz sobie sprawę, że stosowane przeze mnie metody dają wyniki, którymi możesz się posłużyć ty i nikt więcej? Nie możesz ich wykorzystać przed sądem, bo żaden sąd nie dopuści ich do materiału dowodowego? Jeśli rzeczywiście na coś trafimy, oficjalnie nic z tym nie zrobisz.

Faris potaknął.

– I domyślasz się chyba, że jeśli przyjdzie co do czego, to taka samowolka może cię kosztować ostateczne rozstanie ze służbą? Tak? – ciągnął reporter.

Faris zazgrzytał zębami i znów potaknął.

Stawka toczyła się o życie setek berlińczyków. Organizatorzy spodziewali się ponad sześćdziesięciu tysięcy wiernych na jutrzejszej mszy. Sześćdziesiąt tysięcy ludzi w jednym miejscu! Niech to cholera! Czy w takiej sytuacji miało znaczenie, czy zachowa pracę, czy ją ostatecznie straci? Jeśli to miałyby być cena za zatrzaśnięcie kajdanków na nadgarstkach zamachowca, to na pewno ją zapłaci. Może bez szczególnego entuzjazmu, ale przynajmniej z czystym sumieniem.

– Zaczynaj! – polecił krótko.

Hesse wytarł usta i podrapał się po brodzie.

– Dobra. Zobaczmy, co da się zrobić...

Podjechał na krześle do dębowego stołu, który sięgał niemal od ściany do ściany i w całości zastawiony był sprzętem komputerowym, papierami i przedmiotami, których przeznaczenia Faris nie potrafił odgadnąć. W zasadzie jedynym przedmiotem, który udało mu się bez problemu zidentyfikować, był stół montażowy. Wiedział, że Niklas go potrzebuje do przygotowywania materiałów na swoją stronę.

Monitor, przed którym siedział dziennikarz, wyświetlał jaskrawy symbol płomieni.

Hotnewz.tv, przeczytał Faris.

To było logo strony internetowej należącej do Hessego.

Po kliknięciu myszką wygaszacz zniknął i dziennikarz mógł nagrać jakiś program na pendrive'a, po czym wsunął go do portu USB w komputerze Farisa. Przez chwilę uderzał w klawisze przenośnego sprzętu, pisał coś, aż w końcu był gotów nacisnąć enter. Zawahał się jednak.

– Mhm. Słuchaj, jesteś pewien, że mam to zrobić? – zapytał.

Faris się zastanowił.

– Co może pójść nie tak?

– Zgram teraz program na twój komputer. Jeśli twoi koledzy będą później analizowali zawartość twardego dysku, znajdą go i natychmiast będą wiedzieli, że...

Wzruszył ramionami i nie dokończył zdania.

– Myślisz, że uda im się w ten sposób trafić na ciebie? – dopytywał się policjant.

Hesse uśmiechnął się szeroko.

– Mowy nie ma.

To oznaczało, że nielegalna akcja nie mogła sprowadzić na dziennikarza niebezpieczeństwa.

– Bierz się do roboty.

– W razie czego, gdyby ktoś na ciebie naciskał, nie zdradzisz mnie, co?

– Zwariowałeś? Oczywiście, że nie!

– Jeśli powiesz, że to ja, zeznam pod przysięgą, że zmusiłeś mnie do tego torturami!

– Hesse uśmiechnął się szeroko.

– Nie gadaj już, tylko działaj!

Hesse stuknął palcem w enter na klawiaturze laptopa, po czym na ekranie pojawił się pasek postępu informujący o stanie kopiowania. Po kilku sekundach było po wszystkim i dziennikarz uruchomił zgrany program.

– Okej – powiedział zadowolony z siebie i oparł się wygodnie. – Teraz zostaje nam już tylko czekać.

– Jak długo? – zapytał Faris.

– To zależy, czy gość jest dobry i jak jest dobry.

– Niech będzie. – Faris się rozejrzał. – Zanim dostaniemy wyniki, chciałbym skorzystać z komputera z dostępem do Internetu, żeby... – przerwał, bo rozległ się sygnał informujący o nowym mejlu w skrzynce Hessego.

Dziennikarz spojrział na ekran swojego komputera i nachylił się nad klawiaturą.

– O – powiedział. – Wiadomość od twojej rodzinki.

Faris spojrział na niego zaskoczony, po czym popatrzył na monitor i zorientował się, co Hesse miał na myśli – komunikat z Krajowej Policji Kryminalnej.

„Ważna informacja berlińskiej policji dla przedstawicieli prasy”, głosił tytuł wiadomości.

Hesse otworzył mejla.

„Kto zna tego mężczyznę?” – przeczytał i kliknął na załączone zdjęcie, a kiedy się otworzyło, przyjrzał mu się uważnie przekrzywiając głowę.

Plik graficzny zawierał jedną klatkę z filmu przesłanego przez zamachowca, ze zbliżeniem twarzy ukrzyżowanego. Po rozmowie z Paulem Faris spodziewał się czegoś takiego. Zanim zdjęcie trafiło do prasy, musiało przejść przez komputer Bena, bo zostało przycięte w taki sposób, żeby nie było widać krzyża. Co więcej, technik usunął z twarzy ofiary ślady krwi i koronę cierniową z jego głowy. Trzeba było bardzo uważnie się przyjrzeć, żeby zauważyć, że coś tam w ogóle było.

Hesse był bardzo spostrzegawczy.

– Dziwnie facet wygląda – oznajmił. – Musieli mu coś wyretuszować z twarzy i z głowy. Co tam było?

Faris odetchnął kilka razy głęboko, po czym opowiedział krótko o ukrzyżowaniu, monitorze pracy serca i o bombie, która miała wybuchnąć, kiedy przestanie bić serce mężczyzny na krzyżu.

Z każdym słowem oczy Hessego stawały się coraz to większe.

– Co za news! – jęknął mimowolnie.

W tej samej chwili Faris poczuł silne zawroty głowy i musiał przytrzymać się stołu, żeby nie upaść. Zrobiło mu się ciemno przed oczyma.

– Hej, stary, co się dzieje? – Głos Hessego docierał do niego jak przez mgłę. Zamrugał, żeby odzyskać ostrość widzenia, i zauważył, że dziennikarz patrzy na niego ze szczerą troską. – Żle się czujesz?

Potrząsnął głową. Gwałtowny ruch momentalnie wywołał silny ból.

– Nie, nic mi nie jest. To tylko głowa...

Usiadł powoli na krześle, które dziennikarz mu wcześniej zaproponował.

– Może masz wstrząs mózgu? Dałeś się komuś zbadać? – Hesse przechylił się, przyciągnął do siebie mebelek, który wyglądał jak nocna szafka na kółkach, i wyjął z niej niewielkie pudełko. Rzucił koledze, a kiedy Faris je złapał, przeczytał na opakowaniu, że to tabletki przeciwbólowe.

Wycisnął dwie i popił je resztką herbaty.

Hesse nie marnował czasu i wrócił do klawiatury. Prawą ręką rozwinął jakieś menu, a potem napisał krótką wiadomość.

„Kto zna tego mężczyznę?” – przeczytał Faris. Hesse umieścił na swojej stronie zdjęcie rozesłane przez policję. Zrobił pewnie to samo, co większość dziennikarzy i dyżurnych w redakcjach w całym mieście. Nie miał wątpliwości, że najpóźniej za pół godziny wyretuszowana fotografia ukrzyżowanego mężczyzny znajdzie się na pierwszych stronach wieczornych wydań gazet.

Pytanie tylko, jak na to zareaguje zamachowiec. Po pierwszym telefonie nie dał znaku życia, jednak Faris podejrzewał, że może zadzwonić, gdy tylko zobaczy zdjęcie ze swojego filmiku. Wtedy też się dowie, że on został odsunięty od tej sprawy. Przełknął głośno ślinę. Teraz to tylko kwestia czasu, zanim Berlinem wstrząśnie kolejna eksplozja. Z jakiegoś powodu nie miał co do tego wątpliwości.

Niespodziewanie ogarnęło go ogromne znużenie. Wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer Paula.

– Sievers – usłyszał w słuchawce znajomy głos partnera.

– Paul, to ja.

– O, cześć. Gdzie jesteś?

– U Hessego. Zaraz będę miał dostęp do szybkiego łącza, z którego mógłbym zalogować się w DigAA. Tromsdorff dał zielone światło?

– Dał, ale bardzo niechętnie – powiedział Paul poważnym tonem. – Wiesz, że nadstawia za ciebie karku, prawda? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, podyktował Farisowi jego nowy kod dostępu. Nawet jeśli był zdziwiony, że zastał go u znajomego dziennikarza, nie dał tego po sobie poznać.

– Jakież nowości? Macie cokolwiek? – zapytał Faris. – Poza tym, że rozesłaliście zdjęcie tego ukrzyżowanego gościa.

– Aha, czyli już wiesz. – Paul westchnął. – Andersen wysłał na stadion dodatkowe siły. Mają wesprzeć pracujących tam kolegów w poszukiwaniu ładunków wybuchowych. Do sąsiednich landów poszły zapytania o udzielenie pomocy w ludziach.

– Facet zgłosił się ponownie? Może przysłał jakąś wiadomość?

– Jeszcze nie, my... – Reszty jego słów nie usłyszał, bo zagłuszył je radosny okrzyk Hessego.

– O cholera, no proszę!

Faris spojrział szybko w jego stronę, lecz dziennikarz siedział skupiony na czymś, co widział na monitorze.

– Sorry – przeprosił Paula. – Nie usłyszałem ostatniego zdania.

– Powiedziałem, że nie jesteśmy całkowicie pewni, czy mamy się z tego cieszyć, czy wręcz przeciwnie – powtórzył Paul.

– Szlag by to trafił! – burknął Hesse.

– Poczekaj, muszę sprawdzić, co się dzieje.

Faris wstał, podszedł do dziennikarza i spojrział mu przez ramię. Na stronie z zamieszczonym zdjęciem poszukiwanego mężczyzny pojawiały się już pierwsze komentarze użytkowników. Jak zwykle Faris nie mógł uwierzyć w niesamowitą prędkość, z jaką wiadomości rozchodziły się w Internecie. I jak trudno było znaleźć w ich gąszczu cokolwiek sensownego. Przesunął wzrokiem po pierwszych komentarzach i zniesmaczony pokręcił głową. Do niczego się nie nadawały.

„Ale ryj!” – napisał ktoś.

Kolejny mu odpowiedział: „Tak sądzisz? Wygląda jak twój stary. Przestępca jakiś.”

„Tyle że on nie jest przestępcą” – przemknęło Farisowi przez głowę. W czasie kiedy czytał równie idiotyczne wpisy pod obrazkiem, na liście komentarzy pojawiały się kolejne.

– Macie coś? – usłyszał głos Paula.

Zaprzeczył.

– Nie, to tylko pierwsze komentarze po publikacji zdjęcia gościa z krzyża. Sam ściek.

Paul westchnął.

– A czego się spodziewałeś?! U nas chłopaki przy centrali pewnie siedzą i też wysłuchują jakichś frustratów, bo telefony dzwonią nieprzerwanie od publikacji zdjęcia. Zejdę chyba na dół i sprawdzę, czy mają tam cokolwiek wartościowego.

– Jak długo będziesz jeszcze nad tym siedział? – Faris spojrział na Niklasa.

Dziennikarz wzruszył ramionami.

– A bo ja wiem? Godzinę, dwie, może trzy... pojęcia nie mam. Zależy od tego, jaki dobry jest ten gość.

Faris wrócił do rozmowy z Paulem, a Hesse zaczął przygotowywać sensacyjne nagłówki.

– Berlin zakładnikiem zamachowca! – przeczytał Faris. – Zamach o podłożu religijnym.

„Podłoże religijne...” – pomyślał o współpracownikach z WPR-u, którzy pewnie siedzą teraz i starają się zinterpretować znaczenie nagrania.

Wskazał głową na jeden z komputerów.

– Mogę go użyć?

– Śmiało. Przeglądarka jest uruchomiona, więc się nie krępuj.

Mówiąc to, ani na chwilę nie oderwał się od swojej pracy.

Faris podsunął sobie krzesło, otworzył ekran logowania się do elektronicznego archiwum policji i wpisał kod podany przez Paula. Oznaczenie akt sprawy zamachu w Muzeum Klerscha znał na pamięć. Wpisał je w odpowiednie pole i zaraz zyskał dostęp

do wszystkich raportów, ekspertyz, zdjęć i nagrań wytworzonych w czasie prowadzenia dochodzenia.

Chciał się zabrać do przeglądania zgromadzonych materiałów, ale nagle się zawahał.

Jakaś część jego mózgu wzbraniała się przed ponownym przechodzeniem przez to wszystko i oglądaniem obrazów, które z takim wysiłkiem starał się wyprzeć z pamięci. Zamyślony wpatrywał się w mleczną szybę na końcu pokoju i zaczął wsłuchiwać się w siebie.

Czasem, kiedy utykał na jakimś etapie dochodzenia i nie wiedział, co dalej, celowo korzystał z tej techniki. Nieraz udało mu się w ten sposób trafić na jakiś szczegół, fragment, który nie pasował do całości. Urywek jakiejś rozmowy, który pozwalał wysnuć nowe wnioski. A czasem pojawiało się tylko przeczucie, które warto było sprawdzić.

Przezucie...

Nagle odniósł wrażenie, że odpowiedzi na wszystkie pytania, które sobie zadawał, nie powinien szukać w aktach, tylko w słowach wypowiedzianych przez nieznanego.

Zamknął okno z aktami z zamachu w muzeum i otworzył zakładkę z aktualnymi sprawami. Nie znał numeru przypisanego eksplozji w metrze, lecz system DigAA był tak skonstruowany, że na liście z boku znajdowały się akta, do których w ostatnim czasie sięgało najwięcej funkcjonariuszy. A że w tej chwili cała berlińska policja szukała zamachowca z metra, pierwsza sygnatura na liście musiała dotyczyć tej właśnie sprawy.

Liczba akt przekroczyła jego najśmielsze oczekiwania. Wśród dokumentów Faris znalazł zapisy niektórych rozmów telefonicznych po publikacji zdjęcia ukrzyżowanego, w głównej mierze te, które mogły zawierać jakąkolwiek informację na temat jego tożsamości. Znalazł też spisane już zeznania świadków eksplozji na stacji metra oraz raporty funkcjonariuszy, którzy zaczęli rozpytywania wśród członków rodzin ofiar zamachu w muzeum. Shannon Starck, koleżanka z WPR-u, również załączyła dwa dokumenty, w których zamieściła informację o dwóch największych grupach fundamentalistów chrześcijańskich działających w Berlinie, czyli Misja Słowo Boże oraz Christus-Freaks, które podejrzewała o powiązanie z zamachem.

Faris przeczytał pobieżnie jej raporty i rozpytania rodzin ofiar z muzeum, po czym uruchomił odtwarzanie nagrania swoich zeznań. W rozmowie z przesłuchującym go funkcjonariuszem starał się możliwie najwierniej oddać słowa nieznanego, który zadzwonił do niego z samego rana. Teraz odsłuchiwał wszystko, co powiedział. Jego głos brzmiał dziwnie, jakby należał do kogoś obcego.

Zatrzymał nagranie w miejscu, w którym usłyszał, jak wymawia słowa: „Wtedy kazał mi udać się na stację metra na Bismarckstraße”.

– Niklas? Masz coś do pisania? – zapytał.

– Druga szuflada od dołu. – Hesse wskazał dłonią na szafkę nocną na kółkach, z której wcześniej wyjął dla niego tabletki przeciwbólne.

Faris wysunął szufladę. Znalazł w niej notatnik i kilka pomarańczowych długopisów z logo *hotnewzz.tv*. Dopiero tak uzbrojony zabrał się do ponownej rekonstrukcji słów zamachowca z rozmowy telefonicznej.

Na samym początku w notatniku zapisał *as-samu alaikum* i zrobił obok znak

zapytania, po czym dodał jeszcze: „zamachowiec z Muzeum Klerscha?”.

„Czyli pamiętasz” – powiedział nieznajomy. I jeszcze: „Człowiek by się spodziewał, że uczysz się na błędach”. Te słowa, podobnie jak zniekształcone arabskie pozdrowienie, wskazywały na możliwość, że między dzwoniącym i zamachowcem z muzeum istniał jakiś związek. Już rano, w biurze, udało się wykluczyć ponad wszelką wątpliwość, by zamachowcem była ta sama osoba, co wtedy – a jednak czuł, że w jakiś sposób musieli być od siebie zależni. Faris podejrzewał, że motywów dzisiejszego zamachu i planowanych kolejnych eksplozji należałoby szukać gdzieś w aktach starej i zamkniętej już sprawy muzeum.

Pytanie tylko – jak?

Grubymi literami zapisał: „Jak się łączą” i zakończył zdanie trzema znakami zapytania.

Nieznajomy w rozmowie telefonicznej dał mu tylko pięć minut, żeby dotarł na stację metra Bismarckstraße.

Zamyślony wpatrywał się w plecy Hessego, który pisał coś pochylony nad klawiaturą.

Pięć minut wystarczyło, żeby stawić się na wyznaczonym miejscu, jednak musiał się spieszyć, bo czasu było na styk. To oznaczało, że sprawca nie tylko wiedział o eksplozji w muzeum i znał szczegóły tamtego wydarzenia, ale musiał również znać adres, pod którym mieszkał Faris...

„Skąd sprawca mnie zna?” – zanotował w notatniku, a poniżej dodał pojedyncze słowo: „Motyw?”.

Paul i reszta przypuszczali, że sprawcą jest osoba, która ma z nim rachunki do wyrównania.

„MOTYW” – napisał raz jeszcze, tym razem dużymi literami, a poniżej: „rachunki do wyrównania”. W końcu zaczął notować listę uwag, jakie przychodziły mu do głowy:

„Zamachowiec z Muzeum Klerscha”.

„Krewni ofiar zamachu”.

Pierwszą linijkę od razu przekreślił, za to drugą oznaczył znakiem zapytania. Zamyślony zaczął stukać długopisem w zęby. Żaden z raportów z rozpytania bliskich ofiar poprzedniego zamachu nie zawierał informacji sugerujących posiadanie jakichkolwiek dodatkowych informacji i przebijało z nich przerażenie.

Sfrustrowany zatrzymał na dłużej wzrok na słowach o rachunkach do wyrównania. I w tej samej chwili w jego głowie zrodził się nowy pomysł.

Poza samym zamachowcem i członkami rodzin ofiar z Muzeum Klerscha był ktoś jeszcze, kogo dało się powiązać z tamtą sprawą, choć niebezpośrednio.

Faris podniósł wzrok.

– Golzer! – mruknął do siebie.

Hesse odwrócił się gwałtownie i spojrzał na niego zaskoczony.

– Ten łysol, któremu spuściłeś łomot? Co z nim?

– On mógłby mieć motyw, żeby zorganizować dzisiejszy zamach!

Faris rzucił długopis na notatnik.

– Czekał, chcesz powiedzieć, że po tym, jak obiliś mu mordę, poczuł się urażony,

więc zaplanował sobie wysadzenie połowy miasta w powietrze? – Hesse nawet nie starał się ukryć sceptycyzmu, kiedy zadawał to pytanie.

– Straciłem wtedy panowanie nad sobą, bo powiedział, że jestem zamachowcem i podkładał bomby. – Faris wzruszył ramionami. – Okej, zgoda. Wiem, że to trochę naciągane. Ale i tak.

– Zdecydowanie naciągane. – Hesse spojrzał z zainteresowaniem na ekran komputera kolegi.

Faris wstał. Przed kilkoma laty koledzy z Brandenburga prowadzili dochodzenie w sprawie działalności grupy Hells Angels. W wyniku działań operacyjnych udało się ustalić, że gang motocyklowy był mocno powiązany ze sceną neonazistowską w Niemczech. Niemal w ostatniej chwili udało się zapobiec zamachom bombowym w Poczdamie. Przypisywanie Golzerowi eksplozji w metrze było bardzo na wyrost, ale Faris czuł, że musi się czymś zająć, bo dłużej nie wytrzyma bezczynnego siedzenia. Opanował go niepokój tak mocny, że nie mógł usiedzieć na miejscu.

– Jak myślisz, ile to jeszcze może zająć? – zapytał, wskazując głową na swój komputer.

Hesse wzruszył ramionami.

– Wcześniej wydawało mi się, że już wszystko mamy, ale proszę, jeszcze nie. Więc nie mam pojęcia. Trochę na pewno.

– W porządku. – Faris się wyprostował. – Odwiedzę Golzera i zamienię z nim kilka słów.

Wyjął z kieszeni komórkę i sięgnął po jedną z wizytówek Hessego, które leżały na blacie. Szybko zapisał numer telefonu dziennikarza i zadzwonił do niego, jednak rozłączył się zaraz po usłyszeniu dzwonka, na który Niklas wybrał temat z amerykańskiego dramatu *Wszyscy ludzie prezydenta*.

W ten sposób masz mój nowy numer. Zadzwoń, jak będziesz coś miał, dobrze?

– Okej. – Hesse był skupiony i tylko jednym uchem słuchał kolegi.

Faris postanowił wykorzystać jego zamyślenie.

– Pożyczysz mi motocykl?

Niklas wykonał niedbały ruch w stronę szafki na kółkach.

– Tam gdzieś znajdziesz kluczyki – mruknął, nie odwracając się od komputerów. Napisał coś na laptopie Farisa i dwukrotnie nacisnął enter.

Policjant zostawił kolegę w jego jaskini komputerowego geeka i z kluczykami do motocykla opuścił budynek lotniska tą samą drogą, którą Hesse go przyprowadził. Kiedy przechodził przez wielką, pustą salę przylotów, znów ogarnął go przytłaczający pesymizm, lecz siłą woli zdołał go przegonić. Krótkie spojrzenie na zegarek pozwoliło mu policzyć, że do kolejnej eksplozji zostały tylko trzydzieści trzy godziny.

Tym razem nie założył kasku.

Rozdział 13

Jenny i Pia umówiły się z Dennisem na szesnastą przed wejściem do schroniska. Kiedy skończyły jeść obiad, Pia chciała iść na zakupy, a Jenny nie miała pomysłu, co zrobić z wolnym czasem, jaki jej został do spotkania z poznanym chłopakiem. W końcu postanowiła wrócić do pokoju i poczytać, tym bardziej że wzięła ze sobą najnowszą powieść swojej ulubionej autorki.

Na schodach jednak wpadła na Dennisa.

– O, hej – wymamrotała zaskoczona.

Stał dwa stopnie wyżej, więc musiała zadzierać głowę, żeby na niego patrzeć.

– Jeszcze trochę i pomyślę, że mnie stalkujesz! – Była dumna z siebie, że tak szybko wpadła na coś śmiesznego do powiedzenia.

Dennis uśmiechnął się szeroko.

– Żarty żartami, ale może naprawdę cię stalkuję?

Serce zabiło jej szybciej. Mówił poważnie? Wpatrywała się w niego, szukając oznak, że tylko się z nią droczy. Nie znalazła śladu złych zamiarów. Chłopak miał szczerą, bardzo przyjazną twarz i ciepłe spojrzenie.

– Co będziesz robiła? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Chciałam trochę poczytać.

– Poczytać. – Powiedział to tak, jakby było to coś skrajnie nieprzyzwoitego.

Jenny poczuła, że oblewa się szkarłatem.

– A co w tym złego?

Zszedł o jeden stopień, a ona mimowolnie się odsunęła.

– Ej, spokojnie, przecież nic ci nie zrobię – obiecał i wrócił na stopień wyżej.

– Pomyślałem po prostu, że zostało jeszcze trochę czasu do wycieczki po mieście, więc może będziesz miała ochotę wyskoczyć na lody?

Serce Jenny znów zabiło szybciej. „To przecież nie może być prawda” – przemknęło jej przez głowę i w ostatniej chwili powstrzymała odruch, żeby się obejrzeć. Gdzie została ukryta kamera? Ktoś jej pewnie robi nieprzyjemny żart.

– O rany, ale jesteś nerwowa, co? – zapytał Dennis, a w jego głosie słychać było kpiącą nutkę.

Potrząsnęła głową.

– Nie, generalnie to nie. – Ugryzła się w język, bo zabrzmiało to oschlej, niż chciała. – Te lody to całkiem niezły pomysł. Chętnie się przejdę – dodała pospiesznie.

Dennis uśmiechnął się szeroko.

– To na co czekamy? Znam tutaj w okolicy świetną lodziarnię! – Zrobił gest, jakby chciał wziąć ją pod ramię, ale powstrzymał się, cofnął rękę i tuż obok siebie zeszli na parter.

Kilka dziewczyn o czarnych, postawionych na sztorc włosach – bez najmniejszych wątpliwości przyjechały tu na festiwal, a nie na Dni Kościoła – spojrzało na Jenny z niedowierzaniem. Dopiero wtedy dotarło do niej z całą mocą, że właśnie wychodzi na

lody z tym megaprzystojnym chłopakiem! Niewiele brakowało, a na jej ustach pojawiłby się szeroki uśmiech pełen zadowolenia... Na szczęście zdążyła zacisnąć zęby i zachować spokojny wyraz twarzy. Za żadne skarby nie chciała wyglądać jak kotka, której właśnie udało się upolować myszkę.

– Mam wrażenie, że całkiem nieźle znasz Berlin – powiedziała, żeby nawiązać rozmowę.

Roześmiał się.

– Nie ma się co dziwić. W końcu tu mieszkam!

Jenny spojrzała na niego zaskoczona.

– Mieszkasz w Berlinie? To dlaczego nocujesz w schronisku młodzieżowym?

Dotarli właśnie do głównych drzwi i Dennis przytrzymał je szarmancko, żeby mogła wyjść na ulicę. Natychmiast otoczył ich gwar wielkiego miasta. Dopiero wtedy odpowiedział na jej pytanie.

– Pokłóciłem się ze starszym bratem, u którego akurat mieszkam – wyjaśnił dziwnym tonem, jakby zależało mu, żeby Jenny od razu się domyśliła, że szczególnie go lubi.

– Mieszkasz u starszego brata? – dopytywała się Jenny.

– Niestety. – Dennis skręcił w prawo. – Ma na imię Rainer. I straszny z niego dupek!

Dziewczyna odniosła wrażenie, że nie ma ochoty o tym mówić, więc taktownie zmieniła temat.

– Wiesz, że nawet cię nie zapytałam, jak się nazywasz? Znam tylko twoje imię – zachichotała.

– Golzer – odpowiedział od razu. Dotarli akurat do niewielkiej lodziarni urządzonej w stylu lat pięćdziesiątych. Również tym razem Dennis otworzył jej drzwi i przepuścił przodem. – Dennis Golzer.

Mniej więcej po trzydziestu minutach jazdy Faris zatrzymał motocykl Niklasa w dzielnicy Lichtenberg, przed starym, niepomalowanym budynkiem. Wyłączył silnik i zsiadł. Z mieszaniną złości i niepewności spoglądał na czerwono-biało-czarne flagi, które zasłaniały wszystkie okna. Dawniej mieściła się tu gospoda, dziś lokal służył neonazistom za miejsce spotkań. Na tyłach budynku – Faris dobrze o tym wiedział – znajdował się otoczony drzewami ogródek piwny, który skąpany w słońcu wyglądałby naprawdę idyllicznie, gdyby nie otaczający go wysoki mur, cały poznaczony nazistowskimi symbolami. Nad pomalowanymi na czarno drzwiami wejściowymi z oknami zabezpieczonymi kutymi kratami powiewała czarna flaga. Napis stworzony przedwojenną, kanciastą czcionką głosił, że to siedziba berlińskiego nacjonalistycznego ruchu oporu.

Faris poczuł ucisk w żołądku. Opuścił podpórkę i oparł na niej motocykl. Zdawał sobie sprawę, że pakuje się w bardzo nieciekawą sytuację, ale nie potrafił inaczej. Wiedział, że Rainer Golzer, neonazista, którego pobił przed niespełna czterema tygodniami, należał do grupy zajmującej ten lokal. Tłumaczył sobie, że tylko w ten sposób

może wnieść swój wkład do dochodzenia, które prowadzili jego współpracownicy w biurze na Keithstraße – choć jeśli miałby być zupełnie szczerzy, cieszyło go podniecenie, jakie odczuwał. Niewielka awantura z łysymi pałami dobrze mu zrobi i pozwoli rozładować napięcie i uporządkować chaos, jaki wywołała w jego głowie eksplozja na stacji metra.

Czy może...?

Odetchnął głęboko i zepchnął wszystkie wątpliwości do najdalszego zakątka mózgu, gdzie nie mogły mu przeszkadzać. Tam było ich miejsce.

Wolnym krokiem podszedł do budynku. Od samego przyjazdu musiał być obserwowany, bo ledwie zbliżył się do schodków, ktoś otworzył drzwi. Na spotkanie wyszło dwóch młodych mężczyzn. Nie byli przesadnie wysocy, lecz czego zabrakło im pod względem wzrostu, rekompensowali sobie szerokością w barach. Mieli na sobie spodnie bojówki, glany i czarne T-shirty, na których znajdował się jakiś napis. Faris nie mógł go jednak przeczytać, bo obaj założyli ramiona na piersiach. Jeden z nich był zupełnie łysy, drugi natomiast nosił staromodną wojskową krótką fryzurę. Faris znał łysego. Przed czterema tygodniami był w knajpie i widział, jak Faris mocnymi uderzeniami łamie Golzerowi nos i kość żuchwową. Golzer zwracał się do niego Michi.

Michi. Łagodność tego imienia sprawiła, że Farisowi zebrało się na śmiech.

Łysy odezwał się pierwszy.

– Co cię tak śmieszy, co? – warknął.

Mówił miłym wysokim głosem, który pasował raczej do jego imienia niż do bojowego wyglądu. Coś miał nie tak z oczyma. Mrugał, jakby był krótkowidzem. Dopiero po chwili dotarło do niego, z kim rozmawia.

– To ten ciapak, co pobił Rainera... – zaczął.

– Tak, to ja – przerwał mu Faris. – Chciałem się z nim zobaczyć.

Gdy został rozpoznany, policjant poczuł, jak napinają mu się mięśnie na plecach. Wiedział, że musi zachować zimną krew.

Wyraz twarzy łysego neonazisty zmieniał się jak w kalejdoskopie, wyrażając najpierw zaskoczenie, potem niedowierzanie, aż do kpiny z pogardą.

– Żartujesz, co nie? Nie wierzę, że mówisz serio!

Skinął głową na swojego towarzysza i zrobił gest w stronę ogrodu, na co drugi mężczyzna bez słowa odwrócił się i odszedł.

Faris przygotował się na atak i podszedł jeszcze kawałek. Z ogrodu na tyłach budynku dochodziły głośne rozmowy. To oznaczało, że Golzerowi towarzyszą inni członkowie jego organizacji. Odsunął od siebie rozpaczliwy pesymizm, który poczuł po raz pierwszy od wyjścia z hali przylotów zamkniętego lotniska.

– Mówię najzupełniej serio – oznajmił i uniósł obie ręce. – Chciałem zamienić z nim kilka słów.

Zza pleców Michiego wyłonił się kolejny mężczyzna. Rainer Golzer. W przeciwieństwie do pozostałych miał na sobie proste dżinsy i biały T-shirt, jednak ozdobiony napisem wykonanym tą samą czcionką, co napis na fladze: BNRO. Większość śladów bójki zniknęła już z jego twarzy, lecz na pierwszy rzut oka widać było złamany nos i kość jarzmową. Cała lewa strona twarzy wydawała się spuchnięta, lecz ślady tej

walki nosił z wyraźną dumą. Faris miał tak spięte mięśnie ramion, że zaczęły sprawiać mu ból.

Michi i reszta zostali na górze, za to Golzer zszedł schodami na dół.

– Życie ci zbrzydło? – zapytał wyzywająco, wysuwając brodę.

Faris potrząsnął głową. Adrenalina buzowała mu w żyłach.

– Muszę cię o coś zapytać.

– Pozwolili ci już wrócić do pracy? – Golzer zatrzymał się krok od niego. – No pewnie, można się było spodziewać! – warknął i z pogardą przymknął powieki. Miał długie, ciemne rzęsy i blade usta. Gdyby nie łysina i duży tatuaż BNRO nad prawym uchem byłby typem faceta, dla których kobiety tracą głowę.

– Nie przyjechałem tu służbowo – wyjaśnił Faris. – Chciałem cię zapytać, czy masz cokolwiek wspólnego z bombą zdetonowaną dzisiaj rano w metrze.

Rozpaczliwy smutek i samotność wychynęły z miejsca, w które je przepędził, i wypełniły jego klatkę piersiową, zmieniając świat w czarną bezdenną otchłań, w którą teraz zaglądał. Kilku młodych umięśnionych mężczyzn wyszło przez furtkę po prawej stronie i stanęło w nieregularnym półkolu za plecami Rainera.

– Z bombą? – Golzer zaśmiał się z niedowierzaniem, po czym odwrócił się do swoich towarzyszy. – Słyszeliście to, chłopaki? Jakiś kozojebca wysadza nasze metro w powietrze, a temu debilowi przychodzi do głowy pomysł, że ktoś od nas maczał w tym palce!

Jego koledzy uznali, że to zupełnie nieśmieszne, bo zamiast się zaśmiać, popatrzyli na niego jeszcze bardziej ponuro.

Faris poczuł za sobą jakiś ruch. Obejrzał się przez ramię. Za jego plecami stanęło dwóch mężczyzn.

Schwycili go i mocno zacisnęli dłonie na jego ramionach. Nawet nie próbował uwolnić się z ich uścisku. Tabletki przeciwbólowe od Hessego przestały działać i znów poczuł w głowie tępy, nieprzyjemny ucisk.

Michi zszedł po schodach i stanął przed Golzerem.

– Mam mu jebnąć? – zapytał, rwąc się do bójki. I nie czekając, czy Rainer skinie głową, wpakował Farisowi pięść w brzuch.

Policjant widział zbliżający się cios i napiął mięśnie, lecz mimo to padłby na ziemię, gdyby dwójka łysych neonazistów nie trzymała go za ramiona. Ból objął wszystkie żebra, poobijane w porannej eksplozji, i powędrował wyżej. Otworzył usta i spróbował nabrać powietrza.

Niewyraźnie zobaczył, jak Michi po raz drugi unosi pięść i bierze zamach.

– Wystarczy! – warknął Golzer chłodnym tonem.

Łysy opuścił ramię.

Faris wyprostował się, podtrzymywany przez dwójkę za jego plecami.

– Na więcej cię nie stać? – zapytał z wysiłkiem.

Michi znów uniósł pięść, jednak Golzer zrobił krok w jego stronę i złapał za rękę, po czym zbliżył twarz do twarzy Farisa.

– Chcesz coś ode mnie usłyszeć? – syknął. – To proszę bardzo. Jestem w bardzo złym nastroju, bo mój młodszy brat ostro mnie dzisiaj zwymyślał. Nazwał mnie

śmierdzącym nazistą, rozumiesz? Mnie? – Spojrzał mu wyzywająco w oczy i prychnął niezadowolony.

– Puście go! – rozkazał swoim osiłkom.

Łysi mężczyźni się zawahali.

– No dalej! – warknął Golzer ostro.

W końcu go posłuchali. Faris ze zdziwieniem stwierdził, że jest w stanie bez niczyjej pomocy utrzymać się na nogach.

– No to jak? – zapytał. – Masz coś wspólnego z tą bombą?

W oczach Golzera pojawiło się szczere oburzenie i złość. Trudno mu było uwierzyć, że komuś w ogóle mogło przyjść do głowy obwinać go o zamach bombowy, który w jego mniemaniu mógł popełnić jedynie cudzoziemiec.

To wystarczyło Farisowi, żeby nabrał pewności, że neonazista nie ma nic wspólnego z poranną eksplozją.

Golzer wskazał brodą na jego motocykl.

– Spierdalaj.

Zaskoczony Faris zmarszczył czoło. To było ostatnie zakończenie, jakiego się spodziewał po tej wizycie.

– Wypierdalaj! – powtórzył Golzer. – I zapamiętaj sobie raz na zawsze, że moi chłopcy nie mają nic wspólnego z tchórzliwymi zamachami bombowymi popełnianymi w mojej ojczyźnie przez twoich kumpli kozojebców.

Kozojebca. W jego piersi zrodził się sardoniczny śmiech. Jak człowiek znajdzie fajne słowo, powinien się go trzymać i używać, gdzie się da.

Powstrzymał śmiech i spojrzał neonaziście w oczy. Golzer nie odwrócił wzroku i przez chwilę toczyli milczącą walkę. W końcu Faris skinął głową.

– Zgoda – powiedział. – Rzeczywiście nie mieliście z tym nic wspólnego.

Ugryzł się w język, żeby nie dokończyć zdania.

„Bo jesteście na to zdecydowanie za głupi”.

Poza tym to nie byłaby prawda. Golzer z całą pewnością nie był głupi.

Faris postanowił poprosić Paula, żeby go dokładnie sprawdził.

Kiwnął krótko głową.

– Miłego wieczoru – powiedział jeszcze, po czym odwrócił się do niego plecami.

Kiedy szedł w stronę motocykla, spodziewał się, że ktoś go zaatakuje. A jednak nic takiego się nie stało. Najwyraźniej Golzer miał w bandzie duży posłuch.

Młodzi mężczyźni patrzyli w milczeniu, jak Faris wsiada na motocykl i uruchamia silnik.

Rozdział 14

Faris odjechał kawałek i zatrzymał się, ledwie przekroczył granicę dzielnicy Friedrichshain. Na poboczu drogi poczekał, aż przestaną go boleć żebra. Całe ciało miał poobijane i ponaciągane, jakby ktoś przepuścił go przez magiel. Oddychając głęboko, sięgnął do kieszeni i wyjął komórkę, żeby zadzwonić do Paula.

Już pierwsze słowa jego partnera pozwoliły mu się domyślić, że w WPR poszli tym samym tokiem rozumowania co on i wyciągnęli podobne wnioski.

– Jesteśmy właśnie na etapie szukania gości, z którymi masz na pieńku i moglibyście chcieć wyrównać rachunki – oznajmił Paul.

Żebra dalej pulsowały mu strasznym bólem. Spróbował zmienić pozycję, żeby tak nie cierpieć, jednak ruch sprawił, że poczuł silne ukłucie w klatce piersiowej. Sapnął przez zęby.

Syk powietrza nie uszedł uwagi Paula.

– Hej, coś się stało?

– Nie, nic. – Wiedział, że partner wyczuje kłamstwo, ale domyślał się też, że nie będzie teraz tego drażył. Poza tym nie czuł się w nastroju do wyjaśnień.

W głosie Paula pojawiła się nutka troski, kiedy mówił dalej:

– Sprawdzamy wszystkich potencjalnych kandydatów. Rainera Golzera na przykład też.

Faris pokręcił głową.

– Jego nie musisz, już nie jest podejrzany.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza. Faris wyobraził sobie, co jego partner teraz myśli, jak układa jego słowa w spójny obraz i jak wyciąga z niego wnioski – wnioski, które nie mogły mu się spodobać.

– Jak to: nie jest już podejrzany? – powtórzył Paul powoli.

Faris milczał.

– Skąd masz pewność?

– Bo właśnie od niego wracam – wyjaśnił spokojnie.

– Odbiło ci?! – wrzasnął jego partner. – Jesteś...

Więcej Faris nie usłyszał, bo przezornie odsunął telefon od ucha, zanim krzyki Paula zdążyły uszkodzić mu błonę bębenkową.

– Skończyłeś? – zapytał, kiedy szum ze słuchawki stał się nieco cichszy.

– Nie rozumiem, Faris, serio, nie rozumiem cię! – westchnął Paul i zamilkł na chwilę. – Jakie obrażenia odniosłeś?

– Żadnych. No prawie. Mam obite żebra, ale bolą tylko dlatego, że rano ucierpiały w eksplozji.

– Masz nawalone we łbie, wiesz o tym, prawda?

– Nie wykluczam. Na wszelki wypadek sprawdźcie go dokładniej, ale jestem pewien, że to nie jego szukamy. Macie coś jeszcze?

– W tej chwili musimy jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, czy mamy do czynienia z zamachem dokonany przez islamistów, czy nie.

– Już wcześniej mówiłem, że nie widzę niczego, co by na to wskazywało – zauważył Faris.

– Póki co też jesteśmy tego zdania. Ben analizuje nagranie klatka po klatce.

Faris nachylił się delikatnie, żeby choć trochę uśmierzyć ból. Musiał wydać przy tym jakiś dźwięk, bo Paul natychmiast zareagował.

– Coś się stało? Pewnie paskudnie się czujesz, co?

Nie chciał kłamać, więc nie zaprzeczył.

– Przydałaby mi się chwila na odpoczynek. Odezwę się, jeśli coś mi przyjdzie do głowy.

Paul milczał. Faris miał wrażenie, że w tym, co i jak mówił, jest trochę wyrzutów sumienia. Jego partner wyraźnie się o niego martwił.

Zmusił się do radosnego tonu.

– Trzymaj się, staruszkule – spróbował zażartować. – Nic mi nie jest!

Nie usłyszał, jakie konkretnie przekleństwo padło ze słów Paula, bo szybko zakończył połączenie.

Żeby się uspokoić, jeździł bez celu po okolicy. Mijały minuty, a jemu nie przychodził do głowy żaden pomysł, jak mógłby pomóc zespołowi w rozwiązaniu tej sprawy. Za to bezustannie rozbrzmiewały w jego głowie słowa zamachowca z muzeum:

„Błędna odpowiedź!”

A potem piskliwy, histeryczny krzyk kobiety ze stacji metra:

„Co pan narobił?”

I w końcu ten zniekształcony, kpiący głos nieznanego w słuchawce:

„Gdzieś w twoim przepięknym mieście, Faris, jakiś facet wisi sobie na krzyżu. Dopóki bije jego serce, wszystko jest w porządku. Ale jeśli przestanie, zanim go znajdziesz, to...”

– Ale jeśli przestanie, zanim go znajdziesz, to...

Faris zacisnął dłonie na manetkach i pomyślał, że wiele by dał, żeby siedzieć teraz w swoim samochodzie. W odtwarzaczu CD miał płytę Metalliki *Kill'Em All*, a utwór *Seek and Destroy* idealnie pasowałby do jego obecnego nastroju.

Nawet nie widział, kiedy skręcił w wąską uliczkę. Zorientował się dopiero, kiedy motocykl zaczął podskakiwać na kocich łbach. Po obu stronach rósł szpaler klonów. Na wieży kościelnej nieopodal rozkołysał się dzwon i wybił wpół do piątej. Zatrzymał się, oparł przedramiona na kierownicy i dotknął czołem dłoni. Jednak po chwili podniósł gwałtownie wzrok, bo uświadomił sobie, gdzie jest. Minął go jakiś samochód, a jego opony zaszumiły dźwięcznie i głośno na bruku. Faris spojrział na tabliczkę umieszczoną na murze niedaleko miejsca, gdzie stał. Mimo że zasłaniały ją gałęzie, odczytał nazwę ulicy.

Ahornstraße.

– Cholera! – zaklął pod nosem. Był tak bardzo zatopiony w ponurych rozmyśleniach, że jeżdżąc z pozoru bez celu, podświadomie trafił właśnie w to miejsce.

Niechętnie odwrócił głowę.

Zatrzymał się dokładnie naprzeciwko domu z numerem 10 – supernowoczesnej śnieżnobiałej kostki z kilkoma mieszkaniami własnościowymi. Starannie przycięty

trawniczek oddzielający budynek od chodnika kontrastował ze zdziczałym żywopłotem, który po drugiej stronie ulicy otaczał przedszkole. I jakby nie wystarczyło, że kierowany podświadomością przyjechał w to akurat miejsce, w tej samej chwili otworzyły się drzwi białego domu. Na dwór wyszła młoda kobieta.

Laura.

Faris mimowolnie spojrział na wyblakłą skórzaną bransoletkę na nadgarstku i poczuł bolesny skurcz serca.

Miała na sobie chinosy, sportowe buty i jasnoniebieski T-shirt, który z pewnością doskonale podkreślał błękitny kolor jej oczu. Niosła małą córeczkę, blondynkę jak ona i jeszcze pulchną, jak większość małych dzieci.

– Lilly... – mruknął Faris.

Poczuł się jak podglądacz. I nie potrafił się obronić przed wspomnieniami, które przeniosły go wstecz... do pewnego wieczoru mniej więcej dwa i pół roku wcześniej.

– Faris? – zawołała wtedy Laura ze swojego gabinetu.

Z ciężkim westchnieniem opuścił książkę, którą dopiero co wziął do ręki.

– Tak, kochanie?

– Możesz przyjść coś zobaczyć? – Głos kobiety pulsował ekscytacją.

Faris wiedział, że w takiej sytuacji nie da mu spokoju, dopóki nie pójdzie zobaczyć, co ją tak poruszyło. Dlatego zamknął i odłożył książkę. Nie było sensu sięgać po zakładkę, bo nie skończył jeszcze pierwszej strony. Wstał i poczłapał do sąsiedniego pokoju ich niewielkiego mieszkania, gdzie na białym biurku Laura ustawiła swojego białego laptopa. Włączyła odtwarzanie jakiegoś filmu znalezionego w Internecie. Faris zauważył logo popularnego serwisu.

Na nagraniu jakaś mała dziewczynka o blond lokach biegła za wielkim, kudłatym psem. Nagle krzyknęła coś głośno, na co jej czworonożny towarzysz jednym skokiem się odwrócił i zaszczekał radośnie. Na tym filmik się kończył.

– I co? Czy to nie było przesłodka? – zapytała Laura, odrywając wzrok od ekranu. Odwróciła głowę i z promiennym uśmiechem spojrzała na Farisa.

Mężczyzna uznał, że obróci sytuację w żart.

– No słodki ten psiak, słodki – powiedział.

Laura dała mu kuksańca.

– Chodziło mi o dziewczynkę, ciołku! Przecież wiesz!

Uśmiechnął się i nic nie powiedział, bo nie czuł się swobodnie. Miał wrażenie, że nim manipuluje. Laura pokazała mu to nagranie, bo miała w tym konkretny cel, ani przez chwilę nie wątpił, że tak było. Wskazała na tytuł filmiku. *Lilly i Tyler się bawią*.

Na szczęście Laura już nie patrzyła w jego stronę. Gdyby to zrobiła, zauważyłaby, jak szybko przestał się uśmiechać. Już od kilku miesięcy mówiła o tym, jak fajnie byłoby mieć dziecko. A była bardzo energiczną kobietą, która realizowała swoje cele z ogromną determinacją i poświęceniem. Dla niej sprawa była zupełnie jasna: chciała mieć dziecko, dziewczynkę, i wybrała już dla niej imię. Lilly. To, że Faris nie był szczególnie entuzjastycznie nastawiony do kwestii powiększenia rodziny, stanowiło dla niej tylko drobną przeszkodę w drodze do realizacji jej celu.

– Wpisałam to imię do Google'a – tłumaczyła z przejęciem. – I okazało się, że jest

cała masa trafień. Ten film był najlepszy, dlatego cię zawołałam.

Przesunęła wskaźnik na pasku odtwarzania i uruchomiła nagranie od początku. Dziewczynka znów krzyknęła, a pies znów zaszczekał.

Faris poczuł, że nagle zaczyna boleć go głowa.

– Skąd w ogóle wiesz, że Lilly to to dziecko? – zapytał, wciąż próbując na siłę obrócić wszystko w żart. – Przecież równie dobrze może chodzić o psa.

Laura spojrzała na niego poirytowana.

– A słyszałeś kiedyś o dziewczynce imieniem Tyler?

Potrafiła być wyjątkowo uparta, jeśli chodziło o ignorowanie jego dowcipów.

W końcu mężczyzna dał za wygraną.

– Dobra, niech będzie. Bardzo fajny film.

Niecałe trzy miesiące później Laura zaszła w ciążę. Z innym mężczyzną.

Dokładnie ta scena przyszła mu do głowy, kiedy z siodełka motocykla Hessego przyglądał się, jak Laura unosi dziecko, sadza je w sportowej spacerówce i zapina. Złapał się na tym, że cały czas dotyka palcami skórzaną bransoletkę z jej imieniem. Szybko cofnął rękę. Laura ruszyła przez niewielki ogródek przed domem, otworzyła niską furtkę i wyprowadziła wózek na chodnik. Kiedy zauważyła Farisa, przez jej twarz w kształcie serca przemknął cień.

Policjant poczuł się, jakby ktoś przyłapał go na czymś niewłaściwym. Zsiadł z motocykla, oparł go na nóżce i zrobił krok w kierunku byłej dziewczyny.

– Witaj, Lauro – udało mu się wydusić.

– Witaj, Faris.

Przynajmniej nie zaczęła od razu krzyczeć. Przesunęła wzrokiem po jego twarzy i natychmiast zauważyła opatrunek na czole i rozbite usta. Przez chwilę widział w jej oczach troskę, jednak szybko musiała ustąpić miejsca zdystansowanej obojętności. W końcu przestała na niego patrzeć i skierowała wzrok na córeczkę.

– Lilly, przywitaj się z Farisem.

Dźwięk tego imienia był dla niego jak pchnięcie nożem w serce.

– Dzień dobry – powiedziało dziecko.

Mała była niepewna – wyraźnie wyczuwała napięcie między matką a tym nieznanym ciemnowłosym panem.

Faris skinął głową.

– Cześć, Lilly. – Zaciśnął zęby, bo każde kolejne słowo mogłoby zabrzmieć kąśliwie i gorzko. Zresztą, co miałby powiedzieć? „Widzę, że świetnie ułożyłaś sobie nowe życie. Nie rozumiem tylko, jak mogłaś dziecku dać na imię akurat Lilly?!”

„Wróć do mnie!”

Zadrżał. Nie wiedział, czy ostatniego zdania nie wypowiedział głośno. Ale chyba nie, bo Laura uśmiechała się delikatnie. Nie, nie wesoło, raczej z zakłopotaniem, ale przynajmniej nie była wściekła.

– Czego tu szukasz? – zapytała.

Spojrzał na Lilly. I znów zaciśnął zęby, żeby nie powiedzieć ani słowa o eksplozji bomby w metrze. Jednym z powodów, dla których Laura go opuściła, był ustawiczny strach o jego bezpieczeństwo. Nie mogła tego wytrzymać.

– Niczego. Byłem w okolicy i przypadkowo tędy przejeżdżałem.

W jej jasnoblękitnych oczach pojawił się wyraz niedowierzania. Jakby chciała powiedzieć: „Akurat!”. Na szczęście milczała i zachowała wątpliwości dla siebie. T-shirt rzeczywiście idealnie pasował do błękitu jej oczu.

– Faris, świetnie dajemy sobie radę – mruknęła po chwili milczenia, a on natychmiast zauważył, że opuściła dwa ostatnie słowa.

Bez ciebie.

Skinał głową. Najwyższy czas zarządzić odwrót.

– Pewnie. Nie chcę zawracać ci głowy.

Kiedy znów się uśmiechnęła, ugięły się pod nim kolana.

– Nie zawracasz. – Popatrzyła na jego nadgarstek. – Wciąż nosisz tę bransoletkę – zauważyła.

Faris wsunął dłonie w tylne kieszenie spodni.

– Lepiej już sobie pójdę.

Laura potaknęła.

Nieporadnym ruchem wsiadł na motocykl. Czuł na sobie poważne spojrzenie dziecka w wózku i wiedział, że Laura też nie spuszcza z niego wzroku. Zmusił się do uśmiechu, odwrócił się i pomachał Lilly.

– Bawcie się dobrze!

Kobieta milczała.

Uruchomił silnik i ruszył.

Richard Westphal spojrział zdenerwowanym wzrokiem na zegarek. Minęło już wpół do piątej! Spotkanie znów trwało dłużej, niż planował. Był spóźniony i teraz musiał się spieszyć. Przyspieszył kroku, skręcił i ruszył ulicą Ku'damm, by jak najszybciej dotrzeć do najbliższej stacji metra. Chwilę później znalazł się w środku grupy kobiet i mężczyzn z tęczowymi szalami Ekumenicznych Dni Kościoła. Śpiewali jakąś idiotyczną pieśń kościelną. Zatrzymał się w ostatniej chwili, bo niewiele brakowało, a wpadłby na kogoś.

– Chryste Panie, co się tu dzieje?! – warknął rozeźlony.

Mężczyzna, którego omal nie stratował, odwrócił się zdziwiony. Miał około pięćdziesięciu lat i więcej siwych niż brązowych włosów na brodzie.

– Proszę się do nas przyłączyć! – spojrział przyjaźnie na Westphala.

Ten nie wierzył własnym uszom.

– Zejdź mi pan lepiej z drogi! – rozkazał.

Brodacz uniósł pytająco brwi. Reszta grupy zainteresowała się zamieszaniem i wszyscy zaczęli się im przyglądać, lecz niezależnie od tego, ile było w ich oczach ciekawości, nikt nie przestał śpiewać. Westphal zmełł przekleństwo. Spróbował obejść przeszkodę, ale to nic nie dało. Rozśpiewana grupa zajmowała całą szerokość chodnika.

– Odsuńcie się, do cholery! – prychnął.

Jedna z kobiet zamilkła.

– Pędzi pan z jednego spotkania na kolejne, to bardzo niezdrowe – powiedziała poważnie.

Westphal popatrzył na jej niemodną trwałą.

– To nie pani problem – warknął i mocniej schwycił teczkę z dokumentami, po czym wysuwając jedno ramię do przodu, zaczął się przepychać.

Z każdym jego krokiem coraz mniej ludzi śpiewało. Słysząc było za to wzburzone głosy uczestników Dni Kościoła.

– Jak tak można?! – Westphal usłyszał czyjś niezadowolony głos.

Nic go to nie obchodziło. Uniósł brodę i dumnym krokiem ruszył dalej, lecz już po kilku krokach znów usłyszał słowa tej samej idiotycznej pieśni kościelnej. To do końca zepsuło mu humor.

Gdyby to on miał decydować, te kretyńskie Dni Kościoła kazałby zorganizować na Księżycu albo gdzieś, gdzie nikomu by nie przeszkadzały. O, jeszcze lepiej: na Marsie. To zawsze trochę dalej. Ale nie, jego o zdanie nikt nie zapytał i teraz proszę, już od kilku dni ci naiwni idioci blokują cały Berlin i bez przerwy działają mu na nerwy! Dzisiaj rano jakiś bezczelny gnojek ośmielił się wcisnąć mu to ich kolorowe światełko! Nie do pomyslenia!

Zły z powodu opóźnienia sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął podłużną plastikową rurkę. Spojrzał na nią niechętnie. Na białawym plastiku nadrukowane kolorową czcionką motto i logo Ekumenicznych Dni Kościoła.

„I głosili z odwagą Słowo Boże...”.

Co za naiwne pierdy!

Westphal się rozejrzał. Był już bardzo blisko stacji metra przy ulicy Adenauerstraße. Ledwie kilka metrów dalej, na słupie latarni dostrzegł duży kosz na śmieci. Oczywiście kipiał odpadkami, do tego stopnia, że nawet na ziemi dookoła wałały się zużyte tacki i kubeczki z restauracyjek i budek z jedzeniem, których sporo stało tuż za rogiem. Typowe, niczego innego się nie spodziewał! Miasto sprowadza sobie do centrum tak ogromną imprezę jak Dni Kościoła, ale oczywiście nie jest w stanie zapewnić porządku i wywieźć śmieci po ludziach, których sami ściągnęli!

Z plastikowym światełkiem chemicznym w dłoni zatrzymał się przy koszu na śmieci. Dookoła zaczęły latać osy, ale nie zwracał na nie uwagi. Przez chwilę poczuł ciekawość, by złamać plastikową rurkę i zapoczątkować reakcję chemiczną, żeby zobaczyć, jaki kolor się ukáže. Nie walczył z pokusą. Poczekał chwilę, ale światełko wcale się nie zapaliło.

Co za cholerne gówno! Nawet to nie może prawidłowo działać!

Zdenerwowanym ruchem cisnął plastikowym światełkiem do kosza na śmieci i ruszył dalej. Nie mógł się spóźnić na spotkanie z klientem!

Bobby obserwował uważnie frajera w garniturze i widział, jak ten coś ciska do śmieci. To natychmiast wzbudziło jego zainteresowanie. Tacy ważniacy czasem pozbywali się rzeczy, które on – Bobby – mógł jeszcze spieniężyć. Z wysiłkiem wyczołgał się spod koca i wstał. Obszedł rowery przypięte przy wejściu na stację metra i pokuśtykał w stronę przepelnionego kosza na śmieci.

Zaczął przrzucać puste opakowania po jedzeniu i ponadgryzane resztki hamburgerów. Palcem wskazującym odsunął zgniecioną w kulkę gazetę. Jakaś osa poczuła się zagrożona i z wściekłym bzyczeniem ruszyła w stronę jego twarzy. Bobby

przegonił ją drugą dłonią. Wtedy zauważył przedmiot, który tamten gość wyrzucił do śmieci.

To było jedno z tych przełamywanych chemicznych światełek z logo Ekumenicznych Dni Kościoła. No i niestety zostało już użyte. Wyraźnie widział jaśniejszą kreskę na plastiku, która oznaczała, że ktoś je przełamał.

Bobby poczuł okropne rozczarowanie, bo miał wielką nadzieję na coś wartościowego. Mimo to wyłowił spośród odpadków plastikową rurkę z tęczową smyczą, uniósł ją w górę i dokładnie obejrzał. W koszu ubrudziła się starym keczupem, więc starannie wytarł ją rękawem. Dopiero wtedy przełożył kolorową smycz przez głowę i zawiesił zużyte światełko na szyi. Poczucił się trochę jak uczestnik Dni Kościoła. Zachichotał cicho.

Minęła go grupka młodzieży w kolorowych chustach. Bobby nie narzekał na pielgrzymów, którzy przyjechali wziąć udział w tej imprezie. Nie wzbranił się przed dawaniem datków. Miał nadzieję, że teraz, kiedy wyglądał jak jeden z nich, jeszcze chętniej będą się z nim dzielić. Podekscytowany wrócił na swoje stanowisko i podliczył zebrane pieniądze. Niemal dziesięć euro! Zachwycony uśmiechnął się do siebie. O tak, właśnie został wielkim fanem Ekumenicznych Dni Kościoła!

Zupełnie spontanicznie podjął decyzję, że ma dość na dzisiaj. Starannie zwinął koc i wcisnął go do starej siatki z dużym logo Aldi, która służyła mu do transportu skromnego dobytku. Miał zamiar udać się do Preußenpark i trochę w parku odpocząć.

Niedługo potem usiadł pośrodku okrągłego trawnika. Słońce ogrzewało go przyjemnie, więc z zadowoleniem wystawił twarz na jego działanie. Dziesięć euro w niecałe dwie godziny! Rzadko kiedy przez cały dzień tyle udawało mu się zebrać! Rozmyślając, leniwie bawił się plastikową rurką na szyi. Po jakimś czasie dzwon na wieży kościelnej nieopodal wybił pełną godzinę, jednak on nie liczył uderzeń. W końcu uznał, że pora ruszać dalej. Kiedy wstawał, zużyte światełko na jego szyi wydało jakiś dziwny dźwięk. Coś jakby cicho w nim pyknęło. Bardzo cicho nawet, jednak Bobby miał świetny słuch. Zaskoczony spuścił wzrok.

W następnej chwili jego ciało zniknęło w kuli ognia.

Faris nie ujechał zbyt daleko, kiedy poczuł wibrowanie komórki w kieszeni. Pospieszenie zjechał na bok, wyjął telefon i po szóstym dzwonku odebrał połączenie.

– Tak?

– Faris? – Głos należał do Paula.

Wystarczyło, że usłyszał ton, jakim partner wypowiedział jego imię, by natychmiast się domyślić, że stało się coś poważnego.

– O co chodzi? – zapytał krótko.

– Nieznajomy – wyjaśnił Paul. – Znów się odezwał. Był wściekły, że to nie ty odebrałaś. Próbowałem go uspokoić, ale...

Faris poczuł, jak włosy stają mu dęba.

– Ale? Ale co? – zapytał zachrypniętym głosem.

Paul milczał przez chwilę, zanim odpowiedział. Faris słyszał w słuchawce jego

ciężki oddech.

– Zdetonował kolejny ładunek wybuchowy. Ot tak, po prostu. W Preußenpark. Niedaleko Ku'damm.

Faris zacisnął powieki.

– Kurwa mać.

– Gdzie jesteś? – zapytał jego partner.

– W Zehlendorf. – Spojrzał w lusterko wsteczne. Przez chwilę był gotów przysiąc, że zza narożnika wyszła Laura. Dopiero po chwili zobaczył, że to ktoś zupełnie obcy.

– Masz jak najszybciej stawić się na Keithstraße – poinformował go Paul. – Witaj z powrotem w zespole, partnerze.

Rozdział 15

Pod budynkiem na Keithstraße panował chaos, czemu trudno było się dziwić, biorąc pod uwagę dwie eksplozje bomb w ciągu zaledwie kilku godzin. Żeby dostać się do środka, Faris musiał przedrzeć się przez tłum dziennikarzy, broniąc się jednocześnie przed mikrofonami podtykanymi mu ze wszystkich stron.

– Bez komentarza – powtórzy kilkadziesiąt razy.

Zanim ciężkie drzwi do holu zdążyły się za nim zatrzasnąć, zobaczył jeszcze, jak przedstawiciele prasy rzucają się w kierunku dwóch radiowozów, które zatrzymały się przy krawężniku po drugiej stronie ulicy. Nie zauważył nigdzie Niklasa, lecz nie był tym zaskoczony, bo przecież zabrał jego motocykl i nie oddał.

W środku nie było wiele spokojniej. Telefony w dyżurce ani na chwilę nie przestawały dzwonić. Faris od razu zwrócił uwagę na wsparcie w postaci dwójki nowych funkcjonariuszy, których przydzielono przeciążonemu nawałą połączeń dyżurnemu. Kiedy ich mijał, idąc w kierunku schodów, żaden z trójki policjantów nie podniósł nawet wzroku. Faris spróbował sobie wyobrazić, co czują teraz operatorzy numerów alarmowych w centrali telefonicznej. Pewnie nie mają czasu dobrze nabrać oddechu.

Korytarze na wyższych piętrach były nieco spokojniejsze, jednak wśród kolegów z innych wydziałów wyczuwało się napięcie. Faris co kilka kroków mijał umundurowanych policjantów, którzy towarzyszyli przyprowadzonym świadkom albo pomagali dotrzeć do właściwego pokoju obywatelom, którzy woleli osobiście przekazać jakieś wskazówki. Wbiegając na ostatnie piętro, gdzie mieściła się siedziba WPR-u, widział tylko zmęczone, zestresowane twarze.

Przez ostatnich kilka godzin War Room zmienił się nie do poznania. Ben ściągnął do pomocy chyba połowę stanu osobowego laboratorium kryminalistycznego. Stół taktyczny niemal zniknął pod ustawionymi na nim komputerami i sprzętem elektronicznym, więc przypominał mu trochę dębowe biurko w pokoju Hessego na opuszczonym lotnisku. Jakiś wątyły i blade chłopak podłączał akurat pęki kabli do czarnych skrzynek, których przeznaczenie pozostawało dla Farisa zagadką.

Ktoś wcześniej zorganizował dwa telewizory. Jeden z nich był archaicznym urządzeniem ze szklanym kineskopem, zamkniętym w wysokiej szafce na kółkach zrobionej z płyty meblowej, a drugi zwykłym, płaskim ekranem. Na staruszkę ustawiono kanał N24, na nowoczesnym telewizorze program lokalny z Berlina. Ktoś uruchomił funkcję wyświetlania obrazu w obrazie, dzięki czemu w dolnym prawym narożniku widać było miniaturkę kolejnego kanału. Jak można się było spodziewać, wszyscy nadawcy zajmowali się drugą eksplozją w stolicy, czyli bombą w Preußenpark.

Na głównej białej tablicy zawieszanej centralnie na ścianie ktoś zapisał czerwonymi wielkimi literami:

JESZCZE 31 GODZIN.

Na pierwszy rzut oka widać było, że cyfry musiały być kilkakrotnie zmywane, bo biała powierzchnia pod nimi nosiła rozmazane ślady czerwonego flamastra.

Tromsdorff, Gitta i Marc Sommer stali przed szklanym biurkiem sekretarki

i rozprawiali o czymś zapamiętałe. Ben zajęty był wprowadzaniem jakichś danych do swojego komputera, a wyniki pracy najwyraźniej doprowadzały go na skraj rozpacz, bo niespodziewanie zaczął nerwowo gestykulować. Shannon nie było w biurze. Faris domyślał się, że jest na odprawie w którymś ze współpracujących wydziałów.

Funkcjonariusz, którego Faris nigdy wcześniej nie spotkał, podszedł do tablicy zmazowywalnej, na której w czasie jego nieobecności gwałtownie rozmnożyły się notatki, przypuszczenia i przede wszystkim znaki zapytania. Nieznajomy policjant musiał być tuż przed emeryturą. Na pierwszy rzut oka minął już sześćdziesiątkę i miał posiwiałe włosy. W dłoni trzymał gruby zmazowywalny flamaster w niebieskim kolorze. Nie wyglądał jednak, jakby zamierzał cokolwiek pisać, bo zamyślony stanął nieruchomo i wyglądał przez okno dachowe.

Paul rozmawiał przez telefon. Wystarczyło chwilę posłuchać, o czym mówi, by się zorientować, że po drugiej stronie słuchawkę trzymał Marvin Andersen. Ponieważ Paul stał tyłem do drzwi, nie zauważył przybycia partnera. Pierwszy dostrzegł go Tromsdorff i przywitał skinieniem głowy. Chciał coś powiedzieć, lecz nie zdążył nawet otworzyć ust, gdyż w tej samej chwili rozległ się głośny krzyk.

– Noż kurde! – zaklął Ben.

Wszyscy spojrzeli w jego stronę. Technik wskazał na nowocześniejszy telewizor, na którym skończyła się relacja z miejsca wybuchu kolejnej bomby, ustępując miejsca wiadomościom.

– Niech ktoś zrobi głośniej! – zawołał i nerwowym gestem odsunął od siebie klawiaturę.

Gitta zareagowała pierwsza i już po chwili War Room wypełnił głos prowadzącego. „...stoję przed Kościołem Pamięci Cesarza Wilhelma, gdzie w reakcji na kolejne eksplozje w mieście doszło do pierwszych publicznych protestów”. Kamera zmieniła kadr i pokazała grupę czterdziestu czy pięćdziesięciu osób, które zebrały się przed ruinami kościoła zniszczonego w czasie drugiej wojny światowej i wymachiwały transparentami przedstawiającymi postać szatana zaciskającego szpony na kielichu mszalnym.

Paul zakończył rozmowę i odłożył telefon.

– No to mamy pierwsze zbiegowisko ultrakatoli – mruknął oschle.

Faris już wcześniej widział postać z kielichem przedstawioną na transparentach, bo w czasie przygotowań do Ekumenicznych Dni Kościoła dochodziło już do raczej mniejszych niż większych demonstracji konserwatywnych katolików, którzy potępiali wspólną mszę ze swoimi protestanckimi braćmi. Tym razem ich zgromadzenie miało zgoła inny charakter niż poprzednie, które przebiegały bardzo spokojnie, z pieśniami i modlitwami. Dziś na twarzach protestujących widać było złość i agresję.

Kamera raz jeszcze przesunęła się po twarzach zebranych, by zatrzymać się na mężczyźnie w czarnej sutannie, który przemawiał do mikrofonu.

– Pora, żeby wszyscy przejrzel na oczy i zobaczyli, co się dzieje, kiedy sami podajemy diabłu kielich mszalny! – krzyczał wzburzoną głosem. – Nasz święty Kościół katolicki runie w morzu płomieni, a my...

Faris przestał słuchać wywodów protestującego duchownego, bo w tej akurat chwili otworzyły się drzwi i do biura wmaszerowała doktor Geiger. Na początku

przywitała się ze starszym mężczyzną, którego Faris nie znał.

– Szanowni państwo – zwróciła się głośno do zebranych w pomieszczeniu. – Z tego, co widzę, wszyscy już doskonale wiedzą o najświeższych wydarzeniach w mieście. Jesteśmy... – Zamilkła nagle, kiedy jej wzrok padł na Farisa. – Kolega Iskander...

Nie próbowała nawet ukryć, że jego obecność jest jej bardzo nie na rękę. W końcu zacisnęła zęby i zwróciła się do zawieszzonego podwładnego niechętnym głosem.

– Dobrze, że pan dotarł. Z jakiegoś niejasnego dla mnie powodu zamachowiec bardzo chce mieć pana w naszym zespole.

Faris ugryzł się w język, żeby nie odpowiedzieć jej sarkastycznym komentarzem.

– Ma pan może pomysł, dlaczego to dla niego takie ważne? – zapytała Geiger.

Wzruszył ramionami.

– Kolejne ofiary? – zapytał, zamiast odpowiedzieć jej na pytanie.

– Tak. Bezdomny – poinformował go starszy policjant.

– Faris, pozwól, że przedstawię. To inspektor Friedrich Gerlach – wtrącił się Tromsdorff. – Jest tutaj, żeby pomóc nam koordynować współpracę z ludźmi Andersena.

Gerlach potaknął w milczeniu. Najwyraźniej nie zamierzał nic dodawać do dwóch słów, którymi odezwał się przed chwilą.

Geiger usiadła na krześle. Wyglądała na bardzo zaangażowaną: wyczerpaną i jednocześnie nieco poruszoną.

Faris przypomniał sobie o wyrzutach sumienia, jakie dręczyły po eksplozji w muzeum.

– To nie pani uruchomiła detonator – powiedział cicho, nie zastanawiając się, jak zareaguje.

Paul, który usłyszał jego słowa, rzucił mu długie, znaczące spojrzenie. Faris udał, że tego nie widzi.

Doktor Geiger wbiła w niego wzrok.

– Oczywiście, że nie – zauważyła cierpko. – Skąd przyszło to panu do głowy?

Faris wolał nie odpowiadać. W końcu popatrzył na partnera. Paul wzruszył ramionami.

– No dobrze – zaczął Tromsdorff głośno i uniósł ramiona, żeby zwrócić na siebie uwagę wszystkich w pomieszczeniu. – Sprawca ponownie podjął próbę kontaktu. Zatelefonował krótko przed siedemnastą. Koniecznie chciał rozmawiać z Farisem i wpadł we wściekłość, kiedy się dowiedział, że chwilowo nie należysz do zespołu. – Mówiąc to, spojrzał w stronę Geiger, a w jego oczach czaił się dziwny błysk. Kobieta to zauważyła, lecz jej twarz nadal nie wyrażała żadnych emocji. Jak zawsze była chłodna, opanowana i nieprzenikniona. Faris pomyślał, że sprawdziłaby się jako polityk. – Próbowaliśmy go uspokoić i udobruchać – ciągnął szef. – Wszystko na nic. Jedyne, co wtedy powiedział, to to arabskie pozdrowienie.

– *As-samu alaikum* – wtrącił Faris.

Tromsdorff potaknął.

– O właśnie, to. A potem się rozłączył i zdetonował kolejną bombę. To, że obyło się bez większej liczby ofiar, zawdzięczamy jedynie szczęściu.

Faris podrapał się po karku. Od jakiegoś czasu miał wrażenie, jakby ktoś lodowatymi palcami masował mu tam mięśnie.

Nagle otworzyły się drzwi i do biura wmaszerowała Shannon. Skinęła na powitanie Farisowi, po czym usiadła w swoim fotelu i jak zwykle zaczęła się bawić piłką tenisową.

Paul wstał z miejsca.

– Później zadzwonił jeszcze raz i powiedział, że bez problemu może zorganizować nam jeszcze kilka trupów – mówił.

Faris zauważył, że jego partner zadrżał, wymawiając te słowa.

– Napomknął może, o co mu chodzi?

– Ani słowem. Zażądał jedynie, żebyśmy ściągnęli cię z powrotem do zespołu.

– Paul spojrział na doktor Geiger. – I to wszystko. Żadnych warunków. Żadnych żądań. Żadnego ultimatum. Nic. – Takie dziwaczne zachowanie sprawcy wyraźnie go frustrowało i chyba trochę przerażało, sądząc po wyrazie jego twarzy. – Jemu zależy, żebyś cierpiał, Faris. Nie mam pojęcia, co mu zrobiłeś, ale musiałeś mu solidnie nadepnąć na odcisk, że aż tak bardzo chce się zemścić.

– Myślę, że powinieneś przesłuchać dokładnie nagranie jego rozmowy z Paulem – podsunęła Shannon. – Myśmy ją już solidnie przeanalizowali, ale nie zaszkodzi, żebyś ty też powiedział, co sądzisz. Może zwrócisz uwagę na coś, co nam umknęło. – Podniosła głowę i spojrzała na Bena. – Ben, mógłbyś puścić nagranie przez głośniki?

Technik sięgnął do swojego komputera i już po chwili rozległ się sygnał dzwonka.

– *Sievers*. – Faris natychmiast rozpoznał głos partnera.

Dzwoniący się zawahał, bo tego się nie spodziewał i przez chwilę milczał zaskoczony. Na nagraniu słychać było, że aż sapnął z wrażenia.

– *Gdzie jest Faris?* – zapytał w końcu.

– *Nie ma go w biurze. Ja jestem...*

– *Odbiło wam? Jaja sobie robicie?* – Mimo oprogramowania zniekształcającego głos słychać było, że mężczyzna po drugiej stronie jest bardzo mocno wzburzony.

Paul słuchał nagrania swojego głosu i masował dwoma palcami czoło. Faris popatrzył w jego stronę. Ich oczy się spotkały. Od razu wiedział, że partner wyrzuca sobie, że nie udało mu się powstrzymać zamachowca przed detonacją drugiego ładunku.

„To nie ty uruchomiłeś zapalnik” – pomyślał.

Z miny Paula wyczytał, że partner doskonale wie, co się dzieje w jego głowie.

– *Faris jest na chorobo...* – mówił głos Paula z nagrania.

Nieznajomy znów nie dał mu dokończyć.

– *Macie go natychmiast ściągnąć z powrotem! Natychmiast!*

– *Nie możemy...*

– *Chcesz się założyć, że możecie?*

– *Proszę pana, ja...* – zaczął Paul, jednak nieznajomy natychmiast mu przerwał.

– *As-samu alaikum* – syknął i zakończył połączenie.

W War Roomie panowała taka cisza, że byłoby słychać przelatującą muchę. Teraz każdy już wiedział, że mężczyzna przerwał rozmowę, żeby zdetonować kolejny ładunek wybuchowy. Po chwili znów rozległ się dzwonek telefonu. Paul odebrał połączenie.

– *No hej* – odezwał się nieznajomy tonem starego kolegi. – *Mam nadzieję, że jego*

dusza dostąpi zbawienia! A ty lepiej się zatroszcz, żeby następnym razem usłyszał głos Farisa. W przeciwnym razie ja zatroszczę się o kolejne trupy! – I rozłączył się, nie czekając na reakcję policjanta.

Ben przerwał odtwarzanie.

Paul w końcu przestał masować czoło i zrezygnowany opuścił dłoń na kolana. Wyglądał, jakby od rana postarzał się o dobrych kilka lat.

– *Mam nadzieję, że jego dusza dostąpi zbawienia* – powtórzyła Shannon. – To też cytat z Biblii. Pamiętam, że moja babcia często to powtarzała. Głowy teraz nie dam, ale wydaje mi się, że to Ewangelia według świętego Łukasza. To jasne nawiązanie do Biblii.

– Myślisz, że jest katolikiem? – Od początku tej sprawy Faris był coraz bardziej przekonany, że sprawca nie jest muzułmaninem.

– Jestem pewna, że to chrześcijanin – potwierdziła Shannon.

Faris spojrzał na doktor Geiger, żeby się dowiedzieć, co przełożona myśli o ich dotychczasowych wnioskach. Ku jego zaskoczeniu kobieta wydawała się w ogóle nie być zainteresowana ich przemyśleniami. Siedziała z ramionami założonymi na piersi i patrzyła w jego stronę.

– Czy ta rozmowa podsunęła koledze jakiś pomysł, co was łączy? – zapytała.

Faris pomasaował brodę.

– Nie, nie mam zielonego pojęcia. Niestety.

– Jaki macie plan? Co dalej? – zwróciła się do Tromsdorffa.

– Poczekamy na kolejny telefon, bo nie ma wątpliwości, że znów się odezwie – powiedział. – Inaczej jaki byłby sens w ściąganiu tu Farisa? Ben?

W czasie tej rozmowy technik zajęty był pracą przy swoim laptopie i jednej z czarnych skrzynek, lecz słysząc swoje imię, przerwał, po czym sięgnął po telefon i unióśł go nad głowę. Dopiero po chwili Faris zauważył, że to jego komórka. Najwyraźniej Ben zajął się oczyszczeniem jej z zabrudzeń i pyłu po eksplozji.

– Dotychczas nie udało nam się ustalić miejsca, skąd ten człowiek dzwoni. Przygotowaliśmy sprzęt do śledzenia połączeń, ale niestety, jak dotąd nie trafiliśmy na nic interesującego. Jedyne, co wiemy na pewno, to że sprawca korzysta z jakiegoś protokołu telefonii internetowej.

– A jak wygląda kwestia ustalenia nadawcy nagrania z ukrzyżowaniem? – zapytał niespodziewanie Gerlach.

– Ponad wszelką wątpliwość wiemy tylko tyle, że mejl został wysłany z komputera Farisa – wyjaśnił Ben. – Zakładamy, że nasz tajemniczy sprawca dokonał tego za pomocą trojana, którego przemycił na dysk komputera Farisa.

Policjant potaknął.

– Możemy prześledzić drogę, skąd to oprogramowanie zostało wysłane – kontynuował Ben. – Ale to bardzo czasochłonne.

Ben popatrzył w stronę Farisa i kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, policjant wiedział, o co technik chciał zapytać: czy Hessemu udało się ustalić źródło trojana. Delikatnie pokręcił głową.

Zauważył, że Geiger nachyla się w stronę Gerlacha i szeptem mu na ucho, na co ten sięga po notatnik i coś zapisuje. Faris się domyślił, że kobieta mu poleciła, żeby

zorganizował kogoś do zbadania jego komputera. Przez chwilę był gotów przerwać tę grę i powiedzieć otwarcie, że jego kolega Niklas Hesse analizuje jego dysk i połączenia z pomocą nielegalnego oprogramowania i ma nadzieję trafić w ten sposób na ślad sprawcy. Jednak kolejne spojrzenie na doktor Geiger uświadomiło mu, że pozwolono mu wrócić tylko warunkowo. Gdyby sprawca zamachów nie zażądał jego obecności, dalej byłby zdany na samego siebie. Geiger nie miała z tym nic wspólnego i nie uważała, żeby jego wkład w dochodzenie mógł być przydatny. Wybrał milczenie.

Przez dłuższą chwilę nikt nic nie mówił.

– W takim razie przejdźmy dalej. – Geiger usiadła prosto. – Kolego Gerlach, czy pańscy ludzie z departamentu piątego mają już jakieś ustalenia?

– Zespoły pirotechniczne poszukujące podłożonych ładunków nie przerywają pracy – poinformował siwy funkcjonariusz. – Udało nam się ściągnąć psy tropiące z Brandenburgii, Meklemburgii i Saksonii-Anhalt. – Uśmiechnął się ponuro. – Już teraz docierają do mnie skargi przewodników, że przeciążamy ich zwierzęta. Na razie nie natrafiono na najmniejszy ślad ładunków wybuchowych na Stadionie Olimpijskim i w okolicach pięciu największych punktów spotkań, czyli Bramy Brandenburskiej, hal targowych numer pięć i sześć, Kościoła Pamięci oraz Katedry. Mimo to dalej szukamy. Andersen jest w tej chwili na odprawie dla funkcjonariuszy prowadzących informatorów wśród organizacji terrorystycznych. To rozwiązanie ma jednak wadę, bo na krótką metę nic nam nie da. – Spojrzał szczerze na Tromsdorffa. – Powiem to zupełnie otwarcie: wszyscy mamy nadzieję, że to wy dopadniecie tę gadzinę i obetniecie jej łeb.

Tromsdorff westchnął.

– Albo że uda nam się dostatecznie szybko znaleźć ukrzyżowanego. Gitta? Mamy jakieś sensowne informacje z opinii publicznej?

Gitta pomogła sobie, sięgając po kilka złożonych kartek.

– Sprawdziłam rekordy DiggAA wprowadzone przez centrum linii alarmowej oraz centrale, których numery zostały podane w ogłoszeniu o poszukiwaniach tego ukrzyżowanego człowieka. – Przesunęła wzrokiem po liście. – Dokładnie rzecz biorąc, chodziło o centrale naszego departamentu, piątego i siódmego. Podsumowując, mogę powiedzieć tylko, że jako obiecujące zapisano trzysta informacji i wszystkie są sprawdzane. Kilkadziesiąt z nich wygląda naprawdę ciekawie. Koledzy robią, co w ich mocy, jednak jak dotąd nie mamy niczego konkretnego.

Kiedy Gitta zdawała relację ze zgłoszeń, Faris popatrzył w stronę Bena, który, kiedy skończył, odłożył jego obtłuczonego smartfona na stole, przy komputerze. Nieważne, jak bardzo wszyscy się starali – prawda wyglądała tak, że na razie jedynym punktem zaczepienia, jakim dysponowali, był facet po drugiej stronie słuchawki.

Zamyślił się, rozważając, jakie jeszcze kroki należałoby teraz podjąć, lecz zanim cokolwiek mądrego przyszło mu do głowy, odezwał się tani telefon zastępczy, który miał w kieszeni kurtki. Wyjął go i odebrał, bo wiedział, że to może być jedynie Hesse.

– Mam już wyniki analizy twojego dysku i wiem coś o tym trojanie – oznajmił dziennikarz, nie marnując czasu na pozdrowienia. – Ale nie jestem przekonany, czy się ucieszysz, kiedy to usłyszysz.

– Mów. – Faris nie wahał się ani przez chwilę.

- Mejl został wysłany do trojana z kawiarenki internetowej w pobliżu Ku'damm...
Dziennikarz nie zdążył dokończyć, kiedy w biurze rozległ się wibrujący sygnał, przez który Farisowi zrobiło się zimno. Gitta ze strachu przycisnęła obie dłonie do ust.
Ben sięgnął po telefon Farisa.
- Kontakt! – zawołał zupełnie niepotrzebnie, bo wszyscy sami zdążyli zauważyć.

Rozdział 16

Faris poprosił Hessego, żeby zadzwonił później, rozłączył się i schował komórkę. W tym samym czasie Ben podłączył jego stary telefon do wzmacniacza i podał Farisowi słuchawki z mikrofonem, po czym takie same zestawy rozdał Tromsdorffowi i doktor Geiger, a jeden zostawił sobie.

– Iskander.

– Faris, jak miło cię słyszeć! – Elektronicznie zniekształcony głos sprawił, że poczuł ciarki na plecach. – Cieszę się, że już wróciłeś, bo zdążyłem się za tobą stęsknić.

– Nie mogłem nic poradzić, że... – zaczął Faris, jednak dzwoniący nie dał mu dokończyć.

– Tak, tak, wiem. Spokojnie, już nie jestem zły, że zamiast ciebie musiałem rozmawiać z kimś innym.

Faris nabrał ze świstem powietrza.

Nieznajomy zaczął się śmiać.

– Nie spodziewałeś się, że będę miał dobry humor, co? A jednak. Powiedzmy, że widok płomieni bardzo mnie uspokaja.

Faris zmusił się do zachowania zimnej krwi, choć słowa nieznajomego sprawiały, że gotował się ze złości. Przed oczyma stanął mu obraz zapamiętany z metra – starsza zakonnica o jasnych oczach, wsiadająca do wagonu. Poczuł, że cały się spina. Odetchnął najciszej jak potrafił, jednak szybko się przekonał, że nie dość cicho.

– Coś ty taki spięty, Faris? – W głosie dzwoniącego słychać było satysfakcję. – Ale w sumie to dobrze.

– Dlaczego? – zapytał Faris. Wiedział, że musi wciągnąć go w rozmowę, bo tylko tak może sprowokować go do ujawnienia choćby jednego szczegółu, który pozwoliłby im go dopaść.

Nieznajomy nie odpowiedział na jego pytanie.

– Twoi współpracownicy słuchają naszych pogaduszek? – zapytał. Mimo elektronicznie zniekształconego głosu, Faris słyszał spokój i rozluźnienie w tonie dzwoniącego. – Powiedz Benowi, żeby puścił nas przez głośniki.

Faris gwałtownie poderwał głowę. Pierwsze, co zobaczył, to szeroko otwarte oczy kompletnie zaskoczonego technika. Spojrzał w stronę przełożonego. Robert miał bardzo podobną minę.

Ben wstał i sięgnął do wzmacniacza, do którego podłączył słuchawki, lecz w ostatniej chwili zatrzymał się i popatrzył pytająco na szefa.

Tromsdorff się zawahał.

– No śmiało – poleciał dzwoniący, a Faris mimowolnie zaczął się rozglądać w poszukiwaniu kamer. Czyżby zamachowiec mógł w jakiś sposób obserwować War Room? Czy potrafiłby się włamać do policyjnych systemów, tak jak włamał się do systemu monitoringu metra na stacji Bismarckstraße?

W końcu Tromsdorff potaknął, na co Ben przełączył jeden przycisk. Faris usłyszał bardzo cichy trzask, który nie uszedł uwadze nieznajomego.

– Widzicie, nie bolało – powiedział zniekształconym głosem, który tym razem popłynął przez głośniki, dzięki czemu wszyscy mogli go usłyszeć.

Tromsdorff, Ben i Faris zdjęli słuchawki, za to doktor Geiger była tak skoncentrowana na słowach zamachowca, że w ogóle nie zwróciła na to uwagi.

– Z kim mam przyjemność? – zapytał nieznajomy. – Radca kryminalny Tromsdorff?

– Jestem, potwierdzam – odparł Robert. Paul wstał bezgłośnie, podszedł na palcach do białej tablicy i sięgnął po flamaster. Zdjął z niego zatyczkę, zawahał się i po chwili zastanowienia zaczął pisać kolejne słowa.

„Sprawca zna WPR!”

Kilka razy podkreślił to zdanie.

Faris potaknął na znak, że myśli tak samo. Marc Sommer stał dotychczas zasłuchany i się nie ruszał, lecz teraz podszedł do okna, oparł się o parapet i założył ramiona na piersi.

– Bardzo mi miło – odparł dzwoniący. – Witam!

Tromsdorff zacisnął zęby tak mocno, że na policzkach widać było mięśnie jego szczęk. Wyraźnie zły podwinął rękawy marynarki nad łokcie i zaraz je opuścił. Wyglądał, jakby nagle zrobiło mu się zimno.

Faris wstał z fotela i stanął zamyślony. Zastanawiał się, co powinien powiedzieć i jak zareagować na słowa dzwoniącego. Ruszył w stronę głównego stołu i podniósł notatnik, który ktoś tam zostawił. Ołówkiem zapisał dręczące go pytanie:

„Czy może mieć tutaj kamery?”

Pokazał je Benowi, na co technik pokręcił potencjometrem przy podłużnej szarej skrzynce i potrząsnął głową.

– Niemożliwe – odpowiedział całkowicie bezgłośnie.

Farisowi ulżyło.

– Faris, co tak zamilkłeś? Zatkano cię? – zapytał nieznajomy. – W ogóle cię nie słyszę.

– Dlaczego to dobrze, że jestem spięty? – Faris powtórzył pytanie, na które wcześniej nie uzyskał odpowiedzi.

Z głośników rozległ się zniekształcony śmiech.

– Serio masz mnie za takiego głupka? Jeśli ci powiem, to zdradzę kolejną wskazówkę, a wy w końcu wpadniecie na to, kim jestem. Domyślcie się?

– Możliwe.

Na chwilę zapadła cisza.

W końcu dzwoniący się odezwał.

– Po krótkiej przerwie na przemyślenia doszedłem do wniosku, że wkurwiasz mnie trochę, traktując mnie jak idiotę. No Faris, zastanów się nad sobą. Zostawiasz komórkę kolegom i spieprzasz gdzie pieprz rośnie? Serio? To była bardzo głupia decyzja.

Faris zacisnął powieki. Obawiał się takiego obrotu spraw.

– Daję ci rozgrzeszenie. A w ramach pokuty masz mi zreferować, co o mnie wiecie.

Faris spojrzał w stronę szefa. Tromsdorff miał ponurą minę, ale bez wahania pokręcił głową.

– Wolisz, żebym zdetonował kolejną bombę? Bo mogę to zrobić! – zagroził dzwoniący.

– Nie! – krzyknął Faris natychmiast.

– No to słucham! Żołnierzu, bądź dzielny i raportuj!

Paul zmarszczył czoło, słysząc, jak nieznajomy zwrócił się do Farisa. Przez chwilę stał przy tablicy i patrząc gdzieś w dal, bawił się flamastrem. Faris znał swojego partnera dość dobrze, żeby wiedzieć, że bardzo intensywnie myśli. W końcu policjant zapisał na tablicy słowo „żołnierz”.

Faris spojrział na Tromsdorffa. „Mogę?” – zapytał bezgłośnie, a kiedy szef po chwili wahania potaknął, zaczął mówić:

– Wiemy, że nie jest pan tą samą osobą, która zdetonowała bombę w muzeum, bo to po prostu niemożliwe. Wiemy również, że złamał pan zabezpieczenia policyjnego archiwum i dzięki temu miał pan dostęp do naszych akt, w których znalazł pan informacje nieujawnione opinii publicznej.

– Świetna robota! – zawołał nieznajomy zadowolonym głosem.

– Czy to oznacza, że mamy rację?

– Tak, i to w obu kwestiach.

– Mimo to jesteście zdania, że istnieje jakiś związek między panem a eksplozją w muzeum – ciągnął Faris. Liczył, że może uda mu się w ten sposób sprowokować rozmówcę do popełnienia błędu. Nie był przecież sam, wspierał go zespół doświadczonych funkcjonariuszy i funkcjonariuszek, z ogromnym doświadczeniem w profilowaniu przestępców, więc z całą pewnością będą potrafili wyłapać każdą zmianę tonu i każde wahnięcie nastroju, by je odpowiednio zinterpretować.

– Kto wie? – spytał mężczyzna. – Może użyłem tego miłego pozdrowienia tylko po to, żebyś poświęcił mi uwagę?

Paul spojrział na tablicę i energicznie potrząsnął głową, wskazując na zapisane na niej zdanie:

„Co łączy Farisa i zamachowca?”

A potem przesunął flamaster w stronę „porachunki” i dopisał na końcu trzy znaki zapytania.

Niespodziewanie Faris ze zdwojoną siłą poczuł obecność doktor Geiger. Szefowa departamentu pierwszego Krajowej Policji Kryminalnej zdjęła już słuchawki, lecz w przeciwieństwie do Bena i Tromsdorffa, którzy swoje odłożyli na stół, trzymała je w ręce. Bawiła się nimi zamyślona, aż w końcu wymieniła z Gerlachem znaczące spojrzenia.

– To wszystko? Niczego więcej nie znaleźliście? – zaskrzeczał zmodyfikowany głos zamachowca.

Faris zacisnął powieki i pomasaował palcami nasadę nosa.

– Wiemy, że zaplanował pan zamach w czasie mszy papieskiej jutro wieczorem.

– Świetna robota! Chociaż z drugiej strony to wcale nie było takie trudne, co?

Policjant nie odpowiedział.

Mężczyzna się zaśmiał.

– Ciężko się z tobą rozmawia, Faris, bo w ogóle nie chcesz mi odpowiadać na

pytania.

– To nieprawda – zaprotestował Faris, zaciskając ze złości zęby. – Rzeczywiście, to nie było trudne do ustalenia.

Niespodziewanie coś mu przyszło do głowy. Spojrzał na tablicę, na miejsce, w którym Paul zapisał wcześniej „dwóch sprawców”, i zaczął intensywnie myśleć, czy choć w tej kwestii udałoby mu się wyciągnąć coś z nieznanego.

– Brawo! Widzisz? Jak chcesz, to potrafisz! – pochwalił go dzwoniący.

– Co teraz? – zapytał Faris.

– No właśnie, co teraz? To chyba proste. Ty próbujesz mnie złapać i robisz te wszystkie policyjne bzdury, z których jesteście tacy dumni, a ja będę czekał, żeby się przekonać, czy dasz sobie radę.

– Dla pana to jest tylko zabawa, prawda?

W głosie dzwoniącego pojawiło się rozbawienie.

– Zabawa? Żebyś wiedział! A co innego?

– Czego pan ode mnie chce? – Faris zacisnął prawą pięść. – Dlaczego akurat ja? Nie mam pojęcia, o co chodzi i co miałbym zrobić!

– Jestem tobą rozczarowany, Faris! Co to w ogóle za podejście? Błef? Jak wtedy w muzeum? Wiesz co? Chyba już czas, żebyś mnie zaczął poważnie traktować. Jeśli przyjdzie wam do głowy odwołać jutrzejszą mszę, to pamiętaj, że też się o tym dowiem!

– Ja...

– Zamknij się i pozwól mi dokończyć! Wiecie chyba, że już raz włamałem się na policyjny serwer i w razie czego mogę to zrobić powtórnie! I nieważne, jak bardzo starali się wasi chłopcy z IT, dam sobie radę. Możecie być tego pewni. Wystarczy, że zacznę podejrzewać, że chcecie odwołać mszę, eksploduje kolejna bomba, przy której ta z metra to ledwie fajerwerki. To jak, będziemy dalej współpracować? – Przerwał na chwilę, ale nie doczekał się odpowiedzi od Farisa. – Kawiarnia internetowa przy Knesebeckstraße, Faris. To stamtąd wysłałem ci wczoraj wieczorem trojana. Chciałeś wiedzieć, co teraz. Niech będzie, powiem ci, chociaż tak zupełnie po ludzku to jestem rozczarowany, że znów wszystko spada na mnie. Jedź do tej kawiarenki. Może dzięki temu posuniecie się trochę naprzód.

Faris zacisnął zęby.

– Jeśli mam ci wybaczyć, to to jest mój warunek w zamian. Zrozumiałeś, Faris?

– Tak.

– Świetnie. To jest kolejny krok. A zadanie specjalne tylko dla ciebie brzmi: masz odnaleźć mojego ojca, zanim będzie za późno! W przeciwnym razie ludzie w mieście zaczną... sam chyba wiesz, jaki czeka ich los, jeśli zawiedziesz. – Zamilkł i dopiero po chwili zapytał, żeby się upewnić, czy Faris zrozumiał jego słowa. – Wiesz, prawda?

Faris poczuł ucisk w żołądku.

– Tak – wyszeptał. Zaszło mu w ustach.

– No to słucham, jaki?

– Ja...

– Mów, Faris! Powiedz to głośno, żebym miał pewność, że to zrozumiałeś! Jaki los czeka ludzi w mieście, jeśli po raz kolejny zawiedziesz?

Faris zacisnął powieki.

– Umrą.

– Ten facet ma z tobą jakiś rachunek do wyrównania, moim zdaniem to nie ulega wątpliwości. – Kiedy zamachowiec przerwał połączenie, Marc Sommer odezwał się pierwszy. Miał zachrypnięty głos i cały czas stał w tym samym miejscu, oparty o parapet. Shannon w tym czasie zapisywała coś w notatniku.

– Zwróciliście uwagę na to, co powiedział? Znaczy to, że ukrzyżowany facet to jego ojciec?

– Tak. Ale mógł celowo podrzucić nam fałszywy trop – zauważył Tromsdorff.

– Mimo wszystko warto mieć to na uwadze.

Shannon potaknęła, nie odrywając się od notatek.

Faris w końcu podjął decyzję.

– Dobra, od razu ruszam do tej kawiarni – oznajmił i był już w połowie drogi do drzwi, kiedy zatrzymał go ostry sprzeciw szefa.

– Stój! Nigdzie nie pójdziesz bez broni i odznaki!

To z kolei sprowokowało doktor Geiger do gwałtownego protestu. Zdecydowanie potrząsnęła głową.

– Technicznie rzecz ujmując, pan Iskander nie jest w tej chwili policjantem. A ja nie pozwolę, żeby...

– Anke! – Głos Tromsdorffa wyrażał bezgraniczną złość. Mężczyzna powoli podniósł się z krzesła. – Pod żadnym pozorem nie wypuszczę Farisa na ulicę bez broni i bez odznaki policyjnej. I możesz mi wierzyć albo nie, ale mam w dupie, co mi zrobisz, jak skończymy z tym świrem. Jak chcesz, możesz mnie wylać z roboty, gównu mnie to obchodzi, ale proszę, natychmiast przydziel Farisowi służbową broń i oddaj blachę albo...

– zamilkł. Jego twarz przybrała ciemnopurpurowy kolor, a dłonie zacisnął w pięści. Po chwili bardzo powoli, jakby z wysiłkiem rozprostował palce, odetchnął głęboko i usiadł.

Geiger zaniemówiła. Faris widział, co się z nią dzieje i jak gorączkowo stara się zrozumieć, co się właśnie wydarzyło. Na szczęście kobieta zdecydowała się nie eskalować konfrontacji i nie podejmować wyzwania rzuconego przez podwładnego.

– Niech będzie – zgodziła się. Odłożyła słuchawki na stół i sięgnęła po komórkę, elegancką i płaską jak kartka. Wybrała jakiś numer, wydała kilka poleceń i zamknęła klapkę. – Uruchomiłam skróconą procedurę. Zaraz ktoś przyniesie pistolet i odznakę.

Nikomiu nie umknęło długie, złe spojrzenie, jakim zmierzyła Tromsdorffa.

„Porozmawiamy o tym później!”

Faris spróbował się rozluźnić. Oby nie miało się okazać, że to wszystko zakończy się zamknięciem ich wydziału.

– Wracając do zamachowca... – Paul odkaszlnął głośno, chcąc zwrócić na siebie uwagę wszystkich zebranych w War Roomie. Cały czas stał przy tablicy. Dopiero teraz zamknął flamaster, który trzymał w dłoni, odłożył go na półeczkę i przysiadł na brzegu stołu. – Pomyślałem właśnie, że może nie powinniśmy skupiać się jedynie na eksplozji w muzeum, ale należałoby wziąć pod lupę starsze sprawy, w których Faris dokonywał aresztowań? Całkiem możliwe, że sprawca wymyślił sobie tę sprawę z muzeum tylko po to, żeby nas zająć poszukiwaniami w zupełnie innym kierunku, niż powinniśmy szukać?

Faris zacisnął powieki. Odpowiedzialność, jaka spoczywała na jego barkach, ciążyła mu niesamowicie i przygniatała do ziemi. Przypomniawszy sobie osoby, które straciły życie w zamachu w muzeum. Tyle istnień ludzkich, których nie udało mu się ocalić! Co będzie, jeśli i tym razem zawiedzie? Co będzie, jeśli tym razem zginie nie kilkadziesiąt, a kilka tysięcy ludzi?

„To nie ty uruchomiłeś detonator” – przypomniał sobie słowa, które powtarzał mu Paul. Kiedy leżał w szpitalu, jego partner niestrudzenie mu to tłumaczył i choć różnie to formułował, przekaz zawsze pozostawał ten sam. To nie on zdetonował bombę.

Shannon pokręciła głową i w końcu oderwała wzrok od swoich notatek.

– Nie sądzę, żebyśmy musieli zajmować się starszymi sprawami prowadzonymi przez Farisa – nie zgodziła się z pomysłem Paula. – Głos zamachowca jest wprawdzie zniekształcony za pomocą jakiegoś urządzenia albo oprogramowania, ale i tak słychać wyraźnie, że ilekroć mówi o eksplozji w muzeum, w jego tonie pojawia się ekscytacja i napięcie. Jestem przekonana, że ta sprawa ma dla niego ogromne znaczenie. I na tym powinniśmy się skoncentrować. Na tym i na informacji, że szukamy jego ojca. Możliwe, że dzięki temu znajdziemy jakieś powiązania.

– Gdyby to był jego ojciec, na pewno by nam o tym nie powiedział. – Paul ani przez chwilę nie wierzył w prawdziwość tych słów.

Faris spróbował sobie wyobrazić, że ktoś byłby w stanie uwięzić własnego ojca, a potem ukrzyżować go za pomocą najprawdziwszych gwoździ. Sam nigdy by się na to nie zdobył.

– W takim razie trzeba będzie rozważyć obie ewentualności – zdecydował Tromsdorff. – Na wszelki wypadek.

Mówiąc to, dał znak Paulowi, żeby kontynuował zapiski na tablicy.

„Sprawdzić stare sprawy. Zemsta”.

Kiedy policjant skończył pisać, dodał po ostatnim słowie trzy duże wykrzykniki i się zamyślił. Po chwili znów uniósł dłoń i zanotował:

„Ojciec?”

– Tylko nie zapomnij, że szukamy dwóch osób – przypomniał mu Faris.

Czuł się zmęczony i robiło mu się niedobrze. Zanim zdążył cokolwiek dodać, odezwała się czyjaś komórka.

– To moja – powiedziała doktor Geiger i nie zważając na zamieszanie, jakie wywołuje, sięgnęła do kieszeni żakietu, wyjęła telefon i odebrała połączenie. – Geiger – zgłosiła się, po czym przez kilka sekund milczała, słuchając osoby po drugiej stronie. – Dobrze – oznajmiła w końcu i zakończyła połączenie. – Muszę was opuścić. Nie mogą sobie beze mnie poradzić. – Wstała i wymieniła długie spojrzenie z Gerlachem. I choć milczała, starszy policjant potaknął bardzo delikatnie, jakby nie chciał, żeby ktokolwiek to zauważył. – Robercie – zwróciła się lodowatym tonem do Tromsdorffa. – Nie muszę ci chyba tłumaczyć, że mam na głowie polityków, organizatorów Dni Kościoła i prasę. Postaraj się, żeby ten... żeby ten śmieć trafił do aresztu, zanim zginą kolejne osoby.

Nie powiedziała nic więcej, jednak każdy w War Roomie doskonale wiedział, jak miała ochotę dokończyć swoją groźbę.

„W przeciwnym razie zamknę WPR”.

Następnie ruszyła w stronę drzwi i bez słowa wyszła na korytarz.

– Bardzo mi przykro – powiedział Faris, zwracając się do szefa, choć nie do końca wiedział, za co go przeprasza.

Tromsdorff machnął lekceważąco dłonią.

– Bierzemy się do roboty!

Otworzyły się drzwi i do biura wszedł policjant, którego Faris nie znał.

– Miałem coś tu dostarczyć – oznajmił funkcjonariusz bez powitania i uniósł dłoń, w której trzymał torebkę z brązowego papieru. Rozejrzył się niepewnie.

Faris dał mu znak. Policjant ruszył w jego stronę i podał mu przesyłkę, a on zajrzał do środka. Znajdowała się w niej jego dawna odznaka i pistolet marki Sig Sauer P6 w kaburze przyczepianej do paska.

– Witamy z powrotem w firmie – powiedział policjant i się uśmiechnął.

– Dzięki.

Papierowa torba była ciężka. Niespodziewanie poczuł na sobie spojrzenie Paula. Odwrócił głowę. W oczach partnera dostrzegł troskę. Nie wiedział, jak powinien zareagować, więc odwrócił wzrok. Przypomniawszy sobie chwilę z poranka, kiedy stał przy oknie i odczuwał tęsknotę za ciężarem tej broni. Wszystko to wróciło do niego niczym film, który wyświetlał się w jego głowie.

Rozdział 17

Wszystko wskazywało na to, że wycieczka po mieście okaże się ostatecznie kompletną katastrofą.

Pia trajkotała bez przerwy i cały czas zagadywała Dennisa, właściwie nie dając przyjaciółce okazji, by włączyła się do rozmowy. A Jenny co chwila rzucała mu ukradkowe spojrzenia. Kiedy wychodzili ze schroniska, włożył skórzaną kurtkę, jednak w autobusie ją zdjął i podwinął wysoko rękawy T-shirtu, który miał pod spodem, odsłaniając skórę pokrytą tatuażami. Jenny nie mogła oderwać od nich wzroku. Rozpoznała motyw czarnych skrzydeł i coś jakby trzy splecione ze sobą węże. W pewnej chwili złapała się na rozmyślaniach, czy Dennis ma tatuaże również pod T-shirtem... to sprawiło, że poczuła falę gorąca i motylki w brzuchu.

Kiedy przejeżdżali obok Bramy Brandenburskiej, znów na niego spojrzała, a on to zauważył i uśmiechnął się do niej.

Pia pociągnęła go za rękaw, by znów skupić na sobie jego uwagę.

– Wiedziałeś – zaczęła piskliwym tonem – że kiedyś to była brama do miasta? Trudno to sobie wyobrazić, co? W tym miejscu kończył się Berlin!

Dennis potaknął uprzejmie, jednak Jenny odniosła wrażenie, że nieszczególnie interesuje go historia miasta. Tym razem to on popatrzył na Jenny i kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, przewrócił zabawnie oczyma.

Stłumiła chichot.

Może wcale nie miała racji? Istniała jeszcze nadzieja, że ta wycieczka objazdowa po Berlinie nie okaże się totalnym fiaskiem, jak się obawiała.

Naraz przypomniała sobie konkretną sytuację sprzed kilku tygodni. W dniu, kiedy rodzice w końcu zgodzili się puścić ją samą do Berlina na Ekumeniczne Dni Kościoła, odwiedziła ją Pia, a potem siedziały razem na jej łóżku i rozmawiały, popijając colę.

– O rany – westchnęła wtedy Pia i dmuchnęła w grzywę jej pluszowemu kucykowi.
– To była droga przez mękę. Twoi rodzice zawsze są tacy sztywni?

Jenny się zaśmiała, nie odrywając szklanki od ust.

– Żebyś wiedziała. – Czuła się lekko i radośnie. Po raz pierwszy mogła wyjechać gdzieś sama, bez nich! I to dokąd! Od razu do Berlina! W myślach podziękowała od razu Panu Bogu za to, że w swojej mądrości wybrał akurat stolicę kraju na miejsce, gdzie mają się odbyć Dni Kościoła. – Zachowują się tak, jakby wszędzie widzieli zagrożenie dla mojej cnoty.

Pia oparła głowę o ścianę i przymknęła powieki. Przez chwilę obie milczały.

– Myślisz, że spotkamy tam jakichś przystojniaków? – zapytała w końcu Pia.

Jenny uśmiechnęła się szeroko.

– Czytałam, że organizatorzy spodziewają się ponad stu tysięcy osób, więc szanse są raczej spore.

Poczuła przyjemne mrowienie w brzuchu. Ależ to wszystko było ekscytujące!

W pokoju znów zapadła cisza.

– Właśnie postanowiłam, że to się tam stanie – mruknęła Pia rozmarzonym tonem.

Dalej siedziała z odchyloną głową i zamkniętymi oczyma.

Jenny spojrzała na przyjaciółkę.

– Ale że co się tam stanie? – zapytała.

– No pomyśl, głuptasie! – Pia otworzyła oczy i dała jej kuksańca. – No że tam się z kimś prześpię!

Jenny spojrzała przerażona w stronę drzwi, żeby sprawdzić, czy na pewno są zamknięte.

– Cicho, wariatko! Jeśli moi rodzice usłyszą, jak mówisz takie rzeczy – zganiła ją – to mogę zapomnieć o wyjeździe z tobą do Berlina!

Pia zareagowała śmiechem.

– Mówiłam, że sztywniaki! Jenny, pomyśl tylko! Jedziemy do Berlina! Gdzie miałyby się to stać, jeśli nie tam?

Teraz, w autobusie jadącym przez stolicę, Jenny uśmiechnęła się do wspomnienia tamtej rozmowy. Bezwiednie sięgnęła palcami do światełka chemicznego, które miała zawieszane na szyi na kolorowej smyczy.

– Podoba ci się to cudo? – Głos Dennisa wyrwał ją z zamyślenia.

Gwałtownie wróciła do rzeczywistości.

– To światełko?

– Tak. Wszyscy dookoła takie noszą. – Dennis wyciągnął dłoń i postukał palcem w plastikową rurkę. Niby zupełnie przypadkowo musnął przy tym dłoń Jenny.

Dziewczyna miała wrażenie, że poraził ją prąd.

– No i? – Poczwała, że robi się czerwona. – To fajny pomysł, by wszystkie zabłyśły jutro wieczorem w tej samej chwili. – Odpięła światełko ze smyczy i podała je Dennisowi.

Chłopak uważnie przyjrzał się zabawce i odczytał głośno motto Dni Kościoła:

– „I głosili z odwagą Słowo Boże”.

Jenny odebrała mu rurkę, tym razem z rozmysłem dotykając jego dłoni. Uśmiechnął się do niej promiennie. Jego wzrok wprawiał ją w zakłopotanie. Pia rzucała jej wściekłe spojrzenia za to, że wykluczyła ją z rozmowy. Ale mało ją obchodziło samopoczucie koleżanki. Spojrzała w oczy Dennisowi i poczuła motylki w brzuchu.

Może to ona, a nie Pia, przeżyje tu swój pierwszy raz? Kto wie...

Przez jej ciało przetoczyła się fala podniecenia, bo w tej samej chwili Dennis schwycił ją za rękę, wyjął spomiędzy jej palców światełko i zaczął je oglądać.

– To jest jednorazówka? – zapytał.

Jenny potaknęła, na co on zaraz udał, że łamie je w połowie. Przestraszona już otworzyła usta, jednak zorientowała się, że tylko się z nią droczy. Z uśmiechem chciał jej oddać plastikowy gadżet, lecz w ostatniej chwili zmienił zdanie i własnoręcznie przypiął go z powrotem do tęczowej smyczy na jej szyi, a kiedy to robił, jego palce znalazły się bardzo blisko jej piersi...

Serce Jenny zaczęło walić z taką siłą, że wystraszyła się, czy zaraz nie eksploduje...

Po wyjściu policjanta, który przyniósł Farisowi broń i odznakę, w biurze przez chwilę panowała cisza.

– Dobra, zbieraj się stąd – polecił Tromsdorff. – Gość chce, żebyś zjawił się w kawiarni internetowej, to masz tam jechać. Nie możemy ryzykować odmowy wykonania polecenia. – Spojrzał na telefon Farisa. – Ben?

Technik oderwał się od pracy i podniósł wzrok znak komputera.

– Tak?

– Masz jakiś pomysł, co zrobimy z komórką Farisa?

Ben podrapał się po nosie.

– Musi mieć ją ze sobą. Jak facet znowu zadzwoni i usłyszy, że ktoś inny odebrał, będziemy mieli poważny problem.

Tromsdorff chciał coś powiedzieć, ale Ben go uprzedził i z uśmiechem wyjaśnił, że znalazł już rozwiązanie.

– Spokojnie, nic nas nie ominie. – Wskazał na komputer. – Stworzyłem dodatkowy fałszywy punkt przekaźnikowy, więc jeśli zadzwoni, Faris będzie mógł odebrać, a my i tak będziemy go tutaj słyszeć.

Tromsdorff pokiwał głową.

– Świetna robota. Faris, czas na ciebie.

Policjant chciał schować komórkę tam, gdzie zawsze, czyli do wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki, lecz w niej miał już drugi telefon. Westchnął i wsunął poobijaną słuchawkę do kieszeni džinsów.

– Faris to mój partner – oznajmił Paul niespodziewanie. – Jadę z nim.

– Tutaj bardziej się przydasz – zaprotestował Tromsdorff, zastanowił się jednak i po chwili pokręcił głową. – Zresztą masz rację. Jedźcie już.

Chwilę później siedzieli razem w cywilnym wozie policji, czarnym BMW M3 i zmierzali w stronę Kurfürstendamm. Schodząc do garażu pod budynkiem, Faris zadzwonił do Niklasa, żeby zapytać, czy potrzebuje motocykla, jednak dziennikarz tylko się roześmiał.

– Wyluzuj, stary, dam sobie radę – uspokoił go. – Mam przecież dostawczaka, więc skup się na ważniejszych rzeczach.

Kiedy Faris posuwał się zatłoczonymi ulicami stolicy, Paul siedział obok i w milczeniu wyglądał przez szybę. W pewnej chwili musieli zatrzymać się na czerwonym świetle. Cisza zrobiła się przytłaczająca.

– Zgroza – mruknął Paul i zadrżał.

– Co masz na myśli?

– Chodzi mi o ten telefon. Nie odniosłeś wrażenia, że ten gość nas obserwuje?

Faris przypomniał sobie kamery na stacji metra, gdzie doszło do pierwszej eksplozji.

– Bardzo dużo wie, to fakt – przyznał mu rację. – Szczególnie dużo o mnie i o WPR.

Broń wydawała mu się wyjątkowo ciężka – to był kolejny znak, jak bardzo zmieniły go ostatnie miesiące. Dawniej w ogóle nie czuł, że ma ją przy sobie.

Paul potaknął i odprowadził wzrokiem jakąś dziewczynę w krótkiej spódniczce, która przechodziła akurat przez ulicę.

– Myślisz, że nas zna? W sensie, że osobiście?

Światło zmieniło się na zielone, ale nie mogli ruszyć, bo całe skrzyżowanie było zastawione samochodami.

– Wiedział o Tromsdorffie i znał jego stanowisko w policji. Chociaż to akurat mógł znaleźć w Internecie.

Nagle Faris uzmysłowił sobie coś, o czym wcześniej w ogóle nie myślał.

– Pierwszy kontakt telefoniczny... – mruknął. – Kiedy rano gość do mnie zadzwonił, polecił mi nikogo nie zawiadamiać. Ale dodał: „na razie”. Trochę się tym dziwiłem, ale przez zamach i zamieszanie zupełnie o tym zapomniałem.

Kobieta zniknęła za rogami. Ktoś na nich zatrąbił.

Faris spojrział w lusterko wsteczne.

– Później, już po wybuchu, facet wyraźnie mi powiedział, że teraz już mogę powiadomić WPR. Nie zależało mu tylko na mnie, chciał, żeby ścigał go cały wydział.

– Chcesz powiedzieć, że mści się za coś, ale porachunki ma nie tylko z tobą, ale z całym wydziałem?

Faris spojrział na partnera.

– Może lepiej przekaż to pozostałym, niech się zastanowią, co to może oznaczać.

Bębniąc palcami o kierownicę, czekał niecierpliwie na możliwość przejazdu, a Paul dzwonił do kolegów z WPR.

– Czy oni się w końcu ruszą?! – warknął rozeźlony.

Paul zakończył połączenie.

– Gitta zajmie się sprawdzaniem starych spraw – oznajmił i westchnął. – Mam bardzo złe przeczucia, jeśli chodzi o to dochodzenie.

Na chodniku po jego stronie stała grupa kobiet w długich spódnicach i w kolorowych szalach Ekumenicznych Dni Kościoła.

Faris uniósł zdenerwowany ramiona.

– Naprawdę bardzo złe przeczucia – powtórzył Paul. Mocy jego słowom dodał dzwonek telefonu.

Dochodził z kieszeni dzinsów Farisa.

– No jak tam, Faris? – zapytał zniekształcony głos, ledwie policjant wyjął komórkę z kieszeni i odebrał połączenie. – Wymyśliłeś już jakieś usprawiedliwienie, dlaczego jeszcze nie dotarłeś na miejsce?

Faris spojrział na zablokowane skrzyżowanie przed sobą.

– Skąd pan wie, że jeszcze mnie tam nie ma?

– Lokalizacja telefonu – padła krótka odpowiedź.

Potaknął. Sam mógł się domyślić.

– Utknęliśmy w korku – wyjaśnił.

– Co to ma znaczyć?! – Mimo elektronicznych zniekształceń, w głosie dzwoniącego słyhać było niedowierzanie.

Faris miał przez chwilę wrażenie, że jego odpowiedź była nieco spóźniona.

– My...

– Chcesz powiedzieć, że znowu nie wykonujesz moich poleceń?!

– Nie, niech pan posłucha, ja...

– O nie, to ty lepiej posłuchaj, Faris! I słuchaj dobrze, bo mam wrażenie, że mnie

olewasz! Chyba muszę dać ci małą nauczkę. Za pięć minut zadzwonię ponownie i jeśli nie będziesz mógł mi podać kobiety z kawiarni, tej wamp laski, która obsługuje klientów, ktoś straci życie. I to ktoś, na kim pewnie zależy ci bardziej niż na jakimś bezdomnym żebraku!

– Nie! – Faris nie mógł powstrzymać krzyku. – Proszę! Ja naprawdę...

– Starczy, Faris! Mam już dość! Pięć minut! – Po tych słowach połączenie zostało przerwane.

Faris opuścił telefon i zacisnął zęby, żeby opanować nerwy.

– Kogut! Natychmiast!

Paulowi nie trzeba było powtarzać. Od razu opuścił boczną szybę BMW i umieścił na dachu niebieskie światło z magnetyczną podstawką, a Faris uruchomił sygnały dźwiękowe. Pięć minut!

Nie, to było niewykonalne! Dopiero mijali Wittenbergplatz, nie przecięli jeszcze Nürnberger Straße, a Tauentzienstraße była zakorkowana na całej długości, o czym się przekonał, wychylając się na bok.

Mimo głośnej syreny samochody przed nimi bardzo powoli robiły im miejsce.

– Wynocha! – ryknął Faris, ale nic w ten sposób nie zyskał. A gdyby wysiadł i spróbował pokonać ten odcinek biegiem? Nie, to nie do zrobienia! Wprawdzie wrócił do treningów już kilka tygodni temu, jednak od celu dzieliły go niemal dwa kilometry, a na to potrzebowałby ponad siedmiu minut – i to przygotowany do biegu, a nie sponiewierany poranną eksplozją na stacji metra.

Zaczął trąbić.

– Spokojnie, przecież nie rozpląną się w powietrzu – mruknął Paul. – Powiesz mi, co się dzieje?

Faris streścił rozmowę z nieznanym w dwóch zdaniach. Przenikliwe wycie syreny dodawało jego słowom dramaturgii. W końcu samochód tuż przed nimi odsunął się na tyle, że mogli przejechać.

Paul pobladł.

– Ktoś, na kim ci bardziej zależy? – zapytał.

Jego partner tak bardzo skupił się na drodze, że nawet nie próbował odpowiedzieć. Skokami posuwali się naprzód. W pewnej chwili wjechał dwoma kołami na krawężnik i dodał mocno gazu, lecz już po kilkunastu metrach zatrzymała go kolejna przeszkoda w postaci samochodu dostawczego, który nieświadom powagi sytuacji wyjechał z którejś z bram i widząc niebieskie światła policyjnego samochodu, zatrzymał się na środku chodnika.

– Kurwa!

W kabinie rozległ się dzwonek, którego pochodzenia z początku żaden z nich nie potrafił ustalić. Faris trąbił jak opętany, aż w końcu zmusił kierowcę dostawczaka, by cofnął się kawałek, akurat tyle, żeby precyzyjnie się dalej. Mijając o włos betonowe bariery, dodał ostro gazu i popędził dwoma kołami po chodniku. Nagle poczuł, że Paul sprawdza kieszeń jego kurtki, po czym wyjmując z niej tani telefon, który kupił w zastępstwie smartfona. To on dzwonił.

Paul odebrał połączenie i się zgłosił.

– To Niklas – powiedział.

– Niklas! Nie teraz! – krzyknął Faris.

Zjechał z chodnika i poczuł ulgę, że w czasie szaleńczego rajdu nie potrafił żadnego pieszego. Chwilę później znów musiał gwałtownie hamować, bo samochody przed nim bardzo powoli rozjeżdżały się na boki, by zrobić mu miejsce.

– Spierdalać!

Paul uruchomił tryb głośnomówiący.

– Faris, muszę...

– Nie. Teraz. Niklas! – ryknął policjant.

Silnik wył na wysokich obrotach, a BMW piszcząc oponami, wjechało bokiem na Kurfürstendamm. Nagle Paul sapnął przestraszony, bo wśród kakofonii tych wszystkich dźwięków rozległ się niemożliwy do pomylenia z niczym sygnał smartfona.

– Noż kurwa mać! – Faris odebrał i uniósł telefon do ucha. Trzymając kierownicę jedną ręką, rozpaczliwie starał się utrzymać kontrolę nad pędzącym samochodem. – Przecież nie minęło jeszcze pięć minut!

– Wiem przecież. – W słuchawce rozległ się zniekształcony śmiech. – Ale chciałem być świadkiem, jak znów dajesz ciała.

– Kto? – warknął Faris, gwałtownie nadepnął hamulec i natychmiast znów dodał gazu. Jakiś młody człowiek, który zamierzał wejść na zebra, cofnął się na chodnik. Policjant spojrział w lusterko wsteczne, żeby się upewnić, czy go nie zahaczył, lecz na szczęście chłopakowi nic się nie stało, jeśli nie liczyć strachu, jakiego się najadł. Chwilę później zniknął mu z oczu.

Z głośniczka taniego telefonu rozległ się skrzeczący głos Hessego.

– Słucham? – zapytał nieznajomy.

– Kto ma zginąć? Kogo chce pan zabić? – Oczywiście wyobraźni widział przerażające obrazy. Ktoś, na kim mu zależy. Jego siostra Anisah? Siostrzenice? Laura? Co za skurwysyn!

– A, o to pytasz. – Nieznajomy zamilkł, zapewne dla podniesienia napięcia.

– Podpowiem ci: koszula w kratę, kowbojki, skórzana kurtka...

Farisowi zrobiło się niedobrze.

– Niklas! – krzyknął. – Bomba! Uciekaj!

– Co? Faris, co to...

Śmiech nieznajomego mieszał się z wyciem syreny samochodu i niezrozumiałym jękaniem się Hessego.

W końcu dotarli do ulicy Knesebeckstraße, jednak kawiarnia internetowa znajdowała się na jej drugim końcu. Nie mieli najmniejszych szans, żeby dotrzeć tam na czas.

– Dziesięć sekund, Faris – oznajmił nieznajomy i zaczął odliczać czas.

Kiedy dotarł do czterech, Faris gwałtownie zahamował. To nie miało sensu, nic nie mogło sprawić, żeby przez te kilka sekund dotarli na miejsce.

– Trzy.

Opuścił smartfona i sięgnął po telefon, który trzymał Paul.

– Dwa.

Mimo że głos nieznajomego docierał do niego z wysokości kolan, był całkowicie zrozumiały.

Faris przycisnął komórkę do ucha.

– Uciekaj, Niklas! Musisz natychmiast...

Ale było już za późno.

– Jeden! – Nieznajomy skończył liczenie.

Świat na chwilę się zatrzymał.

– Pa, pa! – Zamachowiec się zaśmiał.

Cisza przerwane połączenia była ogłuszająca.

Rozdział 18

Zmęczonym gestem Faris odłożył telefon, nachylił się i dotknął czołem kierownicy. Głowa huczała, a serce waliło jak oszalałe. Zbierało mu się na wymioty, lecz robił, co mógł, by je powstrzymać.

Paul siedział całkowicie nieruchomo w fotelu obok i milczał. Ustawiczne wycie policyjnej syreny docierało do nich przytłumione, jakby źródło hałasu było gdzieś bardzo, bardzo daleko. W pewnej chwili Paul zebrał się w sobie i sięgnął do wyłącznika. W samochodzie zapanowała cisza przerywana szumem mijających ich aut.

– Niklas! – wychrypiał Faris.

Znów zawiódł!

Naraz przypomniał sobie, że smartfon, przez który rozmawiał z nieznajomym, wciąż leży na jego kolanach.

– Ty pieprzony gnojku! – wykrzyczał, podnosząc słuchawkę. Ale i to połączenie zostało wcześniej przerwane.

Nieznajomy się rozłączył.

Faris odchylił się i oparł o zagłówek. Był w takim stanie, że niewiele do niego docierało, jednak po chwili zwrócił uwagę na dziwny, przygłuszony dźwięk. Dzwonienie. Dopiero po kilku sekundach uświadomił sobie, że to jego zastępczy telefon. Zebrał się w sobie i z ogromnym wysiłkiem przyjął połączenie.

– O kurwa, Faris... – Usłyszał. – Co to miało być?

Głos należał do Niklasa Hessego.

Wyprostował się gwałtownie i wytrzeszczył oczy.

– Ty żyjesz!

Hesse zaniósł się kaszlem.

– Niby tak... ale naprawdę niewiele brakowało!

Mdłości, jakie odczuwał, przybrały na sile, by po chwili zacząć słabnąć.

– Jak... jak to możliwe?

– Ktoś mi wysadził w powietrze całe mieszkanie! Cholera, to była bomba!

– Dziennikarz mówił drżącym, nieco piskliwym głosem.

– Jak... jak w ogóle udało ci się...?

– Pamiętasz to drewniane biurko? Cholernie ciężkie, dębowe? No właśnie, przyjęło na siebie większość siły wybuchu.

Ulga była tak wielka, że Farisowi zrobiło się słabo.

– Bogu dzięki! – powiedział, zaciskając powieki.

– Ja się aż tak nie cieszę – poskarżył się dziennikarz. – Pewnie, fajnie, że ci jeszcze na mnie zależy, ale moje komputery szlag trafił. Wszystkie!

Faris poczuł, że zaczyna się śmiać. Szybko się jednak opanował.

– A kto ci powiedział, że mi na tobie zależy? Kolejna ofiara eksplozji mocno by mi zepsuła statystyki... – przerwał, bo znów zrobiło mu się niedobrze, i poczekał, aż się uspokoi.

Zauważył pełne troski spojrzenie partnera, jednak musiał je zignorować.

– Zresztą, niech ci będzie. Dobrze, że jesteś cały – mruknął. W tle usłyszał wycie syren.

– Muszę kończyć – powiedział Hesse. – Kawaleria nadciąga.

Smartfon rzucony w złości na kolana zaczął niespodziewanie wibrować. Zmęczonym ruchem podniósł go i odebrał połączenie.

– Trafiony, ale nie zatopiony. – Nie potrafił sobie odmówić uszczypliwej uwagi.

– Racja – potwierdził nieznajomy. – Trochę szkoda, ale w gruncie rzeczy to bez znaczenia, bo cel został osiągnięty i nie możesz mieć wątpliwości, że jestem w stanie zmienić twoje życie w piekło.

Faris potarł piekące oczy.

– Co teraz?

– Przecież ci powiedziałem. Kawiarnia internetowa. A, Faris?

– Tak? – Policjant odczuwał coraz większe pragnienie, by żywcem wyrwać mu serce.

– Nie musisz się już spieszyć.

Po kilku minutach, których potrzebowali, żeby otrząsnąć się z szoku, Faris uruchomił silnik i pojechali dokończyć zadanie. Paul zadzwonił do WPR-u i uruchomił w telefonie tryb głośnomówiący, żeby jego partner za kierownicą mógł uczestniczyć w rozmowie.

Tromsdorff chwilę wcześniej został powiadomiony o eksplozji w jednej z hal nieczynnego lotniska Tempelhof.

– Nasi ludzie są już na miejscu – poinformował podwładnych. – Najwyraźniej tym razem mieliśmy sporo szczęścia, bo niedawno policja usunęła stamtąd squattersów i nic nie wskazuje na to, żeby w eksplozji ktokolwiek zginął.

Faris wyjaśnił mu krótko, kto był celem ataku.

– Niklas? – powtórzył Tromsdorff zaskoczonym głosem. On również znał dziennikarza i to nawet całkiem dobrze. – Wy jesteście przyjaciółmi, prawda?

– Raczej dobrymi kolegami. – Faris potrząsnął głową, bo wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, jak niewiele dzieliło ich od nieszczęścia. – Sprawca chce mi pokazać, że trzyma mnie w garści.

Coś mu przyszło do głowy i postanowił, że musi to jak najszybciej załatwić: jak tylko dotrze do kawiarni internetowej, zadzwoni do Anisah i do rodziców, żeby natychmiast opuścili miasto. Zamachowiec zbyt wiele o nim wiedział. Skoro znajomość z Niklasem nie była dla niego tajemnicą, tym bardziej musiał znać jego sytuację rodzinną. I jeszcze Laura! Faris zacisnął zęby. Byłoby mu znacznie łatwiej, gdyby tylko wiedział, że wszyscy, na których mu zależy, są poza zasięgiem mordercy.

– Hm – mruknął Tromsdorff i się zamyślił. – Dasz sobie radę? Bo jeśli chcesz, mogę wysłać kogoś, żeby cię zastąpił...

– Nie możesz i dobrze o tym wiesz, bo ten idiota zaraz zdetonuje kolejną bombę.

– Faris wpatrywał się w telefon na kolanach. – Nie, spokojnie. Dam radę. Dobra, jaki mamy plan?

– Najlepiej zróbcie to, czego ten szaleniec zażądał. A my rozszerzymy zespół, który przegląda stare sprawy w poszukiwaniu jakichkolwiek informacji na temat ojca

zamachowca. Kiedy skończycie sprawdzać tę kawiarenkę internetową i nie będziecie mieli żadnych nowych poleceń, wracajcie tutaj. Przemyślimy wszystko i uradzimy, co dalej.

Faris potaknął.

– W porządku.

Wizyta w kawiarni internetowej okazała się ślepym zaułkiem. Lokal był na poziomie, wyposażenie z dużą ilością chromu i czerwonej skóry oraz naturalnej wielkości tekturowa postać Lary Croft. Potężny zegar dworcowy umieszczony na jednej ze ścian uświadomił im, jak szybko kurczy się ich zapas czasu. Niczego sensownego, ponad tę oczywistość, się nie dowiedzieli.

Kiedy weszli, za błyszczącą ladą stała młoda kobieta w wydaniu gothic, zajęta przygotowywaniem latte macchiato dla dwóch klientek. Paul pokazał jej legitymację i poprosił o udostępnienie nagrań z monitoringu z poprzedniego wieczoru. Dziewczyna zrobiła przepraszającą minę i pokręciła głową.

– Wczoraj przez cały dzień mieliśmy zamknięte – wyjaśniła. – Nikt niczego nie mógł stąd wysłać, bo robiliśmy serwis całego sprzętu. – Głową wskazała za siebie, na drzwi z tabliczką „Biuro”. – Mogę zawołać szefa, on wam to potwierdzi.

– Nie trzeba, dzięki – mruknął Faris. Niczego innego się nie spodziewał. Gdyby istniała szansa, że uda im się tutaj znaleźć jakikolwiek przydatny ślad, zamachowiec z całą pewnością nie ściągałby ich tutaj. – Przyślemy jeszcze kogoś, kto wszystko sprawdzi.

– Jak pan chce. – Młoda kobieta podała klientkom napoje i spojrzała na Farisa, jakby chciała zapytać, czy to już wszystko.

Podziękowali jej za pomoc i wyszli z kawiarni.

– Co to w ogóle miało być? – zapytał Paul, kiedy znaleźli się na chodniku. – Po co kazał nam tu jechać?

Nic tu do siebie nie pasowało i z pozoru nie miało sensu. Faris spojrzał na zegarek.

– Bawi się nami – mruknął. Na wyświetlaczu elektronicznego urządzenia godzina przeskoczyła z osiemnastej pięćdziesiąt sześć na pięćdziesiąt siedem.

Pozostało im dwadzieścia dziewięć godzin.

Alexander

Stał przed krzyżem i spoglądał na ojca. Ależ był wychudzony! Pomarszczona skóra na jego brzuchu zwisała na przepaskę biodrową. W oczach Alexandra ten kawałek materiału przypominał pieluchę. Już wcześniej tak pomyślał, kiedy był młodszy i jako chłopiec oglądał obraz z ukrzyżowanym Chrystusem z przepaską na biodrach. Dziś wiedział, że PAN zawisł na krzyżu zupełnie nago, ale oczywiście nie można było tak go przedstawiać. Teraz jednak, gdy spoglądał na własne dzieło, do głowy przyszła mu obrazoburcza i bluźniercza myśl: czy Chrystus był pod przepaską biodrową dobrze obdarzony przez naturę?

Natychmiast zacisnął pięść i uderzył się w czoło, żeby przegnać z głowy te grzeszne myśli.

– Niewychowany! Podły! – szeptał. – Jak można być takim grzesznikiem! – Potem

spojrzał człowiekowi na krzyżu prosto w twarz. – Wybacz mi! – poprosił cicho.

Był przekonany, że Bóg go słyszy. Światło anioła wciąż płonęło w miejscu, gdzie się pojawił, i tworzyło cienie na ścianach pomieszczenia. Naraz poczuł pragnienie, żeby zbliżyć się do źródła tej jasności. Anioł od dłuższego czasu nie wypowiedział ani słowa. Tak bardzo chciał sprawdzić, czy wciąż tam jest!

Ale przecież wyraźnie zabronił mu zbliżać się do siebie, a Alexander bał się straszliwej kary, jaka mogłaby go spotkać, gdyby nie posłuchał polecenia posłańca Pana. Dlatego został przy krzyżu i zaczął rozmyślać.

Ukrzyżowany poruszył się nagle, lecz nie zdołał unieść powiek.

– Alex...? – Jego głos był ledwie szeptem.

– Wszystko naprawię – szepnął Alexander z oddaniem i uczuciem. – Będiesz ze mnie dumny, tato. – Po tych słowach uniósł dłonie i osadził pewniej koronę cierniową na głowie ojca.

Mężczyzna zajęczał cicho.

Na twarzy Alexandra pojawił się słaby uśmiech, kiedy przyglądał się swemu dziełu. Świeża krew ściekała spod korony, a pojedyncze szkarłatne krople szukały najkrótszej drogi w dół, znacząc ślad na białej skórze.

CO ROBISZ?

Głos anioła rozbrzmiał tak niespodziewanie, że Alexander podskoczył ze strachu. W gorączkowym pośpiechu odsunął się od krzyża i się odwrócił.

Pośród oślepiającego światła na powrót pojawiła się niewyraźna postać.

CO ROBISZ? – powtórzył głos.

Alexander drżał ze wzburzenia, kiedy odzyskał głos i mógł odpowiedzieć.

– To ten obraz – wymamrotał. – Ten w kościele. Musiałem jedną rzecz poprawić, bo nie wyglądała, jak tam. Teraz jest lepiej. Tak jak w kościele... ja... ON powiedział...

JUŻ DOBRZE – uspokoił anioł. – CHCIAŁEŚ DOBRZE.

– Naprawdę! – potwierdził Alexander i zacisnął powieki. Ileż by dał, żeby móc zobaczyć twarz przemawiającego do niego anioła! Jednak światło było zbyt mocne i go oślepiało.

OBRAZ W KOŚCIELE – powtórzył głos. – TO BARDZO CIEKAWE, MOŻE BYŚ O NIM TROCHĘ OPOWIEDZIAŁ? ALE NIE TERAZ, MAM JESZCZE COŚ DO ZAŁATWIENIA!

Alexander zauważył ruch w oślepiającej poświacie i zrozumiał, że anioł się odwrócił. W następnej chwili poczuł, że znów jest sam – sam z krzyżem, do którego przybił ojca.

Obraz z kościoła. Chociaż nie było już z nim anioła, i tak natychmiast wszystko sobie przypomniał...

Idzie z ojcem do kościoła – jak co niedzielę i czasem też w środku tygodnia. Za każdym razem siadają w tym samym miejscu, w ławkach po lewej stronie nawy głównej. Pewnego dnia po prostu się pojawił. Obraz. Ktoś zawiesił go w taki sposób, że wierni z ławek świetnie go widzieli. Alexandra zaskoczyła liczba detali, jakie autor na nim namalował.

Weźmy choćby krzyż. Na obrazie jest nisko, zupełnie inaczej niż na obrazach, które

widował dotychczas. Na nich Ukrzyżowany wisiał wysoko nad głowami tłumu – na malowidle w kościele scena wygląda inaczej – stopy Chrystusa znajdują się tuż nad ziemią. „Tak to naprawdę wyglądało” – wyjaśnia mu ojciec. „Po co ludzie w tamtych czasach mieliby zadawać sobie trud stawiania wysokich krzyży? To byłoby bezsensownym marnowaniem drewna”.

Alexander potakuje, bo to oczywiste.

Na malowidle głowa Ukrzyżowanego opada do przodu, na jego pierś. Korona cierniowa i krew przyciągają wzrok Alexandra i budzą jego fascynację, ale nie potrafi powiedzieć, dlaczego.

– Co to są za sznury? – pyta ojca.

Twórca namalował nie tylko gwoździe przechodzące przez dłonie i stopy Zbawiciela, ale też czerwone grube liny. Oplatają one ramiona Ukrzyżowanego...

Alexander uniósł wzrok i spojrzał na ojca. Tak, liny znalazły się we właściwym miejscu.

Dokładnie tam, gdzie widział je na obrazie.

Ojciec milczy przez całą drogę z mszy do domu, a on widzi, że jest zamyślony i boi się go rozpraszać. Matka nie czeka na nich z obiadem, choć wcześniej zawsze czekała.

Alexander zawsze bardzo za nią tęskni, jednak tata wyjaśnił mu, że miała zagubioną duszę i nie należy jej żałować, bo to strata czasu.

Kiedy Alexander przygotowuje posiłek, ojciec zagłębia się w lekturze. Czyta Biblię, ale sięga również do innych książek o bardzo skomplikowanych tytułach i drobnej czcionce.

Przestali pościć, kiedy tata uznał, że już wystarczy. Od tamtego czasu poszukuje nowych dróg, by oczyścić się z grzechów.

Tamtej niedzieli chyba coś znalazł. Przychodzi do stołu z jedną ze swoich książek i kiedy Alexander nakrywa do posiłku, on zaczyna czytać na głos.

– Tobie Chrystusie składam hołd wdzięczności za wszystko, co z miłującego serca uczyniłeś. Polecam się Twemu Sercu, oddając się całkowicie do Twojej dyspozycji. Ofiaruję więc wszystkie swoje cierpienia, niewygody, upokorzenia, oraz wszystkie swoje dobre uczynki i modlitwy. Proszę, aby wszelkie moje ofiary były przyjęte jako wynagrodzenie za grzechy tych, którzy ducha prawości i pokuty zatracili. To, co ofiaruję, niech będzie przeciwwagą dla zniewag, które ranią Twoje Serce. – Po czym podnosi wzrok znak książki i mówi do chłopca – pokaż dłonie!

Alexander się waha, ale posłusznie wyciąga ręce.

Ojciec sięga po karafkę z wodą, która stoi już na stole.

– I wodą życia zmyj z nas nasze grzechy – mruczy.

Mówiąc to, obficie polewa dłonie syna, a potem swoje.

Miała wrażenie, że Jezus na nią patrzy.

Ira Jenssen często tak czuła – w zasadzie za każdym razem, kiedy siadywała w pierwszej ławce swojego kościoła i zrozpaczona próbowała się modlić. Mimo że Ukrzyżowany na obrazie miał opuszczoną głowę, Ira była gotowa przysiąc, że widzi przez

nią na wskroś. Zastanawiała się, czy twórca celowo namalował Go w ten sposób. Budzące grozę szczegóły ukrzyżowania oddał wyjątkowo wiernie: zmaltretowane ciało, rozłożone ramiona, wystające pod skórą żebra i wyprężone boleśnie dłonie przybite gwoździami do belki krzyża. *Korona cierniowa*. Ira powoli przesuwiała po niej wzrok. Kolce niczym ostrza przebijające skórę. Na widok krwi spływającej szkarłatnymi strumykami po bladej skórze zrobiło jej się słabo.

To coś nowego.

Zacisnęła zęby i przełknęła ślinę, próbując pokonać nagły ucisk w gardle. Poszukała spojrzeniem innego szczegółu, żeby się na nim skupić i przestać myśleć o krwi. Czerwone liny. Swego czasu wywołały gorącą dyskusję wśród parafian, którzy zaraz po powieszeniu obrazu mieli do niego zastrzeżenia.

– Perwersyjnie okrutny – mruknęła pod nosem. Cieszyła się, że poza nią nie ma w kościele żadnego z wiernych. Dzięki temu, że nikt jej nie rozpraszał, mogła siedzieć w spokoju i w skupieniu próbować na nowo wzbudzić w sobie szczere pragnienie modlitwy. A co najważniejsze, mogła kontynuować i pogłębiać swoje buntownicze przemyślenia, bez ciągłego strachu, że straci przez nie pracę.

Ściągnęła usta i uśmiechnęła się cynicznie. Ciekawe, co by się stało, gdyby parafianie i parafianki dowiedzieli się, że ich szanowana pastorka codziennie musi toczyć walkę ze swoją wiarą? I żeby tylko to! Bo w gruncie rzeczy, ona tę wiarę już utraciła! Stara pani Feldbusch z rady parafialnej bez chwili wahania napisałaby skargę do jej przełożonych i poprosiła o znalezienie nowego duszpasterza dla ich parafii.

Ira westchnęła ciężko i spojrzała na swoje dłonie. Nie złożyła ich. Ostatnio w ogóle ich nie składała, chyba że akurat stała przed tłumem wiernych, odprawiając nabożeństwo – a i to tylko dlatego, że przecież musiała zachować pozory. W tej chwili, całkowicie sama w pustym kościele, pomyślała, że ten dziecinny gest jest skrajnie absurdalny i pozbawiony znaczenia.

– Ech, Boże... – mruknęła. – Co teraz?

Nie otrzymała odpowiedzi. Ale też nie oczekiwała, żeby Bóg udzielił jej jakiegokolwiek odpowiedzi. Po chwili uniosła głowę i znów skupiła wzrok na malowidle. On naraził przecież swojego syna na nieprawdopodobnie okrutną mękę i w żaden sposób temu nie zapobiegł, więc jakie to mogło mieć znaczenie, że nie wskazuje jej właściwej drogi? I że zabrał jej Thomasa...

Thomas!

Na myśl o nim poczuła bolesny ucisk w sercu.

– „Gdyż Pan, twój Bóg, jest Bogiem miłosiernym, nie opuści cię ani cię nie zniszczy i nie zapomni o przymierzu z ojcami twoimi, które im zaprzysiągł”. – Cytat z Piątej Księgi Mojżeszowej¹ zadziwiająco naturalnie przeszedł jej przez usta. Zebrało jej się na gorzki śmiech, lecz stłumiła go szybko.

Ciche kliknięcie oznaczało, że ktoś otworzył tylne wejście do kościoła. Ira usłyszała zbliżające się i coraz głośniejsze kroki. Nie miała problemu z rozpoznaniem, kto wszedł do świątyni – to mogła być jedynie sekretarka parafii.

Rozległo się ciche odkaszlnięcie.

Ira zacisnęła powieki.

Veronika Herzog idąc samotnie przez pusty kościół, była przekonana, że jej przełożona jest pogrążona w modlitwie. Nawet ona, jej sekretarka i towarzyszką, z którą Ira spędzała większość czasu, od kiedy straciła Thomasa, nie podejrzewała, że już dawno utraciła dar wiary.

– Pani Iro? – Veronika zapytała niepewnym głosem. – Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam, ale wydaje mi się, że to naprawdę ważne...

Pastorka jeszcze przez chwilę trwała nieruchomo, tak jak Veronika ją zastała. Miała wrażenie, że jej powieki są z ołowiu. W końcu zdołała zebrać dość sił, by je unieść, a kiedy spojrzała w stronę sekretarki, jej oczy płonęły.

– O Boże! – Sekretarka nie potrafiła powstrzymać krzyku strachu. – Ja naprawdę nie chciałam...

Ira uśmiechnęła się nienaturalnie i zamrugła, by pozbyć się nieprzyjemnego uczucia spod powiek.

– Nic nie szkodzi, i tak już kończyłam.

Kończyłam! Nagle poczuła falę ponurego, mrocznego humoru, którą wywołało to słowo. Ależ ono pasowało do jej aktualnego nastroju!

– Jeśli chce pani poznać moje zdanie, Iro – zaczęła Veronika – to koniecznie powinna pani poszukać na gwałt zajęcia, dzięki któremu przestałaby pani myśleć o tym całym Thomasie. Nowy mężczyzna byłby najlepszym rozwiązaniem...

– O co chodzi, Veroniko? – Kobieta przerwała jej ostrym tonem. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała, była rozmowa z sekretarką o tęsknocie za mężczyzną, którego jeszcze do niedawna uważała za swoją wielką miłość.

– Tak, oczywiście. Przepraszam. – Veronika przełknęła głośno ślinę. – Ja... pomyślałam, że pani powinna zobaczyć to osobiście.

Ira ruszyła za Veroniką i razem wyszły na zewnątrz. Kościół wzniesiony na planie greckiego krzyża stał na skraju niewielkiego placu, otoczony trawnikiem i obsadzony drzewami. Ira z sekretarką przecięły cień wysokiej wieży kościelnej i ruszyły dalej, za budynek, skąd wąską uliczką można było dotrzeć do plebanii.

Ira szła za Veroniką, która otworzyła drzwi i poprowadziła ją krótkim korytarzem, w którym zawsze dominował zapach stęchlizny, do biura parafialnego. W tym pomieszczeniu z kolei unosił się zapach gipsu i wapna, a jego źródłem były prace wykonane przez którąś z grup dziecięcych, która rano miała tu zajęcia plastyczne. Ich dzieła z gipsu i masy papierowej, całe upstrzone farbami do nakładania palcami, stały teraz na długim stole ustawionym dla wygody pod ścianą.

– Proszę, niech pani na to spojrzy! – Veronika wskazała na monitor komputera.

Ira oderwała wzrok od niewielkiego niebieskiego potwora z papier-mâché, który wyglądał jak skrzyżowanie słonia z rybką Nemo. Veronika wcześniej uruchomiła przeglądarkę internetową i otworzyła stronę *hotnewzz.tv*. Duże, wyraźne logo stworzone z poruszających się płomieni przyciągało wzrok i skupiało na sobie uwagę.

– Chciałam jeszcze przed końcem pracy przejrzeć mejle – wyjaśniła Veronika. – I wtedy zobaczyłam to.

Pośrodku ekranu pojawiły się duże, wyraźne litery: „Kto zna tego mężczyznę?”

Ira przyjrzała się zdjęciu zamieszczonemu poniżej i się zastanowiła. Była pewna,

że przedstawiony na nim mężczyzna wydaje jej się jakby znajomy, choć nie potrafiła powiedzieć, gdzie i kiedy go widziała.

„Policja prosi o pomoc w identyfikacji ofiary przestępstwa” – przeczytała podpis pod zdjęciem. „Wszelkie wskazówki dotyczące tożsamości tego mężczyzny prosimy przesyłać na adres redakcji albo skontaktować się bezpośrednio z policją pod jednym z podanych poniżej numerów”.

Pod wiadomością zamieszczono całą listę numerów berlińskiej policji.

– Nie poznaje go pani? Naprawdę? – zdziwiła się Veronika.

Ira zamrugła. W końcu sobie przypomniała.

– No tak! Oczywiście! – Poczula powiew chłodu i ciarki na plecach. Ten człowiek był przecież jej parafianinem! Regularnie przychodził do kościoła na nabożeństwa, ale że poza tym nie uczestniczył aktywnie w życiu parafii, w pierwszej chwili nie skojarzyła jego twarzy. I z tego samego powodu nie potrafiła przypomnieć sobie jego imienia i nazwiska.

– To jest Werner Ellwanger – odpowiedziała Veronika. – W każdą niedzielę zajmuje miejsce w pierwszej ławce po lewej stronie, dokładnie naprzeciwko obrazu z ukrzyżowaniem.

Ira potaknęła.

– Oczywiście, teraz pamiętam.

Ofiara przestępstwa.

Nagle poczuła się bardzo nieswojo, bo niespodziewanie zło znalazło się aż tak blisko niej. Zadrżała i szczerzej opatulila się wełnianym żakietem.

– Musimy to zgłosić! – zdecydowała Veronika podekscytowanym tonem.

Nie oglądając się na Irę, sięgnęła po słuchawkę telefonu i wybrała jeden z podanych numerów, a pastorka jeszcze raz przyjrzała się fotografii opublikowanej w Internecie. Była przekonana, że ktoś musiał obrobić zdjęcie w jakimś programie graficznym. Skóra na policzkach i na szyi mężczyzny była zbyt gładka i jednakowa, by być naturalna, podobnie jak włosy, które wyglądały na poprawione.

Kiedy w słuchawce rozległ się sygnał, Veronika podała ją przełożonej.

– Policja, słucham – zgłosiła się jakaś kobieta.

Ira przedstawiła się imieniem i nazwiskiem. Nie mogła przestać myśleć, jakie rany i obrażenia zostały usunięte ze zdjęcia przez policyjnych informatyków i grafików.

PP 4,31. [wróć]

Rozdział 19

Po wyjściu z kawiarni internetowej, gdy szli w stronę samochodu, Faris nagle przystanął, bo zrobiło mu się niedobrze.

Paul błędnie zinterpretował jego zachowanie.

– No? Co takiego wymyśliłeś?

Faris zaprzeczył gestem. Niczego nie wymyślił! Miał tak silne zawroty głowy, że musiał przytrzymać się latarni, żeby się nie przewrócić.

– Hej, wszystko w porządku? – Tym razem w głosie Paula pojawiła się troska.

– A sanitariusz mówił, żebyś się zbadał, bo możesz mieć wstrząśnienie mózgu!

Faris stał przez chwilę nieruchomo, czekając, aż świat przestanie wirować.

– Będzie dobrze, spokojnie – mruknął przez zaciśnięte zęby.

– Chodź, zawiozę cię do szpitala. – Paul chciał złapać go za ramię, lecz Faris się odsunął.

– Nie ma na to czasu. – Odetchnął głęboko.

Jego partner nie zdążył nic powiedzieć, bo rozdzwonił się jego telefon i musiał odebrać.

– Cześć, Gitta, co się dzieje? – zapytał i widząc pytające spojrzenie Farisa, wzruszył ramionami. – Nie, nie czuje się zbyt dobrze. Wiesz co, chyba powinienem odwiedzić go do... Co? Jak to, gdzie? – Rozejrzał się, w poszukiwaniu tabliczki z nazwą ulicy. – Tak, cały czas jeszcze na Knesebeckstraße. W tej chwili wyszliśmy z tej kawiarni internetowej. – Potaknął kilka razy. – No właśnie, tutaj niczego nie znaleźliśmy, facet chciał nas rozproszyć i zająć nam czas, bo lokal był wczoraj zamknięty. Dopilnuj proszę, żeby ktoś od nas przyjechał spisać zeznania właściciela, okej? – Paul podał jej nazwisko i adres. – Przy okazji, warto by było go sprawdzić – dodał, po czym zamilkł na chwilę, słuchając, co Gitta ma mu do powiedzenia. – Dzięki. – Spojrzał na Farisa. – Sam nie wiem... jest strasznie blady.

Trzymając się jedną ręką latarni, Faris sięgnął po telefon partnera i przysunął go sobie do ucha.

– Nie słuchaj go, jak zwykle przesadza – oznajmił. – Nic mi nie jest i świetnie się czuję, a zawroty głowy może mieć każdy.

– Takie zawroty głowy mogą świadczyć o wstrząśnieniu mózgu. – Gitta wyraźnie się o niego bała.

Rany, dlaczego wszyscy postanowili go niańczyć?!

– Przeżyłeś eksplozję bomby, Faris, ale jesteś mocno poturbowany. Nie sądzisz, że najrozsądniej byłoby się...

– Nie sądzę, Gitta! Pojadę się zbadać, jak dopadniemy tego czubka i rozbroimy bombę. Koniec, kropka!

– No dobra, ale...

– Nie ma żadnego ale!

Kobieta westchnęła zrezygnowana.

– Jesteś uparty jak osioł! – burknęła. Gdzieś w tle rozległ się głos Tromsdorffa,

który mówił o człowieku przybitym do krzyża. – O! Szef właśnie dał znać, że w końcu udało się ustalić tożsamość tego faceta z twojego filmiku! – poinformowała Gitta.

W końcu jakiś postęp! Policjant poczuł przyływ adrenaliny.

– Kto to?

– Z tego, co wiemy, nazywa się Werner Ellwanger. Wiadomość otrzymaliśmy od jakiejś kobiety... czekaj... już mam. Zatelefonowała do nas Ira Jenssen. To pastorka w ewangelickim kościele Męki Pańskiej przy Marheinekeplatz. Szef pyta, czy dacie radę tam podskoczyć i spisać jej zeznania do protokołu.

Werner Ellwanger.

Faris zaczął gorączkowo myśleć, szukając w pamięci jakichkolwiek skojarzeń sytuacji, w której spotkałby się z tym imieniem i nazwiskiem, ale niczego nie znalazł. Jeśli kiedyś je słyszał, nie potrafił sobie przypomnieć.

– Znamy już adres zameldowania tego Ellwanger – ciągnęła Gitta. – Marc jest w drodze do jego mieszkania. Tylko Faris, jeśli nie czujesz się na siłach, bez problemu możemy wysłać kogoś innego, żeby porozmawiał z tą kobietą...

– Nie ma o czym mówić – przerwał jej. – Nic mi nie jest, okej? Sprawdziłaś już, czy to nazwisko pojawia się w jakimkolwiek kontekście związanym z zamachem na muzeum?

Gitta cmoknęła.

– A jak myślisz, kochany? Niestety, zero trafień.

Policjant się skrzywił. Ostrożnie odsunął się od latarni i poczuł ulgę, bo nie miał już zawrotów głowy. To nie był czas na słabość. Nazwisko Ellwanger nie pojawiała się też w żadnych starych sprawach, lecz miał nadzieję, że rozmowa z pastorką pomoże mu znaleźć jakikolwiek punkt zaczepienia.

– Marheinekeplatz, tak?

– Zgadza się. Plebania znajduje się przy bocznej uliczce, niedaleko kościoła. Pani Jenssen obiecała, że nigdzie się nie ruszy i poczeka, aż przyjedziecie.

– Już jedziemy.

W słuchawce rozległo się szuranie, kiedy Gitta przykryła mikrofon dłonią, a potem słyhać było przytłumioną rozmowę.

– Już idę – powiedziała głośniej, lecz dopiero następne słowa skierowane były ponownie do niego. – Faris?

– Tak?

– Uważaj na siebie!

– Nie musisz się o to martwić – zapewnił ją i ze słabym uśmiechem zakończył połączenie.

Dwie minuty później przekazał Paulowi wszystko, co wiedział na temat ich kolejnego zadania, i oddał mu kluczyki do auta. Nie kręciło mu się już w głowie, lecz ciągle czuł się lekko zdezorientowany i nie chciał niepotrzebnie ryzykować zakończenia jazdy służbowym wozem na jakiejś latarni przy drodze. Partner potrzęsnał głową i spojrział na niego z mieszaniną troski i niepewności w oczach, lecz mimo to bez komentarza wsiadł za kierownicę BMW.

W czasie jazdy Faris przypomniał sobie, że koniecznie musi ostrzec rodzinę

i Laurę. Wyjął zastępczy telefon z wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki i wybrał numer byłej dziewczyny.

Nikt nie odbierał.

Czekał tak długo, aż uruchomiła się poczta głosowa.

– Laura, to ja. Słuchaj, to nie jest tak, że cię śledzę albo co, to naprawdę poważna sprawa. Chciałem... – przerwał i zastanowił się, jak powinien sformułować ostrzeżenie. Wiedział, że w żadnym razie nie ma prawa wymagać od niej czegokolwiek, nie tłumacząc powodów, dla których to robi. Nie chciał też niepotrzebnie wywoływać paniki. Odkasznął. Gdy on szukał odpowiednich słów, poczta głosowa nagrywała jego oddech. W końcu zdecydował się na szczerość. – Mamy podstawy przypuszczać, że zamachowiec, który dzisiaj zdetonował bombę w metrze, może wziąć was na cel, ciebie i Lilly. Powinnyście wyjechać z miasta. Zróbcie sobie kilka dni przerwy nad morzem, co? Okej? Dam znać, jak będę wiedział coś więcej.

Kocham cię.

Szybko zakończył połączenie, żeby zdążyć, zanim nie będzie mógł powstrzymać ostatniego zdania.

Paul oderwał na chwilę wzrok od drogi i spojrzał na niego krótko. Faris w tym czasie wybierał już kolejny numer. Wsłuchując się w sygnał, miał nadzieję, że zgłosi się jego siostra.

Miał pecha. Telefonu nie odebrała Anisah, tylko jej mąż.

– Chalid – zadudnił mu w uchu niski głos szwagra.

– Cześć, Samir.

– Faris, dobrze się składa. Wy tłumacz mi może, co tam się u was wyprawia?

Faris musiał odsunąć słuchawkę, bo Samir mówił podniesionym głosem.

– Jak to, co się wyprawia? Nie rozumiem?

– Ja też nie! Przed chwilą byli tu twoi koledzy i zadawali nam całą masę pytań. Masz jakieś problemy? – Z jego słów przebijała złość i podejrzliwość.

Samir nie był praktykującym muzułmaninem, ale mimo to nie potrafił zaakceptować życia, jakie wybrał Faris. Nie raz i nie dwa głośno wyrażał swoje niezadowolenie z faktu, że jego żona Anisah regularnie spotyka się z bratem. Nie, żeby na którymkolwiek z rodzeństwa robiło to jakieś wrażenie.

– Problemy? – Faris nie wiedział, o co chodzi.

– Przesłuchiwali nas przez...

– Zaraz! Czeka! – przerwał mu Faris. Myśli wirowały mu w głowie jak szalone.

– Powtórz, proszę! Ktoś cię przesłuchiwał?! Nie, musiałeś się pomylić albo ich nie zrozumieć. Pewnie cię zapytali...

– Moim zdaniem byli przekonani, że masz coś wspólnego z tymi zamachami bombowymi dzisiaj. Faris, to przecież jakiś idiotyzm!

Faris zazgrzytał zębami, bo w końcu dotarło do niego, co się stało. Doktor Geiger wysłała swoich ludzi, żeby go sprawdzić! Prześwietlała jednego ze swoich funkcjonariuszy! Wciąż jeszcze mu nie ufała. Uważała, że jednak może mieć coś wspólnego z zamachami. To... to się nie mieściło w głowie.

– Samir, posłuchaj mnie uważnie. To tylko rutynowa procedura. Przyszli do was,

bo istnieje możliwość, że zamachowiec, który podłożył rano bombę w metrze, będzie chciał się w jakiś sposób do was zbliżyć.

Samir parsknął.

– Mów uczciwie, masz problemy czy nie? – zapytał takim głosem, jakby dawno już znał odpowiedź.

„I to jakie!” – Faris potaknął, jednak nie zamierzał się tym dzielić ze szwagrem.

– Oczywiście, że nie! Ale i tak muszę poprosić cię o przysługę, dobrze? Zabierz Anisah i dzieciaki i wyjedźcie z miasta. Podejrzewam, że ten gnojek może chcieć coś wam zrobić. Weźcie ze sobą *umi* i *abu*.

– Twoich rodziców? Faris, teraz naprawdę zacząłem się bać!

Nie skomentował tego.

– Mógłbyś skontaktować się z Rezem i Hasimem? – Reza i Hasim byli jego braćmi. – Niech bardzo na siebie uważają albo, i to byłoby najlepsze, niech też wyjadą z miasta.

– Faris, to się zaczyna robić...

– Dobra, Samir, muszę już kończyć. Tylko naprawdę zrób to, o co cię poprosiłem. Później wam wszystko wyjaśnię.

– W porządku. Masz bardzo zmęczony głos, więc tym razem nie będę ci truł, że twoja praca...

– Samir, mam za sobą naprawdę przesranej dzień – przerwał szwagrowi, żeby nie słyszeć tradycyjnej litanii zarzutów i wyrzutów. „I po co ty w ogóle poszedłeś do policji, co? Dlaczego narażasz siebie i całą rodzinę na niebezpieczeństwo? Dlaczego nie skończyłeś studiów, jak twoi bracia?”. Poczul na sobie wzrok Paula. – Mój stary numer chwilowo nie działa, więc jeśli będziesz chciał się ze mną skontaktować, dzwoń na numer, który ci się wyświetla. Dam znać, kiedy już będzie po wszystkim.

– Okej – przytaknął Samir i się zawahał. – Faris? – zaczął ostrożnie.

– Co jest?

– Nie chciałbym musieć znów tłumaczyć Anisah, że ktoś cię prawie wysadził w powietrze.

Kiedy Faris zakończył połączenie, zebrało mu się na gorzki śmiech. Oparł głowę o zagłówek i zacisnął powieki. Dudniło mu w uszach i miał wrażenie, że gdzieś z oddali słyszy przerażone i pełne bólu krzyki.

„Jaki los czeka ludzi w mieście, jeśli po raz kolejny zawiedziesz?” – zapytał go rano zniekształcony głos nieznajomego. Przypomniał sobie, co mu odpowiedział.

„Umrą”.

To pojedyncze słowo rosło i rosło, aż miał wrażenie, że zaraz rozsądzi mu czaszkę.

Umrą. Umrą. Umrą...

Tak, jak umarli ludzie w muzeum.

„I pa, pa...”.

Przełknął ciężko ślinę. Potem otworzył oczy i ponownie wybrał numer Laury, lecz znów połączył się z pocztą głosową. Przeklinając pod nosem, wyjął z kieszeni smartfon i wbił w niego wzrok.

„No dzwoń, żałosny śmieciu!” – pomyślał. „Powiedz, co teraz! Co chcesz zrobić?”

Był coraz bardziej spięty i zdenerwowany.

– Wszystko w porządku? – zapytał Paul, spoglądając na niego kątem oka.

– Geiger wysłała ludzi, żeby sprawdzili moich krewnych. – Naraz ogarnęło go takie wyczerpanie, że nie potrafił być już na nią zły.

– Co za głupia zdzira! – warknął jego partner. – Jak się z tym czujesz? Dajesz radę? Faris spojrział w jego stronę, zanim odpowiedział.

– Skup się lepiej na prowadzeniu.

– Ty mnie też – odburknął Paul i do końca drogi już nie rozmawiali.

Kościół Męki Pańskiej należący do parafii ewangelickiej został wzniesiony na samym początku dwudziestego wieku, a przez szeroką fasadę z palonej cegły i masywną wieżę wydał się Farisowi wręcz onieśmielający. Plebania mieszcząca się przy bocznej uliczce sprawiała bardzo podobne wrażenie: była ponura, mroczna i jakby pokryta kurzem. Dodatkowo otaczała ją aura chłodu.

Zgodnie z zapowiedzią, Ira Jenssen rzeczywiście na nich czekała. Pastorka była wysoką, nieco surową kobietą w wełnianym żakiecie, którym opatulila się, jakby było jej zimno. Kiedy Gitta mu powiedziała, że to duchowna, Faris spodziewał się zobaczyć korpulentną pięćdziesięciolatkę w długiej spódnicy i z grubymi okularami na nosie, spod których obserwowałaby go czujnym i nieufnym wzrokiem. Ira Jenssen w żadnym punkcie nie odpowiadała jego wyobrażeniom. Miała około trzydziestu lat i nie nosiła długiej spódnicy, tylko dżinsy. Zdecydowanie nie była również przy kości – jeśli już, to raczej aż zbyt chuda. Spod kołnierza żakietu widać było jej sterczące obojczyki, a rękawy odsłaniały bardzo szczupłe i wiotkie nadgarstki. Miała włosy średniej długości i niebieskie oczy, wprawdzie nie tak niesamowicie błękitne jak Ben Schneider, jednak zdecydowanie było w nich coś specjalnego, bo w jednej chwili wywarły na Farisie duże wrażenie.

Kiedy się przywitali i wylegitymowali, pani Jenssen zaprosiła ich do biura parafialnego, wyposażonego w dość stare meble i długi stół stojący pod ścianą, zastawiony pracami dzieci. Przy archaicznie wyglądającym komputerze siedziała kobieta, która zadziwiająco dobrze pasowała do obrazu pastorki, jaki Faris stworzył w swojej głowie. Ira Jenssen przedstawiła ją jako Veronikę Herzog, sekretarkę parafii. Kiedy ją mijali, Veronika przestała pisać na klawiaturze i bez słowa się uśmiechnęła. W następnej chwili weszli do gabinetu pastorki, w którym znajdowało się jedynie wygodne biurko i stolik z pojedynczym fotelem i sofą. Na ścianie za biurkiem wisiało prześcieradło, na którym dzieci odcisnęły dłonie i stopy zanurzone w kolorowej farbie. Faris mimowolnie pomyślał o Laurze i jej córce. Poczul, że znów wzbiera w nim złość. Co będzie, jeśli sprawca weźmie ją na celownik? Powstrzymał się, bo miał odruch, by wyciągnąć telefon i znów do niej zadzwonić.

Ira Jenssen gestem zaprosiła ich do zajęcia miejsc przy stoliku, a sama przysunęła sobie fotel zza biurka.

Paul usiadł na środku sofy, która okazała się bardzo miękka, bo policjant zapadł się w nią głęboko.

– Zadzwoń pani z wiadomością, że może pani znać człowieka ze zdjęcia, czy tak? – przeszedł od razu do rzeczy.

Ira Jenssen wychyliła się z fotela i sięgnęła po kartkę, którą zostawiła na biurku. Ostrożnie położyła ją na środku stolika. Był to wydruk zdjęcia, które doktor Geiger postanowiła upublicznić z prośbą o pomoc w identyfikacji.

– Nie tyle mogę go znać, co go znam. Nie mam najmniejszych wątpliwości, kto to jest. Nazywa się Werner Ellwanger i należy do naszej parafii. Na stronie internetowej, na której znalazłyśmy to zdjęcie, napisano, że mógł paść ofiarą przestępstwa. Co takiego się stało? – przerwała i popatrzyła na nich z wahaniem. – Czy... czy on żyje?

Palcem wskazującym dotknęła fotografii w miejscu, gdzie z policzków ofiary wyretuszowano krew. Faris odchrząknął.

– Tak, przynajmniej na razie. Obawiamy się jednak, że to się może dość szybko zmienić. Pan Ellwanger został uprowadzony, a jego porywacz planuje... – Spojrzał na zegarek na nadgarstku i szybko przeliczył pozostały czas. – ...planuje go zabić za dokładnie dwadzieścia osiem godzin.

Kobieta popatrzyła na niego uważnie, a między jej brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka.

– Skąd wiecie o tym z taką dokładnością?

– Otrzymaliśmy wiadomość z groźbą, że to zrobi. – Paul usiłował się nachylić nad stolikiem, lecz uwięziony w miękkiej sofie miał z tym spory problem. – Co mogłaby nam pani o nim powiedzieć? Przyda nam się każda informacja na temat porwanego i wszystkiego, co mogłoby go łączyć z Ekumenicznymi Dniami Kościoła.

– Z Ekumenicznymi Dniami Kościoła? – Ira sięgnęła po wydruk i przyjrzała się mu uważnie. Miała otarte kostki i krótko obcięte paznokcie. Przez chwilę siedziała zamyślona z kartką w dłoni. – Rozumiem, że ta sprawa ma jakiś związek z dzisiejszymi zamachami bombowymi?

– Skąd taki pomysł? – zapytał Paul.

Wydawał się całkowicie rozluźniony, lecz Faris znał go wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że bardzo uważnie obserwuje siedzącą przed nim kobietę i analizuje zmiany wyrazu jej twarzy.

Ira wzruszyła ramionami.

– W telewizji mówiono, że zamach w metrze był wymierzony właśnie w Dni Kościoła.

Paul się zawahał. Spojrzał pytająco w stronę Farisa, a kiedy ten potaknął, zdecydował się zagrać w otwarte karty.

– Tak – przyznał. – Podejrzewamy, że zniknięcie pana Ellwangera ma związek z eksplozjami, które miały dziś miejsce.

– Urowadzenie – mruknęła pastorka. – I bomby... Zaraz, pan wspomniał o dwudziestu ośmiu godzinach, prawda? – Wyprostowała się nagle i spojrzała na Farisa. – To czas, kiedy ma się odbyć msza ekumeniczna z udziałem papieża! Podejrzewacie, że dojdzie do próby zamachu?

„Bystra jest” – pomyślał Faris. Przy bardzo ograniczonej liczbie informacji, które zdecydowali się jej ujawnić, błyskawicznie doszła do tych samych wniosków, co on i cały zespół WPR. Starał się walczyć z fascynacją, jaką w nim wzbudzała.

– W tej chwili to bez znaczenia – burknął nieprzyjemnym tonem, choć nie chciał,

żeby tak to zabrzmiało.

Odwróciła się w jego stronę i popatrzyła na niego uważnie. Przez dłuższą chwilę nic nie mówiła, a mimo to Faris miał wrażenie, że czyta w jego myślach, tak intensywne miała spojrzenie. Nerwowo potarł usta.

Paul milczał.

Westchnęła powoli.

– Przepraszam – powiedziała w końcu. – Pierwszy raz przychodzi mi zmierzyć się z takimi sprawami w moim bezpośrednim otoczeniu. Wróćmy do Wenera Ellwagera. Co o nim wiem? – Położyła wydruk na kolanach i mówiąc, nie odrywała od niego wzroku. Materiał spodni na lewym kolanie był już prawie przetarty. Nie nosiła rajstop ani skarpetek, a na białe stopy założyła jedynie proste, brązowe mokasyny. – Wener jest bardzo religijnym człowiekiem. Co niedziela widzę go w kościele. Wśród parafian krążą plotki, że jest nieco... – zamilkła i uśmiechnęła się zawstydzona. – ...zwariowany.

– Zwariowany? – Paul odchylił się na oparcie. – Co to znaczy? Jak bardzo zwariowany?

– No cóż, moim zdaniem jego religijność jest wręcz fanatyczna. Gdybym miała opisać jego podejście do wiary, powiedziałabym, że wyznaje skrajny biblicyzm.

– To znaczy, że należy do nurtu w kościele, który bierze Biblię dosłownie – wyjaśnił Paul.

Ira ze zdziwieniem uniosła brwi.

– Nie każdy potrafi bez sprawdzania powiedzieć, co to znaczy biblicyzm.

– Razem z kolegą Iskanderem należymy do wydziału specjalnego w departamencie pierwszym Krajowej Policji Kryminalnej – powiedział Paul. – Naszą specjalnością są przestępstwa dokonywane na podłożu religijnym.

Ira potaknęła.

– Rozumiem... – mruknęła i zamyślona zaczęła drapać paznokciem materiał spodni.

Faris przypomniał sobie, że nieznajomy w czasie rozmowy użył zwrotu „mój ojciec”, kiedy rozmawiali o człowieku przybitym do krzyża.

– Co pani wie na temat życia prywatnego Wenera Ellwagera? Czy ma rodzinę?

– Z tego, co się orientuję, jest wdowcem.

Paul przesunął dłoń po poduszce, która leżała na sofie obok. Ktoś wyhaftował na niej czerwonego jamnika. Sądząc po nierównym ściegu i nieporadnym kształcie psa, została zrobiona przez dziecko.

– Jacyś krewni?

– Tak, ma syna.

– W jakim wieku?

– Zaraz, niech pomyślę... musi mieć około osiemnastu lat. Razem przychodzą co niedziela na nabożeństwo.

Faris spojrzał znacząco na partnera i nie miał wątpliwości, że obaj pomyśleli o tym samym. Czy sprawcą mógł być syn ofiary?

– Zechciałaby nam pani powiedzieć, jak ten chłopak ma na imię? – zapytał, z trudem ukrywając wzbierającą w nim ekscytację.

Ira nie wahała się ani chwili.

– Ależ oczywiście. Ma na imię Alexander.

Alexander

Anioł. Wciąż jeszcze nie wrócił, a on mimo to miał pewność, że wie, czego by od niego oczekiwał. Musiał sobie wszystko przypomnieć. Musiał umieć opowiedzieć rzeczy, które się wydarzyły. Wyprostował się i spojrzął w oślepiające światło.

– Po jakimś czasie się okazało, że dla ojca sama woda to za mało... – wyszeptał.

– *Tylko krew Jezusa Chrystusa może zmyć z nas nasze grzechy – mruczy ojciec pod nosem, polewając swoje dłonie i dłonie Alexandra. Jest nerwowy i pobudzony. Ostatnio bardzo źle sypia. Alexander o tym wie, bo słyszy przecież, jak chodzi po swoim pokoju, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Kiedy ich spojrzenia się krzyżują, w oczach ojca dostrzega strach: strach przed grzechem. Strach przed potępieniem.*

Woda ścieka po palcach chłopaka i skapuje cicho na podłogę, ale to ojcu już nie wystarcza. Nie jest zadowolony.

– *To nie działa – szepcze.*

Gwałtownym ruchem odstawia karafkę na stół. Spogląda na swoje dłonie wzrokiem, jakby widział na nich potworny brud, który może splamić jego duszę.

– *Ofiara złożona przez naszego Pana, Jezusa Chrystusa, wzbudza w każdym wierzącym pragnienie, by poznać Go jak najdokładniej i brać z Niego przykład – mówi. – Brać z Niego przykład. – Kiedy kończy, zaciska usta.*

Alexander milczy. Widzi, że tata bardzo intensywnie myśli.

– *Czekaj! – mówi mężczyzna.*

Idzie do kuchni, a kiedy wraca, trzyma w dłoni duży nóż do mięsa.

Alexandrowi robi się zimno.

– *Co chcesz zrobić? – pyta, lecz z jego gardła wydobywa się skrzek.*

– *Wyciągnij dłonie!*

– *Tato! Co chcesz zrobić?*

– *Wyciągnij! Dłonie! Nie! Słyszysz! Co! Mówię?! – Ojciec spogląda na niego srogo.*

Chłopak skamle cichutko, ale robi, czego ojciec od niego żąda.

Wytrzeszczając ze strachu oczy, przygląda się, jak ojciec przykładając nóż do otwartej dłoni i powoli przesuwając ostrzem po skórze. Alexander czuje ciepło, kiedy krew taty kapie na jego palce i ścieka dalej, na podłogę.

– *„Jeżeli zaś chodzimy w światłości – recytuje ojciec – tak jak On sam trwa w światłości, wtedy mamy jedni z drugimi współuczestnictwo, a krew Jezusa, Syna Jego, oczyszcza nas z wszelkiego grzechu”¹. – Jest wyraźnie rozluźniony i spokojniejszy. – Śpiewaj! – rozkazuje. Odczuwa ból, bo wokół jego ust pojawiają się głębokie zmarszczki, ale nie cofa krwawiącej dłoni.*

Alexander posłusznie zaczyna śpiewać...

– *Ta Krew z grzechu obmywa mnie.*

Ta Krew czyni mnie bielszym od śniegu.

Ta Krew z grzechu obmywa mnie.

To jest Baranka Święta Krew.

Słowa brzmią głucho w niskim pomieszczeniu. Mężczyzna przybity do krzyża unosi delikatnie głowę, a pikanie monitora serca, do którego Alexander przyzwyczał się na tyle, że przestał je słyszeć, przyspiesza nieznacznie. Trwa to jednak tylko chwilę, bo głowa ukrzyżowanego na powrót opada, a pikanie powraca do niespiesznego rytmu.

– Dobrze robię, prawda? – pyta Alexander.

TAK – odpowiada anioł. Chłopak nie słyszał, kiedy wrócił, i nagle jest, jakby nigdy go nie opuszczał.

CO POTEM? – pyta.

Alexander uniósł wzrok i milczał, bo nie wiedział, co anioł chce usłyszeć.

POTEM BYŁA ALTANKA W OGRÓDKU, PRAWDA? – podpowiedział anioł.

Kiedy Ira podała imię i nazwisko swojego parafianina policjantom, młodszy z dwójki, która do niej przyjechała, Faris Iskander, jak się przedstawił, zadzwonił do współpracowników w biurze.

– Gitta? To ja. – Przycisnął słuchawkę do ucha. – Sprawdzisz mi szybko, gdzie jest zameldowany niejaki Alexander Ellwanger?

Przedłużająca się rozmowa i sprawdzanie danych dały jej czas, by przyjrzeć się uważniej młodemu funkcjonariuszowi i zastanowić się, co się z nią właściwie dzieje. Miała wrażenie, jakby znalazła się w oku cyklonu – już za pierwszym razem, kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, poczuła, jakby dostała obuchem w głowę i nie potrafiła sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak się działo.

W jej głowie niespodziewanie pojawiło się pojedyncze wspomnienie – wspomnienie z czasu, kiedy jeszcze wmawiała sobie, że może być z nim szczęśliwa. Już wtedy czuli padający na nich cień tego, co nieuchronnie musiało nadejść, a Thomas uciekał w makabryczne dowcipy, by oswoić i uśmierzyć ból.

– Dlaczego pokochałaś akurat mnie? – zapytał ją pewnego dnia. Leżeli wtedy obok siebie w łóżku. To było lato i panowały tropikalne upały, więc przykryli się jedynie prześcieradłem. Cienki materiał niewiele skrywał i wyraźnie widać było pod nim ich nagie ciała.

Po omacku odszukała jego dłoń i zaraz przewróciła się na bok, by móc widzieć jego twarz. Przez chwilę w jego oczach nie było aż takiego smutku, jaki towarzyszył mu przez cały czas. Postanowiła, że wykorzysta ten przebłysk dobrego humoru.

– Może jestem masochistką? – zażartowała.

Zadrżał jakiś mięsień pod skórą na jego prawej skroni.

– Nie sądzę, żeby o to chodziło. – Już od kilku minut leżał nieruchomo na plecach i wpatrywał się w sufit.

– To jak myślisz, dlaczego? – Oparła się na łokciu.

– Szczerze? – W końcu przestał patrzeć w sufit i przeniósł wzrok na nią. Jej serce zabiło szybciej.

– Tak.

– Myślę, że lubisz facetów z problemami.

Zmarszczyła brwi.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś facetem z problemami?

– A nie? Spójrz tylko na mnie! – Wskazał na swoje nagie ciało i na ubranie, które rzucił niedbale na krzesło obok łóżka. Czarne spodnie, golf w tym samym kolorze. Rzadko zakładał koloratkę, bo wiedział, jaki ból odczuwała, gdy widziała go z tym drobiazgiem pod szyją.

– Nie gadaj bzdur! – zaprotestowała.

Zaśmiał się cicho.

– Cierpisz na syndrom Matki Teresy, moja droga. Interesują cię tylko faceci z problemami! Pogódź się z tym!

Potem uniósł się i pocałował ją w usta, a wszystkie ponure myśli i wątpliwości, czy mają prawo do tego, co robią, zniknęły przykryte falą pożądania.

Faris zatrzymał wzrok na zamyślanej twarzy pastorki i zadał sobie pytanie, co takiego dzieje się teraz w jej głowie. Widział, że ma zmarszczone czoło i intensywnie się nad czymś zastanawia.

Gitta odłożyła słuchawkę na biurko, żeby szybciej odszukać informacje, których potrzebował. Czekał na nie, patrzył, jak Ira podchodzi do półki, zdejmując z niej kilka albumów z fotografiami i kładzie na stole, po czym razem z Paulem zaczyna je przeglądać. W pewnej chwili musiała zauważyć, że Faris ją obserwuje, bo podniosła niespodziewanie głowę i uśmiechnęła się delikatnie, w taki sposób, że tylko na jednym jej policzku pojawił się dołeczek.

– Okej, jesteś jeszcze? – zapytała Gitta.

Zadrżał zaskoczony jej głosem w słuchawce, bo skupił się na czymś innym.

Uśmiech Iry stał się szerszy i weselszy, kiedy to zobaczyła, a w następnej chwili wróciła do przeglądania zdjęć. Włosy zsunęły się jej na twarz. Odruchowo je poprawiła, zaczesując palcami za ucho.

– Alexander Ellwanger mieszka, jak wynika z danych, które posiadamy, cały czas ze swoim ojcem – oznajmiła Gitta. – A przynajmniej jest tam cały czas zameldowany.

– Ile ma lat?

– Czekaj, sprawdzam.... Osiemnaście.

Osiemnaście. Faris przypomniał sobie słowa Iry. Mówiła, że Alexander co niedziela pojawiał się z ojcem w kościele. Nagle wróciły wspomnienia z jego dzieciństwa. Był znacznie młodszy od Alexandra, kiedy sprzeciwił się regularnym wyjściom na piątkowe modły w meczecie.

Bardzo powoli w jego głowie zaczął się formować obraz Alexandra Ellwangera.

– Okej – mruknął – Dzięki. Dodaj go proszę do listy osób poszukiwanych. I poinformuj zespół o ustaleniach! Zaraz przyjedziemy i przywieziemy do biura kogoś, kto go zna, może dowiemy się jeszcze czegoś użytecznego. – Mówiąc to, spojrział na Irę.

Kobieta przyłożyła dłoń do piersi i popatrzyła na niego pytającym wzrokiem.

Faris potaknął. Jeszcze raz podziękował Gitcie za pomoc i zakończył połączenie.

Pastorka bez słowa wróciła do przeglądania zdjęć.

– Mam! – powiedziała i obróciła album w taki sposób, żeby Paul i Faris mogli

zobaczyć fotografię. – To on. – Wskazała palcem młodego chłopaka o szczupłej twarzy i czarnych, sięgających brody, ale bardzo równo przystrzyżonych włosach. Miał dziwnie puste, pozbawione wyrazu oczy.

Ira poczekała, aż policjanci dokładnie obejrzą zdjęcie, po czym wskazała na około pięćdziesięcioletniego mężczyznę, który stał dziwnie przechylony obok. Wyglądał chorobliwie szczupło, jakby nie miał pod skórą nawet grama zbędnego tłuszczu. Faris momentalnie go rozpoznał. To był Werner Ellwanger. Mężczyzna przybity do krzyża.

Chciał coś powiedzieć, jednak zanim otworzył usta, rozległo się znajome ćwierkanie jego smartfona. Tym razem potwierdziło się to, co dotychczas tylko przeczuwał – znenawidzony dźwięk wywoływał u niego ból żołądka.

Paul westchnął.

– Jeszcze tylko tego nam brakowało – mruknął policjant.

Twarz Iry zdradzała skrajne zdziwienie ich reakcją i jednocześnie ciekawość.

Faris odebrał połączenie.

– Gdzie jesteś? – zapytał nieznajomy.

Zanim Faris odpowiedział, spojrzał na Paula.

– Mamy świadka – zawahał się, ale mimo to dodał: – Alexandrze.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, którą po jakimś czasie przerwał pełen uznania gwizd.

– Proszę, proszę, czyli jednak posuwacie się naprzód! Ale niestety, nie masz racji. Nie jestem Alexandrem.

Faris ugryzł się w język, żeby nie zapytać, kim w takim razie jest. Miał już serdecznie dość lekceważącego traktowania, miał dość rozkazywania i wysyłania w różne miejsca jak chłopca na posyłki. Miał wreszcie po dziurki w nosie poniżania i nie mógł zapomnieć, że nieznajomy omal go nie zabił. Ból w żołądku zmienił się w rosnącą falę palącego gniewu. Postanowił zaryzykować.

– Po co to wszystko, Alex? Za często tatuś lał cię w dupsko?

Dosłownie poczuł, jak Paul i Ira świdrują go wzrokiem, przy czym ona była raczej zaszokowana, a on zaniepokojony. Partner nie reagował, dając mu wolną rękę. To umocniło Farisa w przekonaniu, że słusznie postępuje. Z ponurą determinacją czekał na reakcję.

Tym razem cisza po drugiej stronie zrobiła się niepokojąco długa.

Wybuch przyszedł zupełnie nieoczekiwanie. Nieznajomy zaczął krzyczeć.

– Nie! Jestem! Alexandrem!

– Co ty powiesz?! – Faris przełożył telefon do drugiej ręki. – Zdradziłeś się, Alex! Wcześniej, w czasie ostatniej rozmowy, powiedziałeś: „mojego ojca”. Skoro już wiemy, kim jest człowiek na krzyżu, to znaczy, że wiemy też, kim ty jesteś!

Poczuł, jak pot występuje mu na czoło. Wiedział, że to, co robi, jest bardzo ryzykowne, ale nie potrafił się dłużej opanowywać. Jedyne, na co mógł liczyć, to to, że dzięki swojej intuicji przejął kontrolę nad sytuacją. Jego intuicja, a nie ten cholerny pesymizm, który nie dawał mu spokoju.

Nieznajomy ciężko dyszał w słuchawkę. W końcu się odezwał, a jego głos, mimo zniekształceń, brzmiał lodowato.

– Chcesz konfrontacji? To będziesz ją miał! Mów, gdzie jesteś! Natychmiast!

Faris zaczął masować palcami nasadę nosa.

– Mowy nie ma. – Zaraz, jak nazwała go Geiger? Tykającą bombą zegarową? Tak. Zaciśnął zęby.

Ira patrzyła na niego przerażona. Odwrócił się do niej tyłem. Nie mógł znieść jej spojrzenia.

– Nie? – Nieznajomy nie mógł uwierzyć w odmowę.

– Nie – potwierdził Faris.

Paul walczył ze sobą. Widać było, że się zastanawia, czy to właściwy moment, by interweniować, jednak zdecydował, że jeszcze nie czas.

– Rób sobie, co chcesz – powiedział Faris. – A ja ci i tak nie powiem, skąd mam twoje dane.

Czuł na plecach palące spojrzenie pastorki.

– To... – Nieznajomy sapnął z niedowierzaniem. – To był błąd, Faris! Duży błąd!

Przerwał, czekając, żeby Faris jeszcze coś powiedział, jednak policjant milczał.

Połączenie zostało przerwane.

Cisza w słuchawce i pustka w jego wnętrzu idealnie ze sobą współgrały.

Paul nabrał głęboko powietrza ustami, po czym bardzo powoli wypuścił je przez nos.

– Miejmy nadzieję, że Berlin nie będzie musiał za to zapłacić – mruknął.

– Nie mogłem mu przecież powiedzieć o pani Jenssen, skoro tym razem nas nie namierzył – wyjaśnił Faris głucho.

Oczyma wyobraźni widział, jak jakieś miejsce w stolicy wylatuje w powietrze, coś dużego i pełnego ludzi – może autobus z wycieczką po Berlinie albo barka z turystami na Szprewie. Poczul ucisk w żołądku i mdłości, a zaraz potem wróciły straszne zawroty głowy. Sfrustrowany uderzył pięścią w kolano. Z jego gardła wyrwał się nieartykułowany krzyk.

– Weź się w garść, człowieku! – zganił go Paul. – Takie zachowanie nam nie pomoże.

Tykająca bomba. Faris spróbował odetchnąć.

– Masz rację – potaknął i spojrzał na Irę. – Proszę mi wybaczyć.

Popatrzył uważnie na zniechęcony telefon i przez chwilę nie odrywał od niego wzroku. W końcu energicznym ruchem schował go do kieszeni.

– Co teraz? – zapytał. – Facet twierdzi, że nie jest Alexandrem.

– Ja bym wyszedł z założenia, że kłamie, żeby się chronić. Z drugiej strony może też mówić prawdę. Pomyśl o naszej teorii dwóch sprawców. – Paul z wyraźnym wysiłkiem podniósł się z miękkiej sofy. – Teraz mamy przynajmniej ślad, od którego możemy zacząć dochodzenie.

Faris zmusił się do zachowania spokoju. Tykająca bomba zegarowa. Czyżby Geiger miała rację w swojej nieprzychylniej ocenie? Potaknął, starając się panować nad emocjami.

Paul wskazał na drzwi.

– Zabieramy panią Jenssen na Keithstraße. Gdyby miało się okazać, że ten czubek

rzeczywiście nie jest Alexandrem, tam będzie mogła nam pani najbardziej pomóc.

Ruszył do wyjścia, jednak Ira nie podniosła się z fotela, jakby celowo ignorowała gest, którym zapraszał ją do pójścia za sobą.

Kobieta nachyliła się raz jeszcze nad albumem, wyjęła z niego zdjęcie Alexandra i spojrzała na nie zamyślona. Kosmyk włosów znów wysunął jej się zza ucha i spadł na czoło, częściowo zasłaniając też prawe oko. Ona jednak wydawała się tego w ogóle nie zauważać.

– Powiedział pan, że ma pan nadzieję, że Berlin nie będzie musiał za to zapłacić. Co miał pan na myśli? – zapytała drżącym głosem i podała Farisowi zdjęcie. – Groził, że zdetonuje kolejną bombę?

Faris sięgnął po fotografię.

„Możliwe, że to zrobi” – pomyślał gorzko. „Ale bardziej prawdopodobne, że porwie kogoś z mojej rodziny”. Miał nadzieję, że Samir go posłuchał i wyjeżdżają już z Anisah i jego rodzicami z miasta. Laura! Zazgrzytał zębami. Musi się skoncentrować na swojej robocie! To było teraz najważniejsze!

A istniało prawdopodobieństwo, że Ira bardzo by mogła mu pomóc.

– Okoliczności związane z uprowadzeniem pani parafianina... – zaczął. – One są... no cóż, z czymś takim jeszcze nigdy się nie spotkaliśmy.

Przypomniał sobie filmik z ukrzyżowania Ellwanger. Już na samym początku postanowił, że jej go nie pokaże, lecz teraz zaczął się zastanawiać. Kto mógł mu zagwarantować, że po jego zobaczeniu nie przypomni sobie czegoś ważnego, co pomogłoby im ruszyć dalej ze śledztwem? Spojrzał na partnera, szukając u niego wsparcia. Paul stał już przy drzwiach. Wahał się tak samo jak Faris, jednak w końcu potaknął.

– Niech będzie – mruknął Faris.

Zdjęcie Alexandra schował do kieszeni na piersi, wyjął smartfon, przez który kontaktował się z nim nieznajomy, i odszukał przesłany filmik. Zanim uruchomił odtwarzanie, wyłączył dźwięk, żeby nie było słychać odrażających i budzących strach dźwięków. Począł na ujęcie ukazujące cały krzyż z przybitą do niego postacią i kliknął pauzę.

Wyprostował się. I pokazał Irze ekran z nieruchomą sceną.

Kobieta z początku nie reagowała. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w podświetlony obraz. Faris widział, że intensywnie myśli. W pewnej chwili gwałtownie pobladła i rozchyliła usta, lecz szybko się opanowała. Nie wydała przy tym z siebie żadnego dźwięku.

– Dobry Boże... – szepnęła w końcu.

Faris sięgnął do kieszeni po kluczyki do auta.

– To scena z nagrania, które nam przesłał sprawca zamachu. Widzi pani elektrody na piersi Ellwanger?

Ira potaknęła. Jej oczy zaczęły błyszczeć, a zafascynowany Faris przyglądał się, jak na jej twarzy pojawia się wyraz głębokiego współczucia. Bez wątpienia była wspaniałą duszpasterką.

– Elektrody są podłączone do monitora pracy serca, stąd nasze przypuszczenie, że

z kolei do tego urządzenia podłączona jest bomba, która ma eksplodować w czasie mszy papieskiej.

Kobieta powoli uniosła dłoń i zasłoniła sobie usta. Zamrugła, żeby nie zacząć płakać.

– Kto robi takie rzeczy? – wyszeptała.

Faris się zawahał.

– Naszym głównym podejrzanym jest w tej chwili Alexander. – Kiedy to mówił, przypomniał sobie słowa nieznajomego.

„Nie. Jestem. Alexandrem”.

Instykt podpowiadał mu cicho, że nie kłamał. Nieznajomy nie krył wściekłości, kiedy zwrócił się do niego tym imieniem.

– Niemożliwe. Nigdy w to nie uwierzę. – Ira energicznie potrząsnęła głową.

– Czasem, kiedy widziałam ich razem w kościele, zastanawiałam się, czy Werner wykorzystuje syna. Ale nie, Alexander nigdy nie był... – Skrzywiła się, jakby słowa, które miała wypowiedzieć, sprawiały jej przykrość. – Alexander nie jest dość bystry, żeby zaplanować zamach bombowy.

Paul zakaszłał.

– Nie jest dość bystry?

– Jak by to powiedzieć... chłopak sprawia wrażenie opóźnionego. Przykro mi, taka jest prawda. – Kobieta wzruszyła ramionami, po czym przechyliła głowę i zaczęła się zastanawiać. – Mogłabym jeszcze raz spojrzeć na ten fragment filmu? – poprosiła.

Przymknęła oczy, a kiedy Faris podał jej komórkę i spojrzała na ekran, zaczęły jej drżeć dłonie.

– Znam ten obraz – wyszeptała.

– Słucham? – Paul uniół brwi i podszedł do niej.

Ira potaknęła zdecydowanie.

– Chodźcie, proszę. Muszę wam coś pokazać.

1 J 1,17. [\[wróć\]](#)

Rozdział 20

Wnętrze starego kościoła zbudowanego na planie krzyża, do którego Ira zaprowadziła Farisa i Paula, pogrążone było w półmroku, lecz sprawiało miłe i niemal przytulne wrażenie, a to za sprawą rzucających się w oczy łuków, kolumn i części ścian z palonej cegły. Ilekroć Faris znalazł się w takim miejscu, zadawał sobie pytanie, dlaczego chrześcijańskie kościoły zawsze wypełniała ponura, mroczna aura, skoro budowano je przecież po to, by znaleźć się blisko Boga i Go wychwalać.

Ira prowadziła ich wzdłuż rzędów niewygodnie wyglądających ławek z ciemnego drewna, wprost do ołtarza również wymurowanego z cegły. Nie musiała mówić, co chce im tam pokazać, bo ledwie znaleźli się bliżej, Faris znieruchomiał.

Po lewej stronie, w niszy w murze, wisiał obraz. Już na pierwszy rzut oka wydawał się namalowany w nowoczesnym stylu, w każdym razie na tyle, na ile Faris był w stanie to ocenić. Przedstawiał niski, drewniany krzyż i przybitego do niego człowieka. Rozczapierzone i napięte boleśnie palce sterczały w powietrze niczym szpony. Jednak to nie ten detal obudził w Farisie jednoznaczne skojarzenia.

– Jasna cholera...! – mruknął Paul. Musiał pomyśleć o tym samym.

Faris miał podobne odczucia. Korona cierniowa nałożona na głowę człowieka z obrazu wyglądała bardzo podobnie do korony cierniowej ofiary zamachowca, tak samo jak przepaska biodrowa i sposób jej zawiązania. Jeden szczegół był za to identyczny jak u Ellwangerera – Ukrzyżowany był przytwierdzony do krzyża nie tylko gwoździami, ale również za pomocą czerwonej liny, którą obwiązano jego ramiona i przytroczono do poprzecznej belki.

– Chryste Panie...! – jęknął Paul, który również je zauważył. – Sprawca odtwarza sceny ze sztuki!

Faris podrapał się po karku.

– Nie ma chyba wątpliwości, że posiłkował się tym obrazem.

Odwrócił się i spojrzał na Irę, lecz zanim zdążył cokolwiek powiedzieć czy zadać pytanie, pastorka zaczęła tłumaczyć:

– Rada parafialna zleciła wykonanie tego obrazu tuż przed jubileuszem dwutysięcznego roku. Wtedy jeszcze mnie tu nie było, ale z opowiadań wiem, że kiedy twórca dostarczył gotowe dzieło, wybuchła straszna dyskusja, czy powinno się je powiesić w kościele, czy może lepiej tego uniknąć.

– Domyślam się, że chodziło o te liny? – zapytał Paul i zaczął robić zdjęcia.

– Tak jest. – Ira wskazała dłonią na czerwone sznury. – Podnoszono argument, że artysta nie ma prawa do aż takiej wolności, jeśli chodzi o oddanie ukrzyżowania, bo przecież w Biblii nie ma ani słowa o żadnych linach. – Uśmiechnęła się słabo. – Ale koniec końców, twórcy udało się przeforsować swoje zdanie. Punktem kulminacyjnym sporu była bardzo burzliwa dyskusja teologiczna, w której artysta powołał się na postać niewiernego Tomasza z Ewangelii świętego Jana. Są w niej słowa o otworach po gwoździach tylko w dłoniach Jezusa. Artysta był przekonany, że mimo iż w Piśmie Świętym nie ma również ani słowa o linach, tylko w jeden sposób można wytłumaczyć,

dlaczego nie była to pomyłka świętego Jana.

– No tak, jasne. – Paul obejrzał zdjęcie na ekranie swojego telefonu i uznał, że się nadaje, więc wysłał je do Gitty.

– Ja za to nic nie rozumiem – oznajmił Faris.

Ira ponownie wskazała na liny.

– Malarz argumentował to w ten sposób: żeby przez śmierć Jezusa Chrystusa spełniło się stare proroctwo Izajasza, jego dłonie musiały koniecznie zostać przebite gwoździami, bo przecież w Księdze Izajasza jest napisane: „Oto na moich dłoniach wyrysowałem cię¹⁷”. To oznaczało, że Bóg chciał, żeby rzymscy żołnierze przybili mu dłonie do krzyża. Tyle że anatomicznie nie ma możliwości, żeby kogokolwiek w ten sposób ukrzyżować. Dłonie takiej osoby rozerwałyby się pod ciężarem ciała. Ponieważ w przypadku Jezusa tak się nie stało, malarz doszedł do wniosku, że żołnierze musieli użyć również lin. – Znów się uśmiechnęła. Tym razem jednak miejsce smutku zajął sarkazm.

Dopiero teraz Faris zrozumiał, o co chodziło.

– I taka argumentacja przekonała radę parafialną do zmiany decyzji i pokazania obrazu w kościele?

Ira przestała się uśmiechać.

– Ja bym raczej obstawiała, że chodziło o trzydzieści tysięcy euro, których nikt by im nie zwrócił, ale jakie to ma teraz znaczenie! Z tego, co słyszałam, po skandalu w naszej parafii tamten malarz nigdy już nie przyjął zlecenia od jakiegokolwiek Kościoła.

Faris i Paul spojrzeli na siebie w tej samej chwili.

– Autor obrazu mógłby być naszym zamachowcem? – zapytał Paul.

Jednak kobieta rozwiała ich nadzieje na znalezienie łatwego wyjaśnienia.

– Niestety, nie – potrząsnęła głową. – Zmarł półtora roku temu.

Faris zmarszczył czoło i się zamyślił.

– Nieważne, i tak trzeba sprawdzić jego rodzinę. Ale skoro nigdy już nie pracował na zlecenie Kościoła, to znaczy, że nie ma drugiego takiego obrazu. To z kolei pozwala założyć, że nasz sprawca należał do osób, które chodziły akurat do tego kościoła, i to nawet jeśli to rzeczywiście nie Alex. – Skinął głową w stronę Iry. – Świetna robota. Bardzo nam pani pomogła.

Pastorka nie mogła uwolnić głowy od budzącego grozę zdjęcia z komórki młodszego policjanta. Twarz Wernera Ellwängera niczym twarz ukrzyżowanego Jezusa nie chciała zniknąć. Boże drogi! Wystarczyło, że o tym pomyślała, a dostawała mdłości.

Kiedy starszy z dwójki policjantów, Sievers, zrobił zdjęcie i wysłał je do biura, poczekał chwilę i zadzwonił, żeby przekazać, czego się od niej dowiedzieli. Kiedy skończył rozmawiać, poprosił ją, żeby udała się z nimi na komisariat.

Wróciła tylko na chwilę do biura parafialnego, żeby zabrać torebkę.

– Już jestem gotowa – zwróciła się do podkomisarza Sieversa.

– Świetnie. – Mężczyzna czekał na nią przed wejściem do biura, ale sam, bo podkomisarz Iskander wcześniej wyszedł na dwór.

Razem ze starszym policjantem wyszła z plebanii i już we trójkę udali się do ich samochodu, ciemnego BMW z kogutem na dachu. Ledwie go zobaczyła, poczuła ucisk

w żołądku. Nigdy jeszcze nie jechała radiowozem i choć wiedziała, że jest tylko świadkiem, czuła coraz większe zdenerwowanie, im bliżej byli samochodu.

Jej spojrzenie padło na podkomisarza Iskandera, który stanął przy drzwiach pasażera i otworzył je dla niej.

Thomas też zawsze wpuszczał ją do samochodu...

Zwolniła, zaskoczona pojawieniem się tej myśli. Już w pierwszej chwili, kiedy zobaczyła tego młodego policjanta, poczuła przyływ irytacji i napięcia. Jego oczy! Wydawały się tak bardzo podobne do oczu jej byłego kochanka! Teraz, wieczorem, słabe światło zachodzącego słońca potęgowało to wrażenie. Nagle Ira zrozumiała, dlaczego tak się działo – obaj mieli ten specjalny wyraz twarzy. U Thomasa po raz pierwszy go zauważyła w dniu, kiedy zrozumiała, że ją porzuci. Czyli na długo, zanim on sam zrozumiał, że musi odejść. Zdradziły to jego oczy i kryjący się w nich wyraz beznadziei...

W tej chwili dostrzegła go również w spojrzeniu podkomisarza Iskandera.

„Weź się w garść, dziewczyno!” – zgaśniła się w myślach i wsiadając do auta, uśmiechnęła się do Iskandera. Odpowiedział jej tym samym, choć w zasadzie nie można nazwać uśmiechem grymasu, który nie sięga oczu. Traktował ją, przyjmując pozę macho, co wydawało się jej jednocześnie przyjemne i irytujące, a uszkodzenia twarzy, rozbite usta i rana na czole dodatkowo utrudniały jej przejrzanie tego mężczyzny.

Kiedy wsiał na tylną kanapę, Ira rozmyślała, jak to się stało, że jest taki pokiereszowany. Przyszło jej nawet do głowy, by zapytać go wprost, tylko po to, żeby zacząć rozmowę. Nie miała jednak na to szansy, bo podkomisarz Sievers, który usiadł za kierownicą, od razu zaczął jej zadawać bardzo konkretne pytania na temat Alexandra. Poczowała, że ogarnia ją wstyd, bo na większość nie potrafiła udzielić odpowiedzi.

– Bardzo mi przykro – powiedziała w końcu. – Obawiam się, że niewiele będę w stanie pomóc.

– Proszę się niczym nie przejmować. – Usłyszała głos podkomisarza Iskandera gdzieś zza pleców. – Mamy w wydziale ludzi tak przeszkolonych, że bez problemu wyciągną z pani wszystko, co pani pamięta.

Jednak zamiast ją uspokoić, jego słowa wywołały w niej strach przed brutalnym przesłuchaniem, jakie miałyby ją czekać. Odwróciła się, żeby popatrzeć mu w twarz i przekonać się, czy to tylko nieudana próba żartu.

Ich spojrzenia się skrzyżowały.

– Ups. – Zrobił niewinną minę. – Przepraszam! Chyba źle to sformułowałem i panią przestraszyłem. Chciałem tylko powiedzieć, że...

Przerwał gwałtownie.

Starszy policjant za kółkiem uśmiechnął się szeroko.

– Faris usiłował powiedzieć, że mamy w zespole kilku świetnych psychologów, którzy będą potrafili pomóc pani przywołać drobiazgi i rozmowy, o których pani już dawno zapomniała. To nic strasznego, proszę się nie bać.

Faris.

Zatem miał na imię Faris.

Ira zmusiła się do uśmiechu.

– Uff, bo ja już myślałam, że... – nie dokończyła zdania.

– Przygotowaliśmy akta i listy z nazwiskami, na które chcielibyśmy, żeby rzuciła pani okiem – tłumaczył Sievers. – Mamy pewne powody przypuszczać, że motywy, którymi kieruje się zamachowiec, w jakiś sposób łączą się z zamachem bombowym sprzed około dziesięciu miesięcy. Może kiedy zobaczy pani listę ofiar, ich imiona i nazwiska, pojawią się jakieś skojarzenia albo wspomnienia.

– Oczywiście, skoro to mogłoby pomóc. – Ira zacisnęła usta. Nie wiedziała, czy jej się wydawało, czy Faris Iskander rzeczywiście odetchnął z ulgą? W samochodzie zapanowała niezręczna cisza.

– To, co pan zarzucił człowiekowi, z którym pan rozmawiał... – Ira nie wiedziała, jak powinna to wyrazić. W końcu zebrała się na odwagę i obróciła się na fotelu w taki sposób, że plecami opierała się o drzwi. – Kiedy zasugerował pan, że ojciec za często go bił. – Poprawiła żakiet na brzuchu. – I sposób, w jaki pan to zrobił... można się było przestraszyć, jeśli mam być szczerą.

Zaczęła się zastanawiać, co wywołało w niej większy dyskomfort: to, że jego słowa można było zinterpretować znacznie brutalniej, czy raczej czysta złość, która płonęła w jego oczach. Złość, która teraz zniknęła ukryta za uprzejmym wyrazem twarzy i umęczonym spojrzeniem.

– Bardzo mi przykro – powiedział i przez dłuższą chwilę spoglądał jej prosto w oczy. W końcu jednak zadrżał i wyjrzał przez boczną szybę. – Nie chciałem pani przestraszyć.

„Jezu Chryste, te oczy!” – pomyślała.

Wyglądał na wyczerpanego.

W tej samej chwili musieli skręcać w lewo, a byli na pasie do jazdy na wprost, więc policjant za kierownicą zjechał na sąsiedni i się zatrzymał. Tykanie migacza w ciszy kabiny BMW brzmiało jak uderzenia młotkiem.

– Pan jest muzułmaninem? – Celowo sformułowała te słowa jako pytanie. Już w biurze parafialnym zwróciła uwagę na skórzaną bransoletkę, którą nosił na nadgarstku. Były na niej arabskie znaki. W czasie studiów, kierowana ciekawością, przez kilka semestrów uczyła się arabskiego, lecz jedyne, co potrafiła odczytać, to że na wyświeconej od noszenia skóry widać było dwa słowa.

– Tak – odpowiedział bardzo krótko, a ona zrozumiała, że to temat, którego w tej chwili lepiej nie poruszać.

To jedynie rozbudziło jej zainteresowanie tym mężczyzną. Faris. Piękne imię. Wydawało jej się, że gdzieś już to słowo słyszała i że oznacza ono rycerza. Nagle złapała się na rozmyślnościach, czy to określenie pasuje do policjanta na tylnej kanapie radiowozu.

Minęła właśnie dziewiąta wieczorem, kiedy wchodzili do przestronnego biura wydziału WPR na ostatnim piętrze budynku przy Keithstraße. Faris od progu szukał wzrokiem prowadzonego ręcznie licznika czasu, jaki im pozostał.

Jeszcze 27 godzin.

Gitta dbała o zespół i troszczyła się o nich jak kwoka o swoje pisklaki. Faris i Paul nie zdążyli jeszcze dobrze usiąść, a już postawiła przed nimi po dużym kubku gorącej kawy i zapytała Iry, czy również chciałyby się czegoś napić. Jednak zanim sekretarka zdążyła się odwrócić, by pójść zaparzyć kolejną kawę, Faris poprosił ją, by zawiesiła na

głównej tablicy zdjęcie Alexandra, a następnie pokazała Irze listę z imionami i nazwiskami ofiar zamachu bombowego w muzeum.

Obie kobiety poszły do szklanego kantorka Gitty, a Faris ostrożnie upił łyk parującej kawy i rozejrzał się po biurze. W tej chwili panował spokój. Marc sprawdzał mieszkanie Ellwanger, a Gerlach, ich oficer łącznikowy z departamentem piątym Krajowej Policji Kryminalnej, i Tromsdorff zajmowali się jakimiś sprawami poza biurem. Na miejscu pracowali jedynie Shannon i Ben, do których dołączyli właśnie z Paulem. Technik siedział przy komputerze. Faris nie miał pojęcia, co robi, ale młody mężczyzna wyglądał na bardzo skoncentrowanego.

To mu przypomniało o Hessem i o jego próbach ustalenia, skąd wysłano mu trojana. Przez chwilę zastanawiał się, czy do niego nie zadzwonić, jednak uznał, że to w zasadzie bez sensu, bo przecież w eksplozji bomby zniszczone zostały wszystkie jego komputery. W ten sposób nie miał już szans dopaść zamachowca.

Faris siedział zamyślony i obserwował Shannon, jak chodzi nerwowo tam i z powrotem wzdłuż głównej tablicy ze zdjęciami i zapiskami. W pewnej chwili stanęła, żeby przyjrzeć się dokładnie kolorowemu wydrukowi którejs z scen w przesłanym filmie z ukrzyżowania. Ze swojego miejsca dostrzegł, że obraz przedstawiał zakapturzonego mężczyznę, który przybił Wenera Ellwanger do krzyża. Ujęcie przedstawiało go z profilu, jednak przez głęboko nasunięty na głowę kaptur widać było jedynie czubek jego nosa.

Wiedziony jakimś przeczuciem Faris wstał, podszedł do Shannon i poprosił ją o wydruk. Następnie udał się do szklanego kantorka Gitty, stanął w otwartych drzwiach i zapukał we framugę.

– Przepraszam, pani Jenssen – zaczął. – Zechciałaby pani rzucić na to okiem i zastanowić się, czy ten człowiek to może być Alexander?

Podał jej wydruk.

Ira przez dłuższą chwilę wpatrywała się w kolorowy obrazek. Faris zauważył, że szczególnie dokładnie przyglądała się młotkowi, który milcząca postać w kapturze trzymała w dłoni. Kobieta przełknęła dwa razy ślinę, po czym oddała mu kartkę i z zaniem potrzęsła głową.

– Przykro mi. Naprawdę niewiele widać na tym zdjęciu, za mało, żeby kogokolwiek rozpoznać. Chociaż sądząc po sylwetce, mógłby to być on.

– A kangurka? – Faris nie dawał za wygraną. – Może widziała pani Alexandra w takiej bluzie?

„Każdy, nawet najmniejszy szczegół może okazać się pomocny” – pomyślał, choć przecież doskonale zdawał sobie sprawę, że w ten sposób chwyta się brzytwy.

Podał jej wydruk, a ona ponownie wzięła go do ręki. I znów musiało minąć trochę czasu, zanim mu odpowiedziała.

– To jest po prostu coś czarnego... Przykro mi, nie jestem w stanie pomóc.

– Nie szkodzi – powiedział i po raz drugi odebrał kartkę. – Mimo wszystko bardzo dziękuję.

Shannon w tym czasie stanęła przed jedną z spisanych wcześniej list i zamyślona wpatrywała się w kolejne punkty. Faris odwiesił wydruk na tablicę i wrócił do swojej

kawy. Fotel przy biurku zaskrzypiał, kiedy ciężko na niego opadł.

Paul oparł się łokciami o blat stołu i w milczeniu popijał napar z kubka. Kiedy zauważył, że partner go obserwuje, uśmiechnął się zmęczony. Faris poczuł, że robi mu się lekko na sercu. Ci ludzie tutaj to była jego rodzina. Wtedy przypomniał sobie słowa zamachowca.

„...ktoś straci życie. I to ktoś, na kim pewnie zależy ci bardziej niż na jakimś bezdomnym żebraku!”

Odzyskana lekkość na sercu w jednej chwili zniknęła i znów poczuł przytłaczający go ciężar. Co robi, jeśli ten skurwysyn skrzywdzi kogoś z jego współpracowników albo współpracowniczek? Przełknął ślinę, lecz przytłaczający ciężar nie chciał zniknąć. Spojrzał w stronę szklanego kantorka Gitty i jakimś cudem ich spojrzenia się skrzyżowały. Kobieta uśmiechnęła się i pokiwała głową, by dodać mu otuchy.

Ira siedziała plecami do niego. Zdawała się zagubiona w tym zupełnie dla niej niecodziennym otoczeniu. Faris odsunął od siebie powracający ustawicznie rozpaczliwy pesymizm, żeby nie odebrał mu sił do działania.

Skupił się na fragmencie nagrania, które przedstawiało ukrzyżowanego Ellwanger. Ben wydrukował jego zdjęcie i umieścił na tablicy magnetycznej na ścianie. Poniżej, dokładnie pod kartką, znajdowała się lista domniemych sprawców. Na ostatnim miejscu ktoś zapisał imię i nazwisko Alexander Ellwanger, po czym podkreślił kilkakrotnie i opatrzył ogromnym wykrzyknikiem, który dla Farisa był wyrazem nadmiernego optymizmu.

Upił kolejny łyk kawy. Gorzki napar wywołał skurcz żołądka. Uświadomił sobie wtedy, że od rana nic jeszcze nie jadł. Choć ani przez chwilę nie odczuwał głodu. Wskazał palcem na wydruk przedstawiający mężczyznę w czarnym kapturze.

– Moim zdaniem powinniśmy założyć, że to Alexander Ellwanger.

Jakby w odpowiedzi na jego słowa Shannon podeszła do listy, wzięła gąbkę i zmasała wielki wykrzyknik.

– Też tak myślę. Tylko czy on i dzwoniący to ta sama osoba?

Paul odstawił kubek na stół.

– Gość użył słów „mój ojciec”, dlatego moim zdaniem tak, to on do nas dzwoni. Sprawdziliśmy przecież, Werner Ellwanger ma tylko jednego syna.

– Za to mamy mocny argument przeciwko, mianowicie panią Jenssen, która twierdzi, że chłopak jest intelektualnie niezdolny do zaplanowania takiego zamachu – wtrącił Faris.

Gitta usłyszała jego słowa.

– Pani Jenssen ma rację! – zawołała, nie wstając od biurka. Siedziała przy nim obok pastorki, która skupiona studiowała listę ofiar zamachu w muzeum. – Udało mi się odszukać byłą nauczycielkę Alexandra i zadać jej kilka pytań. Potwierdziła, że chłopak jest nieco opóźniony w rozwoju. – Spojrzała na notatnik, który położyła obok komputera. – Kiedy miał piętnaście lat, sprawdzono jego iloraz inteligencji. Ledwie udało mu się przekroczyć osiemdziesiąt punktów.

– A dzwoniącego nie można podejrzewać o niedorozwój – mruknął Faris. – Powiedziałbym, że jest cholernie bystry.

Zanim przeszli do omawiania i analizy najświeższych ustaleń, drzwi do ich biura otworzyły się szeroko i do środka weszli Tromsdorff z Gerlachem. Obaj wyglądali na zmęczonych i wyczerpanych, lecz w oczach szefa Faris dostrzegł wyraz, którego w czasie tego dochodzenia jeszcze nie widział.

Bardzo delikatną nadzieję.

– Alexander Ellwanger został już dodany do listy osób poszukiwanych – oznajmił Tromsdorff. – Na razie brak odzewu, ale jestem przekonany, że prędzej czy później go dopadniemy. Kilkunastu naszych ludzi sprawdza wszystkich, z którymi Alexander Ellwanger mógł mieć kontakt. Wierzę, że teraz już szybko znajdziemy jakąś wskazówkę, gdzie szukać tego cholernego krzyża. – Stał pośrodku pomieszczenia. – Świetna robota, dajecie radę!

Faris potrząsnął głową.

– Nie, to nie Alexander do nas dzwoni. To nie on.

– Możliwe, ale mimo to skupimy się teraz właśnie na nim. Jeśli go dopadniemy, jest szansa, że doprowadzi nas do gościa, którego zniekształcony głos słyszałeś w słuchawce. – Tromsdorff podszedł do tablicy ze zdjęciami, wziął do ręki jeden z magnesów i go podrzucił. I choć w żaden inny sposób nie okazywał zdenerwowania, Faris mógłby przysiąc, że wyczuwa, jak strasznie jest spięty i jak ciężko mu z odpowiedzialnością, która spadła na jego barki. Która spadła na barki ich wszystkich.

– Przewodnicy z psami dwukrotnie sprawdzili każdy zakamarek Stadionu Olimpijskiego – oznajmił Gerlach. – Nie znaleziono najmniejszych śladów materiałów wybuchowych. – Sądząc po jego minie, nie uważał, by to była dobra wiadomość. Szybko też wyjaśnił, dlaczego go to nie cieszy. – Z tego, co mówią koledzy z wydziału bezpieczeństwa wewnętrznego, niedawno na rynku pojawiły się nowe materiały wybuchowe, których psy nie potrafią jeszcze rozpoznać, bo nie były do tego przeszkolone. Dlatego cały czas jeszcze nie możemy mieć stuprocentowej pewności, że stadion jest bezpieczny.

Faris sięgnął po kubek i opróżnił go jednym haustem. Gorzki napar wywołał natychmiast skurcz żołądka, jednak kofeina z wcześniej wypitej kawy krążyła już w jego krwiobiegu. Dręczący go od rana ból głowy zaczął słabnąć.

– Czy są już wyniki analizy śladów materiałów wybuchowych użytych w porannym zamachu na metro i w parku? – zapytał.

Ta działka najwyraźniej należała do Bena, bo on pierwszy zareagował. Oderwał się od komputera, spojrzał na zebranych i sapnął jak ktoś, kto znajduje się na skraju przepracowania.

– Laboratorium cały czas nad nimi pracuje.

– Świetnie. – Gerlach się wyprostował. Szczupły, wysoki, ze szpakowatymi włosami i mocno wysuniętą szczęką wyglądał jak wojskowy.

W terrarium Gitty Ira opadła na oparcie krzesła i westchnęła zrezygnowana.

– Strasznie mi przykro – powiedziała, po czym wstała i podeszła do drzwi.

– Jakieś skojarzenia? Cokolwiek? – zapytał Paul.

Potrząsnęła głową.

Policjant zaproponował jej krzesło Shannon. Po chwili wahania pastorka usiadła.

– Może spróbujemy z innej strony. Proszę w ogóle nie myśleć o tym, co się dzieje.
– Paul uśmiechnął się do niej. – Jaki jest Alexander? Mogłaby nam pani o nim opowiedzieć?

Sądząc po jej minie, nie była zachwycona tą prośbą. Kiedy zamrugła, Faris pomyślał, że próbuje pozbyć się obrazu ukrzyżowanego parafianina, który widziała, ilekroć zamykała oczy.

– Mimo że chłopak ma już osiemnaście lat, jest całkowicie podporządkowany ojcu – zaczęła. – Takie w każdym razie odniosłam wrażenie. Ojciec zapisuje mu, co ma jeść i co pić, i wtrąca się w każdą rozmowę syna. – Obiema dłońmi wsunęła włosy za uszy. – Często bywało tak, że nawet nie pozwalał Alexandrowi dokończyć zdania, naprawdę. Jak nadopiekuńcza matka, która nie ufa dziecku, że samo jest w stanie się wysłowić.

Gitta potaknęła. Faris nie, lecz i on aż za dobrze znał tego typu matki. Jego siostra Anisah miała zadatki, by stać się jedną z nich.

– Sekretarka kiedyś mi opowiadała, że ojciec zmuszał Alexandra do bardzo ścisłych postów. – Skrzywiła się, jakby sama do dziś nie mogła w to uwierzyć. – To było dziecko w okresie dorastania!

Oddychała, jakby każde zaczerpnięcie powietrza kosztowało ją wiele wysiłku.

Gitta podeszła kawałek, zawahała się, po czym zdecydowanie stanęła obok Iry. Kobieta uniosła głowę, na co policjantka uśmiechnęła się do niej serdecznie. Często korzystała z tej techniki. Jakby chciała w ten sposób okazać wsparcie i jednocześnie dodać otuchy. „Jestem tu z panią. Wszystko będzie dobrze!”

Ira splotła palce i mocno je zacisnęła.

– Cały czas pamiętam oburzenie Veroniki, kiedy się o tym dowiedziała – podjęła opowieść. – Próbowала porozmawiać o tym z Alexandrem i go namówić, żeby przeciwstawił się ojcu, jednak nic to nie dało. Nie przypominam sobie nawet jednej sytuacji, kiedy odważyłby się publicznie powiedzieć mu: nie.

– Całkiem możliwe, że nigdy, nawet kiedy byli sami, nie potrafił postawić na swoim – zasugerował Paul. – Czy Alexander był wykorzystywany przez swojego ojca? Może słyszała pani jakieś plotki na ten temat albo zauważyła jakieś symptomy?

– Seksualnie? O takie wykorzystywanie panu chodzi?

Policjant pokiwał głową.

Ira wzruszyła delikatnie ramionami.

– Nie. Nie mogę oczywiście mieć pewności, ale moim zdaniem nie. – Zastanowiła się. – Alexander jest już prawie dorosłym mężczyzną, broniłby się przecież, prawda? – Dopiero kiedy zadała to pytanie, uświadomiła sobie, jak można na nie odpowiedzieć. Przerażona otworzyła szerzej oczy i odwróciła się, by spojrzeć na wydruk z ukrzyżowanym Wernerem Ellwangerem. Pobladła i jęknęła ze strachu.

– Bronił się – mruknęła Shannon. – W taki sposób, w jaki potrafił.

Ira przycisnęła gwałtownie dłoń do ust.

– To akurat bardzo typowa postawa – wyjaśnił jej Paul. – Człowiek, który od wczesnego dzieciństwa jest wykorzystywany lub maltretowany, w gruncie rzeczy może zareagować tylko na trzy sposoby. – Uniósł w górę dłoń i wymienił je wszystkie, licząc na palcach. – Może wyprzeć całe zło, które go dotknęło. Może przyjąć skrajnie

pacyfistyczną postawę. Albo, i ten trzeci sposób zdarza się niestety bardzo często, sam może stać się agresorem.

– Ale żeby... żeby ukrzyżować... ojca... – wyszeptała Ira tak cicho, że ledwie było ją słychać.

W następnej chwili drzwi do biura otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł Marc. Był zdyszany, spocony i niósł duży karton wypełniony po brzegi książkami i różnymi przedmiotami codziennego użytku.

– Wracam prosto z mieszkania Ellwangerów – oznajmił i odsunął część urządzeń Bena, żeby zyskać trochę miejsca, po czym postawił tam karton. – Poczekajcie tylko, aż zobaczycie, jak tam wygląda! Ja nie mogłem uwierzyć własnym oczom!

Mówiąc to, wyjął z kartonu aparat i podał go technikowi. Policjant bez słowa wziął urządzenie, podłączył je do komputera i uruchomił.

Kilka sekund później rzutnik wyświetlił na ścianie pierwsze fotografie wykonane przez Marca w mieszkaniu Wenera Ellwangerów.

– O Boże drogi... – jęknęła Ira, a potem, przy każdej kolejnej fotografii, powtarzała te same słowa. – O Boże drogi!

Alexander

ALTANKA W OGRÓDKU – przypomniał mu anioł. Mimo że przez dłuższy czas zostawił Alexandra samego, kiedy wrócił, podjął rozmowę w miejscu, w którym ją przerwał, jakby cisza trwała ledwie kilka sekund.

OPOWIEDZ MI TERAZ O ALTANCE NA DZIAŁCE!

Alexander nie potrafił. Wszystkie okropne i przerażające wspomnienia wirowały w jego głowie, wypełniając ją hukami. Tak głęboko je ukrył, a teraz anioł swoimi natarczywymi i bezlitosnymi pytaniami zmuszał go, by znów je przywołał.

Zatkał uszy dłońmi i zacisnął powieki.

– Nie! – wyjęczał. – Błagam! Nie!

CO SIĘ STAŁO W ALTANCIE NA DZIAŁCE? – drażył anioł bez krztyny zrozumienia dla jego oporu.

– To było... – Alexandra bardzo wiele wysiłku kosztowało wypowiedzenie tego słowa. – Biczowanie.

BIŁ CIĘ? BICZOWAŁ CIĘ?

– Nie! – Sama myśl, że mógłby to zrobić, była tak absurdalna, że momentalnie otworzył oczy i uniósł głowę. – Nigdy mnie nie bił.

Anioł milczał. Alexander odniósł wrażenie, że ta odpowiedź wprowadziła anioła w zdumienie, jakby spodziewał się usłyszeć coś innego.

CO W TAKIM RAZIE TAM ROBIŁ?

Alexander przełknął głośno ślinę.

– Biczował się. Sam. Żeby odkupić swoje grzechy. Jako pokutę. – Obrazy z przeszłości zalewały jego głowę. Wracało wszystko, co chciał zapomnieć. Znów widział krew: na rzemieniach, na plecach ojca, na ścianach. Nawet na suficie.

Zrobiło mu się niedobrze. Dostał torsji. Ogarnął go straszny wstyd.

NIC SIĘ NIE STAŁO. WSZYSTKO JEST DOBRZE – zapewnił go anioł. – NIE MASZ SIĘ CZEGO WSTYDZIĆ.

A jednak się wstydził. Mimo wszystko. Wstydził się tego, że był słaby.

CO STAŁO SIĘ PÓŹNIEJ? – zapytał anioł.

– Później? – powtórzył Alexander. Wciąż jeszcze drżały mu kolana, ale już nie czuł mdłości. Ustąpiły, robiąc miejsce czemuś innemu: zwierzęcemu przerażeniu, które ścisnęło mu serce stalową obręczą. – Później było już tylko znacznie gorzej – wyszeptał.

Iz 49,16. [wrót]

Rozdział 21

Mieszkanie Ellwangerów wyglądało jak muzeum.

Muzeum sztuki sakralnej.

Na ścianach wisiały obrazy olejne, których jedynym motywem było ukrzyżowanie. Między nimi można było dostrzec ikony przedstawiające ukrzyżowanie, pastele przedstawiające ukrzyżowanie, szkice przedstawiające ukrzyżowanie i wreszcie dzieła w bardzo nowoczesnym stylu, przedstawiające, a jakże, ukrzyżowanie, ze wszystkimi ponurymi detalami, przedstawionymi jeszcze dosadniej i bardziej jednoznacznie niż na starszych dziełach.

W czasie, kiedy Ben wyświetlał na ścianie zdjęcia tej prywatnej makabrycznej kolekcji, Ira siedziała jak sparaliżowana, z dłonią przyciśniętą do ust.

– Wiedziałam, że jest nieco dziwny – wyszeptała, kiedy na ekranie pojawiło się ostatnie zdjęcie. – Ale nie sądziłam, że do tego stopnia ma nierówno pod sufitem. To jest... – zamilkła, wyraźnie wstrząśnięta i jednocześnie przerażona. – To jest chore! – dokończyła szeptem.

– To były obrazy zgromadzone w salonie – wyjaśnił Marc. – Zapraszam teraz do sypialni Alexandra.

Na ekranie pojawiły się kolejne fotografie, tyle że nie przedstawiały już ponurego pomieszczenia z ciemnymi meblami i makabrycznymi malowidłami, lecz pokój z gołymi ścianami, z pojedynczym, prostym łóżkiem z sosnowego drewna i pedantycznie uporządkowanym biurkiem. Na blacie znalazły się jedynie trzy rzeczy: papierowa podkładka, srebrny laptop i krucyfiks z brązu. Kolejne zdjęcia przedstawiały to samo wnętrze w różnych ujęciach. Jego prostota i pustka stały się w pewnej chwili trudniejsze do zniesienia niż przesadzone bogactwo przedmiotów w salonie. Faris miał wrażenie, że sypialnia Alexandra to jego niemy krzyk.

– W takim otoczeniu każdy, nawet najzdrowszy człowiek musiałby w końcu popaść w szaleństwo – mruknęła Ira.

– Komputer – zauważył Ben. Cofnął się o kilka zdjęć, aż trafił na takie, które przedstawiało biurko chłopaka i srebrny komputer na blacie. – Może znajdziemy na nim coś interesującego. Przywieźliście go tutaj?

Marc sięgnął do kartonu i wyjął z niego laptop.

– Trzymaj.

Ben bez chwili zwłoki postawił urządzenie na stole, podniósł ekran, podłączył je do prądu i uruchomił. Kiedy on był zajęty przeglądaniem dysku i poszukiwaniem jakichś wskazówek, Shannon podeszła do Marca i zaczęła wyjmować z kartonu książki z mieszkania Ellwangerów.

– Same ewangeliczne rozważania – powiedziała. W pewnej chwili trafiła na książkę z setkami kolorowych karteczek samoprzylepnych. – O, no proszę, ta wygląda obiecująco.

I całkowicie ignorując pozostałą część zespołu, wróciła z książką do swojego biurka. Ira wstała i zrobiła jej miejsce. Shannon usiadła w zwolnionym fotelu, sięgnęła po

piłeczkę tenisową i otworzyła gruby tom na pierwszym zaznaczeniu.

– Poza tymi przedmiotami nie było w mieszkaniu niczego, co mogłoby nas zainteresować – wyjaśnił Marc. – Sprawdziłem też piwnicę. Pomieszczenie było idealnie czyste i poza dwoma rowerami niczego w nim nie znalazłem. Za to w papierach Ellwanger trafiłem na coś, co mnie zaintrygowało. Mianowicie na umowę najmu ogródka działkowego.

Faris podskoczył, jakby poraził go prąd.

– Ellwanger miał ogródek działkowy?!

Marc wyjął z kieszeni notes i zaczął przerzucać strony, aż trafił na właściwą.

– Tak, wynajmuje działkę na osiedlu działek rekreacyjnych przy lotnisku, stąd nazwa tego miejsca: „Przy lotnisku”. Zdaje się, że to gdzieś blisko lotniska Tempelhof.

Faris i Paul wymienili szybkie spojrzenia.

– Podejrzewam – zaczął Paul bardzo opanowanym głosem – że tam możemy znaleźć krzyż...

– Dokładnie. – Faris podniósł się z fotela. – Proponuję podskoczyć tam jak najszybciej i trochę się rozejrzeć.

Alexander

CO BYŁO GORSZE? – Głos anioła brzmiał bardzo delikatnie i przyjemnie, a jednak Alexander trząsł się przerażony jego brakiem współczucia i bezwzględnością, z jaką zmuszał go do przypomnienia sobie tych wszystkich okropieństw.

– Dlaczego to robisz? – zapytał.

Nie zrozumiał odpowiedzi, jakiej udzielił mu anioł.

ŻEBY ŚWIAT W KOŃCU ZROZUMIAŁ. A TERAZ ODPOWIADAJ: CO BYŁO GORSZE?!

– On mnie nie bił – poinformował go Alexander. – Gdyby mnie bił, pewnie bez problemu bym to zniósł. Ale tego nie robił... chociaż błagałem go o to...

– *Nie! – szłocha ojciec. – Nie mogę już! Nie mogę! Musisz to dla mnie zrobić!*

W jego dłoni spoczywa rękojeść pejcza. Krew na rzemieniach już dawno zakrzepła, bo minęło wiele dni, od kiedy ostatnio go używał.

Alexander się cofa.

– *Nie, tato! Proszę, nie!*

Ojciec nie zamierza ustąpić. Jego twarz jest szara, zapadnięta. Alexander ma wrażenie, że widzi w jego oczach szaleństwo. Z wahaniem wyciąga rękę. I bierze z dłoni ojca pejcz.

Przez chwilę stoi nieruchomo i waży go, zaciskając palce na rękojeści.

– *Nie każ mi tego robić! Nie możesz wymagać ode mnie takich rzeczy! – błaga. Łzy ściekają mu po policzkach, całą twarz ma przez nie mokrą.*

– *Zrób to! – jęczy błagalnie jego ojciec. W końcu chłopak się poddaje.*

I unosi pejcz wysoko nad głowę...

MIAŁ NADZIEJĘ, ŻE PRZEZ BICZOWANIE ZYSKA ODKUPIENIE GRZECHÓW – powiedział anioł bardzo cichym głosem. I pełnym smutku.

Alexander potaknął.

– Ale to mu nie pomogło. Dalej czuł się przytłoczony brzemieniem na swoich barkach.

Przerwał na chwilę, oczekując, żeby anioł mówił dalej za niego.

Jednak anioł milczał.

– Powiedział kiedyś, że ciężar, który przez to czuje, to ciężar całego świata.

UWAŻAŁ SIĘ ZA CHRYSYUSA.

Alexander potrząsnął głową.

– Nie – zaprzeczył. – Próbował mi to wyjaśnić, ale ja go wtedy nie rozumiałem. To, co robi, nazwał pełną identyfikacją z Jezusem Chrystusem. Wierzył, że to jedyna droga, by zyskać odkupienie i odpuszczenie grzechów.

CZY TO BYŁ MOMENT, KIEDY ZACZAŁ OD CIEBIE WYMAGAĆ, ŻEBYŚ GO UKRZYŻOWAŁ?

Alexander spuścił wzrok.

– Tak – wyszeptał.

Gustav Dellinghaus z wielką radością spędzał całe dni na patrolowaniu i kontrolowaniu terenu ogródków działkowych „Przy lotnisku”, tym bardziej że był przewodniczącym zarządu działkowców.

Przez dobrych trzydzieści minut spacerował wysypanymi żwirem alejkami i nie mógł przestać się uśmiechać. Po obu stronach mijał „swoje” ogródki – wszystkie bez wyjątku uprawiane ekologicznie, a jednak z troską o porządek! Tak jak lubił! Mijał właśnie płotek myśliwski ustawiony wzdłuż frontu działki starszej pani Reiß. W snopie światła padającym z latarki zobaczył fragment trawnika poprzerastanego mniszkiem. Większość żółtych kwiatów już przekwitła, tworząc białe kule dmuchawców. Dellinghaus zatrzymał się i nachylił, by zerwać jeden z nich, do którego mógł sięgnąć przez płotek. Kiedy za niego szarpnął, w powietrze uniosły się maleńkie białe parasolki. Wyprostował się z niezadowoloną miną i postanowił, że z samego rana musi zadzwonić do pani Reiß i powiedzieć jej, że tak po prostu nie wolno. Ekologiczna uprawa ogródków jak najbardziej, ale to przecież nie oznaczało, że wolno pozwalać chwastom porastać trawniki! Jej obowiązkiem było dbać o to, żeby takie rzeczy się nie zdarzały! Działkowcy w czasie ostatniego zgromadzenia podjęli stosowną uchwałę, by usuwać chwasty, które stały się poważnym problemem przez unoszone wiatrem nasiona. Dellinghaus wydobył z kieszeni chusteczkę i wydmuchał w nią nos. Niby zgoda, pani Reiß była już stara i bardzo krucha, ale to jej w żaden sposób nie usprawiedliwiało! Skoro sama nie jest w stanie dbać o ogródek, niech uprawą zajmie się jej dorosła córka!

Westchnął ciężko i ruszył dalej na obchód.

W ostatnich tygodniach stosunkowo często otrzymywał telefony ze skargami. Ogródek rodziny Ellwangerów już od jakiegoś czasu był solą w oku sąsiadów. Nie miał wprawdzie uwag do grządek, bo te były zadbane, jednak altanka budziła mieszane uczucia, jakby coś z nią było nie tak. Gdy się na nią patrzyło, donosił jeden z dzwoniących, człowiekowi przebiegały ciarki po plecach. Dlatego Dellinghaus

postanowił sam się o tym przekonać. Dotarł do skrzyżowania alejek i się rozejrzał. Tak, to tu – działka Ellwangerów znajdowała się przy alejce Wiśniowej.

Mężczyzna skręcił w lewo i dość szybko dotarł do celu. Skierował światło latarki na trawnik.

Na pierwszy rzut oka nic nie wzbudziło jego niepokoju. Zgoda, trawnik wymagał jak najszybszego koszenia, ale nie był poprzerastany dmuchawcami czy innymi chwastami, a altanka musiała być niedawno odmalowana i również wyglądała estetycznie. Na małym tarasie nie stały stare meble ani nie zalegały worki ze śmieciami.

Co w takim razie mogło przeszkadzać sąsiadom?

Dellinghaus już chciał wracać, kiedy niespodziewanie coś przykuło jego uwagę.

Jedno z okien altanki było wybite!

Natychmiast obudziło się w nim poczucie obowiązku. Musiał koniecznie zawiadomić o tym fakcie Ellwangerów, żeby nie dopuścić, by jakiś bezdomny obdartus się tu zamelinował. O nie, najlepiej będzie nie czekać, tylko działać, przecież sam mógł sprawdzić, czy to się już nie stało. Zdecydowanym ruchem sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął z niej pęk z kluczami do każdej furtki na terenie ogródków. Lecz zanim znalazł właściwy, jego wzrok padł na kłódkę zawieszoną tuż ponad właściwym zamkiem.

– O do diabła, co to ma znaczyć... – mruknął.

Obowiązywał zakaz zabezpieczania ogródków w taki sposób, by uniemożliwić zarządowi dostęp na ich teren. Dellinghaus spojrział raz jeszcze na altankę z wybitym oknem. Nagle zaczął rozumieć, o czym mówili sąsiedzi, kiedy skarżyli się na niepokój, który odczuwali w pobliżu tej działki.

Włosy na karku stanęły mu dęba.

Zdecydowanie potrząsnął głową, by pozbyć się złych myśli. Jeszcze tego brakowało! Kto jak kto, ale on nie da się zniechęcić zamkniętą furtką i płotkiem! Rozejrzał się, czy przypadkiem ktoś go nie obserwuje, po czym przeszedł górą nad siatką i natychmiast ruszył wąską ścieżką między grządkami i rabatami w stronę wylanego betonem tarasu. Wybite okno było dokładnie naprzeciwko.

Znów poczuł ciarki na plecach. I znów postanowił walczyć ze strachem. Nachylił się, żeby zajrzeć do środka. W altance panowała kompletna ciemność.

Zawahał się.

A potem uniósł latarkę i przez wybite okno oświetlił niewielką chatkę. Przez chwilę widział jedynie wirujące w powietrzu drobinki kurzu. Jednak zaraz potem snop światła wyłowił z mroku pojedyncze przedmioty.

Dellinghaus opuścił rękę. Latarka wysunęła się spomiędzy jego palców i z głośnym stukiem uderzyła o beton. Potoczyła się kawałek i znieruchomiała, cały czas świecąc.

W ogóle o niej nie myślał.

Z oczyma wytrzeszczonymi z przerażenia odwrócił się na pięcie...

...i najszybciej jak potrafił, rzucił się do ucieczki.

Ponieważ Marc był już w mieszkaniu Ellwangerów, Tromsdorff polecił mu pojechać

z Farisem sprawdzić ogródek działkowy przy starym lotnisku Tempelhof. Faris zaprotestował i uparł się, że chce wziąć ze sobą Paula, swojego partnera. Po krótkiej wymianie zdań stanęło na tym, że do BMW wsiedli we trójkę. Z włączonymi sygnałami świetlnymi i dźwiękowymi potrzebowali niecałych trzydziestu minut, by dotrzeć na miejsce. Tam, nieco bezradni, wysiedli i stanęli przed wysoką bramą z siatki, która miała chronić teren ogródków przed niechcianymi gośćmi. Przy głównej alejce stała pojedyncza latarnia i oświetlała miejsce, w którym czekali. Jednak zanim ustalili, co dalej, zobaczyli zmierzającego w ich stronę mężczyznę w kaloszach i ogrodniczkach. Nieznajomy podszedł do bramy, otworzył ją i wyszedł na zewnątrz, a mijając ich, rzucił uprzejmie „dobry wieczór”. Paul zatrzymał bramę, zanim się zatrzasnęła.

Ledwie weszli na teren ogródków, zobaczyli kolejnego mężczyznę. Tym razem nieznajomy biegł w ich stronę. Niewysoki, miał najwyżej metr sześćdziesiąt i był w wieku Paula, lecz gdy partner Farisa z początkiem brzuszka wyglądał na bardzo wysportowanego, tak biegnąca w ich stronę postać dawno już utraciła formę. Przykrótki, robiony na drutach sweter nie sięgał spodni, które na miejscu utrzymywał pas z przytroczonymi narzędziami.

– Ależ się szybko uwinęliście! – zawołał z daleka. – A dopiero co po was zadzwoniłem! – Po czym, widząc zaskoczony wyraz twarzy Paula, zasapany jegomość zapytał z wahaniem: – To panowie nie są z policji?

– Jesteśmy. – Partner Farisa wyjął odznakę i legitymację. – Policja kryminalna – poinformował, zanim przedstawił siebie i swoich towarzyszy.

Mężczyzna potaknął z uznaniem.

– Kryminalni! Od razu wiedziałem, że to coś poważnego, dlatego was wezwałem! Świetna robota!

– Zaraz, zaraz – przerwał mu Faris, unosząc dłoń. – O czym pan w ogóle mówi?

Poczuł uważny wzrok nieznajomego, jak taksuje go od stóp do głów, przekonany, że zaraz znów walnie swoją arabską czaszką o niepokonany mur nietolerancji. Ku jego zaskoczeniu zdyszany mężczyzna miał ważniejsze sprawy do załatwienia.

Przełknął kilka razy nerwowo i zaczął tłumaczyć:

– No chodzi o tę altankę – oznajmił, wymachując dłonią w nieokreślonym kierunku. – O altankę Ellwangerów. Dlatego dzwoniłem. Panowie są...

– Cicho! – W głosie Farisa pojawił się chłodny i ostry ton. – Czyli zadzwonił pan po nas... znaczy po policję, bo coś jest nie tak z altanką na działce Ellwangerów?

W jednej sekundzie poczuł falę adrenaliny.

– No przecież mówię! – Mężczyzna potaknął energicznie. – Dlatego tu przyjechaliście, prawda?

– Oczywiście! – zapewnił go Paul, przejmując pałeczkę. – Proszę się jeszcze przedstawić.

– Dellinghaus – wysapał. – Gustav Dellinghaus. Jestem przewodniczącym zarządu ogródków działkowych „Przy Lotnisku”.

– Świetnie. W takim razie, co takiego pan zauważył? – ciągnął Paul.

– Ja... musicie to sami zobaczyć! To... to okropne! – Dellinghaus odwrócił się gwałtownie i ruszył w kierunku, z którego przybiegł. We trójkę szli przez ciemność. Po

dłuższej chwili takiego marszu zatrzymali się przed działką, która, zdaniem Farisa, wyglądała równie nijako i nudno jak wszystkie pozostałe.

Altanka została pomalowana na biało i była tak maleńka, że policjant od razu stracił nadzieję, by to tutaj znaleźli krzyż z Ellwangerem. Co w takim razie wywołało takie wzburzenie szefa zarządu działek?

– Muszę zerwać kłódkę – oznajmił drobny mężczyzna. – Ellwanger nie będzie pewnie zadowolony, ale po tym, co zobaczyłem w środku, to chyba bez znaczenia... – przerwał i po chwili siłowania się otworzył furtkę. – Zamek to teraz chyba jego najmniejszy problem.

Po tych słowach ruszył ścieżką w stronę drzwi werandy, które, ciężkie i grube, nie pasowały do małej chatki. Ktoś wybił okno po prawej stronie.

Dellinghaus podniósł porzuconą wcześniej latarkę i oświetlił wnętrze altanki.

– Tam! – powiedział. – Zajrzyjcie sami!

W altance nie było krzyża. Stwierdzili to od razu, kiedy przez wybite okno zajrzeli do środka. Jedyne pomieszczenie, z którego się składała, było na to zdecydowanie za małe.

Faris i Paul wymienili znaczące spojrzenia, po czym Paul sięgnął do środka i bez ceregieli otworzył okno. We trójkę weszli do środka.

– Jasna kurwa... – jęknął Marc, kiedy już znalazł włącznik i pod sufitem zapłonęła słaba żarówka. – Co to ma być...?

Stali twarzą do tylnej ściany budynku. Mieli przed sobą stół warsztatowy, a za nim typową ściankę na narzędzia, zrobioną z arkusza perforowanego metalu. W dziurkach w niej umieszczało się haczyki i pojemniczki na śrubki i nakrętki. Tutaj jednak, zamiast młotków, kombinerek, śrubokrętów i kluczy wisiało kilkanaście różnych pejczy. Faris dostrzegł kilka o wielu rzemieniach i kilka z metalowymi haczykami wplecionymi w sznury. Jeden składał się z rączki i długich na pół metra lin konopnych zakończonych małymi metalowymi kulkami. Poza pejczami wisiał tam też duży i ciężki bicz z plecionej skóry i dziwna konstrukcja, w której do bicia służyły nie rzemienie czy linki, a stalowe łańcuchy. I wszystkie z tych narzędzi tortur miały coś wspólnego – były pokryte skrzepłą krwią.

Na większości krew była już bardzo stara, tak stara, że aż szerniała. Tylko jeden ze skórzanych pejczy musiał być niedawno w użyciu. Kiedy Paul założył jednorazowe rękawiczki i sięgnął po niego, w powietrze wzbiła się chmara much.

– Ten gość jest chory – mruknął Marc. Pozieleniał na twarzy i nerwowymi, nieskoordynowanymi ruchami zaczął odganiać brzęczące, objedzone muchy. – Ja... – przełknął głośno. – Chyba wyjdę i zajmę się tym całym Dellinghausem. Sprawdzę, co wie.

Wyraźnie mu ulżyło, kiedy się odwrócił i nie musiał patrzeć na narzędzia tortur. I to do tego stopnia, że kiedy pospiesznie wychodził przez okno na zewnątrz, omal się nie przewrócił.

Paul odwiesił pejcz na swoje miejsce i sięgnął po pudło wsunięte pod stół. Bardzo ostrożnie wyciągnął je na środek pomieszczenia. Był to jeden z tych metalowych kontenerów, które wozi się na samochodach, jadąc na pustynne wyprawy i zabezpiecza

przed kradzieżą masywnymi zatrzaskami. Jednak uszka, przez które przechodziły metalowe pałaki takich zamków, były puste. Ellwanger najwyraźniej nie uważał, by zabezpieczenie tej skrzyni było ważne.

– Otworzyć? – zaproponował Paul. Był spięty, słysząc to było po jego głosie. Faris potrząsnął głową. Czuł ciarki na plecach i nieprzyjemne łaskotanie na karku.

– Zostaw. Lepiej nie ruszać, aż nasi chłopcy z psami tego nie sprawdzą.

Paulowi kamień spadł z serca i z westchnieniem ulgi cofnął się o krok. Dopiero wtedy zauważył karton, który wcześniej był skryty za metalową skrzynką.

– Patrz! – zawołał, schylił się i wyciągnął karton. Na boku miał nadruk znanej berlińskiej firmy przeprowadzkowej, ale nie był zamknięty, tylko przymknięty i przez szparę dało się zajrzeć do środka.

– Rozumiesz coś z tego?

Faris potrząsnął głową.

Pudło było w trzech czwartych pełne.

W środku leżały równo ułożone światełka chemiczne z logo Ekumenicznych Dni Kościoła.

– Dziękuję! – powiedziała Jenny, kiedy na ulicy Ku'damm wydała trochę drobnych, by u kobiety z obnośnym sklepikiem kupić drugie światełko chemiczne.

– To ja paniom serdecznie dziękuję! – odpowiedziała kobieta i zajęła się kolejnymi klientami. Drobne, plastikowe rurki schodziły jak ciepłe bułeczki – nawet teraz, o tej porze!

– I jak, zadowolona? – zapytała Pia i z szerokim uśmiechem założyła ramiona na piersi.

Jenny zważyła nowe światełko w otwartej dłoni. Miała wrażenie, że różni się od tego, które kupiła zaraz po przyjeździe do Berlina, nie potrafiła jednak powiedzieć, co było w nim innego.

– Dobra, to teraz wytłumacz mi może, po co kupiłaś sobie drugie? – drażyła Pia.

„Bo chcę je podarować Dennisowi” – pomyślała Jenny, jednak nie odważyła się powiedzieć tego głośno. Po skończonej trasie objazdowej turystycznym autobusem po mieście, we trójkę poszli do lokalu z hamburgerami, żeby zjeść kolację. Od tamtej chwili Dennis nie robił tajemnicy z tego, że chce rozmawiać tylko z nią, a Pia nieszczerze go interesuje. Przyjaciółka straciła wtedy dobry humor, lecz mimo to potrafiła wziąć się w garść i by nie psuć im wieczoru, robiła dobrą minę do złej gry. Po jakimś czasie odezwał się telefon Dennisa i chłopak bardzo niechętnie odebrał połączenie. Powiedział kilka razy „tak”, a potem dodał podniesionym głosem: „Zapomnij, Rainer!” i się rozłączył.

– To był mój brat – wyjaśnił i przewrócił oczyma. Niedługo potem się pożegnał, lecz zanim poszedł, na pożegnanie pocałował je w policzki, przy czym Jenny powtarzała sobie, że jej pocałunek był dłuższy niż Pii.

Uśmiechnęła się szczęśliwa.

Wtedy Pia roześmiała się głośno.

– O Boże, dziewczyno, ty się w nim zakochałaś! – wykrzyknęła. W jej głosie nie

było złościwości, jakby poradziła już sobie z resztkami zazdrości.

Jenny poczuła, że robi się cała czerwona.

– O rany! Nasza mała Jenny odkryła istnienie innej płci! Genialnie! – Pia złapała ją pod rękę i pociągnęła za sobą.

Jenny dmuchnięciem odsunęła włosy.

– Serio nie jesteś zła?

– Ja? Gdzie tam! – Pia machnęła lekceważąco dłonią. – Poza tym tutaj takich ciach na szczęście jest na pęczki – oznajmiła. I jakby na potwierdzenie jej słów naprzeciwko zobaczyły dwóch chłopaków z tak starannie ułożonymi fryzurami, że spokojnie mogliby uchodzić za modeli. Rozmawiali o czymś ze sobą i w ogóle nie zwrócili uwagi na dziewczyny.

Kiedy je minęli, Pia wzruszyła ramionami.

– Nie wiecie, co wam przeszło koło nosa – mruknęła i z szerokim uśmiechem odebrała przyjaciółce światełko chemiczne, którego ta jeszcze nie zdążyła schować.

– Hej! – zawołała zdziwiona i zważyła je w dłoni. – Dziwne, co?

– Oddawaj! – Jenny sięgnęła, by je odzyskać.

Pia się uchyliła, ale szybko oddała światełko przyjaciółce.

– Upewnij się, że dostaniesz je jutro po mszy z powrotem. Jak królewicz da ci kosza, będziesz mogła wykorzystać komórki naskórka, żeby go sklonować.

Jenny usłyszała oczywiście kpiący ton w jej głosie. Pia, nie wiadomo skąd, miała pewność, że Dennis da jej kosza. Jenny zacisnęła usta, szukając najwłaściwszej odpowiedzi. Nie znalazła jednak niczego, co byłoby dość dwuznaczne i jednocześnie zabawne, żeby nie zepsuć im nastroju. Dlatego postanowiła milczeć.

– Dobra, to co robimy? – zapytała Pia.

Jenny zawiesiła sobie światełko na szyi.

– Nie wiem. Zaproponuj coś – mruknęła niechętnie. Pozostałą część wieczoru miała spędzić bez Dennisa, więc na nic nie miała ochoty.

– Faris! – zawołał Marc. – Chodź coś zobaczyć!

Musiał stać gdzieś dalej, nie na tarasie, a w jego głosie słychać było strach.

Faris po raz ostatni rzucił okiem na plastikowe, mleczne rurki ułożone w kartonie i wzruszył ramionami. Dał Paulowi znak głową, że wychodzi, i przełożył nogę przez otwarte okno. Rozejrzał się, kiedy stanął na tarasie, lecz nigdzie nie widział Marca.

– Tutaj! Za altanką! – usłyszał jego głos.

– Faris? – zawołał Paul, spoglądając w stronę okna. – Wiesz, co mi właśnie przyszło do głowy?

Był wyraźnie podekscytowany, jakby to było coś naprawdę ważnego. Faris nie mógł się zdecydować, z którym z kolegów porozmawiać najpierw.

– No chodź, szybko! – ponaglił go Marc. – Coś tu mamy!

Faris zajrzał szybko do środka altanki.

– Zaraz wracam, stary – oznajmił, po czym odwrócił się i zszedł z tarasu. Szukając po ciemku przejścia między grządkami, obszedł w końcu niewielką chatkę. Marc

i Dellinghaus stali obok siebie, naprzeciwko kompostu urządzonego w narożniku działki. Młody policjant był bardzo blady. W świetle latarki przewodniczącego zarządu ogródków widać było stertę listewek, które ktoś tu wyrzucił. Były pozbijane po dwie. W kształt krzyża.

– To... – zaczął Faris i nachylił się, by je dokładniej obejrzyć, lecz w tej samej chwili rozległo się ćwierkanie jego smartfona.

Sięgnął do kieszeni i odebrał połączenie.

– Tak? – zgłosił się.

Nieznajomy wypowiedział tylko jedno zdanie:

– Tym razem masz włączoną lokalizację w telefonie!

Faris poczuł, że krew w jego żyłach zmienia się w lód. Po tętniącej adrenaliną jeździe do kawiarni internetowej i wybuchu u Hessego zupełnie o tym zapomniał! Odwrócił się, ale było już za późno.

Altana ogrodowa zmieniła się w kulę jaskrawych płomieni, które rozświetliły noc dookoła.

Część 2

GODZINY 15-28

*Boże mój, Boże mój,
Czemuś Mnie opuścił?*

(Mk 15,34)

Rozdział 22

Z trudem oddycha. Za każdym razem, kiedy próbuje napełnić płuca powietrzem, musi włożyć w to bardzo wiele wysiłku. Ma szeroko rozłożone ramiona, a gwoździe, którymi zostały przebite jego dłonie i stopy, błyszczą od krwi. Najdziwniejsze, że wciąż jeszcze w ogóle nie czuje bólu. Czy to znak od Boga, że spogląda na niego łaskawym okiem?

Ile już godzin minęło?

Nie ma pojęcia.

Zabronił Alexandrowi zdejmować go zbyt wcześnie, a syn najwyraźniej posłuchał jego polecenia. Dobry chłopak!

Pikanie, które słyszy, staje się coraz mniej wyraźne i stopniowo ginie w szumie, który wypełnia mu uszy. Czuje też, że jego serce bardzo ciężko pracuje, by przetaczać krew przez żyły. Ma zdrętwiałe palce i jest mu zimno w dłonie, za to nogi pieką go z gorąca.

Próbuje przełknąć. Ma wyschnięte usta, tak jak napisano w Biblii.

– Pragnę... – szepcze, lecz nikt nie podaje mu trzciny z gąbką nasączoną octem. Dlatego zaczyna śpiewać. To piosenka, której nauczyła go matka, i którą znał od tego czasu na pamięć.

Pieśń, którą czasem – choć zdecydowanie zbyt rzadko – śpiewają również w kościele.

– Ojczy, chwała Tobie. Swe życie składam Tobie. Kocham Ciebie. – Słowa, które opuszczają jego usta, są bardzo niewyraźne, dlatego szybko zmienia zdanie i jedynie nuci melodię. Mruczy tak kolejne słowa, lecz najbardziej podobają mu się ostatnie wersy.

Wyśpiewuje ją najgłośniej, jak potrafi, i nie obchodzi go, że brzmi to jak gaworzenie małego dziecka. Bóg go zrozumie.

– Jezu, chwała Tobie. Swe życie składam Tobie. Kocham Ciebie. Duchu, chwała Tobie. Swe życie składam Tobie. Kocham Ciebie.

Nie jest sam. Czuje czyjąś obecność. Czy to Pan? Czy w końcu Pan po niego przyszedł? Wysila wzrok, żeby cokolwiek zobaczyć, mruga kilka razy i w końcu dostrzega zarys jakiejś postaci, która stoi naprzeciwko.

– Kim jesteś? – szepcze z wysiłkiem.

Mógłby przysiąc, że niewyraźna postać pod krzyżem kręci głową, na co zalewa go fala przerażenia. Czyżby Panu nie spodobał się sposób, w jaki stara się go uczcić?

– Czego ode mnie oczekujesz? – próbuje zapytać, lecz tym razem z jego ust nie wydobywa się nawet niewyraźne gaworzenie. Jedyne dźwięk, jaki udaje mu się wydobyć z gardła, to przeciągły, umęczony jęk.

Postać naprzeciwko i tak potrafi go zrozumieć. Czuje jej oddech na ramieniu, a potem na policzku, kiedy podchodzi i zbliża głowę do jego ucha.

– Wiesz dobrze, czego od ciebie oczekuję – odpowiada tajemnicza postać spokojnym tonem.

To nie jest głos Alexandra.

Chce podnieść głowę, lecz nawet tak prostego ruchu nie jest już w stanie wykonać. W jego gardle rodzi się szloch, lecz jest za słaby nawet na płacz.

– Kim jesteś? – pyta ledwie słyszalnym szeptem.

Tym razem odpowiedź już nie pada. Postać znika. Mruga rozpaczliwie, by w końcu odzyskać ostrość widzenia i pozbyć się białego welonu, który niczym mgła zasłania wszystko dookoła. Słyszy oddalające się kroki. I nagle dociera do niego, że został sam.

Z wielkim wysiłkiem unosi głowę i opiera się o chropowatą belkę. Zaczyna krzyczeć.

Fala uderzeniowa eksplozji rozchodzi się niczym taran, z ogromną mocą trafia go w pierś, unosi w powietrze i ciska nim w tył. Dopiero potem nadchodzą płomienie. Obejmują go, wgryzają się w jego skórę. Palą ciało i oddzielają je od kości, tak że ból z prędkością błyskawicy rozchodzi się przez włókna nerwowe i dociera do każdej komórki, aż mózg nie wytrzyma i zaczyna się gotować...

– Panie Iskander? – Głos dociera do niego jakby przez watę.

Z ogromnym trudem otrząsa się ze wspomnień i mrugając, rozgląda. Widzi przed sobą twarz ciemnoskórego człowieka. W pierwszej chwili nie wie, co się dzieje, lecz w końcu dociera do niego, że to nie jest Muzeum Klerscha tuż po eksplozji. Inaczej niż wtedy, fala uderzeniowa nie porwała go w powietrze i nie cisnęła gdzieś daleko, tylko ścięła z nóg, a przewracając się, wylądował w krzakach.

Znajdował się w izbie przyjęć szpitala Świętego Józefa w Berlinie. Siedział na wąskiej kozetce w jednym z gabinetów. Nie sięgał nogami ziemi, co potęgowało poczucie bezradności i słabości, które na dobre zagościły w jego sercu.

Tym razem płomienie eksplozji go nie dosięgły, a jednak czuł się tak, jakby ogień wypalił mu wnętrzności.

Paul!

Faris jęknął.

Ciemnoskóry lekarz z izby przyjęć oddziału ratunkowego próbował akurat opatrzeć mu prawy nadgarstek, lecz słysząc to, przerwał i uniósł wzrok.

– Jak się pan czuje? Boli? – zapytał z troską w głosie.

Policjant uniósł lewą dłoń i kciukiem zaczął masować czoło.

– Nie, nic mi nie jest – wyjaśnił niewyraźnie. – To był tylko *flashback*, nic więcej.

Nic, tyle tylko, że jego najlepszy przyjaciel i partner znalazł się w samym sercu tego piekła...

Niespodziewanie poczuł potrzebę, by się skulić.

– *Flashback*? – Lekarz miał głęboki, niemal śpiewny głos, w którym słychać było resztki akcentu świadczące o tym, że nie urodził się w Niemczech. Przy kieszeni niebieskiego fartucha miał przywieszoną plakietkę z napisem dr Makame.

Faris potaknął.

– Przed kilkoma miesiącami cudem przeżyłem eksplozję bomby. To czasem wraca. Na mahoniowej twarzy lekarza pojawił się profesjonalny wyraz współczucia.

– W takim razie nie można się dziwić pańskiej reakcji, jednak tym razem miał pan

znacznie więcej szczęścia.

Szczęścia! Faris nie wiedział, czy bardziej chce mu się płakać, czy krzyczeć. Najchętniej strzeliłby pięścią komuś w twarz, nie mógł się tylko zdecydować, czy miał ochotę pobić lekarza, czy zadać ból samemu sobie.

Doktor Makame skończył bandażowanie nadgarstka i odsunął się nieco.

– Poza zwichnięciem nadgarstka tak naprawdę nic poważnego się panu nie stało. Na wszelki wypadek zrobiliśmy panu prześwietlenie i czekamy teraz na opis zdjęć rentgenowskich.

Faris zakaszłał.

– Co z moim partnerem? – zapytał, a jego głos zabrzmiał cicho niczym szelest miętego papieru.

Kiedy płomień po eksplozji przygaśły, wygrzebał się z krzaków i ogłuszony patrzył na ruinę, w jaką zmieniła się maleńka altanka na działce Ellwangerów. Pamiętał jeszcze, że dopadł do partnera, który leżał pośrodku pogorzelniska. Widok zwęglonego ciała Paula wyrzył się w jego pamięci jakby wypalony kwasem. Następne minuty zniknęły z jego głowy i nie wiedział, co się w tym czasie działo, a kolejną rzeczą, z jakiej zdawał sobie sprawę, było przybycie kilku karettek i radiowozu na sygnale, które strzelając kamykami spod kół, zatrzymywały się wzdłuż płotu działki. Czyjeś silne ręce oderwały go od ciała partnera i odsunęły na bok. Stał przez chwilę i przyglądał się, jak ratownicy reanimują Paula. Był bezradny. Nie wiedział, co robić. Nic nie czuł i nic do niego nie docierało. W końcu jego partner znalazł się na noszach w karetce, która natychmiast ruszyła z miejsca i z dużą prędkością popędziła żwirowymi alejkami, by jak najszybciej dotrzeć do szpitala. Wtedy odszukał na ziemi komórkę, którą wybuch wyrwał mu z dłoni. Przez kilka minut wpatrywał się tępo w ekran, niezdolny, by cokolwiek odczuwać, ba, nawet mrugać. W końcu, wiedziony jakimś impulsem – nie mógł się zdecydować, czy zrobił to z przekory, czy z tchórzostwa – wyłączył smartfon.

– Jak się czuje mój partner? – powtórzył wyraźniej.

Twarcz doktora Makame pozostała profesjonalnie spokojna.

– Jest w tej chwili operowany – wyjaśnił i ze współczuciem wzruszył ramionami. – Dowie się pan, co dalej, gdy tylko lekarze sami będą cokolwiek wiedzieli. – Podał Farisowi dłoń. – Z mojej strony mogę panu życzyć powodzenia. Niech pan dziękuje Bogu, w którego pan wierzy, za ocalenie.

Ostatnie zdanie doktora Makame nie pasowało do sterylnej, chłodnej pomieszczenia szpitalnej izby przyjęć i choć Faris dawno już przestał wierzyć w Allacha, słowa wypowiedziane przez lekarza przyniosły mu zaskakującą ulgę. Zaskoczony podziękował skinieniem głowy. Potem odprowadził lekarza wzrokiem, kiedy ten wychodził z niewielkiego gabinetu. Zostawił drzwi otwarte.

Korytarzem obok szybkim krokiem przeszła pielęgniarka w czarnym habicie siostry zakonnej i zupełnie niepasujących do niego jaskraworóżowych crocsach. Zajrzała do niego odruchowo i pognęła dalej.

Faris przez chwilę siedział na kozetce i gorączkowo próbował sobie przypomnieć, jak się wstaje.

Przy każdym mrugnięciu przed oczyma pojawiał się obraz zwęglonego ciała Paula.

Zmusił się, by tego nie robić, lecz kiedy wysuszone oczy zaczęły sprawiać ból, musiał opuścić powieki. Zgarbiony stawiał czoło zalewowi potwornych obrazów. Palec z polakierowanym na czerwono paznokciem, oskarżycielsko w niego wymierzony. Pędząca na niego ściana ognia. Przerażona mina dziewczyny w metrze i dźwięk uruchamianego defibrylatora. Zwęglone ciało Paula. W kółko to samo. Spalone, dymiące, zwęglone ciało.

Zamknął oczy i odrzucił głowę w tył. Obiema rękoma złapał się za włosy i zaczął ciągnąć, jakby razem z cebulkami mógł wyrwać z głowy niechciane wspomnienia.

Zakonnica w jaskrawych butach znów przeszła obok gabinetu, lecz tym razem cofnęła się, zajrzała do środka i coś do niego powiedziała.

Faris wpatrywał się w nią nieobecny wzrokiem. Nie potrafił zrozumieć sensu wypowiedzianych przez nią słów.

– Czy pan się dobrze czuje? – powtórzyła i podeszła bliżej.

Policjant zeskoczył z kozetki. W pierwszej chwili miał wrażenie, że zaraz się przewróci, lecz opanował drżenie kolan i wziął się w garść. Dalej bolały go oczy.

– Dziękuję – powiedział zachrypniętym głosem. – Jakoś daję radę. – Kulejąc i zataczając się, ruszył w stronę drzwi. – Zwolnię wam gabinet, pewnie komuś się przyda.

Żeby nie upaść, musiał przytrzymać się framugi.

Zakonnica przyjrzała mu się sceptycznym wzrokiem.

– Jest pan pewien? Może rozsądnie byłoby chwilę poleżeć?

Leżenie było jednak ostatnią rzeczą, na jaką miał teraz ochotę. Chciał, nie, nie tyle chciał, co musiał stąd wyjść! I to natychmiast! Musiał uciec z tego zimnego budynku, przepelnionego popiskiwaniami gumowych kólek łóżek i podeszew butów personelu. Na dodatek z różnych stron docierało pikanie monitorów serca, które kojarzyło mu się tylko z jednym – z mężczyzną przybitym do krzyża.

– Dziękuję, raczej nie – mruknął i wyszedł na korytarz.

Minęła go blada matka z apatycznym dzieckiem na rękach. Odruchowo skinął jej głową.

Potem odwrócił się jeszcze raz do zakonnicy, która stała niezdecydowana przy jego kozetce i zastanawiała się, czy może pozwolić mu odejść.

– Naprawdę, proszę się o mnie nie martwić. Nic mi nie jest. Doktor Makame poszedł obejrzeć moje zdjęcia rentgenowskie. Gdyby mnie szukał, to będę na zewnątrz. Muszę szybko zatelefonować.

Po tych słowach odwrócił się i zostawił siostrę w gabinecie.

Świeże nocne powietrze otoczyło go niczym jedwabna chusta, którą ktoś położył mu na twarzy. Dopiero teraz zauważył, że jest zlany zimnym potem. Podeszedł do jednego z okien i spojrzał na swoje odbicie w szybie. Od razu zrozumiał, dlaczego siostra tak dziwnie na niego patrzyła. Opatrunek na czole był bardzo brudny, a przez cały policzek ciągnęło się głębokie zadrapanie, z którego sączyła się krew. Do tego był błądy i wyczerpany, włosy sterczały mu na wszystkie strony, a worki pod oczyma przybrały ciemnofioletową barwę.

Lecz nie dlatego wyglądał bardziej na trupa niż żywego człowieka – tu chodziło o jego oczy i kompletną pustkę w spojrzeniu.

Za drzwiami izby przyjęć oddziału ratunkowego pojawiła się siostra w jaskraworóżowych butach. Rozejrzała się i kiedy go zobaczyła, przyjrzała mu się uważnie. Faris przypomniał sobie zakonnicę z metra, starszą kobietę o jasnych oczach. Nagle poczuł, że nie ma już sił, by dalej funkcjonować. Zupełnie jakby od dłuższego czasu usiłował działać na rezerwie, a ta się właśnie skończyła.

Przez bramę na teren szpitala wjechała karetka. Samochód poruszał się bardzo powoli, bez włączonych świateł ostrzegawczych. Na oddziale ratunkowym panował gorączkowy pośpiech. To mu uświadomiło, że świat się dalej kręci. W Berlinie ludzie żyją swoim życiem. Dostają zawałów serca i rodzą dzieci. Śmieją się, kłócą i oczekują, że on i jego koledzy ochronią ich przed szaleńcami, którzy podkładają bomby w pociągach. Przez chwilę myśli Farisa krążyły wokół Laury. W jego sercu zaczęła się budzić złość. Pozwolił jej urosnąć do takich rozmiarów, żeby mieć się czego trzymać. Wiedział, że przez najbliższych kilka godzin tylko złość może dać mu siłę, by się nie poddawać i dalej szukać zamachowca.

Potrząsnął głową i sięgnął po zastępczy telefon, który kupił niedaleko siedziby wydziału. Przez kilka sekund wpatrywał się w zgaszony ekran i próbował znaleźć w sobie dość odwagi, by zadzwonić do Gitty. Kiedy w końcu zebrał się w sobie, musiał wysłuchać, jak głosem pełnym łez zdaje mu relację z sytuacji. Zanim skończyła, do drzwi oddziału ratunkowego podjechała karetka bez włączonych sygnałów. Ze środka wyniesiono starszego mężczyznę na noszach. Podeszło do niego kilku lekarzy i razem wtoczyli go do środka. Faris znów skupił się na rozmowie z Gittą.

– ...dzwoniłam do Christy, żeby ją poinformować, co się stało – tłumaczyła sekretarka. Automatyczne drzwi izby przyjęć zamknęły się za mężczyzną na noszach i grupą towarzyszących mu lekarzy i sanitariuszy. – Musi już być w drodze do szpitala.

Christa. Żona Paula.

Faris zacisnął powieki. Tym razem nie zobaczył krwawych obrazów z zamachu bombowego, tylko wąską, pełną wyrazu twarz Christy Sievers. Jak mógłby spojrzeć jej teraz w oczy?

– Poczekam tu na nią – powiedział, zdając sobie sprawę, że ta decyzja będzie go bardzo wiele kosztować. – Czym się teraz zajmujecie?

– Jak tylko karetka zabrała cię z miejsca eksplozji, Tromsdorff ściągnął Marca do biura. – Młody policjant nie odniósł najmniejszych obrażeń. – W tej chwili składa szczegółowy raport z wydarzeń na działce Ellwangerów i opisuje wnętrze tej altanki. Jak skończy, podejmiemy decyzję, co dalej. Ben twierdzi, że taka kula ognia, jaką opisał Marc, to coś dziwnego i niespotykanego. Może to jakaś wskazówka, która pozwoli posunąć się naprzód? Poza tym wszyscy powinniśmy spróbować trochę odpocząć. Zwłaszcza ty.

Faris zignorował jej ostatnie zdanie. Kula ognia zmieniła najpewniej w popiół wszystkie wskazówki i ślady, które mogliby znaleźć wewnątrz altanki. Jedyne, co mieli, to pamięć Marca i opis tego, co zobaczył.

– Marc dość szybko stamtąd wyszedł – powiedział. – Nie wiem, czy zdążył zobaczyć to, co my: znaleźliśmy tam metalową skrzynkę, w której najprawdopodobniej była ukryta bomba. Poza tym w altance stał karton pełen tych śmiesznych światełek, które

noszą wszyscy uczestnicy Dni Kościoła.

– Uhm... – Gitta zamilkła, bo najpewniej zapisywała sobie jego słowa. – Przekażę to pozostałym. Dobrze. Coś jeszcze?

Faris miał wrażenie, że zaraz pęknie mu głowa, jakby w środku miał balon wypełniający się palnym gazem, który lada chwila może stanąć w płomieniach.

– Nie, niczego więcej sobie nie przypominam. Gdyby się cokolwiek pojawiło, zadzwonię i dam znać.

– Ach, jeszcze jedna sprawa. Ta pastorka... odesłaliśmy ją już do domu. Nie za bardzo nam pomogła.

– Dzięki, Gitta.

– Była tu, kiedy doszło do wybuchu, i słyszała, co się stało, Faris. Nie byłabym zaskoczona, gdyby pojawiła się u ciebie w szpitalu.

Faris potaknął w milczeniu i się zamyślił. Nie wiedział, czy to dobra, czy zła wiadomość. Ira Jansen była świadkiem. Kimś z zewnątrz. Jej obecność mogłaby go powstrzymać przed załamaniem. A wszystko, co miało potencjał, by uchronić go przed załamaniem, było dobre.

– Dzięki, Gitta – powtórzył. – Do usłyszenia.

– Do usłyszenia, Faris.

Blok operacyjny szpitala znajdował się tuż obok izby przyjęć oddziału ratunkowego. Korytarze o ścianach oklejonych żółtą tapetą wyglądały tak samo ponuro jak korytarze setek innych podobnych oddziałów w całym kraju. Było bardzo mało miejsc siedzących. Kilka połączonych ze sobą krzesełek stało obok płaskorzeźby z brązu, która, zdaniem Farisa, miała przedstawiać postać przepracowanego anioła stróża.

Siedziało tam starsze małżeństwo. Przytuleni trzymali się za ręce. Faris skinął im w milczeniu głową i się rozejrzał. Dopiero wtedy zauważył kobietę, która przycupnęła na krzeselku w niszy i siedziała, gniotąc w dłoni chusteczkę jednorazową.

– Faris! – Kobieta zerwała się z miejsca i rzuciła w jego stronę niczym tonący na widok ratownika. Złapał ją w ramiona. Szlochając, wtuliła się w jego pierś.

– Christa. – Miał zdrętwiałe usta, a kolejne fale poczucia winy zalewały go z mocą, której przeciwstawiał się ostatkiem sił. Cholera, to on się uparł, że Paul ma jechać z nim sprawdzić altankę Ellwangerów! To on wymusił na Tromsdorffie zgodę na to! Jeszcze gorzej: zamachowiec zlokalizował jego komórkę i dopiero wtedy wysadził chatkę w powietrze. – To ja powinienem zostać tam w środku... Christa... to ja powinienem teraz tu leżeć...

– Cii! – Uwolniła się z jego objęć. – Nie gadaj takich głupot. – Miała rozszerzone źrenice i czerwone oczy, ale przestała szlochać. Roztrzęsiona nabrała głęboko powietrza, by się uspokoić.

– Wiesz może, co konkretnie... – zaczął.

Potrząsnęła głową, nie dając mu dokończyć.

– Nie. Właśnie go operują. Przed chwilą był tu jakiś lekarz i powiedział, że ma poparzenia trzeciego i czwartego stopnia. – Jej głos zaczął się załamywać. – To nie wygląda dobrze, Faris!

Objął ramieniem żonę partnera, podprowadził do krzesła, z którego wstała,

i pomógł jej usiąść. Sam przysiadł naprzeciwko niej, na brzegu niewygodnego mebla z metalowej siatki.

– Od zawsze wiedziałam, że to się może zdarzyć – szepnęła Christa. – Zdawałam sobie z tego sprawę już wtedy, kiedy wychodziłam za Paula. Wiedziałam, ale nigdy nie dopuszczałam do siebie myśli, że to naprawdę możliwe. – Zamrugła, po czym spojrzała na Farisa. Była tak blada, że widać było cienkie fioletowe żyłki pod skórą policzków. – Jak to jest, że czujemy się tak bardzo niezniszczalni? Wiesz, co mu dzisiaj powiedziałam? Jakimi słowami go pożegnałam?

– On przecież żyje, Christa – szepnął Faris słabo.

Kobieta jakby tego nie usłyszała.

– Narzekałam! Narzekałam, bo znów gdzieś posiał kluczyki do auta i musiałam mu ich szukać.

Przerwała i nadstawiła ucha, jakby słuchała czegoś, co tylko ona mogła usłyszeć.

– Zawiadomiłaś kogoś? – zapytał. – Rozmawiałaś z kimś, kto mógłby przyjechać się tobą zająć?

Christa potaknęła, nie patrząc w jego stronę.

– Tak, rozmawiałam z siostrą. Lada chwila powinna tu być.

– Świetnie. – Faris skupił się na pulsującym szumie krwi w uszach.

– Odłożyliśmy na później wyjazd na urlop – tłumaczyła Christa. Łzy spływały jej po policzkach. – Paul mówił ci o tym? Byłam strasznie zła, ale on tłumaczył, że równie dobrze możemy jechać za cztery tygodnie. – Z jej gardła wydobył się dźwięk przypominający kwilenie małego dziecka. – Mówił, że jeszcze nie raz będziemy mieli okazję wyskoczyć na wakacje.

Faris zacisnął powieki. Kiedy otworzyły się drzwi jednej z sal operacyjnych, nie potrafił powiedzieć, czy minęło kilka minut, czy raczej kilka godzin. Na korytarz wyszedł chirurg w zielonym fartuchu jednorazowym.

– Pani Sievers? – zapytał.

– Tak? – Christa wstała niepewnie, ale nie ruszyła się z miejsca.

Lekarz spojrzał w jej stronę, a Farisowi wystarczyło to jedno spojrzenie, by wiedział, co zaraz powie. Również się podniósł.

Christa patrzyła na chirurga, a w jej oczach płonęła rozpaczliwa nadzieja.

– Jak on się czuje? – wyszeptała.

– Pani mąż odniósł obrażenia skutkujące bardzo rozległymi poparzeniami trzeciego i czwartego stopnia – wyjaśnił lekarz, dodając potem jakieś długie i skomplikowane wyjaśnienie sytuacji, w jakiej znalazł się Paul. Bardzo wiele niezrozumiałych słów, by uniknąć tego, czego bał się nazwać. W końcu zamilkł. Miał smutną, nieszczęśliwą minę.

Christa wpatrywała się w niego bezradnie.

– Co to znaczy?

Faris podszedł do niej, żeby w razie potrzeby ją wesprzeć. Kątem oka zauważył, że na końcu korytarza otworzyły się drzwi i stanął w nich Tromsdorff.

Lekarz nabrał głęboko powietrza.

– To znaczy, że niczego więcej nie mogliśmy dla niego zrobić.

– Czyli kiedy wyzdrowieje? – wyszlochała Christa.

W tamtym momencie Faris najchętniej zacząłby krzyczeć, lecz wiedział, że nie może.

– On nie żyje, Christo – powiedział cicho. Dopiero kiedy wypowiedział te słowa, z całą mocą dotarło do niego ich znaczenie.

– Nie! – Kobieta odwróciła się gwałtownie w jego stronę i zmierzyła go dzikim wzrokiem. – Nie wolno ci tak mówić!

Niespodziewanie zmienił się ton jej głosu. Nie był już słaby i przepojony szlochem, tylko głośny i agresywny.

– To niemożliwe! On musi żyć!

Faris wiele by poświęcił, żeby tak było, żeby mógł wziąć ją w ramiona i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Ale nie mógł tego zrobić. Nie mógł jej okłamywać. Odszukał spojrzenie lekarza. Proszę mi pomóc! – zażądał od niego milcząco i poczekał, aż ten weźmie się w garść.

– Bardzo mi przykro – powiedział chirurg z nieszczęśliwą miną. – Nic więcej nie mogliśmy zrobić dla pani męża. obrażenia były zbyt rozległe i zbyt ciężkie.

Reakcja kobiety była znacznie gwałtowniejsza i gorsza niż złość przed chwilą. Faris obserwował zmianę na jej twarzy, kiedy docierało do niej znaczenie słów chirurga i zaczynała rozumieć, że już nigdy nie zobaczy męża. Jak strasznie się przed tym broni i jak nie chce zaakceptować tej świadomości. I w końcu, jak przegrywa te zmagania. Zapadła się w sobie i skurczyła tak gwałtownie, że Faris poczuł mdłości. Jej twarz poszarzała, a usta pobladyły.

– Nie! – wyszeptała. – Nie! Faris! Powiedz, że to nie może być prawda!

Milczał. Nie było słów, które mogłyby przynieść ulgę w jej cierpieniu.

– Powinieneś być bardziej na niego uważać! – wykrzyknęła niespodziewanie.

Jej zarzut zabolął go tym mocniej, że dobrze wiedział, o ile większą winę ponosi – bomba w altance była przeznaczona dla niego, więc to on powinien zginąć, a nie Paul!

Faris przełknął ślinę, choć dalej strasznie bolało go gardło.

– Christa, ja... – zaczął, ale zamilkł bezradnie.

– Zostawię teraz państwa samych – mruknął lekarz. Odwrócił się pospiesznie i uciekł na blok operacyjny, a zamykające się za nim drzwi stłumiły jego pospieszne kroki.

Christa zacisnęła pięści. Faris miał nadzieję, że rzuci się na niego i zacznie go bić. Ona jednak stała nieruchomo, spoglądała na niego oczyma pełnymi łez i szeptała słabo:

– Dlaczego ty cały czas żyjesz, a on... – przerwała zaskoczona, bo niespodziewanie Tromsdorff chwycił ją za łokieć.

– Chodź – powiedział krótko cichym, słabym głosem. Tylko to jedno słowo. I nic więcej.

Poprowadził Christę do krzesełek o metalowych siedzeniach i pomógł jej usiąść. Otworzyły się drzwi na drugim końcu korytarza i pojawiło się w nich dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna. Rozejrzeli się i ruszyli w jej stronę. „Siostra Christy z mężem” – pomyślał Faris, kiedy zobaczył, że od razu zajęli się zapłakaną kobietą. Usiedli po obu jej stronach. Kobieta objęła ją serdecznie i oboje próbowali ją pocieszyć. W tej samej chwili poczuł, jak ogarnia go poczucie beznadziejnej samotności, takie samo, jakiego doświadczył już

wcześniej tego dnia, w mieszkaniu Hessego.

Dyskretnie cofnął się o krok. Potem zrobił jeszcze jeden. I jeszcze jeden.

W końcu odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. Tromsdorff poszedł za nim.

Rozdział 23

Ukryta w mroku Ira siedziała w samochodzie przed wejściem do szpitala. Po załatwieniu wszystkiego na policji wróciła do domu taksówką, przesiadła się do prywatnego auta i zaraz przyjechała tutaj.

Już od dłuższej chwili wpatrywała się niezdecydowana w szklane drzwi izby przyjęć oddziału ratunkowego i patrzyła, co dzieje się w jasno oświetlonym wnętrzu. Nagle w wejściu stanął podkomisarz Iskander. Poruszał się w sposób, który nie miał nic wspólnego z energią i sprężystością, jakie dostrzegła wcześniej. Miała wrażenie, że jest śmiertelnie wyczerpany.

Nie był sam. Tuż za nim rozpoznała jego szefa, radcę Tromsdorffa.

Obaj wyszli na dwór, ale jej nie zauważyli. Zatrzymali się pod drzewem rosnącym pośrodku ronda przed drzwiami do szpitala. Faris stał ze wzrokiem wbitym w ziemię i zaciśniętymi pięściami. Wyglądał, jakby jakaś pozaziemska moc zatrzymała go w pół ruchu. Przez kilka minut nawet nie drgnął. Tromsdorff spoglądał na niego bezradnie.

– Faris – poprosił w końcu. – Porozmawiaj ze mną!

Bardzo, bardzo powolnym ruchem podkomisarz Iskander uniósł głowę i skierował wzrok na szefa, jednak dalej nic nie mówił. Padało na nich zimne, nienaturalne światło latarni.

Naraz Ira uświadomiła sobie, że ich podsłuchuje. Szybko zamknęła okno. Podkomisarz Iskander – Faris, poprawiła się szybko – odpowiedział szefowi. Tromsdorff potaknął poważnie.

I znów przez dłuższą chwilę stali naprzeciwko siebie i nic nie mówili, aż w końcu Faris osunął się wyczerpany na ławeczkę pod drzewem, po czym oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach.

Tromsdorff coś do niego powiedział.

Nie patrząc w jego stronę, Faris potrząsnął głową.

Tromsdorff znów zaczął mówić, na co policjant powtórnie potrząsnął głową, tyle że znacznie energiczniej. Kiedy uniósł wzrok, jego oczy błyszczały złością. Gwałtownym ruchem odchylił kurtkę. Mimo ciemności przy jego pasku błysnęła mrocznie rękojeść broni.

Szef wydziału wyciągnął dłoń, jakby na coś czekał, a Ira na powrót opuściła szybę. Nie mogła wytrzymać niepewności, chciała wiedzieć, o co chodzi.

Faris po raz trzeci potrząsnął głową.

– Oddałeś mi ją! – usłyszała kobieta. – Wiedziałeś, co to oznacza!

– Nie chrzań, Faris! – Tromsdorff uniósł bezradnie ramiona. – Wiesz, o co chodzi! Martwię się o ciebie!

– Niepotrzebnie. Martw się lepiej o dochodzenie.

– A co z tobą?

Faris schował głowę między kolanami, jakby nagle zebrało mu się na wymioty. Ira miała wrażenie, że jest strasznie spięty. „Jakby zaraz miał eksplodować” – pomyślała i sama przestraszyła się tego skojarzenia. Jednak policjant nie eksplodował. Wręcz

przeciwnie.

Odpowiedział szefowi cichym, pustym i pozbawionym jakichkolwiek emocji głosem:

– Ja już nie daję rady, Robert. Musicie sami dopaść tego skurwysyna. Mnie już załatwił.

Ostatnie słowa policjanta wywołały w jej piersi zaskakująco ostry ból.

– Jeśli zadzwoni, a ty strzelisz sobie... – Tromsdorff przerwał, bo Faris gwałtownym ruchem uniósł dłoń, dając mu znak, żeby nie kończył. – Okej! Jak chcesz! – mruknął pojednawczo.

– Nie zadzwoni więcej – powiedział Faris. – Dzięki lokalizacji upewnił się, gdzie jestem, i dopiero wtedy zdetonował bombę i wysadził altankę w powietrze. Moim zdaniem uważa, że nie żyję. – Sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął smartfon. Gestem, w którym kryło się śmiertelne zmęczenie, podał go Tromsdorffowi. – Wyłączyłem go, kiedy Paul...

Szef wydziału myślał intensywnie. W pierwszej chwili chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język i zamknął usta. Wziął do ręki telefon, przyjrzał się mu – i z powrotem go uruchomił.

Potem oddał go Farisowi.

– Weź taksówkę, wracaj do domu i spróbuj złapać trochę snu. To był cholernie długi dzień! Ale proszę, nie wyłączaj telefonu. Możliwe, że ten czubek już nie zadzwoni. Mimo to nie chcę ryzykować.

Faris odetchnął głęboko. Pobladał przy tym, jakby ruch klatki piersiowej sprawiał mu fizyczny ból.

– Dobra, szefie. – Uniósł wzrok. – Dorwijcie tego skurwysyna! – wyszeptał ochryple.

Tromsdorff wykonał ruch, jakby chciał położyć mu dłoń na ramieniu, jednak zmienił zdanie i opuścił rękę.

Ira miała wrażenie, że widzi samotność otaczającą Farisa niczym mroczna aura.

– Dasz sobie radę? – zapytał szef. – Jeśli chcesz, mógłbym zadzwonić do Anisah...

– Nie trzeba, poradzę sobie. – Policjant wstał z ławki. Spojrzał przełożonemu w oczy. Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem, aż w końcu Tromsdorff skinął głową.

– Zadzwon, jeśli cokolwiek będzie się działo!

Policjant milczał.

– Iskander! Słyszałeś, co powiedziałem?

– Tak. – Faris ukrył twarz w dłoniach.

Tromsdorff chciał się odwrócić i odejść, jednak zanim to zrobił, podwładny wyjął broń z kabury i podał mu ją na otwartej dłoni.

– Na wszelki wypadek – mruknął.

Szef WPR-u rozejrzał się pospiesznie, jakby się bał, że ktoś może ich obserwować. Ira zauważyła, że mężczyźnie wyraźnie ulżyło, jakby kamień spadł mu z serca.

– Dzięki – szepnął z wdzięcznością. Potem wsunął pistolet do kieszeni marynarki i odszedł.

Faris został sam. Przez jakiś czas stał pod drzewem i się nie ruszał. Jakaś nisko zwieszona gałąź dotykała jego policzka, lecz on zdawał się tego nie zauważać. Po kilku długich minutach w końcu się ruszył. Drgnął, odwrócił się i chciał odejść, kiedy z przeciwka dostrzegł czwórkę młodych mężczyzn. Grupka zbliżyła się jeszcze kawałek i zatrzymała. Wszyscy mieli na sobie spodnie bojówki i czapki z daszkiem i zachowywali się tak, jakby znali Farisa albo on znał ich.

Policjant znieruchomiał.

Przez krótką chwilę stał niezdecydowany, jakby zastanawiał się, co powinien zrobić. W końcu wyprostował się, ściągnął ramiona i ruszył prosto na nich.

Ira mogłaby przysiąc, że w słabym, chłodnym świetle latarni dostrzegła na jego twarzy uśmiech pełen ponurego zadowolenia. Mężczyźni rozstawili się półkolem i również zaczęli się do niego zbliżać.

– Idiota! – Ira nie zastanawiała się długo. Wsunęła kluczyk do stacyjki i uruchomiła silnik, po czym zawróciła, najszybciej jak potrafiła. Zrównała się z Farisem, kiedy od mężczyzn w bojówkach dzieliło go nie więcej niż dziesięć kroków.

Zatrzymała się i wyjrzała przez okno.

– Panie Iskander!

Policjant zwolnił i z ociąganiem spojrzał w jej stronę. W jego oczach dostrzegła ponurą i groźną determinację, coś, co sprawiło, że poczuła ciarki na plecach. W końcu ją poznał.

– Pani Jenssen.

Kobieta popatrzyła na zbliżających się osiłków.

– Mogę pana dokądś podrzucić?

Faris spojrzał przed siebie.

– Nie, dziękuję!

Ira zacisnęła dłoń na kierownicy.

– To nie przywróci życia pana partnerowi! – powiedziała cicho.

Policjant zamrugnął. Ponury mrok zniknął z jego oczu.

– Nie, nie przywróci. Ma pani rację. – Wsunął dłonie w kieszenie skórzanej kurtki.

Mężczyźni w bojówkach zatrzymali się, zamienili kilka słów szeptem i zdecydowali się odejść. Kiedy zniknęli za rogiem, Ira odetchnęła z ulgą.

– Podrzucę pana do domu, co pan na to? – zaproponowała Farisowi.

Policjant potrząsnął głową.

– Nie, dziękuję. Dam sobie radę – mruknął i bez pożegnania ruszył przed siebie.

Poczuła się, delikatnie rzecz biorąc, zlekceważona. Przyglądała się, jak mija ogródki i skręca w ścieżkę prowadzącą do niewielkiego parku. Zrobiła z siebie wariatkę. Właściwie go nie знаła, więc skąd w ogóle pomysł, że powinna się o niego troszczyć? Przecież chyba nie przez jego smutne oczy? Czy może jednak...?

Ona i jej syndrom Matki Teresy. Przypomniała sobie kpiące słowa Thomasa. I jak się śmiał, że ciągnie ją do facetów z problemami.

– Niech to szlag! – zaklęła, wyjęła kluczyk ze stacyjki i pobiegła za Farisem w ciemność.

Dogoniła go na moście nad niewielkim, sztucznym stawem dla kaczek. Oparł się

łokciami o kutą balustradę i wpatrywał pustym wzrokiem w mętłą wodę, w której odbijały się ustawione na brzegu staromodne latarnie.

Podeszła do niego niepewnym krokiem.

On nie podniósł głowy i nie spojrzął na nią, jednak wyraźnie się spiął, więc wiedziała, że zauważył jej obecność.

– Wkurzanie innych należy do obowiązków duchownych? – zapytał.

Wzruszyła ramionami. Niespodziewanie poczuła się jak stalkerka.

– Nie – odpowiedziała, starając się rozluźnić. Stała obok niego. Woda w stawie śmierdziała zgnilizną. Ira dostrzegła tylko jedną kaczkę i pomyślała, że ona również wolałaby być gdzieś indziej.

– Po co pani za mną łązi? – Policjant ani razu jeszcze na nią nie spojrzął.

Podrapała się po nosie.

– Pewnie przeczuwałam, że chce pan zrobić coś głupiego, i postanowiłam temu zapobiec.

W końcu oderwał wzrok od brudnej wody i popatrzył na nią. Mimo słabego światła rzucanego przez nieliczne latarnie na brzegu stawu natychmiast zauważyła, że ma czerwone, przekrwione oczy.

– Wiedziała pani, że dopiero dzisiaj otrzymałem z powrotem broń służbową? Wcześniej byłem zawieszony.

„Cholera!” – pomyślała kobieta. Jego słowa oznaczały, że zauważył ją jeszcze przed szpitalem, kiedy siedziała w samochodzie i słuchała, jak rozmawia z szefem. Pewnie pomyślał, że uczepiła się go jak rzep psiego ogona!

Skinęła głową, by okazać zrozumienie dla jego sytuacji. Umiała rozmawiać z cierpiącymi i miała dość doświadczenia, by wiedzieć, że trzeba pozwolić im mówić na temat, który ich boli.

– Dlaczego został pan zawieszony? – zapytała ostrożnie.

– Spuściłem wpierdol jakiemuś neonaziście.

– Ach! – To ją tak zaskoczyło, że nie zdążyła się powstrzymać i sapnęła głośno. Przypomniała sobie mięśniaków w bojówkach przed szpitalem.

Nie potrafiła zinterpretować spojrzenia Farisa i z trudnością wytrzymywała intensywność jego spojrzenia.

– Nazwał mnie zamachowcem i podkładaczem bomb.

– Rozumiem.

Odwrócił głowę i spojrzął na kaczkę, która pływała w pobliżu mostu.

– Nie – odpowiedział bardzo cicho. – Nic pani nie rozumie.

– Pewnie ma pan rację. – Pokiwała głową i zamilkła. Przez chwilę szukała sposobu, żeby podtrzymać rozmowę. – Co teraz będzie z prawdziwym zamachowcem? Tym, którego pan ściga?

Zaśmiał się. Przez zaciśnięte zęby i ze złością, lecz mimo to się zaśmiał. Ira poczuła się nieswojo.

– Dlaczego pani pyta? Uznała pani, że już się poddałem i nic więcej nie mogę zrobić? – mruknął.

– Jest pan zbyt krytyczny wobec siebie. Przed chwilą stracił pan partnera. Myślę,

że nikt nie ma prawa i też nikt nie wymaga od pana, by natychmiast wrócił pan do pracy i pracował na najwyższych obrotach, jak dotychczas.

Spojrzał na nią z boku. W jego oczach, prócz smutku, dojrzała również uwagę. Znów poczuła się nieswojo. Nie chciała, by to dostrzegł.

– Wszyscy ludzie z firmy robią, co mogą, żeby go dopaść. Ja nie jestem im do niczego potrzebny.

– Sam pan w to nie wierzy! – Ira spojrzała na niego wzburzona, po czym dodała:

– A nawet jeśli pan tak uważa, to nie chce pan tego zaakceptować.

W oczach policjanta pojawił się błysk zaskoczenia. Chryste Panie, ależ one były podobne do oczu Thomasa!

– Nie myślała pani o karierze w policji? – zapytał. – Ma pani niesamowity zmysł obserwacji.

– Jestem duszpasterką.

– Hm. – Faris spuścił wzrok i popatrzył na wodę. Delikatny wiatr poruszył gałęziami drzew. Kobiecie zrobiło się chłodno.

– Dlaczego pomyślał pan, że nikt już pana nie potrzebuje? – drążyła.

Przez chwilę się obawiała, że nie będzie chciał jej odpowiedzieć. W końcu jednak westchnął ciężko.

– Zlokalizowałem moją komórkę i dopiero wtedy zdetonowałem ładunek wybuchowy, który zabił mojego partnera. Potem wyłączyłem telefon. Dotychczas po każdym wybuchu dzwonił, żeby porozmawiać. Jeśli tym razem też chciał się ze mną połączyć, musiał pomyśleć, że nie żyję. – Sięgnął do kieszeni, wyjął komórkę i pokazał jej aparat. Ira wzięła go do ręki i się zawahała. Nie wiedziała, po co to zrobił.

– Proszę, niech pani kliknie na skrzynkę pocztową i zobaczy mejla, którego wysłał mi rano.

Popatrzyła niepewnie na ekran i zrobiła, co jej polecił. Zdawała sobie sprawę, że uważnie ją obserwuje, i zastanawiała się, co w tej chwili myśli.

Faris nie wiedział, co go napadło, żeby pokazywać nagranie ukrzyżowania Ellwangera tej wścibskiej i nieustępliwej pastorce. Może chciał ją przestraszyć? Liczył, że zaszokowana w końcu się odczepi? A przecież gdzieś w głębi duszy się cieszył, że jest przy nim? Wprawdzie oddał broń szefowi, bo się bał, że w nocy mógłby strzelić sobie w łeb, lecz przecież to nie był jedyny sposób, żeby odebrać sobie życie... Teraz przynajmniej nie był sam.

Z mieszanymi uczuciami przyglądał się, jak Ira otwiera nagranie i ogląda scenę krzyżowania. Kiedy skończyła, była zupełnie blada. Poczuli straszne wyrzuty sumienia.

– Dzisiaj rano dostałem to pocztą od zamachowca – wyjaśnił i odebrał jej telefon.

– Od tego czasu wysyłał mnie w różne miejsca i za każdym razem, kiedy się spóźnię, detonuje kolejną bombę.

– Bawi się z panem?

Nie umiał odpowiedzieć na to pytanie.

– Ale po eksplozji w altanie na działce już się nie odezwał – ciągnęła kobieta.

– Dlatego nie może mieć pewności, czy pan zginął, czy nie.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Gdyby zadzwonił, kiedy miał pan wyłączony smartfon, po jego włączeniu pojawiłaby się informacja o tym – dodała.

– Aha. – Schował komórkę do kieszeni. Miał wrażenie, że jest jak rozżarzony węgiel, który zaraz wypali w nim dziurę. Nie wiedział, co było gorsze – fakt, że ten skurwiel może w każdej chwili zadzwonić, czy to, że jemu nie pozostało nic poza biernym czekaniem.

– Sam pan powiedział, że reszta zrobi wszystko, żeby go dopaść. – Ira położyła mu ostrożnie rękę na przedramieniu. Wciąż jeszcze opierał się łokciami o barierkę. Była zaskoczona, że się nie odsunął, lecz nie wiedziała, że czuł się tak, jakby już nigdy w życiu nie miał się ruszyć z miejsca. – Powinien pan spróbować się przespać, chociaż chwilę. Powiedział pan, że zamachowiec planuje atak w czasie jutrzejszej mszy papieskiej. Zostało jeszcze trochę czasu. – Cofnęła dłoń, a Faris poczuł niewytłumaczalną tęsknotę za jej dotykiem.

Pomyślał o Wernerze Ellwangerze. Gdzieś w Berlinie mężczyzna wisiał przybity do krzyża. Człowiek, który mu to zrobił, miał na sumieniu jego partnera. Tymczasem on, Faris, stał sobie na mostku nad stawem i użalał się nad sobą! Poczł obrzydzenie.

Chciał odepchnąć się od balustrady, wyprostować się i odejść. Chciał... ale nie mógł. Człł się tak, jakby jego ciało tkwiłł w ołowianej szacie, która nie pozwalała mu się ruszyć. Ba, nie mógł nawet swobodnie oddychać!

Ira ujęła go pod łokieć.

– Proszę, pomogę panu – powiedziała. – Gdzie pan mieszka? Podrzucę pana do domu.

Ledwie Faris wsiadł do jej samochodu, odezwała się jego nowa, zastępcza komórka. Ucieszył się, że przynajmniej na samym początku podróży nie będzie musiał zmagać się z kłopotliwą ciszą, i odebrał połączenie.

Dzwonił jego ojciec.

– Jak się czujesz? – zapytał starszy mężczyzna.

– Dobrze, *abu* – odpowiedział. Mimo że do Niemiec przyjechał w wieku czterech lat i obaj mówili płynnie po niemiecku, nigdy nie przestał nazywać ojca arabskim słowem oznaczającym tatę. – Samir zabrał was z miasta?

– Tak, mnie, *umi* i twoje rodzeństwo z dziećmi – odparł ojciec. – Jesteśmy w...

– Ci!!! Nie mów! – krzyknął Faris gwałtownie. – Nie mów, gdzie jesteście. Nie mam pewności, czy ten człowiek nie podsłuchuje moich rozmów.

To wyznanie sprawiło, że starszy mężczyzna zamilkł i przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć.

– Twoja matka nie była zachwycona, że jako jedyny zostałeś w Berlinie – odezwał się w końcu, lecz w jego słowach kryłł się coś jeszcze: niewypowiedziany wyrzut.

To wszystko przez ciebie. Gdybyś nie został policjantem...

Jednak ku jego uldze ojciec tym razem nie utyskiwał nad dokonanymi przez niego wyborami.

Faris przeczesał dłonią włosy. Poczłł na sobie uważny wzrok Iry.

– Muszę już kończyć, *abu*. Jest bardzo późno... – mruknął.

– Oczywiście. Uważaj na siebie. Modłę się do Allacha, żeby też nad tobą czuwał!

Nieoczekiwana troska i serdeczność przebijająca ze słów ojca sprawiły, że wyrzuty sumienia, które Faris miał już wcześniej, przybrały gwałtownie na sile.

– Dziękuję, *abu*. Ucałuj ode mnie *umi* i Anisah.

– Ucałuję, synku. *As-salamu alaikum*.

Wypowiedziane w dobrej wierze pozdrowienie było dla niego niczym cios pięścią. Musiał zacisnąć zęby i odetchnąć głęboko, zanim odpowiedział:

– *Wa-alaikum s-salaam, abu*.

– Panie Iskander? – usłyszał głos Iry.

Nie odpowiedział.

– Faris? – powtórzyła kobieta.

Dopiero wtedy dotarło do niego, że są już na miejscu. Nie potrafił sobie przypomnieć niczego z drugiej części drogi.

Zmusił się, żeby skinąć głową.

– Jak się pan czuje? – zapytała. Była bardzo blada.

– Nie jest źle. – Jego głos stał się słaby i głuchy. Nie mógł nabrać oddechu.

Skłamał. Było źle.

– Księgarnia japońska! – Ira z niekłamany zainteresowaniem przyglądała się sklepowi, który od lat mieścił się poniżej mieszkania policjanta. Mimo że minęła już północ, w środku było włączone światło.

Północ! Za niecałe dwadzieścia cztery godziny wybuchnie bomba umieszczona gdzieś na Stadionie Olimpijskim! Faris znieruchomiał, kiedy znów to sobie uświadomił, lecz ze zdziwieniem stwierdził, że tym razem nie towarzyszyły temu żadne emocje.

Wszystko stało się mu serdecznie obojętne.

Otworzył drzwi do domu i spojrzał wyczekująco na kobietę.

Nachyliła się.

– Ma pan kogoś, kto mógłby przyjechać i się panem zająć? – zapytała. – Członka rodziny? Kogoś znajomego?

„Laura!” – pomyślał natychmiast.

Powoli pokręcił głową. Do głowy przysła mu Anisah, jego starsza siostra i jedyna osoba, którą w tej chwili mógłby znieść w swoim pobliżu. Coś go jednak powstrzymało i nie wspomniał o niej słowem. Poza tym przecież ona i cała reszta jego rodziny wyjechali z Berlina. Był sam. Poczucie beznadziei i bezcelowości otoczyło go miękko niczym welon.

Ira się zawahała.

– Szczerze mówiąc, nie jestem przekonana, czy to rozsądne zostawiać teraz pana samego.

On również miał co do tego duże wątpliwości. Myśl o zamykających się za nią drzwiach i napierających na niego ścianach wydała mu się tak nie do zniesienia, że bez słowa otworzył szerzej drzwi i wpuścił kobietę do mieszkania. Mijając go, spojrzała mu w oczy.

Odwrócił głowę.

– Katolicycy duszpasterze zawsze tak troskliwie zajmują się ludźmi, których zupełnie nie znają? – zapytał, kiedy znalazła się w środku, a on odwiesił skórzaną kurtkę.

Jej spojrzenie znieruchomiało na krwistoczerwonej bliźnie po poparzeniu, która wзираła spod rękawa T-shirtu. Uśmiechnęła się słabo.

– Zawsze!

Popatrzył na nią sceptycznie i zaprosił gestem do salonu. Nie był pedantem, ale też nie miał w domu bałaganu. Ledwie jedną chwilę zajęło mu uprzątnięcie kilku czasopism i szklanki z poprzedniego wieczoru.

Ira usiadła na skórzanej kanapie i jeszcze zanim zaczął się obawiać, że zapadnie między nimi kłopotliwa cisza, kobieta wskazała na skórzany pasek na jego nadgarstku.

– Ależ to ładne. Gdzie pan to kupił?

Faris spojrzał na bransoletkę, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Nie czuł się na siłach, by choćby wspomnieć o Laurze, więc potrząsnął głową.

– Przywiozłem z urlopu.

Ira przyglądała się wyblakłym znakom na skórze.

– To po arabsku, prawda?

Potaknął.

– Co to znaczy?

– „Ja was wspomogę tysiącem aniołów idących jedni za drugimi”¹ – zacytował pierwszy lepszy wers Koranu, jaki przyszedł mu do głowy.

Jeśli mu nie uwierzyła, że dwa krótkie słowa mogą tłumaczyć się w tak długie zdanie, to nie dała tego po sobie poznać.

– Piękne – stwierdziła. Wyraźnie miała ochotę powiedzieć coś jeszcze, jednak nie wiedziała co.

Faris dalej stał. Spojrzał na nią.

– Zaraz wrócę. Pójdę tylko zmienić ubranie.

Przechodząc korytarzem, spojrzał w lustro i zobaczył, że lądowanie w krzakach po eksplozji mocno nadwerżyło stan jego garderoby. „Jeszcze trochę, a zostanę z pustą szafą” – pomyślał w przyływie gorzkiej ironii.

Doczłapał do sypialni, odpiął pustą kaburę i ściągnął przez głowę brudny T-shirt.

Kiedy się nachylił, żeby zdjąć buty, dostał zawrotów głowy tak silnych, że się zatoczył. Biodrem uderzył o ramę łóżka. Nogi łóżka przesuwające się po gładkiej podłodze wyłożonej płytkami wydały przenikliwy pisk.

– Halo? Wszystko w porządku? – zawołała Ira, nie wychodząc z salonu.

Do zawrotów głowy doszły mdłości tak gwałtowne, że zgiął się w pół, żeby nie zwymiotować. Po omacku szukał jakiegoś podparcia, czegoś, czego mógłby się przytrzymać. Niczego nie znalazł i w następnej chwili wylądował na kolanach na podłodze.

– Boże drogi! Co tu się dzieje?

Ira była w jego sypialni. Nawet nie zauważył, kiedy weszła do środka. Poczł jej dłonie na swoich nagich ramionach i torsie. Próbowwała go podnieść i posadzić na łóżku. Starał się jej pomóc, na tyle, na ile był w stanie. W końcu zawroty głowy ustąpiły. Jedyne, z czym nie mógł sobie poradzić, to drżenie kolan.

Uwolnił się z uchwytu Iry i stanął prosto.

– Przepraszam – mruknął.

– Niech się pan lepiej położy – poradziła.

– Nie jest pani moją matką – zaprotestował słabo, lecz jego sprzeciw nie zrobił na Irze wielkiego wrażenia. Delikatnie, acz zdecydowanie pchnęła go w stronę łóżka.

– Albo położy się pan z własnej woli, albo będę musiała pana zmusić! – zagroziła.

– Niech pani tylko spróbuje!

Uśmiechnęła się prześmiewczo.

– Naprawdę czuje się pan taki mocny? W pana obecnym stanie mogę przewrócić pana silniejszym dmuchnięciem!

Wtedy przestał się jej opierać. Padł na łóżko i zsuwając stopami buty, przyglądał się, jak Ira zasłania okna.

– I co, zdejmie mi pani spodnie? – zapytał. Miał kompletny mętlik w głowie.

– Z tym akurat powinien pan sobie sam poradzić. – Podeszła do drzwi. – Będę obok. Proszę krzyczeć, jeśli będzie pan czegoś potrzebować.

– Dobrze, *umi* – mruknął.

Zanim Ira wyszła z pokoju, już spał.

Natychmiast znalazł się w środku tego samego koszmaru.

Szedł długim korytarzem i wiedział, że jest w Muzeum Klerscha. Świadomość, że ten budynek nie istnieje, nawet we śnie wydawała mu się całkowicie irracjonalna. Czuł się zagubiony.

Szedł przed siebie, nie wiedząc dokąd, aż znalazł się przed bogato zdobionymi drzwiami. Dobrze wiedział, co się za nimi kryje. Chciał się zatrzymać, ale nie potrafił. Krok po kroku był coraz bliżej nich.

Ogarnęła go groza tak wielka, że odczuwał ją niczym rozżarzone palce zaciskające się na jego żołądku. Był tak spięty, że bolały go ramiona, zębra i głowa. Wszystko spowijały jaskrawe płomienie i kiedy spojrzał w dół na siebie, spodziewał się zobaczyć żywy ogień przebijający przez jego skórę.

Mylił się. Niczego tam nie było.

Ba, z klatki piersiowej zniknęła nawet blizna po poparzeniu! Widział to z pewnością możliwą jedynie w snach, choć miał na sobie przecież polarową bluzę, którą włożył w dniu eksplozji w Muzeum Klerscha.

Dał z siebie wszystko i zwiększył wysiłek, by się zatrzymać. Nadaremno.

Dotarł właśnie do drzwi, a te otworzyły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, choć nic przecież nie zrobił.

– Nie! – wyszeptał.

Ludzie w środku spoglądali na niego pustymi oczyma. W końcu dostrzegł Laurę i Anisah. I Lilly. I rodziców. I Paula. Jego partner miał zwęgloną twarz, a gorąco eksplozji zmieniło jego oczy w szklistobiałe kulki.

Faris jęknął.

– To powinieneś być ty! – powiedział Paul z wyrzutem.

Mówił zniekształconym głosem nieznajomego. A potem podciągnął koszulę, luźno wiszącą na spodniach.

W pasie nosił zapięty pas szahida. Uśmiech rozjaśnił jego twarz. Zawsze miał taką minę, kiedy stroił sobie z niego żarty.

– Paul! – szepnął Faris. – Nie!

Jego martwy partner uniósł powoli dłoń. Trzymał w niej detonator, czarny sześcian z czerwonym guzikiem.

– Nie możesz! Nie wolno ci! – Faris zdawał sobie sprawę, że musi mówić głośniej, jeśli chce powstrzymać Paula przed uruchomieniem eksplozji. Ale nie, nie potrafił tego zrobić. Po prostu nie potrafił. Jedyne dźwięki, jakie wydobyły się z jego gardła, to słaby jęk.

– To nie ty uruchomiłeś detonator, Faris – powiedział Paul. Teraz mówił swoim własnym głosem. – Nie ty, tylko ja! – Roześmiał się.

I rzeczywiście, w następnej chwili nacisnął czerwony guzik.

Pojawiła się ognista kula, otoczyła Farisa. Nieprawdopodobnie gorąco odrywało jego ciało od kości, lecz on nie czuł bólu. Widział, jak płoną jego rodzice i Anisah. Laura. Z rozpaczliwym krzykiem padł na ziemię i zaczął szlochać.

– Faris!

Ktoś nim potrząsał. Rozrzucił ramiona na boki, bo miał wrażenie, że zaraz upadnie, i chciał się przytrzymać. Krzyczał? Nie, chyba nie. Nie wiedział. Z wysiłkiem zaczął się budzić z sennych wizji.

– O, Allachu! – wyrwało mu się.

– Miał pan koszmary!

Ira była obok. Siedziała na brzegu łóżka i trzymała go w ramionach niczym matka dziecko.

– Spokojnie, to był tylko sen!

Później żadne z nich nie wiedziało, jak do tego doszło. Przytrzymała Farisa, kiedy rzucał się przez sen i bił na boki. Potrząsnęła nim, próbując przebudzić go z koszmaru. I w końcu jej się udało. Uwolniony od złych snów bardzo długo wracał do realnego świata. Przywarł do niej jak tonący do ratownika, a ona również nie chciała go puścić.

Wdychała głęboko jego zapach, mieszaninę potu i mydła.

A potem to się stało.

Doznała rozdwojenia jaźni. Jedna jej część czuła na szyi usta Farisa, jego oddech pieszczący skórę i dłonie wsuwające się pod jej bluzkę. Rozkoszowała się dreszczem, który zbudził w jej ciele. Za to jej druga połowa przyglądała się wszystkiemu z dystansu i zadawała głośno pytanie, co ona w ogóle wyprawia. Obie jej części przyglądały się, jak Faris ją całuje, jak wzdycha i jęczy, i jak przywiera do niej. Zdystansowana część jej duszy rozumiała, że pożądał jej tylko dlatego, że rozpaczliwie potrzebował zapomnienia, gdyż miał poranioną duszę i szukał bezradnie lekarstwa, by ją uzdrowić. Wiedziała, że jest dla niego narzędziem, a mimo to rozkoszowała się tym, co z nią robił. I kiedy uwolnił się z dżinsów, kiedy się na niej położył i wszedł w nią, chciała jednocześnie jęczeć z pożądania i kulić się ze wstydu.

Żadne z nich nie potrzebowało wiele. Razem doszli w tym samym momencie, skapani potem i zdyszani, a potem osunęli się na łóżko i znieruchomieli obok siebie.

Ira przewróciła się na bok i popatrzyła na Farisa, który leżał na wznak i pustym wzrokiem spoglądał w sufit. Chciała coś powiedzieć, ale brakowało jej słów. Dlatego uniosła dłoń i bardzo delikatnie przesunęła opuszkami palców po ogromnej, czerwonej bliźnie obejmującej prawą część klatki piersiowej i prawy biceps.

– Bardzo poważnie to wygląda.

Nie zareagował. Uniósł ramię i zakrył sobie oczy. Milczał. Jego pierś unosiła się gwałtownie i opadała. Ira widziała grę mięśni pod skórą na jego brzuchu. Wypełniało ją ciepło i zadowolenie. Z zaskoczeniem zauważyła, że nie działo się to, do czego pchała ją jej zdystansowana część – nie miała wyrzutów sumienia. Była spokojna i spełniona.

Wiele by dała, żeby się dowiedzieć, co działo się w jego głowie, lecz nie odważyła się go o to zapytać. W pewnej chwili usiadł gwałtownie.

– Przepraszam – powiedział zachrypniętym głosem. Przesunął wzrokiem po jej półnagim ciele. – Ja... – zaczął i spuścił nogi z łóżka. – Chyba...

Nie od razu się poruszyła, lecz kiedy zauważyła, że choć siedzi, wcale nie zamierza wstać, oparła dłoń między jego łopatkami. W porównaniu z jego skórą, jej była bardzo jasna. Faris zadrżał pod jej dotykiem, jakby ktoś go uderzył.

Bardzo powoli z powrotem się położył.

– Co teraz?

Spojrzała na niego.

– A jak myślisz?

Odszukał wzrokiem budzik na nocnej szafce. Minęła trzecia nad ranem. Mimo koszmaru udało mu się przespać ponad dwie godziny.

Zamknął oczy.

– Jestem zmęczony – wymamrotał.

– Prześpij się jeszcze – poradziła Ira miękkiem głosem i się uśmiechnęła. – Będę pilnowała twojej komórki.

Alexander

DLACZEGO TEGO NIE ZROBIŁEŚ? – zapytał anioł. –DLACZEGO GO NIE UKRZYŻOWAŁEŚ, JAK CHCIAŁ?

Alexander walczył z szalejącymi w nim uczuciami. Czy to, co tu robił, było właściwe? Czy dobrze postępował? Nie miał pojęcia. Był już tak okropnie zmęczony!

– Nie miałem dość sił – przyznał w końcu. – Żaden z krzyży, które próbowałem wykonać, się nie nadawał. Ale wtedy pojawiłeś się ty.

WTEDY POJAWIŁEM SIĘ JA. PEWNEGO DNIA STANAŁEM U TWOICH DRZWI.

– Specjalnie mnie odszukałeś?

MOŻNA TAK POWIEDZIEĆ.

Alexander poczuł uśmiech, który dał mu niesamowitą lekkość.

– Kiedy tylko cię zobaczyłem, wiedziałem, że tata od początku miał rację. To była wola Pana, by wszystko tak się potoczyło. Dlatego przysłał cię do mnie. Jesteś aniołem, prawda?

Na to głos ze światła zaniósł się głośnym śmiechem, w którym słychać było smutek całej wieczności.

Koran, Sura VIII: 9, Państwowy Instytut Wydawniczy 1986: 211, tłum. Józef Bielawski. [wróć]

Rozdział 24

Minęła już północ, kiedy Laurze Zöller udało się namówić córeczkę Lilly do zaśnięcia. Zmęczona i zdenerwowana zamknęła za sobą delikatnie drzwi pokoju dziecięcego i w duchu przeklęła swego męża Christiana. Miał facet wyczucie, by brać dyżury akurat wtedy, kiedy Lilly była wyjątkowo niezdolna.

Boso, by nie obudzić małej, przemknęła korytarzem wyłożonym dębowym parkietem i weszła do salonu. Otworzyła butelkę czerwonego wina i naląła trochę do kieliszka. Westchnęła, opadła ciężko na skórzaną kanapę i włączyła telewizor.

Na większości kanałów nadawano wiadomości dotyczące dzisiejszych zamachów bombowych w Berlinie. Nie chciała o tym słuchać. Przełączała stacje tak długo, aż trafiła na jakiś program o średniowiecznym rękopisie odkrytym zaledwie kilka czy kilkanaście lat temu. Mimo to nie mogła się skupić na głębokim, spokojnym głosie lektora.

Nagle pomyślała o Farisie.

Dlaczego pojawił się pod jej domem akurat dzisiaj?

Zniknął całkowicie z jej życia, kiedy się dowiedział, że Laura jest w ciąży. I choć było jej to bardzo na rękę, dziś, kiedy stanął przed nią cały poraniony i umęczony, poczuła ukłucie żalu.

Potrząsnęła głową i upiła łyk wina. Nieuważnie patrzyła na jakiegoś ubranego w białe fartuch naukowca, który strona po stronie omawiał drogocenny manuskrypt.

Nie chciała, ale w końcu musiała przyznać sama przed sobą, że jego widok sprawił jej radość. Kiedy od niego odchodziła, powiedziała, że przyczyną jest jego niechęć do posiadania dzieci. Nie miał pojęcia, że rzuciła się w ramiona innego mężczyzny z zupełnie innego powodu – nie potrafiła dłużej żyć w ustawicznym strachu o jego bezpieczeństwo! Jego dzisiejszy wygląd utwierdził ją w przekonaniu, że podjęła najśluszniejszą z możliwych decyzję.

Westchnęła i sięgnęła po telefon. Wychodząc, zostawiła go na stole i zupełnie o nim zapomniała. Ktoś dzwonił i zostawił wiadomość.

Zawahała się, zanim włączyła odtwarzanie.

– „Laura, to ja”. – Zadrżała, słysząc jego głos. – „Słuchaj, to nie jest tak, że cię śledzę albo co, to naprawdę poważna sprawa. Chciałem...” – Po tych słowach przerwał, ale się nie rozłączył. Słyszała jego nagrany oddech.

Dostała skurczu żołądka, jakby jechała kolejką górską.

– Mamo! – Z dziecięcego pokoju dobiegło wołanie córki.

Laura westchnęła.

– Mamusia już idzie, kochanie! – krzyknęła. Chciała odsłuchać wiadomość do końca, żeby się przekonać, czy Faris coś jeszcze powiedział.

Twierdził, że jej nie prześladowuje.

„Akurat” – pomyślała.

Wciąż słyszała jego oddech i wiedziała, że szuka słów. Nie potrafiła tego znieść. Opuściła dłoń z telefonem.

– Mamo! – Lilly krzyknęła przeraźliwie.

Sąsiedzi już raz się skarżyli, że budzi ich w ten sposób w środku nocy. Ostatnio bardzo źle spała, dręczona koszmarami, a Laura nie potrafiła zrozumieć, dlaczego tak się działo.

Z delikatnym żalem, ale i z cichym przekleństwem na ustach skasowała wiadomość od Farisa. Niezależnie od tego, co chciał jej powiedzieć, nie miała w tej chwili czasu ani nerwów, żeby zaprzętać sobie nim głowę. Bardzo źle na nią wpływał, nie miała co do tego wątpliwości.

Odstawiła kieliszek na stoliku. Po krótkim wahaniu wyłączyła komórkę i ruszyła do pokoju córeczki.

– Mama już idzie, kochanie! Nie bój się!

– Popatrz, kogo my tu mamy! – zawołała Pia i dała Jenny takiego kuksańca, że dziewczyna rozlała napój.

Poszły do klubu przy bocznej uliczce niedaleko Ku'damm, o którym słyszały same dobre opinie. Mimo że Jenny z początku nie miała ochoty włączyć się z Pią po różnych lokalach, uznała nagle, że to jednak fajny pomysł.

Ludzie w klubie byli zakręceni, ale nie do tego stopnia, żeby trzeba było się bać ich nachalności. Wśród gości było wielu zupełnie normalnych facetów i drugie tyle dzieciaków w emo makijażu. Muzyka też jej odpowiadała, a ceny, mimo że berlińskie, nie przyprawiły o ból głowy.

Jenny zlizwała rozlany koktajl z palców.

– Uważaj może, co? – ofuknęła przyjaciółkę i podążyła wzrokiem za jej palcem.

W jej brzuchu momentalnie zerwało się do lotu stado motyli. Przy barze, niecałe dziesięć metrów od nich, stał Dennis i rozmawiał z jakąś blondynką, tak drobną, że wyglądała na dwunastolatkę. T-shirt, który miał na sobie przez cały dzień, zmienił na koszulkę bez rękawów, dzięki czemu w migotliwym świetle dyskoteki Jenny lepiej widziała jego tatuaże.

Na jego prawym ramieniu znajdowało się czarne, naturalnej wielkości skrzydło, tak świetnie wykonane, że kiedy Dennis się poruszał, człowiek miał wrażenie, że stroszą się na nim pióra. Jenny patrzyła na niego zafascynowana. W porównaniu z tym arcydziełem krzyż na jego drugim ramieniu wydawał się niemal nudny.

– Dennis! Cześć, Dennis! – zawyła Pia, starając się przekrzyczeć muzykę. Zaczęła wymachiwać ramionami, żeby zwrócić jego uwagę, przy czym robiła to tak zamasyście, że aż ludzie dookoła spoglądali w stronę przyjaciółek.

Jenny miała ochotę zapaść się pod ziemię. A jednak Pii udało się przyciągnąć uwagę chłopaka. Kiedy je rozpoznał, na jego twarzy pojawił się pełen zaskoczenia uśmiech. Powiedział coś do drobnej blondynki, z którą wcześniej rozmawiał, na co ona pokazała mu język i się odwróciła.

Potem podszedł do Pii i Jenny.

– Cześć, dziewczyny! Wy tutaj? – Rozejrzał się znacząco. – Jakoś mi to otoczenie zupełnie do was nie pasuje!

– Niby dlaczego? – skontrowała Jenny. Wypiła już dwa koktajle i czuła się

nadzwyczaj odważna. – A jak powinien wyglądać ktoś, komu wolno tu przychodzić?

Od razu zrozumiał aluzję do swoich słów, które wypowiedział rano, jeszcze w schronisku.

– Szacun! – Roześmiał się. – Fajnie znów was widzieć!

Mówiąc to, patrzył jedynie na Jenny, a ona poczuła, że w jej brzuchu zerwała się właśnie do lotu cała chmura motylków trzepoczących skrzydłami.

– Chyba muszę do kibla – wrzasnęła Pia, przekrzykując muzykę, bo DJ puścił właśnie kolejny kawałek, jeszcze głośniejszy od poprzedniego.

Jenny potaknęła. Przyjaciółka zaczęła przeciskać się między gośćmi i zostawiła ją samą z Dennisem.

– Napijesz się czegoś? – zaproponował chłopak.

Jenny pokręciła głową i zachichotała.

– Lepiej nie! Wypiłam już dwa te... zaraz, jak one się nazywają? *Swimmingpools*? No właśnie. Jak dołożę do nich kolejny, to będziesz musiał mnie wynosić z tego klubu.

Dennis spojrzał na nią rozbawiony.

– Całkiem przyjemna perspektywa. – Uśmiechnął się szeroko. – To może coli?

– Z przyjemnością!

Jenny się przyglądała, jak podchodzi do baru. Drobna blondynka znów próbowała do niego zagadać, ale splawił ją gestem dłoni. Tym razem chyba definitywnie, bo dziewczyna rzuciła w stronę nowej towarzyszki Dennisa zazdrosne spojrzenie. Jenny nie posiadała się z radości.

Kiedy Dennis wrócił, podał jej szklanekę coli i uśmiechnął się szeroko.

– Proszę.

Dla siebie przyniósł piwo. Jenny nie była tym zaskoczona, potraktowała to zupełnie naturalnie. Nie wiedziała dlaczego, ale piwo bardzo do niego pasowało.

– Macie jeszcze jakieś plany na dzisiaj? – zapytał.

On również musiał przekrzykiwać muzykę, a chcąc, żeby Jenny na pewno go usłyszała, zbliżył usta do jej ucha. Zadrżała, kiedy poczuła na skórze jego ciepły oddech.

– Sama nie wiem!

– Jest już bardzo późno! Musimy powoli się zbierać. – Jenny nawet nie zauważyła, kiedy przyjaciółka wróciła. – Inaczej jutro nie wytrzymamy tylu godzin na nogach.

Jenny przewróciła oczyma.

– Nie psuj zabawy, co? – burknęła tonem, którym wcześniej Pia wyrzucała jej nadmierną ostrożność.

Dziewczyna się roześmiała.

– Chodź, musimy już iść! – Kątem oka spojrzała na Dennisa. Ona również była chyba zafascynowana tatuażem ze skrzydłem na jego ramieniu. – Nawet najfajniejsza impreza kiedyś się kończy!

– To prawda – przyznał Dennis. – Tyle że ta impreza może jeszcze trochę potrwać!

Mówiąc to, spoglądał na Jenny takim wzrokiem, że dziewczyna czuła na przemian fale zimna i gorąca. Nie mogła przestać się zastanawiać, jak by to było, gdyby zaczął ją dotykać... tak naprawdę dotykać... Motylki w jej brzuchu znów poderwały się do lotu.

– A masz pomysł, gdzie jeszcze moglibyśmy pójść? – zapytała.

– Pewnie! – Głową wskazał na drzwi do klubu. – Zapraszam ze mną, pokażę ci kilka miejsc.

Jenny była gotowa natychmiast przystać na jego propozycję.

– Jenn! – Pia zrobiła się bardzo nieswoja. – To chyba nie jest najlepszy pomysł!

– Niby dlaczego? – Dennis popatrzył na nią uważnie. – Zachowujesz się, jakbym był tym zamachowcem, który podkłada bomby w Berlinie.

I żeby zobrazować, o czym mówi, udał dźwięk eksplozji i poruszył dłońmi, jakby coś w nich wybuchło. Na koniec zaśmiał się głośno i dopił resztkę piwa.

– Poczekaj, ja z tobą pójdę – zdecydowała Jenny.

Pia zmierzyła ją złym wzrokiem.

– Twój wybór, nie mogę cię do niczego zmuszać – uznała. – Ja w każdym razie wracam do schroniska. I nie budź mnie, kiedy wrócisz nad ranem.

Pożegnała się chłodno z Dennisem i wyszła z klubu.

Jenny nie mogła powstrzymać chichotu.

– Chyba jest trochę zazdrosna – mruknęła.

– Zazdrosna? – Dennis uniósł brwi i uśmiechnął się rozbawiony.

Złapała go pod ramię.

– Dobrze, to dokąd mnie teraz porwiesz?

Czuła się bosko!

Faris nie spał. Zapadł w stan przypominający brak przytomności, gdzie nie ma żadnych snów, tylko ciemność. Dopiero kiedy jego umęczona dusza pokonała śmiertelne wyczerpanie, mrok się nieco rozproszył i policjant zaczął śnić. Znów dostrzegł przed oczyma zwęglone ciało Paula – tym razem trzymał je w ramionach. Partner miał zamknięte oczy i błyszczące, całkowicie czarne powieki, które bez ostrzeżenia się podniosły. W tym koszmarze jego gałki oczne nadal były szklistobiałe, lecz mimo to Faris wiedział, że Paul go widzi.

– To nie ty uruchomiłeś detonator – powiedział, na co Faris odrzucił go od siebie, jakby poparzył się jego spalonym ciałem.

Odskoczył i się zatoczył.

– Będę pilnowała twojej komórki – odezwał się jakiś kobiecy głos, lecz kiedy się odwrócił i spojrzał w jego kierunku, stała przed nim nie Ira, a Laura. Skulił się. Ogień eksplozji runął w ich kierunku. Zaczęli płonąć, a jednak nie czuł trawiących go płomieni. Jedyne, co był w stanie czuć, to przerażenie – przerażenie tym, że na jego oczach Laura zmienia się w popiół.

Z przeciągłym jękiem obudził się ze snu. Pokój był pogrążony w ciemności i tylko przez wąską szparę w zasłonach wpadał klin światła.

– Znów dręczyły cię koszmary – usłyszał znajomy głos dobiegający z mroku.

Nie miał pojęcia, która może być godzina, i czuł się kompletnie zdezorientowany.

– O, jesteś jeszcze... – wymamrotał. Nic innego nie przyszło mu do głowy. Żałował za to, że dzieli ich aż taka odległość.

– Jestem – potwierdziła jedynie. Siedziała na fotelu w nogach łóżka. Czuł jej

zapach.

– Wybacz – powiedział, choć nie był do końca pewny, za co ją przeprasza.

– Kim jest Laura?

Uniósł się lekko i oparł na łokciach. Wykrzyczał przez sen jej imię? Zacisnął zęby, żeby nie przepraszać i za to.

– Moja była. – Czuł się jak ofiara łamania kołem. – Która jest godzina?

– Dochodzi szósta.

A niech to, czyli rzeczywiście udało mu się złapać kilka godzin snu. Nie pamiętał, żeby w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy choć raz udało mu się ta sztuka. Odruchowo przeliczył natychmiast, ile czasu mu zostało, żeby zapobiec eksplozji na Stadionie Olimpijskim. Osiemnaście. Usiadł gwałtownie. Rana na czole zaczęła pulsować boleśnie, podobnie jak jego ramiona, wszystkie obicia i stłuczenia, jakich nabawił się poprzedniego dnia. Z ulgą zauważył jednak, że nie kręciło mu się w głowie. Najwyraźniej rzeczywiście gwałtownie potrzebował snu.

– Spokojnie, nie denerwuj się. Nikt do ciebie nie dzwonił – powiedziała Ira. – Ani ten zamachowiec, ani nikt z policji. Na wszelki wypadek podłączyłam twój smartfon do prądu. Chciałam też doładować tę drugą komórkę, ale nie znalazłam nigdzie ładowarki. Na szczęście bateria jest jeszcze pełna.

Faris musiał się zastanowić, żeby przypomnieć sobie, co zrobił z ładowarką zastępczego telefonu, który kupił poprzedniego dnia rano. W końcu się zorientował, że zostawił ją w bluzie od dresu.

Zsunął nogi z łóżka. Pod stopami poczuł podłogę. Zaskoczony zorientował się, że dalej jest półnagi. Z drugiej strony, kto miałby go ubrać? Odwrócił głowę i spojrzał przez ramię w stronę Iry. Kobieta w fotelu otaczała ciemność, więc z początku widział jedynie niewyraźny zarys jej sylwetki.

Po dłuższej chwili dostrzegł, że ma na sobie dżinsy, bluzkę i żakiet. Włosy miała ułożone równie starannie jak poprzedniego wieczoru. Gdyby wspomnienie tego, co wydarzyło się między nimi w środku nocy nie było tak jednoznaczne, podejrzewałby, że to był tylko sen.

– Naprawdę cały czas byłaś przy mnie i czuwałaś. – Nie pytał, tylko stwierdził fakt. Skinęła głową.

– Obiecałam ci przecież, że będę pilnowała telefonu.

Opuścił głowę.

– Jesteś naprawdę wyjątkową kobietą, wiesz?

– Dzięki za komplement.

Poczuł się nieswojo i chciał jak najszybciej uwolnić się z sytuacji, która pozbawiała go pewności siebie. Poza tym musiał się dowiedzieć, czy w sprawie zostały poczynione jakieś nowe ustalenia. Włożył bieliznę i ze stolika nocnego, gdzie położyła go Ira, wziął zastępczy telefon. Mimo bardzo wczesnej godziny wybrał numer Laury. Nie wiedział, czy odsłuchiwała jego wiadomość i czy była bezpieczna. Najwyraźniej miało tak pozostać, bo Laura wyłączyła swój telefon. Zacisnął zęby. Potem wybrał numer do biura i przez kilka sekund czekał, aż ktoś odbierze.

– Schneider – burknął Ben zmęczonym, ponurym głosem.

– Cześć.

– Faris! – Technik momentalnie się obudził. – Jak się czujesz, stary?

W jego pytaniu słyhać było świadomość śmierci Paula.

– Jakoś daję radę.

– Słuchaj, to z Paulem... To było...

Faris przerwał mu pośpiesznie.

– Później będzie na to czas. Macie coś nowego?

Ben ziewnął, a Faris poczuł wyrzuty sumienia, że sam się wyspał, podczas gdy jego koledzy harowali bez wytchnienia.

– Otóż mamy. Wiemy już na przykład, że zamachowiec stosuje bomby oparte na nanotermicie.

Termit. Faris zobaczył przed oczyma zwęgloną twarz Paula. Odwrócił głowę i spojrzał na Irę. Kobieta dalej siedziała w ciemnościach. Nie poruszyła się i nawet o milimetr nie zmieniła swojej pozycji w fotelu. Nie mógł dostrzec jej oczu, a mimo to miał pewność, że go obserwuje.

– Poza tym znaleźliśmy kilka interesujących rzeczy na komputerze, który Marc przywiózł z mieszkania Ellwangerów. Jedną z nich są schematy techniczne monitora serca.

– Czekaj, jadę do was – przerwał mu Faris.

Ku jego zaskoczeniu Ben gwałtownie zaprotestował.

– Nie, lepiej nie. Naprawdę, nie teraz. Trzymaj się z dala, przynajmniej dopóki kontrolujemy sytuację i dajemy sobie radę bez ciebie. Poczekajmy może, aż gość znowu zadzwoni, okej? Chodzi o to, że Tromsdorff wydał oficjalne polecenie, żeby wywalić cię do domu, jeśli się tu pojawisz. – Przerwał na chwilę. – Chryste, Faris, on się naprawdę o ciebie martwi. Serio.

Faris potarł czoło.

W pierwszym odruchu chciał zaprotestować przeciwko ponownemu wyłączeniu z prac zespołu, jednak dał za wygraną. Bolesnie skurczony żołądek dawał mu znać, że od dwudziestu czterech godzin nie miał niczego w ustach.

– Słuchaj, mam jeszcze jedną sprawę – powiedział. – Możesz zlokalizować komórkę, prawda?

– Z palcem w dupie, pod warunkiem, że jest włączona.

Faris przygryzł dolną wargę.

– A jeśli jest wyłączona?

– To bez szans. Ale mogę przynajmniej ustalić, kiedy i gdzie logowała się po raz ostatni przed wyłączeniem.

To mogłoby dać mu odpowiedź, czy Laura opuściła Berlin, czy nie.

– Mógłbyś to dla mnie zrobić? W prywatnej sprawie? – poprosił Faris.

– Naprawdę uważasz, że nie mam tu nic do roboty?

– Chodzi o Laurę.

– A, to co innego. – Ben odkaslnął. – Dobra, dyktuj.

Faris podał mu numer do Laury.

– Teraz trochę cierpliwości, zaraz będę coś wiedział. – Ben odłożył słuchawkę na

biurko i przez kilka minut się nie odzywał.

– Komórka została wyłączona około wpół do pierwszej w nocy. Wcześniej logowała się do stacji przekąźnikowych w Steglitz.

Uniósł dłoń i zaczął masować czoło. Laura mieszkała w Steglitz, ale tam też znajdował się szpital, w którym pracowała jako pediatra. Wszystko wskazywało na to, że wciąż jeszcze była w Berlinie. Spróbował się rozluźnić, bo świadomość, że dotąd nie wyjechała, strasznie go zestresowała.

– Dzięki, Ben – mruknął jedynie i zakończył połączenie.

Później przez dłuższą chwilę wpatrywał się w telefon, aż zebrał się w sobie na tyle, by odrzucić go na łóżko i skończyć się ubierać.

Nie wstając z fotela, Ira sięgnęła do lampy stojącej i ją włączyła. Słabe, żółtawe światło zalało wszystko nienaturalną poświatą.

– Głupia sytuacja, co? – mruknął.

Powoli pokręciła głową.

– Nie rozumiem?

W tamtej chwili Faris był gotów oddać naprawdę bardzo wiele, żeby się dowiedzieć, jakie myśli skrywają jej niebieskie oczy. Czy Ira czuła się równie paskudnie jak on? Niech to diabli, przecież ją wykorzystał! Nie potrafił zapomnieć, jak przywarł do niej i jak ją obejmował – jakby nie było na świecie niczego, czego mógłby się przytrzymać! W ciemności w ogóle się nie zastanawiał, czy dobrze zrobił, czy nie. Teraz jednak, przy świetle, poczuł obrzydzenie do samego siebie. Podniósł z podłogi spodnie i je włożył.

– Jesteś pastorką – powiedział głucho.

Roześmiała się.

– Zgadza się. Ale u nas, ewangelików, nie ma celibatu. – Głos jej nieco zadrżał.

Nie odpowiedział jej na to. Podszedł do szafy i wyjął czysty T-shirt. Ostatni, jaki miał. Jego poobijane ciało protestowało boleśnie, kiedy go na siebie wkładał. Każdy miesiąc dawał o sobie znać. Nie potrafił zrozumieć, jak w ogóle dał radę przespać się z tą kobietą.

Sięgnął po kurtkę. Po drodze kupi sobie coś do jedzenia.

– Muszę już iść – powiedział. Co za żalosna wymówka! Niewiele brakowało, a sam z siebie zaśmiałyby się kpiąco. – Jeśli chciałabyś wziąć prysznic, zanim... – Nie potrafił dokończyć. Zamilkł i odchrząknął.

Dalej nie ruszała się z fotela. W żółtawym, nieprzyjemnym świetle lampy jej oczy świdrowały go z przenikliwością aparatu do zdjęć rentgenowskich. Ruchem głowy wskazała na drzwi.

– Przygotowałam śniadanie – powiedziała.

Alexander

Przebudził się gwałtownie i szybko pojął, że zmęczony i wyczerpany wspomnieniami i obrazami z przeszłości musiał zasnąć. Leżał na twardej, zimnej i, co najgorsze, mokrej podłodze. Zmarzł okropnie, nie mógł powstrzymać dreszczy. Jak długo

leżał w takiej pozycji? Jak długo spał? Niespodziewanie przypomniał sobie chwilę, gdy anioł stanął przed nim po raz pierwszy i po raz pierwszy do niego przemówił. Przecież opowiedział mu wtedy wszystko, o co teraz go pytał. Przypomniał sobie również, że wtedy anioł miał jeszcze twarz! Całkowicie ludzką twarz... I nie miał skrzydeł. A teraz? Czy teraz miał skrzydła, czy nie? W jaskrawym świetle Alexander nie mógł zbyt wiele dostrzec, ale wydawało mu się, że jednak widzi skrzydła...

Wspomnienia stały się nagle całkowicie wyraźne i pełne. Sam z siebie zaczął opowiadać, co się wydarzyło...

Jest bardzo wczesnie rano, kiedy wchodzi do ogrodu. Słońce jeszcze nie wzeszło. Ojciec klęczy na pokrytym rosą trawniku i się modli. Alexander staje za nim i widzi, że tata się spina.

– Jesteś już – mówi mężczyzna. – To dobrze.

W chłopcu wszystko buntuje się przeciwko temu, co ma zrobić, lecz jednocześnie wie, że nie ma wyboru. Gdzieś w pobliżu, ukryty w cieniu ustępującej nocy, stoi anioł, wysłannik Boga, i go obserwuje, by przekonać się, czy robi, co do niego należy.

Dlatego kładzie drżącą dłoń na ramieniu ojca.

– Chodźmy – mówi. – Już czas!

Ojciec wstaje z trawy. Jest bardzo słaby i chyba się boi. Mimo to jego oczy błyszczą jasno świadomością, że to, co robi, jest właściwe.

Alexander prowadzi ojca przez ciemność do głębokiego schronu. Obaj bledną na widok leżącego na ziemi krzyża. To nie Alexander go zrobił. To dzieło anioła. Jest niemal doskonały.

Anioł też już jest z nim, ale daje im tyle czasu, ile tylko potrzebują. Alexander przygląda się narzędziom rozłożonym na podłodze. Młotek. Gwoździe. Zwinięta lina. Wszystko, czego potrzebują. Niczego nie brakuje. Doskonale.

Jego ojcu łzy napływają do oczu.

– Możecie zaczynać – mówi anioł zupełnie ludzkim głosem.

W następnej chwili zapala się oślepiające światło i zalewa pomieszczenie białą poświatą.

Z sercem ściśniętym przerażeniem Alexander przygląda się, jak ojciec kładzie się na krzyżu. Potem sięga po młotek...

Chłopak przerwał opowiadanie.

– Aniele? – pyta ostrożnie.

Nikt mu nie odpowiada.

– Aniele? – powtarza głośniej.

I znów nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Kamień, w który już dawno temu zmieniło się jego serce, w jednej chwili przeistacza się na powrót w mięśnie i naczynia wypełnione krwią. I czuje ból. Tak straszny, że nie może nabrać powietrza i zwija się ze szlochem.

– Aniele? – jęczy niewyraźnie.

A potem... w końcu zbiera się na odwagę. I rusza przed siebie. Prosto w stronę jasnego światła, które otacza go oślepiającą aurą. Bola go oczy, ale nie odwraca wzroku. I robi kolejny krok.

Nagle zaczyna wszystko widzieć.

Światło. To nie anioł jest jego źródłem, tylko zwykła przenośna lampa halogenowa na statywie, którą ktoś postawił w narożniku pomieszczenia. Oślepił go nią. A anioł... czy on w ogóle istniał?

Przeraziła go sama wątpliwość, z której narodziło się to pytanie. Miał wrażenie, że serce pęknie mu z bólu. Rzucił się naprzód.

I w końcu zaczął uciekać.

Posterunkowy Walter Assauer walczył ze zmęczeniem i sennością, która nieubłaganie ciągnęła jego powieki w dół.

Bóg jeden wiedział, jak okropnie nienawidził tych nocnych zmian!

Spoglądał przed siebie, przez przednią szybę zaparkowanego radiowozu, na nadchodzący dzień i pomyślał o Jutcie, swojej żonie. O tej porze leżała najpewniej spokojnie w ich małżeńskim łóżku i spała, cicho pochrapując. Zazdrościł jej, że mogła tak spać – nie, nie tylko w tej chwili, ale w ogóle. Nie miała pojęcia, że niedawno usłyszał od lekarza, że coś jest nie tak z jego prostatą. Walter nie pisał jej ani słówkiem, że był się zbadać, bo nie wiedział, jak miałyby to zrobić. Jak obwieścić kobiecie, która od niemal czterdziestu lat jest jego żoną, że ma raka? I to tego najgorszego, złośliwego, który jego życie skróci do najwyżej pół roku?

Nie było słów, żeby coś takiego powiedzieć.

Dlatego milczał. Wmówił sobie, że tak jest lepiej, bo skoro i tak nic się nie da zrobić, to przynajmniej nie będzie niepotrzebnie się zamartwiała, a smutek i troski nie zmarnują im krótkiego czasu, jaki mu pozostał.

– Hej, stary. – Lukas Jellinghaus, kolega z patrolu, który siedział na miejscu dla pasażera, trącił go w udo. – Coś ty znowu taki zamyślony? Stało się coś?

Walter wzruszył ramionami.

– Nic.

– Problemy z Juttą? – drażył Lukas. – Człowieku, za dwa lata macie czterdziestą rocznicę ślubu!

Za dwa lata!

Walter poczuł ogarniający go smutek. Niewiele brakowało, a opowiedziałby koledze, że prawie na pewno nie dożyje wspomnianej czterdziestej rocznicy ślubu, ba, nie miał przecież szans dożyć trzydziestej dziewiątej!

Lecz dokładnie w chwili, kiedy otworzył usta, żeby mu to wyznać, tuż przed maską radiowozu przebiegł jakiś człowiek i nie rozglądając się, wpadł na jezdnię.

Walter błyskawicznie sięgnął do kluczyków w stacyjce i uruchomił silnik.

– No to do roboty – mruknął i westchnął ciężko.

Dogonili mężczyznę, który biegł w kierunku Viktoriapark. Wyprzedzili go, zatrzymali się i wysiedli z samochodu.

– Proszę się zatrzymać! – zawołał Lukas.

Nieznajomy posłusznie zwolnił, po czym stanął, drżący i ze spuszczoną głową.

„Cholera, kolejny pieprzony ćpun!” – pomyślał Walter. Co robić, każdy widać ma

coś, przed czym całe życie ucieka. Twarz mężczyzny była bardzo blada i gładka, a ciemne włosy sięgały mu policzków. Wyglądały na bardzo sztywne, jakby zostały polane jakąś substancją, która na nich zaschła.

– Ożeż kurwa jego mać – usłyszał Lukasa i w tej samej chwili zrozumiał, co tak strasznie wzburzyło jego partnera.

Chłopak, którego zatrzymali, był cały skąpany we krwi. Spodnie, koszula – wszystko było nią przesiąknięte i lepiło się do jego szczupłego ciała.

Lecz nie to sprawiło, że Walter przeżył szok, spoglądając na młodego mężczyznę. To wyraz jego twarzy. Pusty, pełen paniki i tak strasznie szalony, że Walter poczuł mdłości. Źrenice chłopaka wyglądały jak czarne dziury, które wsysały go do środka.

– To jest przecież...

Lukas nie musiał kończyć zdania, bo Walter też go rozpoznał. Zatrzymali właśnie chłopaka, którego szukała cała policja w Berlinie.

Mieli przed sobą Alexandra Ellwangerera.

Rozdział 25

Ira zadała sobie naprawdę wiele trudu i wykazała się sporą inwencją, żeby przygotować śniadanie z bardzo skąpych zapasów, jakie znalazła w szafkach w kuchni Farisa. Nakryła stół i postawiła na nim talerze, filiżanki i sztucce. Do tego podała kilka kromek chleba tostowego i prawie pusty słoik dżemu. Pośrodku stołu stał koszyczek ze świeżymi owocami – to była jedyna słabość Farisa, której nie mógł sobie odmówić.

Poprosiła, żeby usiadł, a sama podeszła do ekspresu do kawy, by go uruchomić. Kiedy napar zaczął kapać do dzbanka, jej wzrok padł na zakurzoną butelkę wina, którą Faris postawił na lodówce.

– Schowałeś ją na jakąś specjalną okazję, co? – zapytała.

– Nie, wcale nie. – Policjant potrząsnął głową. Alkohol dostał kiedyś od kolegi, a potem się dowiedział, że to wyjątkowo drogi prezent. I tylko dlatego go zatrzymał.

Ira spojrzała na niego pytająco.

– Nie piję alkoholu – wyjaśnił w końcu.

– Ty... – zaczęła, po czym się zastanowiła i otworzyła szerzej oczy, a jej policzki mocno się zaróżowiły. – No tak, oczywiście, przecież jesteś muzułmaninem!

Odchylił się na krześle, aż dotknął plecami oparcia.

– No właśnie.

Ira wyrzuciła w górę ręce w geście pełnym zniecierpliwienia i jęknęła głośno.

– Chryste, Faris! Jeśli będę musiała wszystko z ciebie wyciągać siłą, to żadne z nas nie skorzysta ze śniadania!

„Nie przypominam sobie, żebym w ogóle cię tu zapraszał!” Taką odpowiedź miał już na końcu języka, ale w porę się opamiętał i zacisnął zęby, żeby nie powiedzieć tego głośno. Wyrzwał przez okno. Na dworze zaczynał się dzień, a on wciąż myślał o minionej nocy. Cieszył się, że była przy nim, bo nie miał pewności, co mogłoby mu przyjść do głowy.

Zmusił się do słabego uśmiechu.

– Przepraszam. Masz rację, jestem muzułmaninem, ale to akurat niewiele ma wspólnego z piciem alkoholu. Okej, niech będzie, może ma, ale tylko trochę. Wychowałem się w religijnej rodzinie, a mój ojciec nie pije właśnie z tego powodu. Jako nastolatek robiłem tak samo, choć jego pobożność zawsze działała mi na nerwy. – Oparł się łokciami o blat stołu. – Teraz nie piję, bo prowadzę sportowy tryb życia. Ale przez ostatnich kilka miesięcy byłem bardzo wdzięczny rodzicom, że wpoili mi tę zasadę.

Ira również usiadła.

– Dlaczego?

– Bo po tym wszystkim, co się wydarzyło, prawdopodobnie zostałem alkoholikiem.

Potaknęła, jakby doskonale rozumiała, o czym mówi.

– W mojej wierze wino jest symbolem wspólnoty. – Celowo zmieniła temat i wskazała na talerz. – Tak nie powinien wyglądać poranny posiłek, ale nie odważyłam się wyjść po zakupy i zostawić cię samego.

Powolnym, spokojnym ruchem Faris sięgnął po grzanekę i zaczął smarować ją dżemem.

– Dlaczego to robisz? – zapytał i wykonał nieokreślony gest ręką, obejmujący jego samego, jedzenie i większą część kuchni.

Wzięła do ręki nóż i zaczęła się nim bawić. Faris przyglądał się jej uważnie.

– Ale konkretnie, o co pytasz? Dlaczego zajęłam się tobą?

Jej wzrok spoczął na telefonie, który położył obok siebie na stole. Zrobiła minę, jakby wzbudzał w niej wstręt, jakby patrzyła nie na urządzenie elektroniczne, tylko na tarantulę. Faris odsunął komórkę nieco na bok. Dotychczas ani razu nie wspomniała jeszcze o nagraniu, które pokazał jej poprzedniego dnia.

Skinął głową i ugryzł chleb z dżemem. W jednej chwili zrobił się tak głodny, że dostał skurczu szczęk.

Wzruszyła ramionami.

– Może dlatego, że uznałam to za ważne?

Żuł. Przełknął.

– Twój zawód – powiedział tylko.

Kobieta zrobiła zaskoczoną minę i uniosła brwi.

– Jesteś pastorką – wyjaśnił. – Musisz się troszczyć o innych. Ratować ich.

– Zazwyczaj to nie wygląda tak, jak teraz. – Jej policzki się zaczerwieniły.

Wiedział, dlaczego. Pomyślała o nocnym seksie.

– Wierzę ci na słowo.

Uśmiechnęła się słabo.

– Poza tym, jeśli chodzi o ratowanie innych, to chyba raczej należy to do twoich obowiązków.

Na końcu języka miał ciętą odpowiedź, coś w rodzaju: są różne sposoby ratowania ludzi, ale znów się powstrzymał.

– A co z tobą? – zapytał.

Spojrzała na niego zdezorientowana.

– Nie rozumiem? Jak to, co ze mną?

– Masz rodzinę?

Potrząsnęła głową. Jej mina zdradzała spokojne, zawodowe zainteresowanie tematem, który rozpoczął. Domyślił się, że spogląda na niego oczyma duszpasterki. Czy katolicy duchowni nie nazywali przypadkiem swoich parafian owieczkami? Myśl, że w jej oczach miałyby być owieczką, wprawiła go w konsternację i zupełnie mu się nie spodobała. Spróbował się jej pozbyć, bo w tym kontekście wspomnienie ostatniej nocy nabierało naprawdę dziwnego wydźwięku.

– A faceta? – Przerwał i się zastanowił. – A ty w ogóle mogłabyś mieć faceta? No wiesz, jako osoba duchowna?

Skinęła głową. Niespodziewanie zachowywała się bardzo zdystansowanie.

– Przepraszam – mruknął i postanowił wrócić na bezpieczny teren. Zaskoczony stwierdził, że podejrzenie pały go policzki. – Przez pracę WPR-u wiem całkiem sporo na temat twojej wiary, ale właściwie nic na temat twojego zawodu.

– WPR-u? Wyjaśnisz mi dokładniej, co to takiego? – Wyraźnie jej ulżyło, kiedy

zapropował zmianę tematu.

– WPR to w zasadzie skrót od: wydział specjalny do walki z przestępstwami motywowanymi religijnie. To nowa jednostka w ramach wydziału zabójstw.

– Czym się zajmujecie? Atakami terrorystycznymi? – W końcu kawa była gotowa. Ira wstała, podeszła do ekspresu i przyniosła na stół dzbanek z przezrystego szkła.

Faris rozlał napar do filiżanek.

– Nie. Za to są odpowiedzialni koledzy z departamentu piątego, którzy zajmują się bezpieczeństwem wewnętrznym. WPR bada najróżniejsze rodzaje przestępstw popełnianych z powodów religijnych. Najczęściej to morderstwa honorowe. Groźby przeciwko klinikom aborcyjnym i takie tam. Specjalizujemy się w sprawach największych religii świata. Mamy sporą wiedzę na ten temat.

– W takim razie ty pewnie jesteś specjalistą od islamu. – Ira słuchając go, przygotowała sobie kanapkę z dżemem i zaczęła jeść. Szybko żuła i przełykała. Raczej nie należała do kobiet, które liczyłyby kalorie.

– Zgadza się – potwierdził. – W zespole mamy też specjalistów od ruchów fundamentalistycznych wśród kościołów chrześcijańskich i judaistycznych. Większość naszych ludzi zdążyłaś poznać.

– Fundamentalizmy. – Potrząsnęła głową, jakby nie potrafiła zrozumieć, skąd się biorą. – To oznacza próby narzucenia wszystkim ludziom zasad własnej religii. – Niespodziewanie zrobiła się bardzo zamyślona. – Jezus Chrystus nauczał, że prawa są dla ludzi, a nie ludzie dla praw.

– Bardzo mądre słowa – zauważył Faris.

Uśmiechnęła się słabo.

– Prawda? – I zmieniła temat. – Czytałam kiedyś, że przynajmniej w Niemczech większość morderstw motywowanych religijnie jest popełnianych przez muzułmanów. – Powiedziała to zupełnie naturalnie i rzeczowo, a Faris nie mógł uwierzyć, że nie poczuł się tym zdenerwowany ani zły – zupełnie inaczej niż w przypadku Rainera Golzera, który miał przecież to samo na myśli. – To prawda? – dokończyła pytanie.

– Niestety tak, tak to wygląda.

– Dla ciebie to pewnie bardzo trudne?

– Nie rozumiem? – Faris upił łyk kawy. Spojrzał znad filiżanki na siedzącą naprzeciwko kobietę.

Ira wzruszyła ramionami.

– Gdyby chodziło o chrześcijan, że to oni popełniają takie rzeczy, powołując się przy tym na moją religię, czułabym się pewnie trochę winna.

„Takie rzeczy”. Czyli na przykład płonące i walące się wieże WTC w Nowym Jorku. Większość ludzi to właśnie ma na myśli, mówiąc o „takich rzeczach” popełnianych przez muzułmanów. On tymczasem od dziesięciu miesięcy miał przed oczyma jedynie eksplozję w Muzeum Klerscha.

– Niby dlaczego? Przecież to nie ty uruchamiałyś detonator, prawda?

Zupełnie niespodziewanie poczuł mocne i bolesne ukłucie. Dopiero wtedy zorientował się, że zacytował słowa, które wcześniej często powtarzał jego partner.

Paul!

Faris się bronił, żeby nie spoglądać w mroczną otchłań, którą otworzyła w jego duszy śmierć kolegi.

Ira patrzyła na niego zamyślona. Choć może nie na niego? Była bardzo poważna. Domyślał się już, że wszystko, co robiła, traktowała bardzo poważnie.

– Nie – powiedziała cicho. – To nie ja bym to robiła. Ale zaczęłabym się zastanawiać nad Bogiem, w którego wierzę, gdyby w jakiś sposób stał się dla niektórych usprawiedliwieniem zabijania tysięcy niewinnych ludzi.

Niespodziewanie wróciły do Farisa wydarzenia minionego dnia. Bomba w metrze. Eksplozja w mieszkaniu Hessego. Kolejna w altanie ogrodowej. I żadna z nich nie została zdetonowana przez islamistę. Ta w Muzeum Klerscha zresztą też nie.

Ira zdawała się domyślać, co go dręczyło.

– Eksplozja, która... która ci to zrobiła... – Wskazała na bliznę na ramieniu.

– Muzeum Klerscha?

Kobieta potaknęła.

– Teraz sobie przypominam. To ty byłeś tym policjantem, o którym pisali, że odniósł bardzo ciężkie obrażenia.

– Tak, to byłem ja – potwierdził Faris i głośno przełknął ślinę.

– To pewnie dla ciebie bardzo trudne. – Nie powiedziała wyraźnie, co miała na myśli, jednak on przypuszczał, że chodzi o aktualne zamachy bombowe.

Milczał przez chwilę i spoglądał na nią zamyślony.

– Wiedziałaś – zaczął w końcu – że zamachowiec z muzeum wcale nie był islamistą?

Sięgnęła po filiżankę i zaczęła obracać ją w palcach. Zupełnie jakby chciała się ogrzać ciepłem wypełniającego ją naparu.

– Nie, nie wiedziałam. Ale też nie zajmowałam się wówczas jakoś specjalnie motywami, które kierowały tym człowiekiem.

Nie wiedział dlaczego, ale jej słowa sprawiły mu smutek.

– Był Syryjczykiem. Ożenił się z Niemką – wyjaśnił. – Walczył o prawo do opieki nad synem. Ale urzędy i sądy zaczęły przyglądać mu się z dużą podejrzliwością. Sugerowano, że utrzymuje kontakty z islamistami. I chcieli mu odmówić prawa do opieki. Uznano, że musi być terrorystą.

– Tylko z racji arabskich rysów – dokończyła Ira.

W jej oczach pojawiło się współczucie, choć Faris nie potrafił stwierdzić, kogo miała na myśli: Syryjczyka z muzeum czy jego.

– Właśnie dlatego, że był Arabem. Bezustannie zderzał się z uprzedzeniami i to one pchnęły go w końcu do popełnienia czynu, który od początku mu insynuowano.

Przypomniał sobie, co sam pomyślał i jak zachował się w muzeum.

„I też jestem muzułmaninem”. Tak mniej więcej próbował nawiązać z nim rozmowę.

Jego słowa okazały się kroplą, która przepelniła czarę. Nawet on założył od razu, że porywacz jest islamistą. I to mimo że sam przecież był Arabem, że pracował w WPR i że na co dzień zajmował się przestępstwami motywowanymi religijnie, które nie miały nic wspólnego z terroryzmem – ale i tak popełnił brzemienny w skutkach błąd.

I sprowokował porywacza do uruchomienia detonatora.

Zmęczonym gestem potarł czoło, kiedy o tym pomyślał.

Przytłaczał go ten temat, wolał rozmawiać o czymś innym.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie. – Uniósł wzrok. – Jesteś mężatką?

Powoli pokręciła głową.

– Nie. Ale do niedawna był ktoś w moim życiu. – Jej rysy stężyły tak gwałtownie, że Faris się przestraszył.

– Nie żyje – stwierdził, zanim zdążył pomyśleć, lecz ku jego zaskoczeniu Ira znów pokręciła głową. Tym razem się uśmiechała.

– Nie, nic mu nie jest. Moje życie jest nieco mniej dramatyczne niż twoje. Thomas... – kiedy wypowiedziała jego imię, jej twarz przez chwilę wyrażała tęsknotę.

– On jest księdzem katolickim.

Faris nie rozumiał, co chciała mu w ten sposób powiedzieć.

– Katolicy księży nie mogą się żenić. Thomas i ja... mieliśmy romans, który zakończył się przed kilkoma tygodniami. Musieliśmy utrzymywać go w tajemnicy, bo inaczej Thomas straciłby pracę. – Wzruszyła ramionami. – Koniec końców wybrał stan kapłański.

– Rozumiem. – Faris miał ściśnięte boleśnie gardło, ale zmusił się do przełknięcia odrobiny kawy.

Ira również uniosła filiżankę.

– Trochę mi go przypominasz.

Faris spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Na zewnątrz było już całkiem jasno i z trudem zobaczył swoją twarz. Zbyt długie, rozczochrane włosy. Zaczerwienione oczy.

– Jestem podobny do niemieckiego księdza?

– Macie bardzo podobne oczy. – Ira zadrżała. Ten temat budził w niej duże emocje.

Przez chwilę oboje milczeli.

– Masz jakieś miejsce, do którego chodzisz, kiedy nie chcesz być sama? – zapytał w końcu Faris.

Jeśli ją zaskoczył, to nie dała tego po sobie poznać.

– Mam przyjaciółkę. Jasmin. Jest Włoszką. Jej ojciec prowadzi restaurację w Charlottenburgu. Trattoria Rossi, tak się ten lokal nazywa. Jeśli czuję, że świat wali mi się na głowę, jadę do niej, a potem zawsze czuję się...

W połowie ostatniego słowa odezwało się ćwierkanie smartfona Farisa. Policjant natychmiast po niego sięgnął. Ira obserwowała jego twarz, kiedy patrzył na ekran. Zbladła.

– Zamachowiec? – zapytała szeptem.

Faris potaknął ponuro. I odebrał połączenie.

Nie zgłosił się, tylko czekał, milcząc.

– Z kim rozmawiam? – odezwał się zniekształcony głos.

– A jak myślisz? – wycedził Faris przez zaciśnięte zęby.

– Faris? – Chwila ciszy. – Ty żyjesz?

Mimo zniekształconego głosu było słychać, że dzwoniący jest zaskoczony, ale nie tylko to, bo w jego tonie kryło się coś jeszcze. Faris nie miał pewności, co konkretnie, ale

miął wrażenie, że to ulga. Kolejne słowa nieznajomego uświadomiły mu, że się nie mylił.

– Cudownie! W takim razie możemy wrócić do naszej zabawy.

Teraz miał już pewność, tym bardziej że nieznajomy nie krył ulgi i, co więcej, radości. Radości z tego, że jeszcze nie skończyła się jego sadystyczna rozrywka. Serce policjanta wypełniła złość i przegnała z niego otepienie wywołane śmiercią partnera.

– Ja żyję – wysyczał. – Ale w eksplozji altany na działce zginął mój partner i...

– Paul Sievers nie żyje? – Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

A potem nieznajomy się po prostu rozłączył.

Przez resztę nocy Dennis i Jenny odwiedzili kilka klubów, a ostatni, do którego się wcisnęli, był tak przepełniony, że wytrzymali w nim ledwie piętnaście minut.

Jenny zachichotała, kiedy z dusznego i dudniącego wnętrza wydostała się wreszcie na świeże powietrze. Na wschodzie pojawiły się już pierwsze blaski światła nadchodzącego dnia. Ze szczęścia zakręciło jej się w głowie, bo przez całą noc imprezowała.

Działanie alkoholu, który wypła w koktajlach, coraz bardziej słabło, lecz mimo to wciąż czuła się lekko i cudownie i domyślała się, że to przez obecność Dennisa u jej boku. Jeśli z nią zostanie, nigdy, przenigdy nie będzie potrzebowała ani kropli alkoholu!

Teraz, wczesnym rankiem, zrobiło się wyraźnie chłodniej, lecz to jej nie zmartwiło, bo miała pretekst, żeby przytulić się do Dennisa.

– Jest ci zimno? – Spojrzał jej w oczy.

– Troszkę – skłamała. Tak naprawdę pod jego spojrzeniem czuła gorąco, a nie chłód.

Zdjął kurtkę, założył jej na ramiona i mocno przytulił. Dokładnie tak, jak sobie zaplanowała. Schyliła głowę, żeby nie zobaczył jej zadowolonego uśmiechu.

– Dokąd teraz? – zapytała.

Nie odpowiedział, tylko poprowadził ją w stronę jednego ze skwerów, których w tej części miasta było sporo. Zatrzymał się przed ławką otoczoną wysokimi krzakami.

– Usiądźmy na chwilę – zaproponował.

Nie była pewna, ale miała wrażenie, że powiedział to zachrypniętym głosem.

Jej serce zabiło szybciej.

Usiedli i Jenny nie oponowała, kiedy Dennis ją do siebie przyciągnął. Pachniał dość drogą wodą po goleniu. Już poprzedniego wieczoru to zauważyła, lecz teraz dosłownie zakręciło jej się od tej woni w głowie.

– Mmm... – Nabrała z rozkoszą powietrza i przymknęła oczy. – Cudownie pachniesz!

Zaśmiał się cicho. A potem nachylił się i ją pocałował.

Poczuła się w siódmym niebie.

Coś twardego uwierało ją boleśnie w udo. Przez krótką, wstydliwie szczęśliwą chwilę była pewna, że chłopak ma erekcję, lecz szybko się zorientowała, że to jedno z dwóch światełek chemicznych, które przed wejściem do klubu zdjęła z szyi i wsunęła do kieszeni spodni. Chichocząc, zmieszana przesunęła światełko tak, żeby nie

przeszkadzało.

– Co to? – Dennis zmarszczył brwi.

– Nic takiego. Tylko to! – Wyjęła oba światełka z kieszeni. Mimowolnie zauważyła, że jedno z nich było rzeczywiście znacznie cięższe niż drugie. Poczula się trochę niepewnie. Ale przecież w tej chwili to nie miało najmniejszego znaczenia! Uniosła je i pokazała chłopakowi.

– Wpijały mi się w nogę. – Znów zachichotała i w przypływie odwagi, której pewnie pomógł alkohol, dodała: – Czy masz rewolwer w kieszeni, czy tak cieszysz się na mój widok? – zacytowała skandalizującą Mae West.

Dennis był wyraźnie zaskoczony tak dwuznacznymi słowami i przez chwilę tylko patrzył na nią uważnie, by w końcu się roześmiać.

– Ależ cieszę się, cieszę. – Puścił do niej oko. Potem odebrał jej światełka z dłoni i jednym nich przesunął po skórze jej szyi, w dół dekoltu aż do wycięcia jej bluzki.

Zadrzała. Niespodziewanie poczuła, że robi jej się gorąco i mięknie jak wosk, kiedy Dennis odłożył w końcu światełko i wsunął dłoń pod jej ubranie. Zamknęła oczy i rozkoszowała się chwilą.

Rozdział 26

Telefon od nieznanego zmobilizował Farisa do działania. Kiedy połączenie zostało przerwane, policjant poczuł, że znów jest w grze i że niczego bardziej nie pragnie, jak dopaść chorego skurwysyna i zatrzasnąć mu na nadgarstkach kajdanki. Krew zaczęła szybciej krążyć w jego żyłach, pojawiło się znajome łaskotanie i wtedy już wiedział, że to zastrzyk adrenaliny, którego od wielu godzin nie doświadczył.

– Muszę lecieć – powiedział do Iry.

Kobieta siedziała dalej przy kuchennym stole. Opuszkami palców lewej dłoni dotykała brzegu filiżanki, a jej spojrzenie błędziło po twarzy Farisa.

– Dobrze – zareagowała w końcu. – Chyba dasz już sobie radę.

Zamilkł i wsłuchał się w siebie. Możliwe, że to był ostatni zryw przed ostatecznym załamaniem, lecz mimo to był zdeterminowany, żeby wykorzystać do cna odnalezione siły, by zakończyć sprawę z zamachowcem. Dopadnie go, choćby miała to być ostatnia rzecz, jakiej dokona w życiu!

Ira musiała dostrzec w jego oczach coś, co jej się wyraźnie nie spodobało, bo zadrżała, nie odwracając wzroku od jego twarzy.

– No idź już – poprosiła. – Dam sobie radę z wyjściem.

Zawahał się. Miał wrażenie, że przez to, co stało się zeszłej nocy, powinien coś powiedzieć. Problem polegał na tym, że nie miał pojęcia, co. Zakłopotanie, które pojawiała się, ilekroć pomyślał o nagiej skórze Iry pod swoimi dłońmi, przyprawiało go o zawroty głowy.

– Dzięki – wymamrotał jedynie.

Uśmiechnęła się, a mimo to wyglądała smutno.

– Nie ma za co.

Prywatnym autem podjechał na Keithstraße i krótko przed siódmą rano stanął w progu biura wydziału. Przez kilka chwil obserwował wnętrze War Roomu i chłonał to, co widział. Niemal wszyscy byli na miejscu: Gitta, Marc, Ben i Shannon. Marc i Gitta mieli na sobie inne ubrania niż poprzedniego dnia. To złagodziło nieco jego wyrzuty sumienia, bo oznaczało, że przynajmniej oni wrócili choćby na chwilę do domów. Za to Shannon i Ben nie zmienili rzeczy – z tym że w przypadku Bena nie mógł mieć pewności, bo technik nosił ubrania zawsze w tym samym kolorze – piaskowe sweterki i spodnie.

Czerwona cyfra na tablicy wskazywała liczbę godzin pozostałych do zamachu. Siedemnaście.

Na białej niegdyś tablicy magnetycznej wisiały dziesiątki zdjęć. Fotografie przedstawiały zniszczony dworzec kolejki podziemnej, wysadzone w powietrze komputery w nielegalnym mieszkaniu Hessego i spalone resztki altany ogrodowej na działce Ellwangerów. Wśród fotografii ofiar pierwszego zamachu Faris rozpoznał twarz znanej berlińskiej aktorki, która miała pecha i jechała wysadzonym w powietrze składem. Potem popatrzył na pozostałe fotografie, głównie nastolatków, wszystkie zrobione ze zdjęć z ich dokumentów. Wśród ofiar odnalazł również starszą zakonnice o jasnych oczach. Jej ciało wydawało się nienaruszone, zupełnie jakby Bóg chronił ją również

w chwili śmierci. Faris przyglądał się jej wąskiej, bladej twarzy. Potem przesunął wzrok dalej. Na widok zwęglonych zwłok poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. W jego głowie rozległ się przeraźliwy krzyk: „Paul!” Dopiero po chwili zwrócił uwagę na podpis nad zdjęciem. Bobby. Uświadomił sobie, że to bezdomny, ofiara drugiego wybuchu. Miejsce, w którym powinno wisieć zdjęcie partnera, nie zostało zajęte. Pustka pośrodku wypełnionej szczelnie tablicy wydała się Farisowi odzwierciedleniem jego wewnętrznej pustki.

Pierwsza zauważyła go Gitta.

– Faris! – Kobieta zerwała się na równe nogi i zanim zdążył się zorientować, już trzymała go w ramionach. – Faris!

Przytuliła go i przytrzymała przy piersi, lecz tylko na chwilę. Potem odsunęła go od siebie i przyjrzała mu się uważnie. Łzy popłynęły szerokimi strumieniami po jej policzkach i zaczęły skapywać z brody na ziemię.

– Gitta. – Miał problem, żeby wypowiedzieć nawet to jedno słowo. Przemoczony T-shirt przykleił mu się do ciała w miejscu, gdzie przytuliła policzek.

Emocjonalna reakcja Gitty zwróciła na niego uwagę wszystkich w biurze. Shannon, dotychczas z nosem w książkach przyniesionych z mieszkania Ellwangerów, przestała czytać i uniosła głowę. Wstała równocześnie z Markiem Sommerem, lecz podczas gdy młody policjant poczuł się trochę nieswojo i został za biurkiem, ona podeszła do Farisa. Z wahaniem podała mu dłoń.

– *So sorry, dear* – powiedziała wzruszonym głosem. Spuściła przy tym głowę, lecz Faris już wcześniej zauważył, że jej powieki są czerwone i przekrwione. Shannon nigdy by sobie nie pozwoliła na płacz w obecności kolegów, a gdy nie mogła się powstrzymać, szła do damskiej toalety.

Kiedy się odwróciła, żeby wrócić na miejsce, jej ruchy były sztywne i nienaturalne.

Marc dalej stał za biurkiem i nie wiedział, jak się zachować. Przełknął głośno ślinę i w końcu usiadł. Faris nie miał mu tego za złe. I tak nie było słów, które mogłyby pomóc.

Ben wisiał na telefonie. Skupiony przysłuchiwał się, co ma mu do powiedzenia osoba po drugiej stronie, jednocześnie obserwując coś na ekranie komputera.

– Dzięki – powiedział w końcu. – To nam bardzo pomoże.

I bez pożegnania zakończył połączenie, wstał i ruszył w stronę kolegi.

Technik również nie był w stanie spojrzeć mu w twarz.

– Ja... kurwa, Faris, tak mi przykro! – Uniósł głowę. Ich spojrzenia skrzyżowały się tylko na chwilę, lecz to wystarczyło. Faris bardzo chętnie dowiedziałby się, co takiego Ben zobaczył, bo momentalnie cofnął się przestraszony. – Przyjmij moje kondolencje! – rzucił i uciekł na swoje miejsce.

Rozejrzał się po biurze. Miejsce przy biurku Paula było wolne – jedyne w całym War Roomie. Coś go jednak powstrzymywało, by je teraz zająć. Dlatego założył ramiona na piersi i oparł się o stół taktyczny. Nie dało się przeoczyć, że śmierć Paula sporo zmieniła w tym pomieszczeniu. Niespodziewanie ludzie, których tak dobrze i w zasadzie długo już znał, emanowali złą energią. Poczul ją od progu, uderzyła go niczym fala gorąca i otuliła drapiącym całunem. „Emocjonalna radioaktywność” – pomyślał. Poczul się trochę tak, jakby wszystko dookoła zaraz miało zniknąć w nieprzyjemnym błysku.

– Dobra, słuchajcie, skupmy się teraz na dorwaniu tego skurwysyna! – powiedział głośno.

Ulga pozostałych była niemal fizycznie wyczuwalna. Z ponurą determinacją wszyscy wrócili do swoich zadań.

– Gdzie jest Tromsdorff? – zapytał.

– Musiał iść się tłumaczyć przed senatorem odpowiedzialnym za bezpieczeństwo wewnętrzne – wyjaśnił Marc. – Razem z Geiger i szefostwem wydziału.

Faris potaknął, by w końcu ostatecznie odwrócić się w stronę stołu i wziąć się do pracy.

Ktoś przygotował mapę myśli, przedstawiającą wybuch w altanie ogrodowej. Wszystkie informacje, jakie udało się dotychczas zebrać, zostały zapisane w nachodzących na siebie i połączonych okręgach. Na dłuższą chwilę Faris zatrzymał wzrok na słowach, które poprzedniego popołudnia Paul własnoręcznie zapisał w innym miejscu. Jego partner miał zamaszysty charakter pisma, tak charakterystyczny, że przez kilka sekund nie mógł oderwać od niego wzroku, bo przywoływał obrazy i wspomnienia.

– Hej. – Ktoś dotknął jego ramienia. Zaskoczony otrząsnął się z zamyślenia i wrócił do rzeczywistości. Obok niego stała Gitta. Wczorajsze ciuchy w kolorowych i radosnych barwach zmieniła na coś ciemnoniebieskiego.

„Pewnie wybrała ze swojej garderoby najsmutniejsze ubranie, jakie miała” – pomyślał Faris.

Odruchowo spojrzął na swój czarny T-shirt.

– Wszystko dobrze? – zapytała Gitta cicho.

Nie, nic nie jest dobrze!

Faris ugryzł się w język.

– Tak – skłamał. Chciał coś dodać, ale w tej samej chwili Ben klasnął w dłonie i krzyknął radośnie.

Wszyscy spojrzeli w jego stronę.

– Masz coś ciekawego? – zapytała Shannon.

Technik wskazał na monitor.

– Mam schemat podłączeniowy, który znaleźliśmy na komputerze z domu Ellwängera. Jestem przekonany, że to schemat elektryczny monitora pracy serca, do którego podłączony jest stary Ellwänger. Na wideo tylko przez chwilę widać samo urządzenie, ale udało mi się poprawić ostrość fragmentu, na którym widać producenta. – Przerwał i uniósł wysoko kolorowy wydruk, który leżał na blacie obok klawiatury. Mocno rozmazany, ale mimo to czytelny, rzeczywiście przedstawiał logo producenta.

– MedicCare – odczytał Faris.

– MedicCare ma siedzibę w Europie Wschodniej – ciągnął Ben. – A konkretniej rzecz biorąc, na Ukrainie. Są w innej strefie czasowej niż my, mają godzinę wcześniej, więc dzisiaj rano do nich zadzwoniłem i udało mi się skontaktować z pracownikiem firmy, a konkretnie z jednym z inżynierów projektantów. – Przesunął wzrokiem po twarzach zebranych przy stole. – Wiedzieliście, że tam prawie wszyscy mówią po niemiecku? – Nikt mu nie odpowiedział, więc odkasznął i wrócił do relacjonowania swoich ustaleń. – Koniec końców, przesłałem im mejlem plany, jakie zabezpieczyliśmy,

i właśnie przed chwilą odpowiedzieli na moje pytania. Okazało się, że rzeczywiście to schemat elektryczny jednego z oferowanych przez nich urządzeń. – Zamilkł i uśmiechnął się szeroko.

– No i? – Faris wciąż jeszcze nie rozumiał, w jaki sposób mogliby wykorzystać taką wiedzę. Pozostali mieli podobnie zdezorientowane miny, zauważył to, kiedy tylko się rozejrzał.

– Przedstawiłem im sytuację, w jakiej się znaleźliśmy, i opisałem nasz problem – ciągnął Ben. Był bardzo podekscytowany i musiał teraz wyjaśnić, dlaczego. – Otóż obejrzelisiście sobie dokładnie przesłane plany i wyjaśnili, w jaki sposób sprawca chce zdetonować kolejne bomby. Chodzi o to, że to cała masa technicznego bełkotu, więc wam go oszczędzę i powiem tylko to, co najważniejsze: otóż wszyscy w Medicare są przekonani, że wystarczy wyłączyć całe urządzenie, żeby uniemożliwić zdetonowanie ładunku – dokończył i rozejrzał się tryumfalnie.

– Cudnie – warknęła Shannon oschle. – Szkoda, że nie dali znać, gdzie go szukać. Ben uniósł głowę, ale zaraz potem wzruszył ramionami.

– To już jest wasze zadanie – burknął i wrócił do pracy na komputerze. I jak często, kiedy był przekonany, że odwalił kawał dobrej roboty, za którą nie został właściwie pochwalony, zachowywał się, jakby się obraził.

Zanim ktokolwiek zdążył to skomentować, odezwał się telefon w biurze Gitty. Kobieta popędziła odebrać.

– Serio?! – krzyknęła chwilę później. – Coś ty, to świetna wiadomość!

Kiedy się rozłączyła, na jej twarzy pojawił się wyraz ponurej satysfakcji.

– Właśnie rozmawiałam z Tromsdorffem. – Złożyła dłonie na piersi i opuszkami palców wskazujących dotknęła brody. – Wygląda na to, że nasi ludzie z komisariatu w Kreuzbergu dopadli jakiegoś młodego chłopaka, który łąził po ulicy, i są przekonani, że to może być... Alexander Ellwanger. Już go do nas wiozą.

Czekając, aż dostarczą zatrzymanego, Faris usiadł do komputera i zaczął przeglądać akta w archiwum DigAA. Wciąż jeszcze nie był w stanie się przemóc, by usiąść przy biurku Paula, poprosił więc Marca, żeby ustąpił mu jego dawne miejsce. Młody policjant skinął głową, wziął swój czarny kubek do kawy i wstał przygotować sobie kolejną porcję naparu.

Lista z dokumentami przyporządkowanymi do aktualnej sprawy rozrosła się do iście monstrualnych rozmiarów. Faris wiedział, że baza danych dysponowała pracującymi w tle algorytmami, które nadawały wiadomościom strukturę i wyszukiwały zależności oraz powiązania, które śledczym mogłyby umknąć. Nie potrafił za to sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek udało się dzięki nim rozwiązać jakąkolwiek sprawę. Nie wiedział, jak to wygląda w innych działach. Wolał trwać w przekonaniu, że to ich ludzkie umysły i zdolność kojarzenia chroniły Berlin i jego mieszkańców przed wariatami, a nie jakieś zera i jedyńki zamknięte w procesorach komputerów.

Na chybił trafił wybrał jedną z zakładek, przejrzał jej zawartość i zamknął, bo niczego nowego się nie dowiedział. Przyglądając się przerażająco długiej liście wpisów, myślał intensywnie, w jaki sposób zacząć ją rozpracowywać, kiedy niespodziewanie pojawił się nowy rekord. Został opatrzony najświeższą datą i godziną, więc Faris kliknął

w niego z ciekawości. Był to protokół z rozmowy z jakimś Norbertem Langnerem, mężem jednej z ofiar eksplozji w Muzeum Klerscha. Mężczyzna miał na czas wszystkich czterech eksplozji bardzo mocne alibi, co stawiało go poza jakimikolwiek podejrzeniami.

Podążając za jakimś wewnętrznym głosem, Faris otworzył listę ofiar eksplozji w muzeum i przesunął wzrokiem po zapisanych jedno pod drugim nazwiskach, aż dotarł do żony Norberta Langnera. Nina Langner w chwili śmierci miała dwadzieścia siedem lat. Nagle obraz przed jego oczyma zaczął się rozmywać. Zamrugał, by odzyskać ostrość widzenia, i czytał dalej.

Langner Nina.

Mayer Hiltrud.

Mechow Ludmilla.

Przy nazwisku ostatniej kobiety nie było żadnych wpisów. Tylko i wyłącznie w jej przypadku brakowało zapisu rozmów z krewnymi. Faris zmarszczył czoło i się zastanowił.

Nagle z zamyślenia wyrwał go głos Tromsdorffa.

– ...szybko do pokoju przeszuchań!

Dopiero wtedy zauważył, że ktoś musiał wyjść z War Roomu, bo drzwi do biura stały otworem. Ze swojego miejsca widział fragment korytarza i początek klatki schodowej. Dostrzegł kilku mężczyzn zbliżających się szybkim krokiem, a na czele grupy maszerował ich szef. Za nim szło dwóch funkcjonariuszy w mundurach, prowadząc szczupłego mężczyznę o potarganych czarnych włosach i z rękoma w kajdankach zapiętych z przodu. Kiedy mijali drzwi sali konferencyjnej, chłopak uniósł niespodziewanie głowę. Jego ciemne, sięgające brody włosy odsunęły się kawałek i odsłoniły pociągłą, bladą twarz.

– Matko Boska! – szepnęła Gitta i spojrzała odruchowo w stronę tablicy magnetycznej i zdjęcia wyjętego z albumu Iry.

Faris miał wrażenie, że jego serce zmienia się niespodziewanie w lodowaty kamień.

Zakutym w kajdanki mężczyzną był Alexander Ellwanger.

Lecz najbardziej przerażające w całej sytuacji było to, jak młodo wyglądał.

Faris wyblagał u Tromsdorffa pozwolenie, by móc rozpocząć przesłuchanie chłopaka. Szef WPR-u wahał się przez dłuższą chwilę, bo formalnie decyzja o zawieszeniu jego pracownika nie została jeszcze uchylona, lecz doktor Geiger o tak wczesnej porze nie pokazywała się w pracy, a oni potrzebowali jak najszybszych postępów śledztwa. Dlatego w końcu Tromsdorff skinął głową i dał pozwolenie, choć widać było, że robi to naprawdę z ciężkim sercem.

Zanim wszedł do pokoju przeszuchań, zdjął kilka zdjęć z tablicy magnetycznej i schował do teczki, w której trzymał akta. Stał przed drzwiami do pomieszczenia, w którym czekał zatrzymany i przez kilka sekund szukał w sobie sił, by wejść do środka. W końcu nacisnął klamkę. Powietrze w niewielkim, pustym prawie pokoiku było chłodne i czuć było w nim charakterystyczny zapach działającej klimatyzacji. Poza stolikiem z wbudowanym mikrofonem i dwoma prostymi, plastikowymi krzesłami nie było w nim żadnych mebli.

Alexander siedział na jednym z krzesel. Ktoś zdjął mu kajdanki. Był zgarbiony

i wyglądał jak kupka nieszczęścia, z głową schowaną między ramionami i dłońmi złożonymi jak do modlitwy. Faris szybko poczuł otaczający chłopaka zapach. Aż nazbyt dobrze go znał – pot i krew. Ubranie Ellwangera było całe upstrzone zaschniętymi, ciemnorudymi plamami. Czarna bluza z kapturem, którą miał na sobie, lepiła mu się do ciała, a był tak chudy, że wyraźnie było widać mu żebra.

Faris spojrzął krótko na lustro weneckie zawieszona na ścianie po prawej stronie. Wiedział, że pozostali czekają za nieprzejrzystą od jego strony taflą. Jeden z jego współpracowników był gotów, by przejąć prowadzenie przesłuchania, gdyby stało się coś nieprzewidzianego albo gdyby Faris zabrnął w ślepią uliczkę.

Dawniej należało to do Paula...

Niespodziewanie poczuł ból ogromnej straty i zagubienia. Świadomość, że tym razem nie będzie mógł liczyć na wsparcie partnera, ba, nie tylko tym razem, ale już nigdy, obciążała go psychicznie i fizycznie. Odetchnął głęboko, po czym podszedł do stolika i położył na nim teczkę. Zignorował dyktafon ustawiony między nim a chłopakiem.

– Alexander Ellwanger? – zapytał.

Zatrzymany w pierwszej chwili nie zareagował na jego słowa. Faris słyszał jakieś niewyraźne mamrotanie i założył, że chłopak się modli. Minęły dwie albo trzy minuty. Policjant przez ten czas cierpliwie czekał. W końcu Alexander uniósł głowę.

– Tak – powiedział. Miał zachrypnięty głos.

W zasadzie był jeszcze dzieckiem. Miał miękkie rysy twarzy oraz gładką skórę z odrobiną zarostu nad górną wargą i na brodzie. Krew, w której był cały skąpany, spryskała mu również twarz. Starał się ją zetrzeć, ale ślady i tak zostały. Na żuchwie i obok nosa widać było rdzawe skrzepy. Pod paznokciami chłopaka również.

Faris przez dłuższą chwilę spoglądał na jego dłonie. Potem odsunął sobie krzesło i usiadł.

– Ależ się pan wybrudził! – zaczął rozmowę.

Młody mężczyzna uniósł palce i przyjrzał się im uważnie z miną, jakby nie należały do niego.

– To krew... – wyszeptał ledwie słyszalnie.

Faris dał mu chwilę i poczekał, czy będzie chciał sam mówić dalej. Chłopak jednak milczał.

– To krew pańskiego ojca? – zapytał.

Alexander potaknął.

Zaskoczony policjant uniósł wzrok i zacisnął zęby, żeby nie okazać podekscytowania. Czyżby to naprawdę miało być aż takie proste? Przyznanie się do winy już na samym początku przesłuchania?

– Czy pan... czy pan ukrzyżował swojego ojca, panie Ellwanger? – dopytywał bardzo ostrożnie.

– Pan Ellwanger to mój ojciec, wszyscy się tak do niego zwracają. Ja jestem po prostu Alexander.

– Dobrze, oczywiście. Ukrzyżowałaś ojca, Alexandrze? – Już samo pytanie o ukrzyżowanie sprawiło, że poczuł się nieswojo.

Alexander złożył dłonie i mocno je do siebie przycisnął. Patrzył przy tym na nie,

jakby sam siebie musiał przytrzymać. W końcu, po chwili, która Farisowi wydawała się wiecznością, potaknął.

– Tak.

– Gdzie go znajdziemy?

Tym razem chłopak potrząsnął głową i mocno zacisnął usta.

Faris nachylił się lekko nad stołem.

– Może wolałbyś mi powiedzieć?

Alexander znów potrząsnął głową.

– Dlaczego nie?

– Nie wolno mi!

Jarzeniówka pod sufitem brzęczała cichutko. Faris miał wrażenie, że w jej buczeniu słyszy delikatne pikanie.

– Kto ci zabronił?

– Tata.

Policjant ze świstem nabrał powietrza przez zęby.

– Słucham?

Alexander uniósł wzrok. W jego oczach pojawił się błysk, który sugerował obłąd.

– Zaraz... twój ojciec zabronił ci mówić, gdzie jest krzyż, do którego go przybiłeś... – stwierdził Faris.

Alexander potaknął.

– Ale mówisz o twoim Ojcu niebieskim, o Bogu, prawda?

– Nie.

– Dlaczego ojciec zabronił ci mówić, gdzie jest?

Na to pytanie Alexander nie znał odpowiedzi albo jeśli znał, to nie chciał się nią podzielić. Spuścił głowę i milczał. Czarne włosy zsunęły mu się na oczy. Faris nie mógł pozbyć się coraz silniejszego wrażenia, że rozmawia z upartym nastolatkiem.

– Dlaczego ojciec zabronił ci mówić, gdzie jest krzyż, na którym wisi? – powtórzył.

– Dlatego, że czeka, aż objawi mu się Chrystus, a jeszcze się nie objawił.

Zrezygnowany Faris osunął się na oparcie.

– Musisz mi to wyjaśnić, bo nic nie rozumiem.

I ku jego ogromnemu zaskoczeniu Alexander rzeczywiście zaczął tłumaczyć mu, o co chodzi. Mówił o duchowym doświadczeniu, o przebaczeniu i o odkupieniu grzechów, o zmyciu win krwią Baranka i o bezgranicznym strachu przed wiecznym potępieniem. A potem jeszcze o spotkaniu z Bogiem w Jezusie Chrystusie i o zjednoczeniu się w cierpieniu z Synem Bożym.

Jednak z całego tego wykładu Faris nie rozumiał ani słowa.

Spojrzał spiesznie w lustro i poczuł żal, że nie może zobaczyć min współpracowników i współpracowniczek. Miał nadzieję, że przynajmniej Shannon potrafiła objąć rozumem, o co może chodzić temu chłopakowi.

W końcu odwrócił głowę i spojrzał na młodego mężczyznę naprzeciwko. Alexander siedział zgarbiony i zapadnięty w sobie. Faris poczuł grozę na myśl o tym, do czego posunął się jego rozmówca.

– Dobrze, popraw mnie, proszę, jeśli czegoś nie zrozumiałem albo jeśli

zrozumiałem coś opacznie, ale wygląda na to, że przybiłeś ojca do krzyża, żeby zapewnić mu mistyczne przeżycie.

Alexander potaknął.

– A jakie znaczenie w tym wszystkim mają bomby, bo tego jeszcze nie rozgryzłem? – pytanie postawił rzeczowym, niemal ostrym głosem.

Zaskoczony chłopak poderwał głowę i zmierzył go zdziwionym spojrzeniem.

– Jakie bomby? – Jego twarz wyrażała szczerą nieświadomość.

– Bomby, które zdetonowałeś wczoraj w Berlinie!

Wyraz twarzy zatrzymanego w jednej chwili zmienił się nie do poznania i Alexander wyglądał, jakby chciał zerwać się z krzesła i uciekać. Zaczęły mu drżeć dłonie i szcekał zębami. Zdecydowanie nie wyglądał jak chłodno kalkulujący, bezwzględny i okrutny nieznajomy, który w przerwach między detonacjami kolejnych bomb dręczył go telefonami. Faris przyjrzał się czarnej kangurce chłopaka. Była identyczna jak ubranie człowieka na nagraniu z ukrzyżowaniem. Faris przyjął to za dowód, że chłopak nie kłamie. Przybił własnego ojca do krzyża i dał się komuś nagrać przy pracy. Dzwoniący był tym drugim, tajemniczym sprawcą, który dotychczas nie ujawnił swojej tożsamości.

– Nie wiem nic o żadnych bombach – wymamrotał Alexander i tym samym wyrwał Farisa z zamyślenia.

– Kto ci pomógł to wszystko zorganizować? – zadał kolejne pytanie.

Alexander natychmiast zrozumiał, że dotyczy ono ukrzyżowania, a nie podkładania bomb.

– Ja... nie, nikt... – Chłopak nie potrafił ukryć kłamstwa, które miał jakby wypisane na twarzy. Ktoś musiał mu w tym wszystkim pomóc, a on dobrze wiedział, kto to był.

Policjant się zawahał. Zaczął się zastanawiać nad wyborem optymalnej strategii i uznał, że najlepszym sposobem będzie zwiększenie presji na Alexandra. Będzie zachowywał się tak, jakby dalej uważał go za zamachowca. Najczęściej w podobnych sytuacjach podejrzani zaczęli sypać współników, ledwie czuli zbliżające się konsekwencje tego, co zrobili.

Faris wstał gwałtownie z krzesła.

– Czy ty masz mnie za idiotę?! To ty ukrzyżowałeś ojca, przecież sam mi o tym powiedziałeś! Poprzyklepiłeś mu elektrody, które są połączone z bombą na Stadionie Olimpijskim. To ty wysadziłeś wagon metra na Bismarckstraße, biuro mojego kumpla i altankę ogrodową swojego... – Dopiero przy ostatnich słowach zabrakło mu impetu. Oczyma wyobraźni zobaczył spaloną twarz Paula i musiał się oprzeć o brzeg stołu, żeby nie zatoczył się ze strachu.

Alexander odsunął się najdalej, jak tylko mógł.

– Ale ja przecież nie zrobiłem tego wszystkiego... ja niczego nie zrobiłem!
– wyszeptał, a jego oczy wypełniły się łzami.

Faris sięgnął po teczkę, w której miał przygotowane odpowiednie zdjęcia. Wyjmował je jedno po drugim i rzucał na blat przed chłopakiem: fotografia starej zakonnicy, zwęglone ciało bezdomnego, dymiące zgliszcza altanki. Serce waliło mu jak

młotem.

– Przyjrzyj się temu uważnie. To są efekty eksplozji bomb, które podłożyłeś – prowokował chłopaka i wskazał palcem na zdjęcie zwłok staruszki. – Ona była siostrą, zakonnicą. A twoja bomba ją zabiła w drodze na mszę. Chcesz wiedzieć, jak się nazywała? Proszę bardzo! Siostra Ksaweria. Zabiłeś siostrę Ksawerię! – Dopiero chwilę wcześniej odczytał imię zakonnicy z tablicy w War Roomie. – Jak myślisz? Czy ta kobieta cieszyła się, że dzisiaj wieczorem zobaczy papieża? Wiedziałeś, że miała pod opieką grupę dzieciaków? Zabiłeś też dzieci, Alexandrze! – Znow musiał się powstrzymać, bo serce waliło mu jak szalone i sprawiało ból.

Usiadł, zmusił się do spokoju i zaczął głęboko oddychać. Czuł na plecach spojrzenia innych zza jednostronnego lustra.

– Ja... to nie ja... ja nie podłożyłem... żadnych bomb...

Alexander niespodziewanie zaczął się jąkać. Łzy pociekły mu po policzkach. Wyciągnął dłoń i podniósł zdjęcie zakonnicy. Pogłaskał je delikatnie opuszkami drugiej dłoni.

– To anioł! To musiał być on! Na pewno!

– Jaki znowu anioł? – zapytał Faris zmęczonym, głuchym głosem. Wstał z krzesła. Choć dzwoniło mu w uszach, zorientował się, że ktoś otworzył drzwi do sali przesłuchań.

– Zrób sobie przerwę – zaproponował Marc. – Ja się nim zajmę przez tę chwilę.

Z wdzięcznością skinął głową. Wyszedł na korytarz, zamknął drzwi i osunął się na ścianę. Oparł głowę o twardy beton, tak mocno, że poczuł nierówności tynku. Oczyma wyobraźni widział kolejne obrazy, jeden po drugim, co sekundę nowy. Stara zakonnica o jasnych oczach. Spalone zwłoki bezdomnego. Zniekształcona twarz Paula. Słyszał płacz dzieci w Muzeum Klerscha. Płakały i płakały, aż Faris nie mógł już tego znieść. Niewiele brakowało, a popadłby w szaleństwo. Odwrócił się gwałtownie i zaciśniętą pięścią uderzył w twardą ścianę. Raz. Potem drugi.

– Dobra, starczy już! – powiedział Tromsdorff zdecydowanie i złapał go za ramię. – Chodź.

Kiedy wszedł z nim do pokoju obok sali przesłuchań, Marc zadawał Alexandrowi kolejne pytanie:

– Gdzie umieściłeś bomby?

Rozdział 27

– Nie mam nic wspólnego z żadnymi bombami! – zawołał Alexander łamiącym się głosem, kiedy Marc znów zadał mu pytanie dotyczące zamachu.

Młody policjant uruchomił dyktafon zignorowany przez Farisa i przysiadł na krawędzi stołu. Jego zachowanie, z pozoru bardzo spokojne, wręcz pełne luzu, było tylko grą, która zazwyczaj wzbudzała strach w przesłuchiwanym osobach, bo policjant siedzący na stole górował nad nimi przynajmniej o głowę.

– Nie kłam! – powiedział spokojnie, ale bardzo zdecydowanie.

– Ja... to nie byłem ja...

Marc płynnie zmienił taktykę.

– To w takim razie kto, Alexandrze? No? – Policjant nie przestawał zasypywać przesłuchiwanego pytaniami.

Chłopak przestał płakać, ale kiedy się odezwał, w jego słowach słychać było szloch.

– Przecież już wam mówiłem! To musiał być anioł!

– Jaki znowu anioł?

Alexander odwrócił głowę i spojrzał w lustro. Faris dostrzegł w jego oczach rozpacz i strach. Nagle poczuł się w jakiś dziwny sposób z nim związany, bo samotność otaczała go niczym aura, której nie było widać, lecz on mimo szyby ją zauważył.

– Anioł od Boga – wyszeptał Alexander. – On przybył! – dokończył roztrzęsionym szeptem.

Marc odczekał chwilę.

– Przybył? Skąd przybył? – zapytał.

Alexander zamknął oczy. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała gwałtownie, jakby zmagał się z nadludzkim wysiłkiem.

– Już od dawna nie potrafiłem sobie przypomnieć, jak to było. On zawsze oślepił mnie tym jaskrawym światłem. Wie pan, jak to jest, prawda? Taka biała poświata...

Marc delikatnie pokręcił głową.

– Człowiek zapomina wtedy wszystko, bo jest tak jasno i tak ciepło... Światło z nieba! A anioł zawsze stał w tym świetle... Tylko że on nie miał skrzydeł, tak pomyślałem. Ale to już było później, po tym, jak mój tata... – przerwał i zamilkł.

Młody policjant czekał cierpliwie, co jeszcze powie. Alexander nie miał jednak zamiaru kontynuować tego wątku, więc Marc dokończył za niego.

– Po tym, jak ukrzyżowałeś swojego ojca.

– Tak. Tak było. Ale on mi kazał to zrobić.

– Kto? Anioł czy twój ojciec?

– Anioł. Kiedy ojciec mu wyjawiał, że pragnie zostać ukrzyżowany, anioł przekonał mnie, że to dobrze i że tak powinno się stać.

– W porządku, wróćmy w takim razie do dnia, kiedy anioł pojawił się po raz pierwszy. Pamiętasz to? Mógłbyś mi go opisać?

– Wyglądał jak zwykły człowiek. Bo jeśli pan nie wie, to anioły mogą przyjmować

ludzką postać i wyglądać tak, jak my. Dlatego nie miał skrzydeł!

Marc potaknął ze zrozumieniem.

– Opisz go, proszę. Jak wyglądał?

Słyszając to pytanie, Alexander drgnął i odsunął się gwałtownie do tyłu.

– Nie!

Marc nie popełnił błędu i nie naciskał na przesłuchiwanego, by za wszelką cenę uzyskać interesujące go informacje. Pozornie niezainteresowany zmienił po prostu temat.

– Ale pewnie mógłbyś mi opowiedzieć, co się stało, kiedy przyszedł?

Alexander uniósł głowę.

– Zadzwoił do drzwi. Dobrze to pamiętam, bo sam się wtedy dziwiłem, jak to możliwe. Anioły przecież nie muszą dzwonić, kiedy chcą gdzieś wejść, prawda?

– Ależ skąd, oczywiście, że nie muszą dzwonić. – Marc spoglądał na niego poważnym wzrokiem. – Mów, proszę, dalej. Co się stało potem?

– Anioł usiadł z moim ojcem w salonie. Rozmawiali tam bardzo długo. A ja na początku próbowałem podsłuchiwać, ale przestałem, bo to grzech. Nie wolno podsłuchiwać.

– Zanim przestałeś podsłuchiwać... zapamiętałeś cokolwiek? O czym mówili?

– Nie, proszę pana. To znaczy trochę. Rozmawiali o jakiejś kobiecie.

– O jakiejś kobiecie. Zapamiętałeś może, jak miała na imię?

Alexander pokręcił głową.

– Ten anioł, o którym on ciągle mówi. – Faris nachylił się i przez lustro weneckie przyjrzał się uważnie Alexandrowi. – Wymyślił go sobie? Czy może chodzi o to, że nasz sprawca podawał mu się za anioła?

Shannon zrobiła zamyśloną minę i pokręciła głową.

– Jeśli ktoś słyszy głosy, to pierwszym odruchem będzie zbadanie go pod kątem schizofrenii. Ale w wypadku tego chłopaka obraz choroby zupełnie nie współgra z jego zachowaniem. Alexander nie utracił związku z rzeczywistością, z realnym światem. Brak oznak obłąkania. Nic. – Tak samo jak jej kolega nachyliła się i przyjrzała Alexandrowi, który siedział teraz ze spuszczoną głową i milczał. – Nie, na pewno nie wymyślił sobie istnienia tego anioła. Mogę się założyć, że to nasz główny sprawca.

Faris chciał coś jeszcze powiedzieć, ale w tej samej chwili do pokoju razem z drzwiami wpadła Gitta. Była wyraźnie podekscytowana. W dłoni trzymała pojedynczą kartkę papieru, która wyglądała jak wydruk z systemu archiwizacji akt DigAA.

– To właśnie wpłynęło! – zawołała i pomachała kartką.

Tromsdorff sięgnął po wiadomość i przeczytał jej zawartość.

– To... – Przerwał, pobladł gwałtownie i podał wydruk Shannon i Farisowi. Na kartce znajdowała się notatka jednego z funkcjonariuszy pracujących w jednostce saperskiej Krajowej Policji Kryminalnej.

W sali przesłuchań Marc zmienił taktykę i spróbował w inny sposób podejść Alexandra.

– Domyślam się, że się ze mną zgodzisz, jeśli powiem, że zabijanie innych to jeden z najcięższych grzechów, co? – zapytał, ale nie czekał, aż chłopak potaknie. – Musimy jak najszybciej się dowiedzieć, gdzie na Stadionie Olimpijskim jest ukryta bomba. I to

teraz, od razu. Anioł, którego widziałeś, mógłby pomóc tobie i nam uratować bardzo, bardzo wielu ludzi.

Alexander odchylił głowę, a z jego gardła wydobył się umęczony jęk i słowa, które powtarzał od początku:

– Przecież mówiłem, że nie wiem!

Faris w tym czasie dokończył lekturę przyniesionej przez Gittę wiadomości.

I już wiedział, gdzie jest bomba.

– Kurwa jego mać... – sapnął głucho.

W tej samej chwili zaświergotał jego smartfon. Pospiesznym ruchem sięgnął do kieszeni i natychmiast uniósł go do ucha.

– No to jak, teraz już wierzysz, że nie jestem Alexandrem?

Jak strasznie Faris nienawidził tego zniekształconego głosu! Czerwona mgła zasnuła mu oczy i przez chwilę trząsł się z wściekłości. W końcu jednak wziął się w garść, uruchomił tryb głośnomówiący, by Tromsdorff i Shannon mogli przysłuchiwać się rozmowie. A w War Roomie, wiedział o tym dobrze, Ben i tak wszystko nagrywał na dysk swojego komputera.

– No coś ty taki małowówny, Faris, co? Dlaczego milczysz? – zapytał dzwoniący.

– Tylko nie mów, że już się zmęczyłeś?

– Pocałuj mnie w dupę! – Obrażliwe słowa same wymsknęły się z jego ust, zanim zdążył się powstrzymać.

Shannon, która dotychczas stała obok niego skupiona i nieruchoma, teraz nagle uniosła głowę i popatrzyła w jego stronę przerażona.

Dzwoniący nie zareagował złością. Zaśmiał się jedynie i kontynuował:

– Ojej, jacy jesteście źli! Ale ja to rozumiem. Zdradzisz, o co pytaliście Alexandra?

– Skąd pan w ogóle wie, że on tu jest? – warknął Faris, ale nie czekał na odpowiedź, bo sam jej sobie szybko udzielił. – DigAA! Znów się pan włamał do naszego archiwum!

– Brawo. Wasi specjaliści od komputerów myśleli, że załatali dziurkę, przez którą się tam dostałem, ale nie byli dość bystrzy, żeby się zorientować, że przeoczyli *backdoor*, z którego teraz skorzystałem. Wygląda więc na to, że jestem nieco lepszy niż oni.

– Czego pan ode mnie chce? – wycedził Faris przez zaciśnięte zęby.

– Odpowiedziałem na twoje pytanie – odparł dzwoniący słodkim jak miód głosem.

– To teraz proszę ty bądź tak uprzejmy i odpowiedz na moje.

– Co chce pan wiedzieć?

– Nie rób ze mnie debila, Faris! – syknął nieznajomy. – Pomyśl tylko, że trzymam rękę na detonatorze!

Faris zacisnął powieki.

– Dobrze. Pytaliśmy Alexandra, gdzie jest krzyż.

– Chcieliście go znaleźć i zdjąć z niego mojego ojca, prawda?

„Mojego ojca”.

Znowu to samo!

– Sprawdziliśmy bardzo dokładnie – odparł Faris. – Werner Ellwanger miał tylko jednego syna, Alexandra.

– Widać nie sprawdziliście dość dokładnie!

Policjant zatrzymał wzrok na wydruku, który trzymał w dłoni, a potem uniósł głowę i popatrzył na szybę, za którą Marc cały czas usiłował rozpracować Alexandra i szeptał mu akurat coś na ucho. Wiedział już, dlaczego psy specjalnie przeszkolone do odnajdywania ładunków wybuchowych niczego nie znalazły mimo dokładnego sprawdzenia Stadionu Olimpijskiego.

– Bomby jeszcze nie ma na stadionie, prawda? – zapytał.

Nieznajomy potwierdził.

Faris raz jeszcze przesunął wzrokiem po wydruku od Gitty: jeden z mieszkańców Berlina przyniósł na policję świeczkę chemiczną z nadrukiem Ekumenicznych Dni Kościoła, bo jego syn z ciekawości rozłożył je na części i odkrył przy tym zupełnie nieoczekiwaną zawartość plastikowej rurki. Specjaliści z laboratorium szybko zbadali przyniesione elementy i natychmiast zawiadomili ich o swoich ustaleniach.

„Zapalnik” – przeczytał na liście umieszczonej we wiadomości. „Materiał wybuchowy nanotermit. Odbiornik radiowy aktywujący zapalnik”.

I nagle wszystko ułożyło się w kompletny obraz, który budził czystą grozę.

– Chyba już wiesz, gdzie są bomby, co, Faris? Domyśliłeś się? – zapytał nieznajomy miękkim głosem.

– W świeczkach chemicznych Ekumenicznych Dni Kościoła.

Organizatorzy przewidzieli użycie świeczek chemicznych do oprawy dzisiejszej mszy ekumenicznej z udziałem papieża. Ludzie stawiają się tłumnie na stadionie i sami wniosą na niego bomby, które ich później zabiją.

– Ile ich pan przygotował?

Na to pytanie nieznajomy nie udzielił mu odpowiedzi.

– To przecież ogromne ryzyko! – Faris odłożył kartkę i potarł oczy. Musiał znaleźć sposób, by wyciągnąć z zamachowca informację, która pomogłaby im go dopaść.

– Ryzyko? Dla kogo? I dlaczego?

– Ryzykuje pan przecież, że ktoś złamie świeczkę i będzie chciał uruchomić je jeszcze przed mszą dzisiaj w nocy, prawda?

– A, o to ci chodzi! – Dzwoniący się roześmiał. – Domyśliłem się, że ludzie nie będą chcieli czekać na mszę, i uwzględniłem to w swoich planach. Jeśli ktoś złamie rurkę, żeby uruchomić świeczkę... nic się nie stanie. Zupełnie nic. Rurka będzie dalej ciemna, ale to wszystko.

– Czyli one nie eksplodują od samego złamania?

– Nie, oczywiście, że nie. W ten sposób stanowczo zbyt wcześnie wpadlibyście na ich trop, a ja chciałem trochę przeciwnie naszą zabawę. Sam wiesz, chodzi o emocje! A tak przy okazji, domyśliłeś się już chyba, że nie wszystkie świeczki są połączone z monitorem serca, prawda?

– Nie? A z czym?

– Niektóre z nich mogą uruchomić osobno, wysyłając sygnał radiowy. Wybuchają wtedy pojedynczo. Jak ten bezdomny wczoraj.

Faris przycisnął palcem wskazującym i kciukiem powieki. Przed jego oczyma pojawiła się natychmiast czerwona plama, która zniknęła w deszczu migotliwych iskieł, by zmienić się w pulsującą czerń. Wszystko ustąpiło, ledwie cofnął dłoń i przestał

zaciskać oczy.

– I jak w metrze.

– Ups. – Dzwoniący przerwał na chwilę i w słuchawce zapadła cisza. W końcu kontynuował: – W metrze był znacznie większy ładunek. Takie małe światełko by nie wystarczyło, żeby zrobić rozpierdol, na jakim mi zależało. – Opowiadał o tym, jakby relacjonował wycieczkę weekendową albo urodziny dziecka: obojętnie i beznamiętnie, jakby nie czuł żadnych emocji.

– A co z altanką w ogrodzie Ellwangerów? Tam też było co innego? – Głos Farisa zdrzął przy tym pytaniu.

– No cóż, ta nieszczęsna altanka...

Faris nie wierzył własnym uszom. Byłby gotów przysiąc, że w zniekształconym głosie nieznanego pojawił się żal! Policjant już wcześniej miał wrażenie, że zamachowiec był szczerze poruszony śmiercią Paula, lecz dotychczas myślał, że to pomyłka. Teraz był prawie pewien!

W słuchawce zapadła długa, kłopotliwa cisza.

– Ilu ludzi chce pan pozbawić życia? Jakie straty pana interesują? – zapytał Faris, kiedy uświadomił sobie, że nieznanomy nie odezwie się pierwszy.

– Wyobraź sobie granat ręczny wypełniony nanotermitem. Śmiertelny w promieniu dziesięciu do dwunastu metrów, a w promieniu do czterdziestu metrów wywołuje ciężkie poparzenia, które w krótkim czasie również prowadzą do śmierci... Masz chyba dość oleju w głowie, żeby wyobrazić sobie, co będzie dalej.

Faris się domyślił, jakie będą skutki wysadzenia dziesiątek czy setek bomb w tłumie wiernych wypełniających Stadion Olimpijski.

– Ile bomb krąży w Berlinie?

– Jakies pół tysiąca. Mniej więcej.

Faris oczyma wyobraźni dostrzegł gigantyczną kulę ognia, która niemal w całości pochłania zatłoczony Stadion Olimpijski.

– Ile z nich może pan uruchomić osobno?

– Kilka. Jedno takie światełko dostał pewien biznesmen, który miał dużo szczęścia, bo oddał je komuś innemu. Bobby nie był moim celem. A tak przy okazji, co byś powiedział na to, gdyby pewna mała blondyneczka z ulicy Ahornstraße...

– Ty skurwysynu! – Dopiero widząc przerażone twarze Tromsdorffa i Shannon, zorientował się, że krzyczy jak opętany, wymachując przy tym zaciśniętą pięścią, jakby mógł w ten sposób cokolwiek zdziałać. – Zbliź się do Lilly, a...

Lecz było już za późno. Nieznajomy nie usłyszał jego groźby, bo wcześniej się rozłączył.

Laura bardzo się spieszyła. Musiała jak najszybciej dotrzeć do szpitala, bo jej dyżur zaczynał się za niecałe pół godziny, a po drodze musiała zaprowadzić córeczkę do świetlicy. Jednak Lilly nie miała najmniejszej ochoty współpracować. Tradycyjna ceremonia pożegnalna trwała dobrych dziesięć minut, więc jeśli wliczyć jeszcze czas, którego potrzebowała, na dotarcie do szpitala, już była spóźniona.

Przed drzwiami mieszkania postawiła małą na podłodze. Dziewczynka natychmiast ruszyła biegiem w stronę ulicy.

– Lilly! Uważaj! Stój! – zawołała Laura. – Nie zbliżaj się do ulicy! To niebezpieczne!

Jednak bardzo szybko się przekonała, że córka nie chce wyskoczyć na ulicę, tylko dostrzegła coś, co ją zainteresowało – przy furtce do ogródka przed domem coś leżało na ziemi. Lilly schyliła się i natychmiast to podniosła.

– Hej, co tam masz? – Laura ruszyła za córką i spojrzała z zaciekawieniem. – Pokaż!

Dziewczynka podniosła z ziemi plastikowe światełko chemiczne, takie, jakie nosili na szyjach pielgrzymi przybywający na Ekumeniczne Dni Kościoła.

Odebrała je córce, na co Lilly natychmiast wyciągnęła dłonie w jej stronę.

– Ja to potrzebam! – zawołała.

– Potrzebasz to? A ja miałabym ci to oddać? – Laura się zastanowiła.

Światełko wyglądało na zupełnie czyste, jakby ktoś dopiero co je kupił i zaraz zgubił. Pewnie któryś z pozostałych mieszkańców ich domu upuścił je przy furtce. Przy odrobinie szczęścia Lilly na tyle zainteresuje się swoim znaleziskiem, że uda się uniknąć scen w świetlicy: mała nie będzie płakać ani krzyczeć, a ona mimo wszystko zdąży na dyżur. Zamyślona zważyła światełko w dłoni. Choć plastikowy walec był stosunkowo mały, zaskakująco dużo ważył. Laura nie zaprzętała tym sobie głowy.

– W zasadzie, dlaczego nie? – Oddała dziecku nową zabawkę. – Ale nie bierz tego do buzi, dobrze?

Faris przez dłuższą chwilę wsłuchiwał się w ciszę w słuchawce, po czym osunął się ciężko na ścianę. Czuł się tak, jakby uszły z niego resztki sił. Pustym wzrokiem obserwował, jak Shannon wchodzi do pokoju przesłuchań, do Marca i Alexandra. Wiedział, że wykorzysta całą swoją wiedzę psychologiczną, by wyciągnąć z chłopaka każdą przydatną informację.

– Chodź. – Tromsdorff chwycił Farisa za łokieć i poprowadził w stronę biura, gdzie posadził go na krześle.

W głowie policjanta kołatała tylko jedna, przerażająca myśl – Lilly i to cholerne światełko chemiczne! Wiedział też, że tam, gdzie jest Lilly, musi być też Laura. Oczyma wyobraźni widział już eksplozję, słyszał krzyk i płacz dziecka i tym razem to nie było dziecko z Muzeum Klerscha, tylko ona. Córka Laury. Dziecko, które powinno być jego.

W końcu się zorientował, że wciąż trzyma w dłoni smartfon. Drżącymi palcami wybrał numer Laury. Oby przynajmniej tym razem w końcu odebrała!

Po trzech sygnałach kobieta rzeczywiście odebrała połączenie.

– Zöller? – Jechała chyba samochodem, bo Faris rozpoznał szum silnika.

– Laura! – krzyknął. – Cudownie, że odebrałaś! Musisz...

– Faris. – Przerwała mu zniecierpliwionym głosem. – Daj mi wreszcie spokój, dobrze? Nie dzwoń do mnie! Rozumiesz?!

– Laura! Nie! Posłuchaj, to naprawdę ważne! Musisz...

Rozłączyła się, nie czekając na to, co powie. Zdezorientowany wpatrywał się w słuchawkę w dłoni. W końcu ponownie wybrał jej numer, lecz tym razem odrzuciła połączenie.

– Niech to cholera! – zaklął.

– Faris? – Jak przez mgłę usłyszał czyjś głos. Był przerażony, zagubiony i czuł ogromny ciężar na barkach. Zamrugał i podniósł głowę. Obok niego stał Tromsdorff.

– Hej, wszystko w porządku? Jak się czujesz?

Faris pokiwał głową.

– Daję radę, dzięki. – Odchylił głowę. Potwornie bolały go mięśnie. – Przepraszam. Tromsdorff poklepał go po ramieniu.

– Nie ma o czym mówić. Wysłałem radiowóz do szpitala Laury, mają ją oficjalnie ostrzec. A ty się uspokój. Nasi chłopcy zatroszczą się też o to, żeby małej nic się nie stało.

Faris nabrał głęboko powietrza.

– Dzięki.

– Uwaga! – krzyknął Ben, który przez dłuższą chwilę rozmawiał z Gittą na temat zabezpieczeń DigAA. – Popatrzcie na to! – wskazał na telewizor.

Ktoś ustawił go na kanał N24.

Dziennikarka z półdługimi jasnorudymi włosami tłumaczyła, że zamachowiec z Berlina zwrócił się do prasy i przekazał im oświadczenie, które mieli rozpowszechnić.

– Film, który za chwilę państwo obejrzą – ciągnęła – został nam przesłany zaledwie kilka minut wcześniej.

Poniżej, nad dolną krawędzią ekranu pojawiła się belka z typowymi skrótami informacji.

Kto jest odpowiedzialny za zamachy bombowe w Berlinie • Zamachowiec nie przedstawił żądań • Eksplozja kolejnej bomby...

Reporterka zniknęła, a na ekranie pojawiło się przesłane nagranie. Na początku składało się z ujęć pielgrzymki papieża do Berlina w 2011 roku. Faris przyglądał się ówczesnemu Ojcu Świętemu w czasie mszy papieskiej odprawianej również na Stadionie Olimpijskim, a potem kilku fragmentom, jak dostojnicy kościoła żegnają go na pasie startowym lotniska Tegel. Nagle ekran zrobił się czarny i pojawiły się na nim krwistoczerwone litery z hasła obecnych Ekumenicznych Dni Kościoła:

I GŁOSILI Z ODWAGĄ

Następnie na ekranie pojawiły się sylwetki średniowiecznych rycerzy biorących udział w krucjacie, jak walczą o Jerozolimę, robiąc tam prawdziwą krwawą jatkę. Ten obraz został zastąpiony ujęciem tysięcy pielgrzymów okrążających świątynię Kaaba w Wielkim Mecze w Mekce. Chwilę później oglądający zobaczyli walące się wieże World Trade Center w Nowym Jorku. Kolejna zmiana i na ekranie ukazują się ortodoksyjni Żydzi pod ścianą płaczu w Jerozolimie, którzy kołyszac się, szepczą swoje modlitwy, a potem mur bezpieczeństwa w Izraelu, przed którym stoją ludzie i rozpaczają.

I w końcu, już po wszystkich migawkach, znowu czerwone motto Ekumenicznych Dni Kościoła na czarnym tle.

SŁOWO BOŻE

Ekran zrobił się czarny. I pojawił się na nim kolejny tekst.

DLACZEGO WASI BOGOWIE POZWALAJĄ, BY DZIAŁY SIĘ TAKIE RZECZY?

Słowa znikają dopiero po kilku sekundach, w chwili, gdy kończy się odtwarzanie nagrania. Na ekranie znów pojawia się reporterka.

– Zaprezentowane państwu nagranie zostało przesłane przez zamachowca osobiście – oznajmiła. Odwróciła się do stojącego obok niej szpakowatego mężczyzny z wystającymi zębami. – Jest dziś ze mną nasz ekspert, Horst von der Reichenau. Panie von der Reichenau, jak pan uważa, co zamachowiec chciał przekazać, przesyłając nagranie o takiej treści?

Szpakowaty mężczyzna zaczął rozprawiać o wszystkich możliwych znaczeniach nagrania, ale Tromsdorff bardzo szybko wyłączył dźwięk.

– Może lepiej sami ustalmy, o co mogło mu chodzić – mruknął.

Rozdział 28

Dzwon na wieży kościelnej wybijał akurat dziewiątą, kiedy Ira wychodziła z plebanii, by się przebiec i rozruszać po minionej nocy. Truchtała, wdychając chłodne, rześkie powietrze poranka i rozmyślała o wszystkim, co się wydarzyło. Po tym, jak Faris wyszedł, przez jakiś czas została w jego mieszkaniu i siedziała w kuchni przy stole, patrząc gdzieś przed siebie. W końcu się ruszyła, wyjęła z torebki wizytówkę restauracji Trattoria Rossi, o której opowiedziała Farisowi podczas śniadania, i na jej tyle skreśliła kilka słów.

Mnie się bardzo podobało. Zadzwoń, jeśli będziesz chciał to powtórzyć!

Jednak ledwie postawiła wykrzyknik po drugim zdaniu, wiadomość wydała jej się głupia i w ogóle niedojrzała. Zmiała karteczkę w kulkę i ze złością cisnęła ją do kosza na śmieci, po czym wyszła z mieszkania. Wróciła do domu i położyła się do łóżka, ale nie udało jej się zasnąć. Nie była tym szczególnie zaskoczona. Prześladowały ją słowa zapisane na odwrocie wizytówki i było jej coraz bardziej wstyd, że w ogóle chciała zostawić mu taką wiadomość. Najchętniej wróciłaby do mieszkania Farisa i wykradła zmiętą karteczkę z kosza na śmieci.

Młody policjant wzywał przez sen kobietę imieniem Laura. Zabolało ją to, ale powtarzała sobie w myślach, że powinna zachować rozsądek. Trafili na siebie w chwili słabości i zwątpienia, a sposób, w jaki przywarł do niej tej nocy, był krzykiem rozpacz, który to jeszcze mocniej podkreślił. Przyspieszyła. Zazwyczaj w czasie treningu pierwszy kilometr pokonywała bardzo spokojnym tempem, ale dziś tak nie potrafiła. Chciała się zmęczyć, tak naprawdę wykończyć, dlatego pędziła wielkimi krokami przez park, aż nie mogła złapać oddechu i pojawiła się kolka.

Po niecałej godzinie biegania cała ociekała potem, więc postanowiła wracać na plebanie. Zmęczona, z drżącymi kolanami weszła do biura.

– Dzień dobry, Veroniko. – Ira sięgnęła po ręcznik, który wisiał koło umywalki w narożniku pomieszczenia, i wytarła sobie twarz.

– Dzień dobry. – Starsza kobieta przyjrzała się jej sceptycznie. – Co się z panią dzieje?

W tym momencie Ira była gotowa dziękować Bogu za to, że wróciła z treningu cała czerwona z wysiłku, bo miała wrażenie, że prawdę o minionej nocy dałoby się wyczytać z rumieńca, jakim się oblała.

– Troszkę zmęczyłam się światem i chciałam pobyć sama – wyjaśniła ze śmiechem i miała nadzieję, że Veronika zadowolony się takim wyjaśnieniem.

Ku jej ogromnej uldze, sekretarka była zajęta czymś zupełnie innym.

– Hm. Aha. No dobrze. Ten podkomisarz policji dzwonił. Wie pani, ten z wczoraj. Zaraz, jak on się nazywał?

Faris! Niewiele brakowało, a nie zdążyłaby się ugryźć w język.

– Iskander chyba?

Veronika potaknęła.

– O właśnie, Iskander. Zadzwoił zapytać, czy wiemy cokolwiek o nieślubnym

dziecku Wenera Ellwangera.

– A wiemy coś? – Ira nalała sobie kawy do filiżanki ze sklepu „Wszystko za 1 euro”, z kiczowatym malunkiem przedstawiającym szczeniaczka. Sięgnęła po mleko, ale przez cały czas z zainteresowaniem słuchała, co Veronika ma do powiedzenia.

– Na początku sama nie kojarzyłam, żeby cokolwiek na to wskazywało, ale te jego pytania coś mi przypomniały. Popytałam trochę starszych parafianek i od słowa do słowa okazało się, że dawniej krążyły jakieś plotki. Ellwanger miał zatrudniać kiedyś gosposię, młodą dziewczynę gdzieś ze wschodu, z Polski czy Rosji. Nie mam pojęcia, dlaczego i jak ona tu przyjechała, bo to było jeszcze w czasach żelaznej kurtyny. Nieważne zresztą, bo nie o to tu chodzi. Najważniejsze, że ludzie mówili, że Ellwanger ją zaciążył. To musiało być w połowie lat siedemdziesiątych. A potem ta dziewczyna nagle zniknęła, tak całkowicie. Podejrzewam, że wróciła do ojczyzny, żeby tam w spokoju urodzić dziecko.

Nieślubne dziecko. Ira musiała przymknąć oczy, żeby pozbyć się z głowy obrazu Ellwangera przybijanego do krzyża. Odetchnęła głęboko. Miała jeszcze podniesione tętno po biegu, ale jej serce powoli zaczęło się uspokajać, a pot wysychać.

– To nie wszystko! Popytałam jeszcze wśród znajomych i podrażyłam sprawę. – Veronika zaśmiała się jak kotka, która właśnie połknęła kanarka. – Jedna z naszych starych parafianek pamiętała dokładnie, o kogo chodziło. Nie uwierzy pani: podała mi nawet jej nazwisko!

Niecałą minutę później Ira znalazła się przy swoim biurku i już siadając, sięgnęła po słuchawkę. Paul Sievers zostawił jej wizytówkę, więc wybrała podany na niej numer. Miała nadzieję, że ktoś się zgłosi. Drżały jej palce. Myśl, że zaraz może usłyszeć głos Farisa, sprawiała, że wypełniał ją niepokój i ekscytacja, tak wielka, jakiej nie czuła nigdy przy Thomasie, ba, nie sądziła, że kiedykolwiek może się tak poczuć.

Po drugim sygnale zgłosił się jakiś męski głos.

– Sommer, słucham.

To nie Faris.

Rozczarowanie sprawiło, że poczuła ucisk w żołądku.

– Jossen – przedstawiła się. – Czy zastałam pana Iskandera? Mam mu coś do powiedzenia.

Faris znalazł się przy telefonie w ciągu kilku sekund, zupełnie jakby stał tuż obok kolegi.

– Ira?

– Cześć, Faris. – Spojrzała przestraszona w stronę drzwi. Zamknęła je na szczęście. Uff. Dzięki temu Veronika nie dowie się tak szybko, że jest na ty z policjantem, który wczoraj był na plebanii. Piekły ją policzki, co oznaczało, że oblała się rumieńcem. Nie wiedziała jedynie, czy to z racji wspomnienia poprzedniej nocy, czy może chodziło o dźwięk jego głosu. Otrząsnęła się z zamyślenia. – Dzwoniłeś do mojej sekretarki. Właśnie się od niej dowiedziałam, że dokopała się do informacji, o które pytałeś. Udało jej się dowiedzieć, jak nazywała się matka nieślubnego syna Ellwangera. – Czyżby mówiła zachrypniętym głosem?

– Jak? – Policjant był wyraźnie podekscytowany.

Tylko z racji tej informacji! Niczego sobie nie wmawiaj! – zgaśniła się w myślach.

Spojrzała na karteczkę, na której zanotowała nazwisko gospośki pracującej przed laty u Wenera Ellwanger.

– Ta kobieta miała na imię Ludmilla – powiedziała. – Ludmilla Mechow.

Nazwisko, które Faris usłyszał, zadziało na niego niczym porażenie prądem.

– Dzięki, Ira! – wyrzucił z siebie i rozłączył się bez słowa pożegnania.

– Gitta! – krzyknął głośno, rzucając się biegiem przez biuro. – Szybko! Potrzebuję listy ofiar z muzeum!

Sekretarka miała przygotowane potrzebne informacje, zanim dotarł do jej terrarium. W głowie mu huczało i musiał kilka razy zamruć, żeby pozbyć się mgły sprzed oczu i odzyskać ostrość widzenia. Pospiesznie zaczął przewijać listę kilkudziesięciu nazwisk, aż trafił na to, którego szukał.

Mechow Ludmilla.

Nie, nie pomylił się.

Wypełniała go fala obezwładniającej ulgi. W końcu mają przełom!

– Mam matkę zamachowca! – mrukła. – To znaczy wiemy, że zginęła w eksplozji w muzeum.

Kiedy Faris się rozłączył ot tak, bez słowa, Ira przez dłuższy czas siedziała zamyślona w swoim biurze i wpatrywała się w prześcieradło z odcisniętymi rączkami dzieci. „Przekazałam mu informację, która zaprowadzi go wprost do sprawcy” – wmawiała sobie. „Tylko dlatego tak się zachował i przerwał połączenie”. To nie miało nic, ale to zupełnie nic wspólnego z nią, z Irą.

I też niczego wspólnego z minioną nocą.

Na samą myśl o tym poczuła falę gorąca rodzącą się w jej podbrzuszu i musiała użyć wszystkich sił, by ją zignorować. Przez tęsknotę, która ją wypełniała, miała wrażenie, że zachowuje się jak głupia, naiwna dziewczyna.

– To był tylko seks, Ira! Seks i nic więcej! – powiedziała do siebie półgłosem, po czym sięgnęła po filiżankę z kawą. Unosząc ją do ust, znieruchomiała i spojrzała na szczeniaczka. Może powinna kupić sobie psa.

Westchnęła i odstawiła naczynie na stół.

Wstała, podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko.

Veronika podniosła głowę i spojrzała na nią zaskoczona.

– Muszę wyskoczyć na chwilę na cmentarz. Zarządczyni poprosiła o decyzję, czy należy ściąć dwa drzewa, czy na razie je zostawimy.

Miała wrażenie, że sekretarka nie uwierzyła jej w ani jedno słowo.

– Na pewno wszystko w porządku? Nie potrzebuje pani czegoś?

Ira pokręciła głową.

– Nie, niczego nie potrzebuję i wszystko jest w porządku. Co miałoby być nie tak? Gdyby ktoś mnie szukał, będę miała ze sobą komórkę.

Sięgnęła po kurtkę i wyszła z biura, oszczędzając sobie dalszych tłumaczeń. Spotkanie z zarządczynią cmentarza było oczywiście tylko wymówką. Potrzebowała po prostu świeżego powietrza, żeby pozbyć się z głowy powracających nachalnie wspomnień minionej nocy. Cmentarz o tej porze był prawie zawsze pusty. Idealne miejsce, żeby w spokoju się nad wszystkim zastanowić.

Zapięła kurtkę i podciągnęła wysoko zamek, choć wcale nie było zimno. Potem ruszyła piechotą w stronę wejścia na cmentarz. Przed niewielką kwiaciarnią mieszczącą się niedaleko głównej bramy stał samochód dostawczy, którego nigdy wcześniej tu nie widziała. Zastanawiała się nawet przez chwilę, czy nie zajrzeć do właściciela pawilonu i nie zapytać, czy to jego nowy środek transportu, lecz pomyślała, że wóz w takim kolorze – a był pomalowany jaskrawofioletowym lakierem – zupełnie nie pasował do firmy działającej przy cmentarzu. Rzucający się w oczy dostawczak należał pewnie do kogoś, kto przyjechał odwiedzić grób rodziny. Dość dziwny czas na wizytę na cmentarzu, lecz z drugiej strony ona również przyszła tu o tej właśnie porze.

Ruszyła alejką między nagrobkami. Ustawiczny hałas wypełniający miasto docierał wprawdzie i tutaj, lecz był mocno przygłuszony drzewami i wysokim murem otaczającym nekropolię. Uwielbiała spokojną, wzniosłą atmosferę tego miejsca. Tutaj nic nie przeszkadzało jej w rozmyślaniach.

Szła spokojnym krokiem dróżką wzdłuż muru, na którym zawieszono domki dla ptaków ułożone w kształt choinki, mijając wystawne grobowce i proste groby.

Tuż przed nią przez drogę przemknęła wiewiórka.

Z oddali usłyszała charakterystyczne skrzypnięcie furtki. Ktoś właśnie wszedł na cmentarz. Nie zwróciła uwagi na szybkie, energiczne kroki, bo skupiła się na studiowaniu napisów na starych nagrobkach. Na jednym z nich dostrzegła płaskorzeźbę przedstawiającą twarz Chrystusa, opatrzoną cytatem z Listu do Koryntian:

A Bóg i Pana wskrzesił, i nas wskrzesi przez moc swoją¹.

Ira natychmiast pomyślała o podkomisarzu Sieversie i o tym, jak chętnie wytłumaczyłaby znaczenie i doniosłość tego wersu Farisowi. Dziś jednak nawet ona miała trudności, by w nie uwierzyć. Potrząsnęła głową.

– Niezła z ciebie pastorka, nie ma co! – zganiła się półgłosem.

Pospieszne kroki zaczęły się oddalać.

Ira niespodziewanie poczuła się bardzo głupio. Co za pomysł, żeby uciekać na cmentarz i przekradając się między grobami, lizać rany zadane jej przez tego policjanta.

Wściekła na siebie ruszyła w drogę powrotną.

Laura obudziła się z pulsującym bólem głowy i bardzo nieprzyjemnym uczuciem kołysania, jakby znajdowała się na statku w czasie sztormu. Poza tym miejsce, w którym się znajdowała, cuchnęło starymi wymiocinami. Niespodziewanie zauważyła docierające do niej równomierne i szalenie irytujące pikanie. Zrobiło jej się niedobrze, ale na szczęście powstrzymała mdłości. I miała ogromne szczęście, bo w jej ustach tkwił knebel. Tam, gdzie sięgała językiem, czuła paskudny, metaliczny smak.

Co się właściwie stało?

Przypomniała sobie, że przyjechała na parking przed szpitalem i wysiadła z samochodu. Mimo światełka chemicznego, które pozwoliła córce zatrzymać jako zabawkę, mała nie zrezygnowała z robienia scen przy pożegnaniu, przez co spóźniła się do pracy. Ostatnie wolne miejsca na parkingu dla personelu znajdowały się w najdalszym kącie, osłoniętym od ulicy przez krzaki.

Ostatnie, co potrafiła sobie przypomnieć, to czyjeś kroki. Kroki, które usłyszała gdzieś za plecami. Jednak zanim zdążyła się odwrócić, ktoś przycisnął jej coś do ust i nosa. Poczowała jeszcze smak i zapach jakby leku i... to było właściwie wszystko. Żadnych więcej wspomnień nie znajdowała.

Teraz za to miała związane dłonie i stopy, a ten, kto ją porwał, nawet bardzo się postarał, unieruchamiając jej kończyny. Była owinięta sznurami jak prezent pod choinkę! Powoli, bardzo powoli zaczął się budzić do życia jej mózg. Została porwana! No oczywiście! W jej głowie pojawiło się jakieś starsze wspomnienie... Faris... Starał się powiedzieć jej coś przez telefon. Czy chciał ją ostrzec?

Jęknęła, bo miała wrażenie, że zaraz pęknie jej czaszka.

Skąd dobiegało to cholerne pikanie?!

Czyżby... to była bomba?

Przeżalenie gorącą falą wypełniło jej ciało i sprawiło, że uniosła głowę, a po chwili udało jej się prawie usiąść. Niestety, przez unieruchamiające ją sznury zaraz wylądowała z powrotem na podłodze, uderzając boleśnie głową o twardą powierzchnię. Przed oczyma zatańczyły jej gwiazdki i znów zrobiło się niedobrze. Z wielkim trudem nabrała przez nos powietrza. Sklejały jej się płatki nosa. Panika ścisnęła jej gardło, lecz wzięła się w garść i stwierdziła, że kiedy jest spokojna, może bez przeszkód oddychać. Gdyby nie to cholernie denerwujące pikanie!

Ostrożnie przewróciła się na bok. Otoczyło ją delikatne światło i chłód przenikający z posadzki, na której leżała. Opuszkami palców spróbowała ustalić, co to jest. Odnalazła rowki fug. Kołysanie powoli się uspokajało. W końcu uświadomiła sobie, że nie znajduje się na żadnym statku. Ale... gdzie w takim razie była?

Wygięła się, próbując zorientować się w przestrzeni i ustalić, skąd dobiega pikanie. Nie mogła niczego zobaczyć, więc zamrugnęła, by odzyskać ostrość widzenia.

Ten dźwięk doprowadzał ją do szaleństwa! Przewróciła się na drugi bok. W końcu kątem oka dostrzegła zarys jakiegoś urządzenia medycznego. Zobaczyła niebieską płaszczyznę i białe linie, które rozbiegały się na prawo i lewo po błękitnie. W jakiś sposób to, co widziała, wydawało jej się znajome, lecz mgła, która przesłaniała oczy, była zbyt gęsta, żeby dokładniej przyjrzeć się urządzeniu.

Chemiczny posmak w ustach powoli ustępował.

Przymknęła oczy i przez moment leżała bez ruchu, by je znów otworzyć. Niebieska płaszczyzna wydała jej się znacznie wyraźniejsza. A białe linie tworzyły niewielkie sinusoidy...

Monitor pracy serca!

Szarpnęła się gwałtownie i usiadła. Niedaleko niej wznosiło się coś naprawdę dużego. Uniosła wzrok i... chciała zacząć krzyczeć, lecz knebel w ustach nie pozwolił jej wydać dźwięku głośniejszego niż delikatne westchnienie.

Przed nią, a właściwie nad nią, wznosił się groźnie, jakby miał na nią runąć, drewniany krzyż. A na krzyżu... no właśnie... nie, nie postradała zmysłów, a jednak jej mózg odmawiał zaakceptowania tego, co widziały oczy – na krzyżu za nią wisiał jakiś męzczyzna.

– Faris?

Głos Gitty był tak pusty i pozbawiony emocji, że policjant bez pytania wiedział, że stało się coś naprawdę złego. Tromsdorff wysłał dwójkę policjantów do nadawcy, który miał otrzymać od zamachowca nagranie z wzięciem odpowiedzialności za zamachy, ale i oni wrócili z pustymi rękoma. Specjaliści IT pracowali bardzo pilnie nad analizą przesłanego pliku wideo, a Faris stał przed główną tablicą i zastanawiał się, kim mógłby być nieznajomy. Razem z Tromsdorffem i Shannon omówili całą masę najróżniejszych teorii, by w końcu wszystkie odrzucić. W pewnej chwili dołączył do nich Marc i brał udział w rozmowie, lecz po jakimś czasie wrócił do sali przesłuchań, żeby dalej popracować nad Alexandrem. Czekali również na odpowiedź w sprawie wniosku o pomoc prawną, który Gitta wysłała jakiś czas temu na Ukrainę.

W ten sposób minęło południe. Zostało im już tylko dwanaście godzin.

– Co jest, Gitta? – zapytał.

Odłożył flamaster, którym cały czas się bawił, i ruszył w jej stronę. Zatrzymał się dopiero w drzwiach jej biura. Kobieta powoli podniosła głowę i spojrzała na niego wytrzeszczonymi z przerażenia oczyma.

– Wiem już, kim jest nieślubny syn Wenera Ellwanglera – wyszeptała pobladłymi ustami.

Nazwisko pojawiło się na ekranie i wyryło się głęboko w mózgu Farisa.

Nie, to przecież niemożliwe! Absolutnie nie!

Rozległo się ciche świergotanie smartfona, ale nie był w stanie odebrać połączenia. Nagle wszystkie kawałeczki układanki same z siebie wskoczyły na właściwe miejsca i ułożyły się w całkowicie zrozumiałą i wyraźny obraz. Faris w jednej chwili zrozumiał wszystkie nielogiczne ruchy nieznajomego. Co gorsza, teraz nabrały ponurego sensu.

Drżącymi dłońmi sięgnął po komórkę i odebrał, ale nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

– Faris – odezwał się dzwoniący tak dobrze już znanym zniekształconym głosem, który za każdym razem wywoływał ciarki na plecach policjanta i mroził mu krew w żyłach.

Jak mógł być taki ślepy? Jak mógł być tak cholernie nieuważny?!

Kiedy się odezwał, jego głos był głuchy i zachrypnięty.

– Ty chory skurwysynu!

1 Kor 6,14. [wróć]

Część 3

GODZINY 29-40

Wykonano się.

(J 19,30)

Rozdział 29

Nie wytrzymał. Siły opuszczały go gwałtowniej, niż się spodziewał, i nie pomagała już nawet kroplówka podana mu przez Alexandra, która miała zadbać, żeby wytrzymał tyle, ile będzie trzeba, by ukazał mu się PAN.

Nie pozostawało mu nic innego, jak pogodzić się z myślą, że jego wielki plan legł właśnie w gruzach.

Ofiarowanie się Jezusowi Chrystusowi wzbudza w wierzących szczere pragnienie zjednoczenia się z Nim w najdrobniejszym szczególe i naśladowania Go.

Przypomniawszy sobie niespodziewanie słowa przeczytane w jednej z ksiązek, które miał w domu. Czy mógł się pomylić? Czy to możliwe, że pobłądził?

– Alexander? – wyszeptał. Miał szczerą nadzieję, że chłopak usłyszy jego cichy głos. – Musisz mnie zdjąć.

Gdzieś niedaleko ktoś się poruszył. Wyczuł to, bo jego oczy dalej zawodziły i nie widział nic, prócz nieprzeniknionej ciemności.

Potem rozległ się przytłumiony dźwięk, który zabrzmiał, jakby ktoś z kneblem w ustach usiłował coś powiedzieć.

Werner spróbował nabrać powietrza. Każdy oddech kosztował go sporo sił, których prędko ubywało.

– Uwolnij mnie! – poprosił.

Nagle poczuł czyjąś dłoń, która pocieszająco pogłaskała go po udzie. Uniósł powieki, próbując cokolwiek dojrzeć.

– Boże, czy to Ty? – wyjąkał.

Ciepła dłoń cofnęła się gwałtownie.

– Ty żałosny śmieciu! – syknął nienawistny głos, który wydał mu się znajomy.

Alexander? Może, ale nie miał pewności.

– Pomóż mi! – poprosił.

– Mowy nie ma – odpowiedział mu głos prosto do ucha. Poczuł czyjś oddech, który przesuwiał się wzdłuż jego szyi.

– Uwolnij mnie! – chciał krzyknąć, ale nie był w stanie. – Boże! Uwolnij mnie!

Głos przy jego uchu zaczął się śmiać, ociekając dosłownie nienawiścią i poczuciem wyższości.

– Nadszedł czas – obwieścił w końcu.

Nie rozumiał, co to miało oznaczać.

– Na co?

– Czas umierać – odparł głos.

Rozległo się trzaśnięcie drzwiami.

Poczuł, że jest sam. Że jest sam jak palec.

Tym razem już się nie śmiał, ale też nie krzyczał.

Zaczął płakać.

Głos po drugiej stronie zaniósł się śmiechem.

– Proszę, proszę, przeszedłeś w końcu na ty, a to, o ile dobrze rozumiem, oznacza, że w końcu się zorientowałeś, kim jestem, tak?

Spojrzenia wszystkich zebranych w biurze natychmiast powędrowały w stronę Farisa. Policjant masował dwoma palcami nasadę nosa i starał się opanować nerwy. Minęło kilka chwil, zanim udało mu się na tyle wziąć w garść, by odzyskać mowę.

– Niklas.

Nogi się pod nim ugiwały.

– Świetnie! – Oprogramowanie zniekształcające głos dzwoniącego zostało wyłączone i w słuchawce rozległ się znajomy głos Hessego. – Zdradzisz mi, jak na to wpadłeś?

– Niklas... nie rozumiem... dlaczego? – Faris miał ściśnięte gardło i mógł jedynie szeptać. Kątem oka dostrzegł współpracowników, jak rzucają swoją pracę i podchodzą. Stanęli półkołem, jakby chcieli w ten sposób stworzyć mur obronny, który by go chronił. Był im za to wdzięczny.

– Spokojnie, zaraz do tego dojdziemy. – Hesse nie odpowiedział na jego pytanie.

– Najpierw ty musisz mi opowiedzieć, jak wpadłeś na pomysł, że ja to ja.

Faris podniósł głowę i jego spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem Gitty.

– To nie ja na to wpadłem. Gitta się dowiedziała, że twoja matka była jedną z ofiar z muzeum. Posłuchaj, Niklas, potrafię zrozumieć, że obwiniasz mnie o jej śmierć...

– Jesteś niesamowity, Faris! Zawsze najlepszy kumpel, zawsze gotowy wziąć wszystko na siebie! – przerwał mu Hesse. – Zresztą ty chyba lubisz brać na siebie odpowiedzialność za wszystko złe, co się dzieje na świecie, co? – Zachichotał, a słysząc jego złośliwy śmiech, Faris dostał gęsiej skórki.

Miał wrażenie, że rozmawia z kimś zupełnie obcym, z kimś, kogo nigdy nawet nie spotkał. Po drugiej stronie słuchawkę trzymał nie jego przyjaciel czy dobry kolega. Nie, to nie był ktoś, kogo kiedykolwiek znał. W czasie kilku ostatnich miesięcy – a więc w okresie, w którym nie utrzymywali kontaktów i nie rozmawiali – musiało dojść w nim do jakiejś wewnętrznej przemiany. Niklas Hesse stał się wtedy innym człowiekiem. Rozmowa z tym kimś była dla Farisa niczym stanięcie na skraju otchłani i spojrzenie w dół, w jej bezdenny, groźny mrok. Żeby nie spaść, trzymał się kurczowo spojrzenia Gitty.

– Dlaczego, Niklas? Dlaczego to robisz?

– Spokojnie, stary, będziemy mieli aż nadto czasu, żeby spokojnie o wszystkim porozmawiać. A teraz cisza i zrób w końcu to, o co cię od jakiegoś czasu proszę.

Faris spojrział w stronę szefa. Mężczyzna zacisnął usta tak, że jego wargi stworzyły cienką, bladą kreskę. Z przekrzywioną głową przysłuchiwał się słowom Hessego, które słyhać było nie tylko w telefonie podwładnego, ale również przez głośniki podłączone do sprzętu ustawionego przez Bena. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Faris dostrzegł w oczach szefa hardość, której nigdy wcześniej tam nie widział.

– Wiesz już, gdzie jest krzyż? No powiedz, że wiesz – zażądał Hesse.

Farisowi przed oczyma momentalnie stanął obraz przestronnych, opuszczonych hal lotniska Tempelhof. I nagle zrozumiał, skąd się wzięło poczucie rozpaczliwego,

beznadziejnego pesymizmu, które go tam wypełniało. Nawet jeszcze teraz, kilka godzin później i na samo wspomnienie, dostał gęsiej skórki.

– Tempelhof – mruknął.

– Bystrzacha. – Hesse był chyba zadowolony. – Chciałbym, żebyś przyjechał tu do mnie dokładnie za godzinę.

– Dlaczego dopiero za godzinę? – zapytał Faris.

Od opuszczonego lotniska dzieliło go raptem dwadzieścia minut drogi, w najgorszym razie pół godziny, gdyby były korki.

Hesse nie od razu udzielił odpowiedzi.

– Masz być za godzinę – powtórzył. – Za jedną godzinę.

Ben zadrżał.

– Co to ma znaczyć? To ma być jakiś pojedynek czy co?

Faris odwrócił głowę i znów spojrzał na Tromsdorffa.

„Szeffie, co robić?” – pytał jego wzrok.

Robert skinął głową, choć bez przekonania.

– I masz przyjechać sam, Faris – ciągnął Hesse. W biurze wszyscy milczeli. – Kiedy tu dotrzesz, wejdź na teren lotniska tą samą drogą, którą cię poprzednio przyprowadziłem. Jeśli nie zrobisz, co każę, w powietrze wyleci kolejna bomba.

– O co ci chodzi? Co chcesz osiągnąć? – Faris poczuł, że musi usiąść, ale zacisnął zęby i nie szukał krzesła. Bał się, że jeśli raz usiądzie, nie będzie miał już sił, by wstać. Znów spojrzał na Tromsdorffa.

„Pozwól mi iść i to załatwić!” – zażądał bezgłośnie, poruszając ustami.

Tromsdorff cały czas się wahał i nie wiedział, jak postąpić. Faris domyślał się, co teraz czuje. Decyzja, żeby puścić jednego ze śledczych samego na żądanie przestępcy, byłaby jednoznacznym złamaniem wszystkich zasad obowiązujących w firmie. Zgoda mogłaby kosztować ich wszystkich miejsce pracy. Stawką w grze było teraz dalsze istnienie WPR-u.

Ale nie tylko. Na szali leżały też życia setek, jeśli nie tysiący ludzi.

Policjant czuł coraz większe zniecierpliwienie. Najchętniej od razu rzuciłby się w stronę drzwi i wskoczył do samochodu. A jednak powstrzymał się i czekał na decyzję szefa.

Hesse musiał zauważyć wahanie.

– Tak sobie właśnie pomyślałem, że musiałbym wybrać, gdzie wyleci w powietrze kolejna bomba. Co byś powiedział na dzielnicę finansową? Wprawdzie dzisiaj niewiele osób tam pracuje, ale mały atak na niemiecki system bankowy musiałby mieć spore reperkusje, co? Indeksy akcji spadłyby na łeb na szyję, jak myślisz? – zastanowił się przez chwilę. – A co ty na to, gdyby w powietrze wyleciało światełko, które akurat Lilly...

– Nawet się nie waż! – Słowa te wypowiedział tak ostro, że zaboląo go od nich gardło. – Jeśli cokolwiek jej się stanie... – zagroził, prosząc w duchu, by funkcjonariusze wysłani przez Tromsdorffa znaleźli Laurę pierwsi i wywieźli w bezpieczne miejsce.

Hesse zaśmiał się jedynie i przerwał połączenie.

Szef wydziału podjął w tym czasie decyzję. Odwrócił się, ruszył w stronę swojego biura i kilka minut później wrócił, niosąc broń Farisa. Stał przed podwładnym

i z poważną miną podał mu broń.

– Trzymaj. Na wszelki wypadek.

Faris wsunął pistolet za pasek od spodni. Kabury nie brał dzisiaj z domu. Chciał ruszyć do samochodu.

– Czekaj! – Ben uniósł rękę, złapał go za ramię i zatrzymał. – Jeśli znajdziesz Ellwangerę i krzyż, do którego jest przybity, będziesz mógł łatwo rozbroić bombę.

– Wyłączając monitor serca Ellwangerę, wiem. Mówiłeś przecież. – Faris dobrze pamiętał słowa technika.

– Tak, mówiłem. Ale pamiętaj, że to nie będzie miało wpływu na bomby, które ten chory skurwysyn może detonować manualnie. – Ben zamilkł, by do każdego dotarło znaczenie jego słów, i dopiero wtedy mówił dalej: – Jeśli będziesz miał szansę, zastrzel gnoja.

Policjant miał wrażenie, że jego wewnątrz zmienia się w mroczną otchłań.

– Postaram się – wymamrotał.

Chwilę później siedział już w policyjnym BMW i skręcał z Keithstraße w Kurfürstenstraße. Znów rozległ się dzwonek telefonu, przez który kontaktował się z nim Hesse. Ben ustawił wszystko w tryb połączenia konferencyjnego, żeby wszyscy w War Roomie mogli słyszeć ich wymianę zdań. A Farisowi dał bezprzewodową słuchawkę, żeby mógł rozmawiać bez odrywania rąk od kierownicy. Bardzo rozsądnie zrobił, bo policjant drżał do tego stopnia, że miał problemy z trafieniem kluczykiem do stacyjki.

– Wy tłumaczysz mi w końcu, dlaczego to robisz? – zapytał, usilnie starając się nie jechać zygzakami. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, była kontrola przez któryś z patrolów drogówki krążących po mieście.

– Przecież sam już to sobie wytłumaczyłeś – odpowiedział Hesse. Faris przypomniał sobie biuro dawnego kolegi, które wyleciało w powietrze. Dzięki temu udało mu się uniknąć jakichkolwiek podejrzeń. – Moja matka, zamach w muzeum, śmierć...

– Nie pierdol! – przerwał mu Faris wulgarnie. W tle słyszał odgłosy dobiegające z biura. – Nie zapominaj, że za dobrze cię znam! – Na szczęście szybko się opanował i już spokojniejszym głosem kontynuował rozmowę. – Wasze relacje, a w szczególności twoje nastawienie, trudno określić jako serdeczne czy pełne miłości.

Pamiętał doskonale pewien wieczór z czasów, kiedy chodzili razem do szkoły policyjnej, a po zajęciach siedzieli i rozmawiali o swoich rodzinach. I nie zapomniał też dnia, kiedy Hesse mu wyjawiał, że jego matka pozbyła się go, kiedy miał ledwie pięć lat. „Bo nie miała ochoty zajmować się bachorem” – jak stwierdził. Dokładnie tak to sformułował, to były jego słowa. Z dalszej rozmowy Faris się dowiedział, że nie radziła sobie po prostu z wychowywaniem syna i dlatego straciła prawa rodzicielskie. Nie zaprzeczał jednak dalej i nie prowokował Hessego, bo aż za dobrze wiedział, że złość często była maską, która pozwalała ukryć prawdę. Tymczasem prawda wyglądała tak, że Niklas nienawidził swojej matki. To z jej winy jako pięciolatek trafił do domu dziecka. I przez nią spędził tam całe dzieciństwo. Nie było więc żadnego powodu, dla którego miałby się mścić za jej śmierć w zamachu w muzeum.

– Znasz mnie? Serio mnie znasz? – wysyczał Hesse. Mimo że wyłączył już

oprogramowanie zmieniające jego głos, Faris nie mógł uwierzyć, że to mówi jego dawny znajomy. Miał wrażenie, że rozmawia z szaleńcem. Z człowiekiem chorym z nienawiści. – Naprawdę uważasz, że mnie znasz? Serio? Skąd w ogóle taki pomysł? Możliwe, że znałeś Niklasa, z którym chodziłeś do szkoły policyjnej, ale nie mnie...

Faris włączył kierunkowskaz i skręcił w prawo, w Potsdamer StraÙe. Głos Hessego i jego niespodziewany wybuch złości wzmagają w nim wrażenie, że rzeczywiście rozmawia z obcą osobą. Przejechał pod mostem.

– Wiedziałeś, że nie siedziałem za długo w Wiesbaden?

– Nie. Nigdy nie chciałeś mi powie...

– Faris, nie przerywaj mu – polecił Tromsdorff przez połączenie konferencyjne. Policjant się domyślał, co jego szef chce w ten sposób uzyskać.

Tak długo, jak się zajmie rozmową, nie będzie próbował detonować kolejnych bomb.

Hesse zaśmiał się rozbawiony. On również usłyszał głos Tromsdorffa.

A potem zaczął opowiadać.

– Po kilku miesiącach w szkole zaczęto mnie podpytywać, czy nie miałbym ochoty podjąć się kształcenia policjantów w Afganistanie.

– A ty się zgodziłeś. – Faris zatrzymał się na czerwonym świetle. Przed nim stał stuningowany ciemnobłękitny mercedes, a na tylnej szybie miał naklejkę „Uwaga! W tym aucie nie jedzie ani Brajan, ani Dżesika!”.

– Tak, zgodziłem się – potwierdził Hesse. – Poleciałem do Afganistanu. Trafiłem tam do prowincji Balch i pomagałem szkolić funkcjonariuszy. – Przerwał i wziął tak głęboki wdech, że przez telefon zabrzmiało to jak westchnienie. Potem dłuższą chwilę się nie odzywał.

Faris słyszał przytłumione dźwięki dobiegające z War Roomu przez połączenie konferencyjne. Jego współpracownicy dyskutowali o czymś, lecz nie był w stanie usłyszeć, czego ich rozmowa dotyczyła.

Faris ruszył Potsdamer StraÙe. Hesse się nie rozłączył, ale nic nie mówił. Milczał jeszcze, kiedy policjant wjechał na HauptstraÙe.

– I co dalej? – zapytał Faris ostrożnie.

Niklas westchnął ciężko.

– Spędziłem tam kilka miesięcy. I poznałem pewną kobietę.

Przecucie, które nagle ogarnęło Farisa, było niczym powiew lodowatego powietrza na szyi. Aż ciarki przeszły mu po plecach.

– Zdjęcie na biurku.

Przypomniał sobie poprzedni dzień i wizytę w nielegalnym mieszkaniu Hessego na lotnisku. Zobaczył tam zdjęcie młodej, ciemnowłosej kobiety ze złotymi kolczykami w kształcie gwiazdek. Oprawione w ramkę stało na biurku dziennikarza.

– Faridah – potwierdził Niklas cicho. – Tak miała na imię.

– Piękne imię.

Faris walczył z niespodziewanym przyływem współczucia, którego nie chciał do siebie dopuścić. Zaczął podejrzewać, że coś bardzo złego musiało spotkać Faridah. Powtarzał sobie w myślach, że Niklas trzyma palec na detonatorze.

– Nie żyje – powiedział to w sposób, który brzmiał jak szloch.

Faris poczuł, że dawny kolega stoi na krawędzi otchłani wypełnionej rozpaczą.

– Co się stało? – zapytał ostrożnie.

– Zakochałem się w niej. Z wzajemnością.

Przez dłuższą chwilę Hesse nic nie mówił, a z głośników słychać było jedynie jego ciężki oddech.

– Zapłaciła za to uczucie życiem.

Kiedy policyjne BMW mijają cmentarz w Alt Schöneberg i wzniesione tuż obok siebie kościoły, Faris wsłuchiwał się w oddech dziennikarza.

– Skazali ją na śmierć – wyjaśnił Niklas w końcu, zacinając się co słowo.

I znów nastąpiła długa przerwa.

– I ukamienowali.

W słuchawce bezprzewodowej Faris usłyszał ciche przekleństwo Shannon.

Mimo że cały czas jechał, Faris nie wytrzymał i zamknął na chwilę oczy. Dopiero przeciągłe, wściekłe trąbienie sprawiło, że otrząsnął się i wrócił do rzeczywistości. Otworzył gwałtownie oczy i szarpnął kierownicą, aby wrócić na swój pas, z którego zjechał. Jakiś samochód sportowy minął go z wyciem silnika. Kątem oka dostrzegł przez boczną szybę, że jego kierowca krzyczy jakieś przekleństwa w jego stronę.

– Miała męża – powiedział cicho. Nie musiał pytać, czy rzeczywiście tak było. Wiedział to.

Z gardła Hessego wydobył się dźwięk przypominający kwilenie dziecka.

– Musiałem się temu przyglądać. – On również mówił bardzo cichym głosem. Niemal szeptem. A mimo to jego słowa wypalały ślady w głowie Farisa, jakby rył je rozpalonym żelazem. – Musiałem, Faris, przyglądać się temu, co jej robią! Widziałem, jak ciskają w nią kamieniami! Widziałem każdy kamień, który ją trafiał! Znasz ten dźwięk? Wiesz, jak brzmi trafienie kamieniem w głowę? Wiesz, co można poczuć, kiedy rozpaczliwie marzysz, by kolejne trafienie w końcu okazało się śmiertelne, bo to, co widzisz, przekracza twoją wytrzymałość?

Hesse musiał się trząść, to było słychać w jego głosie. W końcu odkaszlnął.

Kiedy znów się odezwał, jego ton niespodziewanie stał się lodowaty i bardzo spokojny. Przemiana nastąpiła tak gwałtownie, że Faris nie był na nią przygotowany.

– Po tych wydarzeniach wyjechałem z Afganistanu i wróciłem do Berlina. I możesz mi wierzyć, dużo czasu musiało minąć, zanim się choć częściowo pozbierałem.

Kolejne czerwone światło, na którym trzeba się było zatrzymać. Przejściem dla pieszych przemaszzerował oddział pielgrzymów. Po drugiej stronie ulicy stali demonstranci wymachujący plakatami z diabłem. Światło zmieniło się na pomarańczowe, a potem zielone. Faris dodał gazu i ruszył. Okazało się, że bardzo dobrze się stało, że Hesse dał mu godzinę na dojazd, bo ruch był paskudny.

– Wtedy założyłeś *hotnewzz* – zgadł. – Pamiętam, że pisałeś już jako nastolatek, prawda? Mówiłeś, że to pozwalało ci rozprawić się z problemami.

– Czasem przez całą noc nie mogę zasnąć, bo mam przed oczyma obrazy z Afganistanu. Nie mogę się ich pozbyć. Wtedy siadam do komputera i piszę. Tylko to jeszcze pomaga.

Od kiedy pamiętał, Faris zawsze zazdrościł mu tej umiejętności. Sam nie miał żadnego zaworu bezpieczeństwa, niczego, co pozwalałoby mu pozbyć się strasznych obrazów, których naoglądał się wcześniej w pracy. Zawahał się, ale w końcu uznał, że spróbuje.

– Piszesz albo konstruujesz bomby i detonujesz je wśród ludzi.

Hesse zignorował zaczepkę.

– Byłem przekonany, że przynajmniej w połowie udało mi się to wszystko przetrwać. Że znów mogę normalnie funkcjonować. I wiesz, co się wtedy stało? – Mimo że zadał pytanie, nie dał Farisowi dojść do słowa. – Ten skurwysyn z pasem szahida wysadził się w powietrze w muzeum, w którym akurat była moja matka – wyjaśnił.

– To przelało czarę goryczy – dodała szeptem Shannon z War Roomu.

Poczuł bolesne ukłucie w okolicy serca, bo wcześniej to Paul zawsze używał tych słów. Ku jego zaskoczeniu całkowicie zniknęło współczucie dla Hessego, z którym dotychczas musiał walczyć. Człowiek po drugiej stronie to nie był Hesse. To nie był jego przyjaciel z policji. Ba, to nie była nawet biedna ofiara, tylko chory gnojek, który zamordował jego partnera!

– Mimo że stara pozbyła się mnie jak pary starych butów, bo jej przeszkadzałem – ciągnął dziennikarz – starałem się przez cały czas utrzymywać z nią kontakt. Kiedy zginęła, zająłem się wszystkimi formalnościami i zabrałem jej rzeczy. Z dokumentów, które przechowywała, dowiedziałem się, kto jest moim biologicznym ojcem. Przez całe życie pilnowała, żeby mi tego nie zdradzić, rozumiesz? A zgadniesz, co jeszcze przede mną ukrywała? Że mam przyrodniego brata!

– Alexandra!

– No właśnie, Alexandra. – Hesse zachichotał cicho, a Faris nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jego dawny kolega coraz bardziej pograża się w odmętach szaleństwa. – Ale wiesz co? O tym wszystkim będziemy mieli jeszcze czas pogadać. Gdzie jesteś?

Faris się rozejrzał.

– Już na obwodnicy miasta, zaraz przed tunelem.

– C... – Telefon zaczął tracić zasięg, a z głośników popłynęły niezrozumiałe trzaski, kiedy znalazł się w środku. – ...mówię!

Faris się zastanowił.

– Co by się stało, gdybym jednak nie przyjechał sam?

– A jak myślisz? Jak mnie nie posłuchasz, to pożegnasz się ze swoim kochaniem!

– zagroził mu Hesse, a w jego głosie mieszały się kpina i szaleństwo.

Faris zacisnął palce na kierownicy i dodał gazu.

– Moim kochaniem? – zapytał ostrożnie, choć spodziewał się, jaką usłyszy odpowiedź.

– Nie udawaj głupiego! – warknął Niklas.

Policjant przełknął ciężko.

– Mówisz o Laurze? – Bolało nawet, kiedy wypowiadał jej imię.

– Wiesz co? Poczekaj. – Znów rozległy się trzaski i szumy. – Przywitaj się ładnie z Farisem, dobrze?

Trzask. A potem kobiecy głos.

– Faris?

– Laura! – Poczul taki ucisk w klatce piersiowej, że nie był w stanie nabrać powietrza.

– On mnie porwał... – wymamrotała. Była jakby... zasnana? – Musisz...

Reszty jej słów nie usłyszał, bo Hesse odebrał jej słuchawkę.

– No i jak? Robi się coraz bardziej interesująco, prawda? – Połączenie traciło jakość, było słycać coraz gorzej. – A nawet jeśli nie, to przynajmniej wiesz, że opłaca się robić, co ci każe!

Faris zagotował się ze złości, lecz przyjął ją z wdzięcznością, bo to dodawało mu sił. Musiał jednak znaleźć równowagę, by móc logicznie myśleć. Wiedział, że Tromsdorff i pozostali przysłuchują się jego rozmowie. Szef poruszy niebo i ziemię, żeby mu pomóc dopaść Hessego. Jednak dopóki ten szalenie trzymał w dłoni detonator, nikt nie mógł nic zrobić.

Poza posłusznym wykonywaniem rozkazów.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytał chłodno. Miał zupełnie suche usta. – Po co ci te gierki? Jaki mają cel?

Hesse nie odpowiedział.

– Dlaczego nie wysadzisz po prostu stadionu w powietrze? To by było przecież najprostsze?

– Pytasz o stadion? No tak, oczywiście. Bo widzisz, stadion będzie ukoronowaniem mojego małego przedstawienia. Ukoronowaniem... jakby to powiedzieć... cierniową koroną. – Dziennikarz zaniósł się chichotem. – I wtedy cały świat w końcu zrozumie!

– Co ma niby zrozumieć? Że żadni bogowie nie mogą nikogo uchronić przed tobą?

Hesse aż jęknął z rozczarowania, po czym zamilkł na dłuższą chwilę.

– Widziałeś chyba nagranie, które przesłałem do N24, prawda?

– Pewnie, że widziałem. Może wyjaśnij mi przy okazji, o co w nim w ogóle chodziło?

– Będzie wyświetlane na telebimach, na chwilę przed eksplozją bomb. Ktoś zawsze filmuje takie rzeczy, wiesz, że potem można oglądać sam moment katastrofy. Takie nagrania zawsze trafiają do Internetu i tam krążą. Wtedy wielu ludzi zobaczy moje pytanie do świata. Dlaczego wasi bogowie na to pozwalają? A kilka sekund później wybuch zmiecie stadion z powierzchni ziemi. Ludzie w końcu wyślą swoich bogów do diabła! Dobrze powiedziane, co?

W War Roomie słycać było gorączkową szeptaninę.

Faris zamrugał. Bolała go głowa, a kiedy zamykał oczy, widział ciemnoczerwone błyski rozchodzące się pod powiekami.

– Do mszy z udziałem papieża zostało jeszcze... – Spojrzał na zegarek. – ...jedenaście godzin. Co masz zamiar zrobić przez ten czas, Niklas?

Na to pytanie nie otrzymał odpowiedzi.

– Wiedziałeś – zaczął Hesse z innej beczki – że w tej chwili na stadionie odbywa się zupełnie inna impreza? Msza wspólnoty Taizé. Śpiewają, Faris. Obawiam się, że muszę teraz nieco zmienić plan, bo nie mamy aż tyle czasu. Oczywiście, że nic nie będzie takie fajne, jak ogniste zakończenie mszy z papieżem, ale, jak widać, Bóg miał inne plany.

– Zachichotał. – Z tego, co widzę, trybuny są już w dwóch trzecich wypełnione. Zdajesz sobie sprawę, ile to ludzi? Policz szybko!

Faris chciał coś odpowiedzieć, ale nie zdążył.

Hesse niespodziewanie przerwał połączenie.

– To jest skończone szaleństwo! – powiedziała Shannon, przysuwając usta do mikrofonu, żeby Faris wyraźnie ją usłyszał.

Głęboko w sercu odczuwał żal. Żal, że nie ma już Niklasa Hessego, jego starego kolegi i przyjaciela, z którym świetnie się dogadywał. Spróbował sobie wyobrazić, co takiego wydarzyło się w Afganistanie. Musiał przyglądać się kamienowaniu kobiety, którą kochał. Nie, tego nie potrafił sobie wyobrazić. Przez chwilę widział twarz Laury. Nagle uświadomił sobie, że porwał ją nieobliczalny szaleniec. Musiał się skupić, jeśli chciał ją uratować!

– Gościowi totalnie odbiło – mruknął. – Kompletnie go popierdoliło!

– W mojej ocenie to są objawy kliniczne urojeń paranoidalnych. – Do rozmowy włączył się Tromsdorff. – Jest przekonany, że ma wielką misję do spełnienia.

– Gość naprawdę wierzy – odezwał się Marc – że dzięki niemu ludzie zaczną odwracać się od religii!

– Ludzie od kilkuset lat zajmują się problemami teodycei – powiedziała Shannon.

– Ale dotychczas żadna katastrofa, czy to naturalna, czy spowodowana przez ludzi, nie podważyła istnienia żadnej wiary.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

Nagle ktoś zaczął wściekle trąbić, więc Faris skupił się na drodze. Zamyślony jechał coraz wolniej i wolniej, a kiedy to zauważył, dodał gazu. Kierowca, który prawie w niego uderzył, wyprzedził go, pokazując mu środkowy palec. W pierwszym odruchu chciał go przeprosić za swoje gapiostwo, lecz przez niegrzeczny gest zrezygnował.

– Słyszeliście chyba, że porwał Laurę i jej grozi.

Tromsdorff odpowiedział mu głuchym głosem.

– Tak. Słyszeliśmy. Powiadomiłem już Andersena. Wydział dziewiąty od początku czeka w gotowości bojowej. Wystarczy sygnał, a ruszą do akcji. Gdzie jesteś?

Faris domyślał się, co szef chciał mu w ten sposób powiedzieć – nie rób niczego na własną rękę!

Zazgrzytał zębami. Akurat zjechał z obwodnicy i skręcił w prawo, w stronę Tempelhofer Damm. Jakaś starsza kobieta wyszła na ulicę tuż przed jego maską. Zahamował ostro, żeby jej nie przejechać, i w myślach sklął ją, na czym świat stoi.

– Już prawie na miejscu – powiedział głośno. – Hesse nie jest głupi, na pewno ma poustawiane wszędzie kamery albo jakiś inny sprzęt. Nasi ludzie za żadne skarby nie dadzą rady wpaść do niego z taką prędkością, żeby nie zdążył zdetonować bomby.

– Mimo wszystko! – Tromsdorff milczał przez kilka sekund. – Jeśli mamy dać radę, to tylko jako zespół, Faris, rozumiesz? Jako zespół!

Faris nie odpowiedział.

– Daj znać, zanim wejdiesz. To rozkaz – polecił mu Tromsdorff.

Nastrój panujący na Stadionie Olimpijskim był po prostu wspaniały i równie wspaniale czuła się Jenny. Była tutaj, w Berlinie, na Ekumenicznych Dniach Kościoła, a u jej boku stał najprzystojniejszy i najśladzszy facet, jakiego kiedykolwiek poznała.

Ostrożnie spojrzała kątem oka na Dennisa.

Po tym, jak ostatniej nocy – a w zasadzie rano, poprawiła się w myślach – pocałunkami na ławce w parku doprowadził ją do szaleństwa, odsunęła się kawałek i ciężko oddychając, spojrzała mu w oczy.

– Nie tutaj – wysapał. – Nie tak!

W pierwszej chwili poczuła się strasznie zawiedziona, ale potem, kiedy się zastanowiła, musiała przyznać mu rację.

Dziś wieczorem! Dziś wieczorem w końcu to się stanie! Dennis zarezerwował pokój w hotelu! W całym ciele czuła łaskotanie na myśl o tym, że dziś przeżyje swój pierwszy raz.

Zacisnęła palce na światełku chemicznym, które kołysało się na jej szyi.

Dennis zauważył jej ukradkowe spojrzenia. Uśmiechnął się do niej i chwycił za rękę. Miał ciepłą i delikatnie szorstką skórę.

Przed nimi na wielkim podwyższeniu, na którym za kilka godzin pojawi się papież, stał chór i śpiewał pieśni wspólnoty Taizé. W tej chwili akurat po francusku.

C'est toi, ma lampe, Seigneur...

Jenny razem z nimi nuciła znajomą melodię.

Nie potrafiła się jednak skupić. Jedyne, o czym myślała, to to, co miało się wydarzyć dziś wieczorem.

Funkcjonariusze z wydziału 632 i jednostki antyterrorystycznej GSG9 rozstawili się z mobilnym centrum dowodzenia w niewielkiej odległości od starego lotniska. Zgodnie z rozkazem przełożonego, Faris zameldował się u nich od razu po przyjeździe na miejsce. Niektórzy nie byli zachwyceni pomysłem, żeby puszczać go samego na teren zabudowań, inni wyraźnie oponowali, ale Hesse zażądał bezpośredniej rozmowy z Andersenem i wyjaśnił mu dobitnie, że jeszcze trochę, a straci cierpliwość. Zgodnie z jego wytycznymi Faris ruszył dalej w pojedynkę i przeszedł tę samą drogę, którą wcześniej pokonali razem. Dość szybko dotarł na miejsce i wszedł do ogromnej hali przylotów. Wyjął broń. Tym razem rozpaczliwie beznadziejny pesymizm dopadł go z taką siłą, że miał trudności, by unieść pistolet.

– Super, że wpadłeś. – Głos Hessego rozszedł się echem w przestronnym budynku. Stał po drugiej stronie, na schodkach prowadzących do dawnego głównego wejścia. Ręce trzymał spokojnie wzdłuż ciała i – Faris nie mógł uwierzyć w to, co widział – nic w nich nie miał. Ani śladu jakiegokolwiek broni czy zapalnika, którego się spodziewał.

„Pojedynek” – przypomniał sobie słowa Bena.

Po co tu jestem? Co tu się dzieje?

Uniósł broń i wycelował w Niklasa. Odległość między nimi była bardzo duża, a Faris miał wrażenie, że hala rozciąga się coraz bardziej, w nieskończoność. Potem nagle wszystko wróciło do swoich naturalnych wymiarów, zupełnie jak puszczona naciągnięta

gumka. Dopiero po kilku sekundach policjant zrozumiał, że to nawrót zawrotów głowy wywołał w nim tę halucynację.

– No to jestem, jak chciałeś, Niklas – powiedział. – Co dalej?

– Chodź! – Hesse ruszył schodami w dół i skręcił w lewo, gdzie znajdowało się wejście do podziemi budynku.

Spoglądając wzdłuż lufy wycelowanego pistoletu, Faris przeciął halę i podążył za dawnym przyjacielem.

„Zastrzel go! Szybko!”

Pragnienie było tak silne i przybrało formę wyraźnego rozkazu, który rozległ się echem w jego głowie. Niewiele brakowało, a obejrzałby się, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby to powiedzieć. Mroczna otchłań, która już wcześniej otworzyła się w jego wnętrzu, zaczęła się rozszerzać i przyciągać go do krawędzi. Faris zacisnął zęby. Nie, nie spojrz w nią. Nie! Tak energicznie, jak tylko był w stanie, nakazał milczeć chłodnemu głosikowi rozbrzmiewającemu gdzieś z tyłu głowy.

– Palec wskazujący mocno ci drży – zauważył Hesse z uśmiechem. – Mam nadzieję, że panujesz nad sobą, co?

Policjant zignorował zaczepkę.

– Dokąd mnie prowadzisz, Niklas? – zapytał, kiedy dotarli do schodów prowadzących jeszcze głębiej. – Czekaj, to są toalety? Toalety w piwnicach hali przylotów, tak?

Uśmiech Hessego stał się tak szeroki, że odsłonił zęby.

– Możesz sobie informować kolegów z firmy, gdzie jesteśmy, mam to gdzieś. Serio. Ale o jedno cię proszę, nie traktuj mnie jak idiota, okej? Tak, krzyż stoi w starej toalecie w podziemiach hali, słyszycie? Odbiór! Korzystajcie ze schodów po lewej!

Faris trzymał dotychczas broń w obu rękach, lecz teraz jedną dłonią poprawił słuchawkę w uchu.

– Słyszałeś, Robert?

– Głośno i wyraźnie – potwierdził Tromsdorff.

– Hesse jest nieuzbrojony – dodał Faris.

Dziennikarz się roześmiał. Dotarli do drzwi, za którymi znajdowała się od dawna nieużywana męska toaleta. Otworzył je i kpiącym gestem zaprosił Farisa do środka. Policjanta natychmiast dobiegło jednostajne, powolne pikanie.

Monitor pracy serca.

Faris wszedł do niskiego pomieszczenia. Ledwie przekroczył próg, zrobił szybki krok w bok, żeby ani na chwilę nie tracić Niklasa z oczu. Ze względów bezpieczeństwa celował teraz w ziemię.

Widok krzyża był dla niego niczym cios obuchem w głowę. Pionowa belka niemal dotykała sufitu, a przebite gwoźdźmi stopy Ellwangerera znajdowały się tuż nad brudną podłogą wyłożoną płytkami. Przenikliwy smród starej krwi i innych płynów ustrojowych sprawił, że Faris błyskawicznie otrząsnął się z obrzydzenia i wrócił do rzeczywistości. Białe elektrody przyklejone do piersi ukrzyżowanego prawie nie odróżniały się od poblądłej, woskowatej skóry mężczyzny. Faris zobaczył przewody, które łączyły je

z nadajnikiem zawieszonym na przepasce biodrowej ukrzyżowanego. Domyślił się, że nadajnik przekazywał zbierane z czujników dane do monitora pracy serca, który z kolei miał w odpowiednim momencie przekazać sygnał do bomb w mieście...

Faris znieruchomiał, kiedy zobaczył Laurę. W jednej chwili zapomniał o ukrzyżowanym Ellwangerze. Kobieta spoglądała na niego swoimi wielkimi, niebieskimi oczyma, w których czaił się strach, i sprawiała wrażenie tak zagubionej, że omal nie pękło mu serce.

– Spokojnie, już jestem – powiedział.

Hesse zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Przybył rycerz na białym koniu, dobre. Wiedziałaś, Laura, że imię Faris oznacza właśnie rycerza? Pewnie nie, co? Teraz pora się przekonać, czy z niego rycerz błędny czy obłądny...

W czasie, kiedy Hesse mówił, Faris otrząsnął się z pierwszego szoku i odszukał wzrokiem monitor serca. Urządzenie stało nieco z boku. Ekran na przedniej części wyświetlał wykres pracy serca Ellwangerza. Bardzo mocny reflektor i kamera na statywie stały tuż obok wejścia, przy drzwiach. Reflektor zalewał całe pomieszczenie bardzo jasnym światłem. Dzięki temu Faris widział strużki krwi na pobladytym ciele ukrzyżowanego mężczyzny w jaskrawym, bardzo żywym czerwonym kolorze.

Policjant odwrócił głowę i skupił wzrok na Laurze. Jej miękkie, delikatne włosy były w nieładzie, sklejone i brudne, a twarz pobladła. Na jej szyi dostrzegł kilka ciemnoczerwonych plam, które wyglądały, jakby powstały w wyniku uderzenia. Co ten skurwysyn jej zrobił?

– Jestem, tak jak chciałeś – zwrócił się do Hessego. – Możesz ją puścić.

– Dlaczego miałbym to zrobić? – zdziwił się reporter, a w jego oczach pojawiła się mieszanina nienawiści i obłądki. – Mowy nie ma, Faris – dodał po chwili. – Laura umrze, a ty będziesz się przyglądał, tak samo jak ja musiałem się przyglądać śmierci Faridah.

Kątem oka policjant dostrzegł panikę na twarzy związanej kobiety. Przeżrana zaczęła potrząsać głową.

„Nigdy na to nie pozwolę” – pomyślał tak intensywnie, jak tylko potrafił, mając nadzieję, że Laura będzie w stanie odczytać tę wiadomość choćby z jego postawy i spojrzenia. Nie potrafił zrozumieć, co on i Laura mieliby mieć wspólnego ze śmiercią Faridah, ale wiedział już, że z Hessem nie da się logicznie rozmawiać i nie docierają do niego żadne argumenty. „Urojenia paranoidalne” – przypomniał sobie słowa Tromsdorffa. W świecie, w którym żył Hesse, to on ponosił odpowiedzialność za całe zło, jakie go spotkało, i nie istniały żadne argumenty, które mogłyby przekonać Niklasa, że jest inaczej.

– Co ci odbiło? – zapytał w końcu. – Skąd ta chora nienawiść do mnie?

W słuchawce w jego uchu rozległy się niewyraźne trzaski. Połączenie na dolnym poziomie hali było bardzo słabe. Uniósł broń i wycelował w klatkę piersiową Hessego.

– I przede wszystkim, skąd masz pewność, że po prostu nie wpakuję ci kulki?

Mroczna otchłań w jego wnętrzu coraz bardziej się powiększała.

Niklas wzruszył ramionami.

– Pewnie stąd, że nie wiesz, czy przypadkiem nie schowałem jakiegoś asa

w rękawie.

Miał rację. Sposób, w jaki Hesse się zachowywał, świadczył o jego pewności siebie i poczuciu bezpieczeństwa. Wszystko więc wskazywało na to, że nawet ta scena została przez niego przewidziana i zaplanowana.

Tylko jaki był ten plan? Czego dotyczył? Co Hesse chciał zrobić i co osiągnąć?

Faris myślał gorączkowo, ale nic mu nie przychodziło do głowy.

Rozpacz...

Walczył z przytłaczającym pragnieniem, żeby zamknąć oczy i zostawić sprawę własnemu biegowi. Tęsknił za spokojem i ciszą. Chciało mu się spać.

– Wiesz przecież, że moja przełożona uważa mnie za tykającą bombę zegarową. Ponoć jestem nieobliczalny – powiedział niebezpiecznie spokojnie. – Nie możesz mieć pewności, że nie podejmę ryzyka.

Hesse cofnął się nieco. Po raz pierwszy na jego twarzy pojawił się wyraz niepewności. Faris się nie dziwił, bo sam przestraszył się tego, co powiedział. Nie po raz pierwszy ktoś dostrzegł mroczną otchłań kryjącą się za jego oczami i nie on pierwszy zrozumiał, że stoi naprzeciwko człowieka, który nie ma nic do stracenia.

Nie spuszczać wzroku z Hessego, Faris zaczął się cofać i podszedł do monitora pracy serca. Regularne pikanie w normalnych warunkach działałoby na niego uspokajająco, lecz trudno było tu mówić o normalnych warunkach. Teraz, w sytuacji, w jakiej się znalazł, pikanie jak mało co działało mu na nerwy.

Rozdział 30

– Co tu jest nie tak? – Monotonnym ruchem Ben Schneider stuknął końcówką długopisu w przednie zęby, wpatrując się uparcie w monitor komputera zabranego z mieszkania Ellwangerów, i niezbyt uważnie przysłuchiwał się wymianie zdań między Farisem a Hessem, którą na żywo można było śledzić dzięki ustawionym wcześniej głośnikom. Technik nie mógł się uspokoić i był spięty.

Coś musieli przeoczyć, tylko co?

W ogóle cała sprawa była nadzwyczaj tajemnicza i dziwna. W zachowaniu Hessego próżno było szukać jakiegokolwiek logiki. Jednak czy można było to przypisać tylko toczącemu go szaleństwu?

Dlaczego dziennikarz przywitał Farisa bez żadnej broni? Dlaczego schemat budowy monitora serca, który wykorzystał do zbudowania bomby, znalazł się na komputerze Alexandra Ellwangerera? W tej chwili wszystko wskazywało na to, że Alexander był ofiarą całej sytuacji, więc dlaczego miałyby przechowywać na komputerze plany narzędzia zbrodni? Zwłaszcza to ostatnie pytanie nie dawało mu spokoju i przyprawiało o ból brzucha.

Łamał sobie nad tym głowę, wpatrując się uparcie w ekran laptopa. Belki statusu połączenia z siecią bezprzewodową w prawym górnym narożniku były szare, co oznaczało, że maszyna nie miała połączenia z siecią. Zatem dokładnie tak, jak powinno być. W końcu sam, osobiście, odłączył go od Internetu zaraz po tym, jak Marc przyniósł go do biura. Szukając po omacku, przełączał kolejne okna na pulpicie. I wtedy, zupełnie przypadkowo, jego wzrok padł na szczegóły pliku ze schematem monitora serca.

– O kurwa! – jęknął. Ból brzucha w ułamku sekundy stał się dziesięć razy silniejszy.

Szybko przesunął wzrok i raz jeszcze sprawdził status podłączenia do sieci. Błyskawicznie otworzył wiersz poleceń i wpisał odpowiednią komendę.

Chwilę potem z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy, bo w polu, które powinno pozostawać nieaktywne, znajdował się numer IP. Tak gwałtownie zerwał się z miejsca, że fotel na kółkach, na którym siedział, odjechał w tył i z impetem wyrznął w ścianę.

– Faris! – ryknął. – Faris! Słyszysz mnie? Pod żadnym pozorem nie wyłączaj monitora! Nie wolno ci tego zrobić, słyszysz? Faris? Potwierdź! – Spojrzał na przerażone miny pozostałych, ale nie miał czasu niczego im tłumaczyć. – Faris! Jeśli wyłączysz monitor, wszystko wyleci w powietrze!

Głośny trzask dobiegający ze słuchawki bezprzewodowej sprawił mu fizyczny ból, jakby ktoś wwiercał mu się w mózg. W piwnicy prawie nie było zasięgu, więc jakość połączenia pogorszyła się katastrofalnie, do tego stopnia, że w każdej chwili mogło się zerwać. Słyszał jedynie urywki pojedynczych słów, które wypowiadali jego współpracownicy w War Roomie.

– Fa... mnie... wyłą... monito...

Dłonią, którą trzymał tuż przy monitorze, przycisnął słuchawkę do ucha.

– Ben? Jesteś tam? – Kątem oka obserwował Hessego, który stał spokojnie i czekał wyluzowany, co się stanie. – Ben? Co mówisz? Nic nie słyszę! Ben, nie rozumiem!

Zaniepokojony opuścił dłoń i dotknął palcami wyłącznika urządzenia.

Czuł na sobie wzrok Laury, ciążył mu jak jakieś brzemie. Zmusił się, żeby przestać o nim myśleć i nie dać się rozproszyć.

„Skup się, do cholery!” – nakazał sobie.

Co Ben chciał mu powiedzieć? Czy może jego słowa były skierowane do pozostałych w biurze? Może usłyszał fragmenty rozmowy między kolegami a Shannon? Nie miał pojęcia. Odniósł wrażenie, że Ben był strasznie podenerwowany, ale z drugiej strony przez złą jakość połączenia mógł się po prostu mylić. Pikanie monitora serca tworzyło drażniący i nie dający spokoju hałas w tle.

Faris uniósł wzrok i spojrzał na Ellwangera. Twarz mężczyzny wyglądała jak twarz osoby, która już od dłuższego czasu nie żyje. Ślady krwi ściekającej po policzkach, brodzie i szyi wyglądały w jaskrawym, żywym świetle potężnego reflektora jak otwarte rany. Podczas gdy Faris zmagał się ze sobą i zastanawiał, co powinien zrobić, ukrzyżowany mężczyzna niespodziewanie otworzył oczy.

Faris drgnął i odsunął się nieco.

Ellwanger miał zamglony, nieobecny wzrok, a jego usta poruszały się bezgłośnie, jakby chciał coś powiedzieć. Nagle z jego gardła wydobył się przeciągły dźwięk, który mógł być jękiem albo próbą wypowiedzenia jakiegoś słowa.

– ...er?

Faris zacisnął zęby. Mężczyzna wyraźnie cierpiał. Musiał w końcu podjąć decyzję! Spojrzał niepewnie w stronę dziennikarza i powoli już, po raz trzeci z rzędu, wyciągnął dłoń w stronę wyłącznika.

Jenny oparła się o pierś Dennisa i kołysała się z nim w rytm muzyki. Światelko chemiczne, które mu podarowała, wisiało na jego szyi na tęczowej smyczy z logo Ekumenicznych Dni Kościoła. Swoje trzymała w dłoni i machała nim, choć nie chciała go jeszcze zapalać. Część pielgrzymów na stadionie już wcześniej uruchomiła swoje światelka, jednak Jenny wolała poczekać do głównej mszy.

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, jaki piękny widok będą przedstawiały dziesiątki tysięcy zapalonych światełek chemicznych uniesionych jednocześnie w powietrze. To będzie żywy sygnał ekumenizmu i porozumienia!

Potem jednak... kiedy papież skończy już mszę i pierwsza prawdziwie ekumeniczna msza przejdzie do historii, uda się z Dennisem do hotelu i...

Przerwała ekscytujące myśli i stłumiła uśmiech, który cisnął się jej na usta.

Pia, która stała po lewej stronie, przyglądała się jej uważnie. Dziewczyny puściły do siebie porozumiewawczo oko.

– Hej! – zawołał niespodziewanie Dennis i uniósł brodę.

Jenny uwolniła się z jego objęć.

– O co chodzi?

Chłopak wskazał na potężny telebim umieszczony za plecami chóru. Dotychczas wyświetlały się na nim geometryczne formy zmieniające kształty i położenie w rytm odtwarzanej muzyki. Teraz jednak zniknęły, ich miejsce zastąpił jakiś film.

Na telebimie ukazały się migawki pielgrzymki papieża z 2011 roku.

– Co to ma być? – Jenny usłyszała zaskoczony szept Pii.

Alexander

Alexander spojrzał na swoje dłonie.

Dłonie, które trzymały młotek i gwoździe i które przybiły jego ojca do krzyża.

Potrząsnął głową, myśląc o swoim losie.

Anioł zniknął. Tutaj, w chłodnym pomieszczeniu w budynku policji został sam. Wysłannik Boga mu nie towarzyszył. Chłopak poczuł się tak okropnie samotny, że zaczął szlochać.

Nie wiedział już, czy dobrze postąpił, czy może nie? Obaj mężczyźni, którzy z nim rozmawiali – ten ciemnowłosy z płonącymi oczyma i ten młodszy, w koszulce polo – obaj sprawiali wrażenie, że są przerażeni i obrzydzeni tym, co zrobił.

Coś się w nim budziło. Pomyślał o swoim ojcu i o tym, jak powtarzał mu raz za razem, że trzeba walczyć z diabłem, który w nas mieszka.

Zadrżał z zimna i przerażenia. A jeśli on tę walkę już dawno przegrał?

Rozpłakał się na dobre.

A jeśli anioł nie był żadnym aniołem, tylko demonem? Wysłannikiem diabła? Posłańcem szatana?

Ta myśl pojawiła się zupełnie nagle i była tak przerażająca, że natychmiast wstał z krzesła. Rozejrzał się uważnie po całym pomieszczeniu o pustych, nagich ścianach.

A na koniec zatrzymał wzrok na rurze biegnącej pod sufitem.

Faris czuł się jak robak, jak jakiś owad w trakcie sekcji pod mikroskopem. Laura wodziła za nim wzrokiem pełnym paniki, a Hesse uśmiechał się delikatnie, nie spuszczać go z oczu. Do tego dochodził jeszcze Ellwanger, który zerkał na niego z krzyża, choć pewnie i tak niewiele widział.

Pikanie monitora przyspieszyło na chwilę, by zaraz potem znów zwolnić.

Hesse podszedł nieco bliżej, a Faris uniósł broń i wycelował w jego głowę, żeby zmusić go do powrotu na poprzednie miejsce. Lecz kiedy dziennikarz był dość blisko, dostrzegł w jego oczach ukrywany błysk tryumfu i nagle wszystko zrozumiał.

– Ty skurwysynu! – zawył. – Tobie od początku zależało, żebym to ja wyłączył monitor serca, prawda? A jeśli to zrobię, eksplodują bomby w całym Berlinie! – Przerażony odskoczył od urządzenia.

Ellwanger jęknął. Tym razem złożył usta w ten sposób, że udało mu się wypowiedzieć zrozumiałe słowo, choć w jego głosie słychać było cierpienie.

– PANIE?

Faris złapał pistolet obiema rękoma.

– Mam rację? Mów! – wrzasnął na Hessego.

Mężczyzna uśmiechnął się oszczędnie.

– Masz.

I w tamtej chwili niespodziewanie ostatnie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsca.

– Wszystko bardzo starannie zaplanowałeś, prawda? – zapytał Faris słabym głosem. – To stąd te wszystkie gierki ze mną! Chciałeś mieć czyste ręce i po to ja byłem ci potrzebny! Wymyśliłeś sobie, że wykorzystasz mnie, żebym to ja uruchomił detonator i tym samym wszystkie bomby!

„To nie ty uruchomiłeś detonator” – usłyszał w głowie głos Paula. Pamiętał go doskonale. Niech to diabli! Naprawdę niewiele brakowało, a tym razem jednak uruchomiłby detonator! Strasznie mało brakowało, a dałby się wmanewrować w podły plan Hessego.

– Dlaczego? – warknął wściekle. Po swojej prawej stronie widział Laurę, która usiłowała wstać z podłogi.

Hesse wzruszył ramionami. Cały czas się uśmiechał.

– Nazwij to na przykład moją wersją zdania się na działanie Boga. Jeśli On zdecyduje, że mam cię namówić, abys to zrobił, to znaczy, że robisz dobrze. Wiesz, jak to działa, prawda?

Policjant poczuł mdłości. Potrzęsął głową.

– To jest zbyt osobiste, Niklas. Nie rozumiem tego! – powiedział cicho.

– Twierdzisz, że to osobiste? No racja, zgadza się. Wiesz, jak teraz tak sobie myślę, to chyba mam ci za złe pracę w WPR. Wy i ta wasza zaszrana wyższość, z jaką traktujecie wszystkie problemy religijne! No i jeszcze ona. – Spojrzał w dół, na Laurę. – Popatrz tylko na nią! Ciągłe cię kocha! Wiesz o tym, co? No powiedz, że wiesz... To jest po prostu kurewsko niesprawiedliwe! Faridah...

Zamilkł i nabrał głęboko powietrza, wydając przy tym dźwięk, jakby zbierało mu się na szloch.

Faris nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Chcesz powiedzieć, że masz mi za złe, że...

– Kurwa, Faris! Ty masz wasz team, masz rodzinę i przyjaciół! Zawsze wszystko ci się udaje, niezależnie od tego, w jakie gówno wdepniesz! – Mówił to z takim przekonaniem, jakby poważnie w to wierzył! Niewiele brakowało, a Faris roześmiałby mu się w twarz. Hesse wyciągnął dłoń. Drżała. – Pomyślałem, że ty będziesz optymalnym kandydatem, żeby zrealizować mój plan. – Jego uśmiech przybrał diaboliczny błysk. – Zresztą, kto wie, może to wszystko nieprawda, a ja chciałem cię po prostu ukarać za śmierć mojej matki? Masz ją przecież na sumieniu, prawda? Nie wykręcisz się, Faris!

„Masz moją matkę na sumieniu”.

Pod policjantem ugięły się nogi. Czuł przemożne pragnienie pociągnięcia za spust i odstrzelenia tego czubka, ale rozumiał również, że bezdenna otchłań rozpaczliwej beznadziei pochłonie go bez reszty, jeśli nie przeciwstawi się temu kuszeniu.

Nabrał głęboko powietrza. Kiedy rozmawiali, Laura nie dawała za wygraną i podniosła się na kolana. Przechylona w przód klęczała teraz pod krzyżem i wyglądała,

jakby była pogrążona w modlitwie. Faris zacisnął palce na pistolecie i lufą wskazał na drzwi łazienki.

– Idziemy na górę! – rozkazał.

Hesse spojrział na niego kompletnie zdezorientowany.

– Na górę! – ryknął Faris. Każdy mięsień jego ciała był tak naciągnięty, że nie mógł opanować drżenia.

Dziennikarz posłuchał go w końcu i milcząc, odwrócił się do wyjścia. Jeden za drugim ruszyli w stronę schodów. Dopiero na półpiętrze skrzywienie i trzaski w słuchawce bezprzewodowej uspokoiły się i w końcu zniknęły. Puścił jedną dłońią broń, przycisnął drobne urządzenie w uchu i zapytał:

– Ben?

– Faris! Bogu niech będą dzięki! Pod żadnym pozorem nie możesz...

– Bogu niech będą dzięki?! – Faris nie mógł się powstrzymać.

– Cicho! Nie wolno ci wyłączyć monitora pracy serca! Słyszysz? – ciągnął Ben podekscytowanym głosem. – Faris? Słyszysz? Nie wyłączaj tego urządzenia!

– Nie ma sprawy, Ben. Nie wyłączę go. Nawet go nie dotknąłem. A co się dzieje?

Benowi załamywał się głos, kiedy relacjonował swoje odkrycie.

– Przez cały czas czułem się dziwnie, jakby coś nie dawało mi spokoju, i zadawałem sobie pytanie, jak i dlaczego plan tego monitora znalazł się na komputerze należącym do Alexandra Ellwanger. Tym bardziej że z naszych ustaleń wynika, że chłopak nie uczestniczył w przygotowywaniu i planowaniu zamachów bombowych, prawda? I wiesz, dlaczego? Bo Hesse go tam wgrał! Rozumiesz? Byłem przekonany, że odciąłem komputer od Internetu, kiedy Marc przyniósł go do biura. Ale ten gnojek zostawił sobie ukrytą furtkę. Na podstawie dat ostatniej modyfikacji pliku udało mi się ustalić, że plan został wgrany na dysk, kiedy komputer był już w naszym posiadaniu, Faris! On chciał...

– Dzięki, Ben – przerwał mu Faris. – Najważniejsze już wiem, a całą resztę opowiesz mi potem, dobrze?

– Faris! – Do rozmowy włączył się Tromsdorff. – Gdzie jest Hesse?

Policjant zamilkł na chwilę. Wciąż jeszcze nie pozbył się uczucia niepewności, które nie dawało mu spokoju.

– Jest ze mną. Trzymam go na muszce. – Miał wrażenie, że cała ta sytuacja wciąż budzi w nim tak samo dziwny niepokój, jak wcześniej, a wątpliwość w głosie szefa tylko utwierdziła go w tym przekonaniu. Zamilkł.

– Ben. – Faris zwilżył językiem zaschnięte usta. – Jak mam wyłączyć to gówno, żeby niczego nie wysadzić w powietrze?

Technik milczał przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Nie mam pojęcia. Cholera, serio nie wiem. Ale nasi saperzy są już w drodze do was.

Niecałe pięć minut później w toalecie pod salą przylotów zaroilo się od policjantów. Hesse został zatrzymany, ekipa ratunkowa zajęła się Wernerem Ellwangerem, a dwóch specjalistów saperów zabrało się do badania monitora pracy serca, by zapobiec emisji impulsu radiowego, który miałby uruchomić zapalniki we wszystkich

spreparowanych świecidełkach chemicznych w mieście. Jeden z umundurowanych policjantów chciał pomóc Laurze, jednak Faris uparł się, że sam ją uwolni z więzów.

– Już wszystko dobrze – powiedział miękko, kiedy stanął przed nią. – Już jestem przy tobie.

Stała przed nim niepewnie na trzęsących się nogach. Miała jeszcze związane dłonie, knebel w ustach i patrzyła na niego tak szeroko otwartymi oczyma, że jej przerażenie i panika zadziałały na niego jak policzek.

Od razu zdjął jej knebel.

– Dziękuję – wyszeptała, podając mu dłonie.

Kiedy zdjął jej więzy, niespodziewanie ugięły się pod nią kolana i gdyby jej w porę nie złapał, znów znalazłaby się na podłodze. Przez chwilę trzymał ją tak mocno, jak tylko mógł bez sprawiania jej bólu. Oparła głowę na jego piersi i oddychała spokojnie i głęboko, lecz przy każdym wdechu wydawała przeciągły jęk. Przez kilka sekund mamił się ułudą, że wspólne tragiczne przeżycia zbliżą ich do siebie na tyle, że znów się zejdą. Dopiero kiedy Laura szarpnęła się energicznie, by uwolnić się z jego ramion, i zgromiła go spojrzeniem, zrozumiał, jak płonne były jego nadzieje. Nagle uświadomił sobie, że to wszystko mogłoby jedynie zaszkodzić jej powrotowi, zamiast go ułatwić. Głęboko w jej spojrzeniu widział rodzący się wyrzut.

„Gdybyś nie został policjantem, nigdy by nas coś takiego nie spotkało!” – zdawały się mówić jej oczy.

Spiął się, przygotowując na ból, który – czego był pewien – musi pojawić się po takiej konstatacji.

– Czekaj, sprowadzę kogoś, kto się tobą zajmie – powiedział półgłosem.

Cofnął się i dał znak jednemu z umundurowanych policjantów. Kiedy funkcjonariusz zbliżył się do Laury, Faris wyszedł z toalety i ruszył z powrotem do hali przylotów lotniska.

Kiedy zajmował się swoją byłą dziewczyną, ktoś otworzył główną bramę na teren lotniska. Przed budynkiem parkowało przynajmniej kilkanaście wozów policyjnych, karettek i straży pożarnych, lecz na tle ogromu hali wydawały się maleńkie jak modele samochodzików.

Faris odwrócił się i zobaczył, jak policjanci pomagają Laurze wejść po schodach, a potem prowadzą ją do karetki. Ratownik medyczny ubrany w czerwony uniform chwycił ją pod ramię i posadził.

– Wygląda na to, że podał jej jakieś środki uspokajające albo usypiające – powiedział Faris. I w myślach dodał: „Dbajcie o nią! Nic jej się nie może stać!”.

Laura uparcie unikała jego spojrzenia. Siedziała ze spuszczoną głową i twarzą zasłoniętą potarganymi włosami. W końcu Faris się odwrócił i krok za krokiem odszedł, walcząc z przeraźliwą pustką pochłaniającą jego wnętrze. Żeby się przed nią obronić, skupił się na dziwnym przeczuciu niepewności, które pulsowało gdzieś w tyle jego głowy. Było tam przez cały czas, ale nie potrafił się domyślić, co je wywoływało. Dziesiątki pytań, na które nie znał odpowiedzi, krążyło szaleńczo w jego mózgu.

Sięgnął dłonią do słuchawki bezprzewodowej, ale w War Roomie zgromadziło się zbyt wielu ludzi i dobiegało do niego zbyt wiele dźwięków. Przestraszył się, że utracił ten

kanał komunikacji. Dlatego wyjął słuchawkę z ucha i wsunął do kieszeni spodni. Potem sięgnął po telefon i wybrał numer Gitty.

– To ja – powiedział, kiedy odebrała.

– Faris! – W jej głosie słyhać było szaleńczą ekscytację. Radość. Szczęście. Ba, prawdziwą euforię! – Udało ci się! Dopadłeś tego chorego gnojka... ja...

Przerwał jej w pół słowa.

– Później, Gitta, później! Później będziesz mogła mnie wycałować i wyściskać, ile dusza zapagnie. Ale teraz mam do ciebie ogromną prośbę. Daj znać Alexandrowi, że udało nam się uratować jego ojca.

– Jesteś pewien, że ta wiadomość go ucieszy? – Niespodziewanie głos Gitty zabrzmiał bardzo rzeczowo i nieco sceptycznie.

– Pojęcia nie mam. Ale uważam, że ma prawo wiedzieć. A ty jak myślisz?

– Tak samo jak ty, nie ma o czym mówić. – Faris usłyszał jej szybkie kroki po linoleum, którym wyłożone były korytarze w siedzibie policji. – Już pędzę.

Na chwilę zanim Gitta otworzyła drzwi do pokoju przesłuchań, usłyszała dziwny, przytłumiony odgłos.

Pospiesznie odszukała w kieszeni klucz, wyjęła go i spróbowała wsunąć do zamka, lecz tak bardzo drżały jej dłonie, że dopiero za którymś z kolei razem udało jej się trafić. Przekręciła go i odblokowała zamek. Nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi, a w następnej chwili zobaczyła parę nóg kołyszących się na wysokości jej twarzy.

– O Boże! – wyszeptała zdjeta przerażeniem.

Faris wysłał Gittę do Alexandra Ellwanger, po czym przerwał połączenie. Nie wiedział, czym powinien się teraz zająć. Laura odjechała jedną z karetek do szpitala na badania. Ani razu nie spojrzała w jego stronę. Niespodziewanie Faris poczuł się okropnie zmęczony i wyczerpany. Postanowił zejść do toalet w piwnicach, gdzie wciąż pracowali funkcjonariusze z patrolu saperskiego, usiłując zrozumieć skomplikowaną mieszaninę przewodów wewnątrz monitora pracy serca.

Werner Ellwanger wciąż jeszcze wisiał na krzyżu, który został ułożony płasko na podłodze. Ratownicy chcieli w ten sposób oszczędzić mu cierpień. Faris widział, że monitor pracy serca został tak zaprogramowany, że alarm włączał się również w przypadku usunięcia jednej z elektrod. To oznaczało, że nie można było uwolnić Ellwanger z okablowania, dopóki nie uda się rozpracować i rozbroić urządzenia.

– Dlaczego nie zdejmiecie go z krzyża? – Faris zwrócił się do jednego z ratowników. Gwoździe przechodzące przez ciało mężczyzny wydawały się naprawdę ogromne. Na ich widok policjant dostał mdłości.

– Bardzo trudno jest nam w tej chwili określić jego stan – wyjaśnił ratownik. Szczupły, niski mężczyzna o odstających uszach wskazał na wykres na ekranie monitora serca. – Jestem w szoku, że cały czas tak dobrze się trzyma, skoro przez ponad trzydzieści godzin wisiał na krzyżu, ale i tak nie zaryzykuję zdejmowania go w tej chwili. Gdybyśmy

zaczęli wyciągać gwoździe, moglibyśmy wywołać szok, a to dla nikogo nie skończyłoby się dobrze.

„Dla nikogo z wyjątkiem Niklasa Hessego” – pomyślał Faris ponuro. Szok w stanie, w jakim znajdował się Werner Ellwanger, oznaczałby wyrok śmierci i w ostatecznym rozrachunku dawałby Hessemu wygraną.

Nie mając nic lepszego do roboty, podszedł do kamery, która stała na statywie obok drzwi. Zdjął ją, otworzył niewielki ekran z boku i uruchomił odtwarzanie nagrania znajdującego się w pamięci urządzenia. To było coś w rodzaju wywiadu. Wywiadu z Alexandrem, który wyglądał jak kupka nieszczęścia. Chłopak był cały we krwi i sparaliżowany przerażeniem rozmawiał z kimś, kogo najwyraźniej nazywał aniołem. Spokojny głos zza kamery podsuwał mu pytania i odpowiedzi. Faris zadrżał, kiedy sobie uświadomił, że te słowa wypowiada Niklas Hesse.

Słyszał skamlenie chłopaka.

– *Kim jesteś? Aniołem?*

A Hesse odpowiedział mu z cichym śmiechem:

– *Być może. Jestem posłańcem.*

– *Jesteś posłańcem Pana* – wyszeptał na to Alexander. – *Co teraz? Co mam zrobić?*

Hesse zaczął wydawać polecenia:

– *Opowiedz mi o nim. Chcę wiedzieć wszystko.*

Alexander skrzywił się z przerażenia.

– Ty chory gnoju! – szepnął Faris.

Przesunął film do przodu i zatrzymał w miejscu, gdzie Alexander tłumaczył coś o grządkach albo rabatach w ogrodzie. Wyłączył kamerę. Nie czuł już mdłości. To już go nie dotyczyło.

Energicznym krokiem wbiegł po schodach na górę, do hali przylotów, gdzie kilku funkcjonariuszy wzięło Hessego do jednego z biur. Stali teraz obok niego z bronią gotową do strzału i pilnowali, żeby nie zrobił niczego głupiego. Faris ze złością cisnął mu na kolana kamerę.

– Po co ci to wszystko? – warknął. – Dlaczego zmuszałeś Alexandra, żeby wykonywał twoje polecenia? Dlaczego go dręczyłeś?

Hesse zaśmiał się ponuro. Siedział na plastikowym krzeselku, z kamerą na udach.

– Myślę, że powinniście przekopać grządki w ogródku starego Ellwangera – powiedział.

– O co chodzi z tymi grządkami? Bo nie rozumiem. – Faris przymknął oczy, na co natychmiast zobaczył pod powiekami feerię srebrnych gwiazd.

– Nie oglądałeś uważnie mojego nagrania? – Hesse skutymi dłońmi sięgnął po kamerę i oddał ją Farisowi. – To obejrzyj!

Policjant wziął ją do ręki.

– Nie, ty mi powiedz!

Hesse zignorował jego polecenie. Nie odwracał wzroku od oczu dawnego kolegi.

– I kto tu jest potworem? – zapytał cicho, a potem dodał: – Sprawiedliwość, Faris. O to przecież chodzi, prawda? O sprawiedliwość. – Przerwał i wzruszył ramionami. – Nie wiem, czy pamiętasz, ale ostatnio nie dokończyliśmy rozmowy.

Faris w ogóle nie czuł potrzeby, by ją kończyć. Mimo to spojrział groźnie na dawnego kolegę.

– Mów! – rozkazał.

– Z papierów pozostawionych przez matkę dowiedziałem się, że Werner Ellwanger jest moim ojcem. Odszukałem go. – Zaśmiał się, lecz tym razem bardzo smutno. Z rezygnacją. – Możesz mi wierzyć albo nie, ale zupełnie serio się cieszyłem, że w końcu będę mieć prawdziwą rodzinę. To było zaledwie kilka miesięcy po tym, jak Faridah zginęła ukamienowana. – Roztrzęsiony nabrał głęboko powietrza. – Dwa dni po tym, jak ten religijny czubek wysadził się w powietrze.

Faris oszczędził sobie tłumaczenia, że akurat zamachowiec z muzeum nie miał nic wspólnego z religijnym ekstremizmem. To był jeden z najbardziej absurdalnych elementów obecnego dochodzenia. To, że czyn, popełniony z motywów nie mających nic wspólnego z jakąkolwiek religią, pchnął Hessego do krucjaty przeciwko wszystkim Kościołom świata.

– Niestety, szybko się przekonałem, że mój ojciec też jest religijnym czubkiem. I to takim, który maltretuje i dręczy psychicznie swojego syna. W zasadzie Alexander pod jego wpływem stał się takim samym czubkiem. – Hesse prychnął pogardliwie. – Wiedziałaś na przykład, że ten przygłup uważał mnie za anioła? Wymyślił to, kiedy po raz pierwszy zapukałem do jego drzwi. W ogóle na początku to był tylko test. Chciałem się przekonać, jak głęboko sięga jego obłąd. Ale kiedy się zorientowałem, że gorzej już być nie może, a jego ojciec wymyślił sobie hecę z krzyżowaniem, zacząłem układać plan. I tak narodziło się to wszystko tutaj. – Mówiąc to, zrobił nieokreślony ruch dłonią, jakby chciał wskazać na całe lotnisko. I nagle zrobił się bardzo podenerwowany. Wyprostował się i poprawił ramiona, a na jego twarzy pojawił się wyraz, który Farisa... wkurzył. Bo nie spodziewał się, że Hesse będzie...

...zadowolony.

Z jakiegoś dziwnego powodu film wyświetlany na telebimie wywołał u Jenny gęsią skórę. Pierwsze słowa motta Ekumenicznych Dni Kościoła pojawiły się wypisane krwistoczerwoną czcionką.

I GŁOSILI Z ODWAGĄ

Nagle w tłumie wiernych dało się wyczuć zdenerwowanie i niepokój, a potem gwałtowny ruch. Przez wejścia na stadion wbiegli policjanci.

– Co się dzieje? – wymamrotał Dennis. Objął Jenny w pasie, ale w obliczu tego, co widział, cofnął ramię.

– Szanowni państwo. – Z głośników popłynął czyjś donośny głos. – Wystąpiły niemożliwe do przewidzenia problemy, więc jesteśmy zmuszeni zwrócić się do państwa o spokojne udanie się w stronę wyjść. Prosimy zachować spokój, nie ma żadnego niebezpieczeństwa!

Jenny przycisnęła dłonie do ust. Przyglądała się, jak wierni zaczynają opuszczać stadion. W wielu miejscach zaczęły tworzyć się zatory i doszło do przepychanek. Porządkowi przy wsparciu policji błyskawicznie uspokajali sytuację. Wspólnymi siłami

udało im się zapobiec wybuchowi paniki. Kiedy Jenny dzieliło ledwie kilka kroków od wyjścia, zauważyła, że funkcjonariusze zdejmują każdemu wychodzącemu światelka chemiczne z szyi.

Zadrżała i poczuła ciarki na plecach. Niespodziewanie ogarnęło ją przeświadczenie, że zaraz wydarzy się coś złego.

Obraz na telebimie zamigotał.

Zniknęły krwistoczerwone literki.

Przez krótką chwilę ekran był zupełnie czarny.

A potem znów pojawił się na nim film.

Widok zadowolonej miny Hessego był kroplą, która przelała czarę goryczy. Faris poczuł, że przestaje nad sobą panować.

Rzucił się w kierunku zatrzymanego, chwycił go za kołnierz i szarpnięciem postawił na nogi.

– Wychodzimy! – warknął i zanim któryś z pozostałych policjantów w pomieszczeniu zdążył zwrócić mu uwagę, już ciągnął dziennikarza na zewnątrz, by sprowadzić go do piwnicy. – A teraz powiesz grzecznie ludziom na dole, jak rozbroić to urządzenie.

Kiedy weszli do łazienki w piwnicy, ratownicy krzatali się w gorączkowym pośpiechu wokół przybitego do krzyża Ellwangera. Pikanie monitora serca drastycznie przyspieszyło, aż brzmiało jak szalone staccato.

– Cholera! – krzyknął jeden z mężczyzn. – Migotanie!

Błyskawicznie przygotował zastrzyk i wbił się w ramię Ellwangera.

Saperzy działali z wyuczonym spokojem, jakby mieli dość czasu na wszystko. Ani na chwilę nie podnieśli głów, tak bardzo byli skupieni na rozbrojeniu nadajnika radiowego. Pochyleni nad otwartą obudową urządzenia rozmawiali o czymś zawzięcie.

– Prawy czy lewy? – zapytał jeden z nich. W dłoni trzymał niewielkie obciążki i poruszał nimi między dwoma przewodami. – *Fifty fifty*, co?

– Przede wszystkim zachować spokój – odpowiedział drugi. Mówił z ogromnym luzem, który kontrastował z gorączkowym pośpiechem sanitariuszy.

Faris nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

– Coś tu jest nie tak – zawołał jeden z ratowników. Pikanie zwolniło na chwilę, by znów przyspieszyć i osiągnąć jeszcze wyższą częstotliwość.

Faris zmusił się do tego, by nie skupiać się na nich, tylko na Hessem. Niepokój, który odczuwał, powrócił ze zdwojoną siłą. Powoli wsunął dłoń pod kurtkę i położył palce na broni, którą schował zaraz po zatrzymaniu dziennikarza.

Hesse zauważył jego gest i nieco uniósł brwi. Niespodziewanie pojawiło się między nimi napięcie tak wielkie, że Faris nie dość, że nie cofnął dłoni, to jeszcze zacisnął palce na rękojeści. Rozległ się cykający sygnał jego komórki. Faris drgnął przestraszony. Wyjął dłoń spod kurtki i nie spoglądając na Hessego, odebrał połączenie.

Dzwoniła Gitta.

– Alexander nie żyje – powiedziała głosem pełnym wyrzutów sumienia, jakby to

ona ponosiła odpowiedzialność za jego śmierć.

– Co się stało? – Faris poczuł żal i smutek tak ogromne, że przez chwilę nie zwracał uwagi na biegających tam i z powrotem ratowników ani na rozmowy dwójki saperów, których głosy niespodziewanie stały się spięte. Życzyłby Alexandrowi, żeby zrozumiał, co się właściwie wydarzyło, i żeby w końcu mógł wrócić do normalnego życia.

– Powiesił się – wyjaśniła kobieta. – Wyjął sznurówki z butów i się powiesił.

Słysząc było, że zbiera jej się na płacz.

– To przecież nie twoja wina – pocieszył ją.

– Kurwa mać! – zawołał jeden z ratowników. – Tracimy go!

Faris odwrócił się do nich plecami.

Gitta westchnęła.

– Niby ja to wiem, Faris. Ale mimo wszystko...

Po czym pożegnała się i zakończyła rozmowę.

Sanitariusze spoglądali bezradnie to na Ellwängera, to na działający cały czas monitor pracy serca. Faris schował telefon do kieszeni.

– Twój brat powiesił się w celi – poinformował Hessego.

Dziennikarz nie zareagował od razu. W końcu zaniósł się śmiechem.

– Judasz! – wysapał. – Zupełnie jak Judasz!

A potem umilkł równie niespodziewanie, jak wcześniej wybuchnął śmiechem. W jego oczach teraz pojawiło się rozbawienie.

– No sam powiedz, stary. To jest przecież jakiś absurd!

Przez kilka następnych sekund chichotał szaleńczo, a kiedy przestał, zrobił przebiegłą minę.

– Alexander był przedostatnią ofiarą – oznajmił.

W następnej chwili wszystko potoczyło się z prędkością błyskawicy.

Pikanie monitora serca przyspieszyło gwałtownie i stało się niemal ciągłym sygnałem. Hesse poruszył ramionami w bardzo gwałtowny sposób, jakby coś z siebie strzepywał. Jego niespodziewany ruch zaskoczył Farisa, lecz tylko na ułamek sekundy, bo niemal natychmiast krew w jego żyłach zmieniła się w lód. Z rękawa Hessego wysunęło się małe czarne pudełeczko i wpadło prosto w jego dłoń. W chwili, kiedy zaciskał na nim palce, Faris wyciągał broń.

Strzał zabrzmiał ogłuszająco w ciasnym pomieszczeniu.

Pośrodku klatki piersiowej dziennikarza pojawiła się krwistoczerwona plama. Pikanie monitora serca było tak szybkie, że nie dało się usłyszeć przerw między sygnałami.

Hesse spuścił wzrok i spojrzał na siebie zaskoczony, by w następnej chwili popatrzeć Farisowi w oczy. Uśmiechnął się tryumfalnie. Czarne pudełko wysunęło się pomiędzy jego palców i z trzaskiem upadło na podłogę. Pod dziennikarzem ugięły się nogi i jego ciało bezwładnie osunęło się na brudne płytki. Dopiero po kilku sekundach policjant uświadomił sobie, że to małe czarne pudełko było detonatorem.

„Lilly!” – W jego głowie rozległ się przerażony krzyk.

– Niech to diabli! – zawołał jeden z saperów.

Obiema dłońmi złapał za koszulkę Hessego i szarpnięciem ją rozerwał, aż guziki

potoczyły się po podłodze. W pierwszej chwili nie rozumiał, czym mogą być białe plamy na piersi dziennikarza, lecz szybko do niego dotarło. Poczł się, jakby ktoś oblał go kubłem lodowatej wody – Niklas miał na sobie elektrody.

Pikanie monitora pracy serca oszalało.

– *Fifty fifty!* – krzyknął saper z obciążkami.

Faris nie mógł oderwać wzroku od twarzy dawnego znajomego, z którego błyskawicznie uchodziło życie.

Chwilę później Niklas był martwy.

Kiedy pikanie przeszło w jeden monotonny pisk, Faris Iskander upuścił broń i osunął się na kolana.

Epilog

Bomba zegarowa.

To był zarzut, który doktor Geiger wysyczała Farisowi prosto w twarz jeszcze tego samego wieczoru, kiedy siedział przed nią w sali przesłuchań na Keithstraße.

– Niewiele brakowało, a wszystko by pan zepsuł – powiedziała. Stała pośrodku pomieszczenia, a sposób, w jaki skrzyżowała ramiona, nie mógł ukryć presji, w jakiej przyszło jej funkcjonować. – Gdyby Kellner z patrolu saperskiego nie przeciął na chybił trafił jednego z przewodów chwilę przed śmiercią Hessego, mielibyśmy pół miasta w gruzach!

Faris w odpowiedzi wzruszył jedynie ramionami. Przez kilka godzin przesłuchania już przynajmniej kilkadziesiąt razy usiłował wytłumaczyć, dlaczego ten argument jest bez sensu. Teraz nie miał już ochoty na dyskusję. Czy miał jakiegokolwiek podstawy przypuszczać, że monitor pracy serca podłączony jest nie do Ellwanger, a do Hessego właśnie? No cóż, nie miał o tym pojęcia. Jeśli Geiger chce, niech go wywali, to go już nie obchodziło. Przymknął oczy i spojrzał w wypełniającą go otchłań, żeby sprawdzić, czy przez śmierć Niklasa stała się jeszcze głębsza.

Nie potrafił tego stwierdzić.

– Taka akcja to efekt pracy całego zespołu – powiedział w końcu bardzo spokojnie.

Zapamiętał te słowa, bo dokładnie to samo powiedział mu Tromsdorff. Przy odrobinie szczęścia decydenci na naprawdę wysokich stanowiskach będą potrafili obiektywnie na to spojrzeć i przez jakiś czas WPR będzie bezpieczne, a oskarżenia Geiger stracą moc.

Kobieta opuściła ramiona, po czym wysunęła rękę w jego kierunku.

– Pańska broń! Natychmiast!

– Już dawno ją złożyłem – mruknął Faris. – Domyślam się, że bez sensu pytać panią, kiedy mi ją oddacie?

Geiger wzruszyła ramionami. Jej dotychczas pedantycznie perfekcyjna fryzura znajdowała się w delikatnym nieładzie.

Faris wstał.

– Dobra, skończyliśmy już? – Miał tego wszystkiego po dziurki w nosie.

Zamrugła nerwowo.

– Na razie tak – warknęła.

Zanim wrócił do domu, postanowił zajrzeć do War Roomu. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu czuł potrzebę, by usiąść przez chwilę na swoim dawnym miejscu i w ten sposób pożegnać partnera.

Od zakończenia akcji na lotnisku minęło już kilka godzin. Nie spodziewał się zastać kogokolwiek w biurze, lecz ku jego zaskoczeniu cały zespół był na miejscu. Tromsdorff i Gitta. Shannon. Ben i Marc. Jakby nie mogli uwierzyć, że koniec końców udało im się powstrzymać katastrofę i zapobiec ofiarom, cały zespół siedział pogrążony w rozmowie. Jego zespół.

– O cholera! – jęknął głośno. – Naprawdę nie macie co robić z czasem? Nikt na was

nie czeka w domu czy co?

Gitta pierwsza zerwała się z miejsca i jak szalona rzuciła się w jego stronę. Pamiętała o obietnicy, jaką złożył jej przez telefon, więc wyściskała go i wycalowała tak gwałtownie, że wszystkie obicia, naciągnięcia i stłuczenia, jakich nabawił się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin, dały znać o swoim istnieniu rwącym bólem.

– Auć! – jęknął głośno, aż Gitta odskoczyła przestraszona. Uśmiechnął się do niej.
– Dałaś się nabrać!

Roześmiała się i udała, że daje mu kuksańca pod zebra.

– Głupek!

– Ja ciebie też kocham! – Zaciskając zęby, osunął się na krzesło, które podsunęła mu Shannon. Spojrzał na puste miejsce.

– Dlaczego jeszcze tu siedzicie?

– Możesz mi wierzyć, że wysłałbym ich wszystkich do domów, żeby w końcu porządnie się wypali – wyjaśnił Tromsdorff. – Ale żadne z nas nie chciało przerywać teraz, zanim będziemy wiedzieli, jak wygląda twoja sytuacja. Woleliśmy poczekać. Poza tym pomyśleliśmy, że będziesz chciał poznać nasze ustalenia.

Faris spojrzał każdemu po kolei w zmęczoną twarz. Wszyscy jak jeden mąż dokonali w ostatnich godzinach nadludzkich rzeczy. Poczul ciepło wynikające z przynależności do tak wspaniałego zespołu. To trochę łagodziło żal po stracie Paula. Uśmiechnął się krzywo.

– Okej, to zaczynajcie!

Pierwsza odezwała się Shannon.

– Myślę, że o Hessem nie musimy teraz szczególnie dużo mówić, prawda? – zapytała, ale i tak od niego zaczęła omawiać ustalenia. – Znalazłam trochę informacji na temat jego matki, niejakiej Ludmilly Mechow. Była katoliczką, bardzo wierzącą, bardzo religijną, ba, prawdziwą bigotką. Ale nie dawała sobie z nim rady. Dlatego w wieku pięciu lat trafił do domu dziecka. Przez całe dzieciństwo wzbierało w nim pragnienie posiadania prawdziwej rodziny. Kiedy jego ukochana zginęła w Afganistanie, rozsypał się i pogubił. Tym, co wywołało serię zbrodniczych działań, nie była jednak strata tamtej kobiety, a śmierć matki w eksplozji w Muzeum Klerscha. Dzięki jej śmierci dowiedział się, kto jest jego biologicznym ojcem i szybko nawiązał z nim kontakt. Miał pecha, bo się okazało, że jego ojciec jest jeszcze większym fanatykiem religijnym, niż była jego matka. – Przerwała i przez chwilę przyglądała się w milczeniu Farisowi. – Hesse był strasznym manipulatorem, ale potrafił to robić. Obejrzałam nagranie z ukrzyżowania, do którego wykorzystał Alexandra. To się po prostu rzuca w oczy. Jemu to sprawiało radość. Cieszył się, mając pełną kontrolę nad przyrodnim bratem. Ale nie to jest najważniejsze. Podłączył się do monitora pracy serca, żeby zmusić ciebie do zdetonowania bomby.

– A po co to przesłane nagranie? – zapytał Faris.

– Najwyraźniej chciał mieć dowód. Chciał podkreślić to, co odczytał w motcie, coś w rodzaju patrzcie ludzie, do czego doprowadziły wasze religie.

– Czy Ellwanger rzeczywiście zamordował żonę? Niklas sugerował coś takiego, ale nie powiedział tego wprost.

Tromsdorff potaknął.

– Nasi ludzie cały czas pracowali na działce Ellwangerów i znaleźli jej ciało. Leżała zakopana pod grządkami i rabatami. Staramy się ustalić teraz okoliczności jej śmierci, motyw i sposób, w jaki została zamordowana, ale najprawdopodobniej poszło o to, że miała już dość jego szaleństwa i zagroziła, że odbierze mu dziecko. Tak w każdym razie wynika z nagrania.

– Chryste – jęknęła Shannon. – Nie potrafię sobie wyobrazić, co czuł Alexander, patrząc w oślepiające światło reflektora i zmanipulowany przez Hessego. Z filmu i z rozmów wynika, że uważał to za poświęcenie otaczającą prawdziwego anioła. – Przez chwilę milczała pogrążona w myślach. – Bardzo chciałabym wiedzieć, czy Hesse podawał mu jakieś narkotyki, żeby ułatwić sobie zadanie.

„Całkiem możliwe” – pomyślał Faris. Widział, jak Alexander zachowywał się na nagraniu, i od początku odniósł wrażenie, że chłopak nie myślał trzeźwo. Ale w tej chwili najbardziej interesowało go coś zupełnie innego niż pytania o narkotyki.

– Jak się czuje Werner Ellwanger? Przeżyje? – zapytał.

– Żyje i przeżyje. Ale odpowie za morderstwo żony i za maltretowanie syna.

– W głosie Shannon pojawiła się ponura satysfakcja.

Faris pokiwał głową.

– To świetnie! – A potem przypomniał sobie o czymś jeszcze, daleko ważniejszym niż Ellwanger i jego zdrowie: Laura! Pospiesznie sięgnął do kieszeni i wyjął zniszczony telefon. W czasie wielogodzinnego przesłuchania telefon był wyłączony. Teraz szybko go uruchomił i sprawdził, czy w tym czasie ktoś do niego dzwonił.

Tylko jedna osoba próbowała się z nim skontaktować, lecz nie była to Laura, a jego siostra Anisah. Policja skontaktowała się z jego rodziną, żeby przekazać im, że mogą wracać i że Farisowi nic się nie stało. Dlatego nie musiał teraz do niej oddzwaniać. Później jej wszystko opowie.

Laura...

– Zapalnik, który Hesse ukrył w rękawie... – zaczął, ale nie potrafił dokończyć pytania, które nie dawało mu spokoju.

Tromsdorff i tak w mig zrozumiał, co chce wiedzieć. Potaknął.

– Koledzy potwierdzili, że doprowadziliby do eksplozji światełka chemicznego, które wcześniej w jakiś sposób dał Lilly.

Faris opuścił głowę.

– Aha – wyszeptał.

Gdyby go nie zastrzelił, córka Laury by zginęła. Mimo to nie był przekonany, czy to, że ją uratował, na dłuższą metę mu pomoże, czy nie. Wystarczyło, że opuścił powieki, a przed oczyma ukazywała mu się twarz konającego Niklasa Hessego. Na zmianę z inną, dawną twarzą jego przyjaciela, taką, która pokazywała, jaki był wcześniej – pełen radości życia i idealizmu.

Faris potarł piekące ze zmęczenia oczy. Wioząc go na przesłuchanie na Keithstraße, koledzy zapewniali, że Laurze nic się nie stało. Niczego więcej wiedzieć nie musiał. Jeśli przyszłaby jej ochota, żeby z nim porozmawiać, wiedziała, jak się z nim skontaktować. Był jednak przekonany, że to się nie stanie. Stłumił westchnienie i schował telefon do kieszeni. Przez chwilę jego myśli krążyły wokół Iry Jensen.

– Jak Hesse mógł rozmawiać ze mną jednocześnie przez dwa telefony? – zapytał w końcu.

Przypomniał sobie o sytuacji spod kawiarni internetowej. Przez podstawowego smartfona rozmawiał z wtedy jeszcze nieznanym zamachowcem, a przez zastępczą komórkę z Hessem, którego starał się ostrzec przed bombą. Bombą podłożoną przez niego samego. Dopiero teraz uświadomił sobie, jaki to był genialny ruch dziennikarza. Ben odkasznął.

– Technicznie to nie nastęcza dziś żadnych trudności. Są programy, które bardzo wiernie potrafią odtworzyć ludzką mowę. Wystarczy zapisać coś na klawiaturze, a program to zaraz wypowiada. Hesse był dziennikarzem, więc z całą pewnością potrafił bardzo szybko pisać i jednocześnie rozmawiać.

– Już po czasie, ale przeanalizowaliśmy pod tym kątem nagrania rozmów z nim – dodał Tromsdorff. – Kiedy pojechałeś do kawiarni internetowej, odpowiedzi Hessego przychodziły z bardzo delikatnym opóźnieniem. Gdybyśmy wtedy wiedzieli, czego szukać, na pewno byśmy to zauważyli.

– Dużo wcześniej powinniśmy wpaść na jego trop – mruknął Faris. Starał się obronić przed coraz silniejszym poczuciem winy. Dzisiaj też to nie on uruchomił detonator, ale co tu kryć, było cholernie blisko.

Przez dłuższy czas wszyscy w biurze milczeli, a potem zaczęli dyskutować o psychice Hessego. Shannon była jeszcze pełna energii i rwała się do działania. Faris pomyślał, że wygląda tak, jakby chciała natychmiast siadać do komputera, by zacząć pisać książkę o najświeższym przypadku.

Zazdrościł jej tej siły i entuzjazmu.

Z trudnością nadażał za pozostałymi, aż w końcu wszystkie głosy zlały się w jeden rezonujący hałas, jakby dochodził z blaszanego wiadra.

Tromsdorff zauważył, co się dzieje, i polecił mu ruszyć dupę i zaraz jechać do szpitala na badania.

Machnął lekceważąco ręką.

– Jeśli zobaczę dzisiaj choćby z daleka monitor pracy serca, to nie ręcę za siebie... – nie dokończył groźby... „to strzelę sobie w łeb”, chciał powiedzieć, ale uznał, że lepiej ugryźć się w język.

Tromsdorff westchnął ciężko.

– Uparty jak osioł! – burknął dobrotliwie. – W takim razie uciekaj do domu i odpocznij w końcu!

Pościel w pokoju hotelowym miała kolor bzu, podobnie jak dywan. Jednak Jenny nie zwracała na to uwagi. Opadła na czyste, miękkie poduszki i wsłuchała się w szum pryszniczaka dobiegający zza zamkniętych drzwi łazienki.

Jej ciałem wstrząsały nerwowe dreszcze niecierpliwego podniecenia. Ale podobało jej się to uczucie, tym silniejsze, że dziś cudem udało im się uniknąć strasznej katastrofy.

Kiedy na telebimie po raz kolejny zaczął się wyświetlać dziwny film, policjanci zrobili się okropnie nerwowi i spięci. W oczach dwudziestokilkuletniego

funkcjonariusza, który stał niedaleko Jenny, pojawiła się czysta panika.

Ale nic się nie stało. Zupełnie nic. Młody policjant odetchnął z taką ulgą, jakby zaraz miał się popłakać. Szybko wrócił do pracy i razem z pozostałymi sprawnie opróżnili stadion z pielgrzymów, odbierając im wszystkie światełka chemiczne.

Jeszcze kiedy była na stadionie, wśród ludzi zaczęły krążyć najróżniejsze plotki. Mówiono, że właśnie udało się zapobiec potężnemu zamachowi bombowemu.

Wieczorna msza ekumeniczna z udziałem papieża została oczywiście odwołana. Zamiast niej Dennis zabrał obie dziewczyny do świetnej restauracji na Ku'damm. Zaraz po posiłku Pia się pożegnała i zostawiła ich samych. W ten sposób w końcu mogli się przenieść do pokoju hotelowego, który chłopak już wcześniej zarezerwował.

Na twarzy Jenny wykwitł szeroki uśmiech. W łazience Dennis wyłączył wodę. Po chwili drzwi się otworzyły i wyszedł ubrany jedynie w ręcznik. Czarne skrzydła wytatuowane na jego ramieniu wyglądały bardzo tajemniczo. Jenny przewróciła się na bok i oparła głowę na ramieniu.

To był bardzo ekscytujący dzień.

A noc zapowiadała się jeszcze bardziej ekscytująco.

Kontrast między napięciem ostatnich godzin i nieznośną ciszą jego małego mieszkania był tak ogromny, że nie potrafił go znieść. Faris wziął prysznic, przebrał się i zaczął krążyć po salonie jak dzikie zwierzę w klatce. Przez pół godziny walczył z uczuciem bycia więźniem we własnych czterech ścianach. Zadzwonił do Anisah, wysłuchał kilkuminutowego przemówienia, z którego przebijała troska i ulga, aż w końcu udało mu się jej przerwać i zapewnić, że wszystko jest w porządku i żeby się nie martwiła. Wiele wysiłku kosztowało go przekonanie jej, że naprawdę nie musi się pakować i do niego jechać.

Dość szybko się przekonał, że to nie było zbyt mądre. Czuł coraz silniejsze pragnienie walenia pięściami w ściany. W końcu nie mógł już dłużej wytrzymać. Zarzucił kurtkę na ramiona i wybiegł z mieszkania.

Przez jakiś czas krążył niespokojnie po Berlinie, zatrzymując się co chwilę pośrodku chodnika. Jakiś przechodzień prawie się z nim przez to zderzył. Zmierzył go złym spojrzeniem, lecz wolał oszczędzić sobie komentarza, kiedy spojrzał w twarz Farisa. Policjant nie ruszył się z miejsca. Odprowadził go wzrokiem, aż zniknął za zakrętem, i wyobraził sobie, że ten nieznajomy zaraz wróci do żony i dzieci. Stłumił westchnienie i spojrzał na zegarek.

Na Stadionie Olimpijskim o tej porze powinna zaczynać się msza. Czy jej odwołanie i ujawniona próba zamachu zadadzą cios ruchowi ekumenicznemu i cofną wysiłki na rzecz zjednoczenia? Nie miał pojęcia. Ale też niewiele go to obchodziło. W każdym razie nie w tej chwili.

Ruszył dalej, ale w pewnej chwili znów się zatrzymał. Jego wzrok padł nagle na tabliczkę z nazwą włoskiej restauracji. Mimo późnej godziny lokal tętnił życiem.

Usłyszał w głowie słowa Iry, która mówiła, że ma przyjaciółkę, której ojciec prowadzi restaurację w Charlottenburgu.

Nad drzwiami wisiał szyld z nazwą. Trattoria Rossi.

Faris uśmiechnął się mimowolnie. Co go tu sprowadziło? Podświadomość? Zajrzał przez szybę do przytulnej sali. Zajęta była mniej więcej połowa stolików przykrytych serwetami w czerwono-białą kratę. W powietrzu unosił się zapach pizzy i czosnku. Nagle przypomniało mu się, że jest przecież strasznie głodny. Poranna grzanka przygotowana przez Irę była jedynym posiłkiem, jaki zjadł w ciągu ostatnich czterdziestu godzin.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki. Na szczęście miał ze sobą portfel.

Zdecydowanym ruchem otworzył drzwi i wszedł do lokalu. Młoda dziewczyna z włosami związanymi w koński ogon podeszła i uśmiechnęła się ciepło.

– Stolik dla dwóch osób? – zapytała.

„Jasmin” – pomyślał. Potrząsnął głową.

– Jestem sam.

Rozejrzała się, myśląc, gdzie go posadzić. Po lewej stronie od drzwi znajdowały się schodki na nieco podwyższoną część sali, gdzie ustawiono cztery stoliki. Wszystkie były puste. Faris poczuł ukłucie rozczarowania. Czyżby naprawdę miał nadzieję, że spotka tu Irę?

Młoda dziewczyna zaprowadziła go do jednego z nich.

– Zaraz podam panu kartę – powiedziała. – Ma pan może ochotę zamówić już teraz coś do picia?

Niewysoki murek oddzielał tę część restauracji od reszty sali, nadając jej swojski, przytulny charakter. Na oparciu krzesła przy sąsiednim stoliku wisiała damska kurtka. Ale brakowało torebki. Kobieta, która przy nim siedziała, musiała pójść do toalety. Zostawiła w kieliszku niedopite czerwone wino.

Faris nie mógł oderwać od niego wzroku. Zastanowił się.

– Kieliszek czerwonego wina poproszę – powiedział.

– Wytrawnego?

Nie miał pojęcia, czy wytrawne wino mu zasmakuje. Ba, w ogóle nie wiedział, czy lubi wino. Mimo to pokiwał głową.

Młoda kelnerka odeszła. Chwilę później pojawił się ktoś z obsługi z zamówieniem. Wziął kieliszek i spojrzał na ciemnoczerwoną, połyskującą ciecz. Zawahał się, zanim uniósł go do ust.

– Myślałam, że nie pijesz alkoholu – usłyszał niespodziewanie znajomy głos.

Oderwał wzrok od kieliszka i się obejrzał. Obok niego stała Ira. Wyglądała bardzo świeżo i spokojnie, jak ktoś, na kim można polegać. Poczuli chęć, żeby zerwać się z miejsca i wziąć ją w ramiona, ale się powstrzymał.

– Pewna pastorka powiedziała mi kiedyś, że w jej wierze wino jest symbolem wspólnoty – odparł.

– To musiała być bardzo mądra kobieta.

Nie zapytała, czy może. Sięgnęła po prostu po swój kieliszek ze stolika obok, podsunęła sobie krzesło i usiadła naprzeciwko niego. Wzniosła toast, ale nie wypila ani łyčka.

– Co cię tu sprowadza? – zapytała. Jej policzki się zaróżowiły. – O Boże! – jęknęła.

– Tylko nie mów, że znalazłeś wizytówkę!

Zmarszczył brwi zaskoczony.

– Jaką wizytówkę?

Nie znalazł żadnej i nie wiedział, o co jej chodzi.

– Ja... – zaczęła, ale szybko machnęła dłonią i zmieniła temat. – Nie ma o czym mówić!

Raz jeszcze uniosła kieliszek. Na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi, a policzki powoli zmieniły kolor na naturalny.

W końcu i on uniosł kieliszek. Wino wydało mu się ciepłe i bardzo przyjemne, kiedy spływało przez gardło. Poczul, że powinien powiedzieć coś mądrego.

– Może twój Bóg mnie tutaj skierował – mruknął.

Spojrzała na niego przeciągle i pokręciła głową.

– Może jednak los?

– A to nie to samo?

Wzruszyła ramionami i odstawiła delikatnie kieliszek na obrusie w czerwono-białą kratę.

– Bóg. Los. Przeznaczenie. Może po tym, co razem przeżyliśmy, ani ty, ani ja nie potrzebujemy już takich pojęć.

Nie miał pojęcia, jak jej odpowiedzieć. Zastanowił się.

– Cieszę się, że cię spotkałem – wyznał w końcu.

Ira milczała przez chwilę.

– A nie powinieneś być w domu i kurować wstrząśnienie mózgu? – zaczęła bawić się kieliszkiem. Jakby była skrępowana.

– Próbowałem, słowo.

– Jak długo?

Poczul, że się uśmiecha. Wino sprawiało, że z jego żołądka promieniowało przyjemne ciepło.

– Bardzo długo! Chyba nawet z pół godziny.

Roześmiała się. Wspaniale było widzieć ją wesołą. Upił kolejny łyk.

– Uratowałeś dzisiaj miasto przed prawdziwą katastrofą – powiedziała. – Ktoś ci za to podziękuje?

Wzruszył ramionami.

– Może. A może nie. Moja przełożona planuje zamknąć mój wydział.

– Chyba żartujesz! – Ira spojrzała na niego z niedowierzaniem. Miała duże, pełne wyrazu oczy.

– Możemy porozmawiać o czymś innym? – poprosił. – Przyszedłem tutaj, bo chciałem o wszystkim zapomnieć. Chociaż na chwilę.

Ira się zamyśliła. Był przekonany, że zaraz mu powie, jak źle jest wypierać złe emocje, zamiast się z nimi mierzyć. Ale nie, nie zrobiła tego. Był jej ogromnie wdzięczny.

Z uśmiechem wskazała na jego nadgarstek.

– Zdjąłeś bransoletkę.

Zaskoczony podążył za jej wzrokiem. Rzeczywiście. Sięgnął do kieszeni kurtki. Opuszkami palców dotknął znoszonej skóry. W którejś chwili niespokojnego marszu przez miasto musiał ją zdjąć i schować. Przez sekundę jego myśli zaczęły krążyć wokół

Laury.

– Szkoda! – powiedziała Ira. – Bardzo mi się podobała.

Znów wzruszył ramionami. „Kiedyś może przyjdzie czas, że powiem jej prawdę, co było na niej napisane” – pomyślał.

Podziękowania

W tym miejscu chciałabym podziękować kilku osobom za pomoc i wsparcie w czasie powstawania tej książki.

– Mojej agentce Petrze Hermanns. Bez twoich niewyczerpanych pokładów cierpliwości i daru motywowania Faris nigdy nie ujrzałby światła dziennego.

– Jamesowi N. Freyowi, który cierpliwie wysłuchiwał mojego biadolenia na temat problemów z akcją i który z pomocą rady pt. *You need a dirty bomb* sprawił, że wpadłam na genialny pomysł.

– Antje Szillat za pewną pamiętną rozmowę w Café del Sol. Bez Twojego kopniaka byłaby to całkiem inna powieść.

– Monice Severith, Stefanie Kropp-Heindorf, Olafowi Schilgenowi i Nilsowi Landmarkowi za przeczytanie surowego manuskryptu i wartościowe uwagi oraz wszystkie wskazówki, które otrzymałam od Was na etapie koncepcyjnym. Moi drodzy, bez Was nic bym nie zdziałała!

– Selverowi Giesingowi za rady i rozmowy o islamie w Niemczech. Bardzo mi pomogłeś lepiej zrozumieć Farisa.

– Doktor Bettinie Ziemert za długie rozmowy telefoniczne na temat ludzkiej psychiki i mrocznych zakamarków ludzkiej duszy.

– Mojemu synowi Janowi-Ivenowi za cierpliwe odpowiedzi na moje pytania dotyczące komputerów i telefonów komórkowych.

– Zespołowi konsultantów ds. współpracy z przemysłem filmowym i literackim berlińskiej policji i Stefanowi Wittke za odpowiedzi na moje niezliczone pytania na temat pracy policji i za sugestie, by czasem skorzystać z przysługującej pisarzom *licentia poetica*.

Dziękuję także Jasmin, która istnieje naprawdę i w której restauracji o nazwie Trattoria Rossi mogłam pozwolić odpocząć stopom zmęczonym pogonią po Berlinie śladami Farisa.

Jednak największe podziękowanie należy się jak zawsze mojemu mężowi Stefanowi za nieustające wsparcie i miłość.

Kathrin Lange

kwiecień 2013